

Danielle Steel Randki w ciemno

Opowieść o kobiecie, która zmuszona do rozpoczęcia życia od nowa, zyskuje dużo więcej, niż straciła.

Po blisko ćwierć wieku małżeństwa on odchodzi z młodszą - taki scenariusz nader często pisze życie. Dla niczego nie podejrzewającej Paris słowa męża: „Chcę rozwodu” są wyrokiem, skazują ją bowiem na samotność i żmudne odbudowywanie własnego świata. Początkowo załamana, próbuje się pozbierać, stosując konwencjonalne metody: zmiana miejsca zamieszkania, poszukiwanie nowego partnera... Aż w końcu uświadamia sobie, że nie musi postępować jak większość kobiet w jej położeniu, że stać ją na coś oryginalnego.

Niniejsza powieść jest tworem wyobraźni. Wszelkie podobieństwo do osób żyjących i zmarłych oraz rzeczywistych miejsc i wydarzeń jest całkowicie przypadkowe.

[...] dobrze widzi się tylko sercem.
Najważniejsze jest niewidoczne dla oczu.
Antoine de Saint-Exupery
Mały Książę

Dla tych, którzy szukają, dla tych, którzy szukali, dla tych — szczęściarze! — którzy znaleźli. W szczególności zaś z wielką sympatią i szacunkiem dla tych, którzy przebrnęli przez ów nienaturalny proces, nie doznając uszczerbku na sercach i duszach, a w dodatku wypatrzyli igłę w stogu siana i zdobyli wielką nagrodę! Wspinaczka na Everest jest łatwiejsza i z pewnością niesie ze sobą mniej niebezpieczeństw i rozpaczy.

I jeszcze dla was, wszyscy moi przyjaciele, którzy podejmowaliście nieudolne bądź zręczne starania, by znaleźć dla mnie idealnego mężczyznę, czyli innymi słowy nie mniejsze dziwadło niż ja. Dla tych wszystkich, którzy umawiali mnie na randki w ciemno — będzie z czego się pośmiać na stare lata!

— i którym niemal wybaczam.

A zwłaszcza dla moich cudownych dzieci, które przyglądały się, angażowały, kochały i wspierały mnie swym humorem, zachętą i bezgraniczną cierpliwością. Za ich miłość i pomoc w każdej sytuacji jestem głęboko wdzięczna.

Wasza kochająca d.s.

Czym jest randka? Randka jest wtedy, kiedy dwie prawie nieznające się osoby idą na kolację, nerwowo dziobią widelcami w talerzach i w najkrótszym możliwie czasie usiłują zadać jak najwięcej pytań. Na przykład: Jeździsz na nartach? Grasz w tenisa? Lubisz psy? Jak sądzisz, dlaczego twoje małżeństwo się rozpadło? Jak sądzisz, dlaczego twoja ekszona oskarżała cię o despotyzm? Lubisz czekoladę? Sernik? Zostałeś kiedykolwiek skazany za przestępstwo kryminalne? Co sądzisz o narkotykach? Ilu alkoholików było w twojej

rodzinie? Jakie przyjmujesz leki? Poddawaś się operacji plastycznej czy może to twój prawdziwy nos? Podbródek? Górna warga? Piersi? Pupa? No więc jaki to był w końcu zabieg? Lubisz dzieci? Miałaś jakieś romanse? Znasz jakieś obce języki? Wymarzona podróż poślubna? Dwa tygodnie w Himalajach? Serio? Byłeś na safari? W Paryżu? W Des Moines? Jesteś religijny? Kiedy ostatnio widziałeś się z matką? Od jak dawna uczestniczysz w terapii grupowej? Dlaczego nie? Ile razy zwinęli cię za prowadzenie po pijaku? Gdzie w tej chwili jesteś zdaniem swojej żony? Od jak dawna jesteś żonaty? Rozwiedziony? Wdowiec? Wyszedłeś z więzienia? Warunkowo? Bezrobotny? W jaki sposób zamierzasz zdobyć pracę? Bez wątpienia zawód cyrkowca to okazja do wspaniałych podróży, ale nie boisz się chodzić po linie? Cierpisz na bulimię przez całe życie? Na ilu jesteś odwykach? Co to znaczy: później? Jak przypuszczasz, kiedy zadzwonisz?

Randka w ciemno jest wtedy, kiedy życzliwi przyjaciele wybierają dwie osoby z przeciwnych krańców ziemi, w dodatku mające ze sobą możliwie najmniej wspólnego, a następnie kłamliwie przekonują każdą z nich, jak fantastyczna, interesująca, normalna, elastyczna, inteligentna i urodziwa jest ta druga. Potem skrzekliwym głosem odzywa się rzeczywistość, potem jest tak samo jak na zwykłej randce, tyle że, dzięki Bogu, trwa to czasami trochę krócej, potem uczestnicy zanoszą modły, aby ich partnerzy błędnie zapisali numer telefonu, potem wracają do domu i albo płaczą, albo wybuchają śmiechem, wreszcie zaś przestają odzywać się do przyjaciół, którzy ich umówili. A ledwie zapomną, jak było fatalnie, pozwalają tym samym albo innym przyjaciółom umówić się ponownie. Z miłością i współczuciem d.s.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Był to bajkowy, przepojony aromatami majowy wieczór, jeden z tych, jakie zdarzają się na wschodnim wybrzeżu, kiedy ostateczny, nieodparty szturm wiosny rozbija w pył resztki oporu zimy i niemal z dnia na dzień świat odmienia swój wygląd. Śpiewały ptaki, mocno grzało słońce, a ogród Armstrongów eksplodował nagle serią barw. Fantastyczna pogoda panująca przez cały tydzień sprawiła, że nawet Nowy Jork zwolnił tempo, a przerwy na lunch stały się jakby dłuższe. Po ulicach spacerowały pary, ludzie uśmiechali się do siebie. Nic więc dziwnego, że przy takiej aurze Paris Armstrong postanowiła przenieść kolację do ogrodu, na niedawno wykończone kamienne patio przy basenie. Ona i Peter zwykle zapraszali gości na sobotę, żeby Peter nie musiał pośpiesznie wracać z biura tuż przed przyjęciem, w tym tygodniu jednak Paris zdecydowała się na piątek, ponieważ firma cateringowa, z której usług zwykle korzystała, wszystkie inne terminy miała zajęte. Peter, gdy dowiedział się o tym od żony, przyjął wieści wyrozumiale — pobrażał we wszystkim Paris, a nawet ją rozpieszczał, co było jedną z niezliczonych przyczyn, dla których kochała go równie mocno jak kiedyś, chociaż w marcu upłynęła dwudziesta czwarta rocznica ich ślubu. Nie do wiary, jak szybko minęły te lata i jak wiele się w tym czasie wydarzyło. Megan, najstarsza córka Armstrongów, rok temu ukończyła Vassar i niedawno, jako dwudziestotrzylatka, podjęła pracę w Los Angeles: od dawna zafascynowana filmem zatrudniła się jako asystentka szefa produkcji jednej z hollywoodzkich wytwórni. W istocie, co przyznawała otwarcie, była kimś na kształt „podaj-przynieś”, ale po pierwsze, liczyła, że będzie awansować, i po drugie, na tym etapie wystarczała jej podniecająca świadomość, iż

tkwi w samym centrum wydarzeń. Jej młodszy brat, osiemnastoletni William, kończył właśnie szkołę średnią i jesienią miał rozpocząć studia w Berkeley.

Tak, Paris ciągle nie mogła uwierzyć, że dzieci są dorosłe, choć przecież, jak się jej zdawało, jeszcze przed chwilą przewijała je, na zmianę z innymi matkami woziła do szkoły, sama zaś — na lekcje baletu w przypadku Meg i mecze hokejowe w przypadku Wima. I oto za trzy miesiące również Wim wyfrunie z gniazda: miał się zgłosić w Berkeley na tydzień przed Świętem Pracy.

Paris odruchowo upewniła się, czy stół został nakryty prawidłowo, chociaż ludzie z firmy cateringowej byli profesjonalistami o dobrym guście, a dom, zwłaszcza kuchnię, Armstrongów znali na pamięć, jako że bardzo towarzyscy zleceniodawcy nader często korzystali z ich usług. Skrzyły się więc srebra i kryształy, obrus aż raził oczy nieskazitelną bielą, w wazonach pyszniły się kompozycje kwiatowe z wielobarwnych piwonii, dzieło samej Paris. Peter prawdopodobnie będzie po powrocie z pracy zbyt zmęczony, żeby docenić to wszystko. Paris jednak miała pewność, iż jeśli nawet jej mąż nie zwraca czasem uwagi na szczegóły, to przecież w każdej chwili czuje, jak ciepły i elegancki jest jego dom. A to było efektem jej starań, podejmowanych zresztą nie tylko dla Petera, dzieci i przyjaciół, lecz również dla samej siebie.

Peter był niezwykle hojnym mężem i ojcem: jako wspólnik w dobrze prosperującej kancelarii adwokackiej wyspecjalizowanej w obsłudze prawnej dużych firm odnosił takie sukcesy, że mając pięćdziesiąt jeden lat stanął na jej czele. Dziesięć lat temu kupił dla siebie i rodziny piękny kamienny dom w jednej z najbardziej luksusowych dzielnic Greenwich i dom ten — chociaż początkowo Armstrongowie planowali zatrudnienie architekta wnętrz — koniec końców urządziła sama Paris, a Peter był tak zachwycony rezultatem jej poczynań, że oświadczył półzartem, że powinna zostać zawodową dekoratorką. Mimo jednak swych artystycznych zapędów Paris i wykształcenie, i zainteresowania miała podobne jak mąż, świat interesów zaś nie stanowił dla niej żadnej zagadki.

Wzięli ślub, kiedy tylko ukończyła college i podjęła studia MBA. Zrazu myślała o założeniu własnej niewielkiej firmy, gdy jednak na drugim roku zaszła w ciążę, postanowiła pozostać w domu i zająć się wychowywaniem dzieci, Peter zaś w pełni poparł jej decyzję. Po dwudziestu czterech latach małżeństwa Paris czuła się kobietą szczęśliwą i spełnioną, choć w ciągu owych dwudziestu czterech lat robiła tylko to co tak wiele innych kobiet: prowadziła dom, piekła ciasteczka, organizowała szkolne kiermasze i aukcje, spędzała z dziećmi niezliczone godziny w gabinetach ortodontów. Dyplom MBA był jej do tego potrzebny jak umarłemu kadzidło, niemniej jednak umożliwiał toczenie wieczornych dysput z Peterem

o prowadzonych przezeń sprawach i to też bardzo ich zbliżało. Peter uważał ją za idealną żonę, a sposób, w jaki wychowywała dzieci, budził jego najgłębszy szacunek; Paris natomiast nie umiałaby sobie wyobrazić lepszego męża. Nadal umieli ze sobą żartować, gdy przytuleni pod ciepłą kołdrą leniuchowali w zimowe niedzielne poranki i nadal Paris bez szemrania wstawiała bladym świtem w każdym roboczym dniu tygodnia, żeby odwiedzić Petera na stację kolejki. Jeszcze do niedawna wracała zaraz potem do domu, by odwiedzić dzieci, aż nazbyt szybko jednak, przynajmniej z jej punktu widzenia, nadszedł czas, gdy dorosły, uzyskały prawa jazdy i mogły wozić się same. W tej chwili sen z powiek Paris spędzało tylko pytanie, co będzie robić, kiedy w sierpniu Wim wyjedzie do Berkeley; nie potrafiła sobie wyobrazić domu, którego w weekendy nie przewracają do góry nogami

gromady rozbrykanych nastolatków, albo też letnich dni bez ich zgiełkowej chlapaniny w basenie. Przez dwadzieścia lat z górą życie Paris niemal bez reszty koncentrowało się na dzieciach, myśl więc, że to życie kończy się bezpowrotnie, przejmowała ją melancholię i smutkiem.

Wim wprawdzie będzie przyjeżdżać do domu na weekendy i święta, ale zapewne jeszcze rzadziej niż Meg podczas nauki w Vassar, Berkeley leży bowiem znacznie dalej. A potem? Cóż, po ukończeniu studiów Meg praktycznie zniknęła. Przez sześć miesięcy z trzema przyjaciółkami mieszkała w Nowym Jorku, później, gdy otrzymała pracę, na której jej zależało, przeniosła się do Los Angeles. Bóg jeden raczy wiedzieć, czy kiedyś wyjdzie za mąż — chociaż na razie tego nie planuje — Paris i Peter będą mogli liczyć na jej odwiedziny choćby przy okazji Święta Dziękczynienia albo gwiazdki, jak dotąd. Paris nie miała jasnej wizji, jak wypełnić sobie czas: pozbawiona doświadczenia zawodowego, nieobecna na rynku pracy, nie mogła przecież zacząć ot tak rozglądać się za posadą w Nowym Jorku. Zastanawiała się nad wolontariatem w Stanfordzie i opieką nad molestowanymi dziećmi bądź też udziałem w zainicjowanym przez jej przyjaciółkę programie zwalczania analfabetyzmu wśród uczniów publicznych szkół średnich, którzy przechodzili czasem z klasy do klasy, choć praktycznie nie umieli czytać ani pisać. Wiele lat temu Peter mawiał, że kiedy wyprawią dzieci z domu, będą mogli podróżować i robić wiele innych rzeczy, na które dotąd nie mieli czasu, w tej chwili jednak Paris uważała to za całkowicie nieprawdopodobne, ponieważ w ostatnich miesiącach Peter przesiadywał w biurze znacznie dłużej niż kiedykolwiek dotąd, a jego spóźnione przyjscia na kolacje stały się regułą. Z perspektywy Paris wszyscy prócz niej — mąż, córka i syn — żyli aktywnie i produktywnie; coraz częściej dochodziła do wniosku, że stanowczo musi coś ze sobą zrobić. Wizja niewyobrażalnego nadmiaru wolnego czasu przejmowała ją narastającą trwogą. Kilkrotnie poruszyła tę kwestię w rozmowach z mężem, ale Peter nie miał żadnych konstruktywnych propozycji, ograniczając się do stwierdzenia, że wcześniej czy później wykombinuje coś sama. Tyle wiedziała i bez jego pomocy. W wieku czterdziestu sześciu lat mogła jeszcze rozpocząć karierę zawodową, problem jednak polegał na tym, że nie miała pojęcia, w jakiej dziedzinie, bo w gruncie rzeczy najbardziej lubiła to, co robiła dotąd — wychowywanie dzieci i zaspokajanie wszelkich potrzeb rodziny. Podczas weekendów obiektem jej szczególnej troski był Peter. Bo w przeciwieństwie do wielu swych przyjaciółek, których nie ominęły kryzysy małżeńskie, a nawet rozwody, Paris wciąż z jednakową mocą kochała swojego męża, dochodząc często do wniosku, że lata dobrze mu się przysłużyły: był czulszy, delikatniejszy, bardziej uważający, interesujący, co więcej, przystojniejszy niż wtedy, kiedy się poznali.

Samej Paris też niczego nie można było zarzucić. Smukła, zgrabna, gibka i wysportowana — odkąd bowiem dzieci trochę podrosły, codziennie grywała w tenisa, żeby zachować dobrą formę — miała długie włosy blond, które często zaplatała w warkocz. Klasycznymi rysami przypominała Grace Kelly, miała zielone oczy i naturalną skłonność do śmiechu. Uwielbiała płatać niewinne figle, sprawiając tym dzieciom wielką frajdę. Peter był człowiekiem znacznie spokojniejszego usposobienia, a zresztą kiedy wieczorem wracał do domu, zmęczony pracą i dojazdami, miał dość siły najwyżej na to, żeby wysłuchać relacji żony i ewentualnie bąknąć słówko komentarza. Trochę budził się do życia w czasie weekendów, ale i wtedy zachowywał się powściągliwie. No a w ostatnim roku obowiązki wciągnęły go do tego stopnia, że nawet w piątki wracał do domu późnym wieczorem i

częstokroć w sobotę jeździł do miasta na spotkania z klientami bądź też do biura, by nadrobić powstałe w ciągu tygodnia zaległości. Paris znosiła to wszystko z bezgraniczną cierpliwością i nie stawiała żadnych żądań: szanowała obowiązkowość i pracowitość Petera, cechy, którym zawdzięczał sukces zawodowy i uznanie kolegów po fachu. Niemniej jednak ubolewała w skrytości ducha, że nie spędza z nią więcej czasu, szczególnie teraz, gdy Meg nie mieszkała już w domu, a Wim był bezgranicznie zaaferowany nauką, przyjaciółmi i perspektywą nieodległych studiów. Problem tego, czym wypełni sobie życie od września, powracał w myślach Paris jak bumerang. Rozważała możliwość założenia firmy cateringowej albo też — ponieważ praca w ogrodzie dawała jej wiele przyjemności — szkółki roślin ozdobnych, przyjęcie jednak którejkolwiek z tych opcji oznaczałoby konieczność pracy także w weekendy, a te stanowczo pragnęła zarezerwować dla tak ostatnio rzadko obecnego w domu męża.

Po inspekcji stołu i kuchni — której wynik uznała za zadowalający — wzięła prysznic i zaczęła się przebierać, mając nadzieję, że Peter wróci dość wcześnie, by zrelaksować się odrobinę przed kolacją, wydawaną dziś dla pięciu par ich bliskich przyjaciół. Wtedy do pokoju wsunął głowę Wim: postępując zgodnie z narzuconą i egzekwowaną przez Paris żelazną zasadą, zamierzał poinformować matkę o swoich planach na wieczór.

— Idę z Mattem do Johnsonów — oznajmił.

Paris zaciągnęła suwak koronkowej spódnicy, która wraz z króciutką bluzeczką bez ramion i srebrnymi szpilkami składała się na jej dzisiejszą kreację, a potem zaczęła upinać włosy w kok. Wim przypatrywał się matce z dumą: uważał ją za piękną kobietę, mającą doskonały gust i dyskretnie elegancką.

— Tylko do Johnsonów czy może później gdzieś jeszcze?

— zapytała dociekliwie Paris, która była z syna równie dumna jak on z niej. Wim miał ciemnokasztanowe włosy i przenikliwie błękitne oczy ojca, już jako piętnastolatek mierzył sześć stóp i trzy cale, a w ostatnich latach przybył mu jeszcze cal, doskonale się uczył i odnosił sukcesy sportowe. — Powiedzmy, na jakąś małą imprezkę?

Było to jak najbardziej uzasadnione pytanie; w ciągu minionego miesiąca, może nawet dwóch, uczniowie ostatniej klasy ogólniaka rozbrykali się na całego, a Wim zawsze tkwił w samym centrum wydarzeń. Dziewczyny za nim szalały, przyciągał je jak magnes, choć już od Bożego Narodzenia chodził z tą samą. Paris aprobowała jego wybór: dziewczyna mieszkała w Greenwich i pochodziła z przyzwoitej rodziny

— jej matka była nauczycielką, ojciec zaś lekarzem.

— Taa, to całkiem niewykluczone — odparł z niemądrą miną. Matka znała jego karty, niczego nie dało się przed nią ukryć. No i zadawała tyle pytań. Wim i Meg trochę mieli jej to za złe, choć z drugiej strony słusznie widzieli w jej zainteresowaniu dowód opiekuńczości i miłości.

— W czyim domu? — spytała Paris, przystępując do robienia makijażu, który w jej wypadku ograniczał się do podkreślenia oczu, leciutkiego uróżowania policzków i pociągnięcia warg jasną szminką.

— Steinów — odrzekł z szerokim uśmiechem Wim. Indagowany dziesiątki razy, doskonale znał treść następnego pytania.

— Będą rodzice?

Paris wychodziła z założenia, że prywatka nie nadzorowana przez rodziców to wywoływanie wilka z lasu, nawet jeśli jej uczestnicy liczą sobie po osiemnaście lat. Jeszcze niedawno kontrolowała rzecz telefonicznie, ostatnio zaczęła się zdawać na słowo Wima,

który coraz rzadziej — i z reguły bez powodzenia, bo Paris wykazywała sporą przenikliwość — usiłował jej mydlić oczy.

— Tak, będą — odparł unosząc wzrok ku niebu.

— Miejmy nadzieję. — Prześwidrowała go spojrzeniem, a potem parsknęła śmiechem. — Bo jeśli mnie okłamałeś, Williamie Armstrong, przebiję opony w twoim wozie, a kluczyk wyrzucę do śmieci.

— Tak, tak, mam, wiem. Będą jak w banku.

— No, dobra. O której wrócisz?

Ustalona godzina powrotu również była w ich domu świętością: Paris hołdowała zasadzie, że dopóki Wim nie rozpocznie studiów, musi stosować się do wszelkich narzucanych mu przez rodziców ograniczeń. Peter bez zastrzeżeń akceptował ten pogląd, zresztą zgadzał się z żoną we wszystkich innych kwestiach, nie tylko wychowawczych. Zgrzyty w ich małżeństwie dotyczyły tylko błahostek — smokingowej koszuli nie oddanej do pralni na czas, otwartych drzwi garażu, niezatankowanego auta — i nie zasługiwały właściwie na miano zgrzytów.

Poza tym Paris była taką perfekcjonistką, że pomyłki przydarzały się jej niezmiernie rzadko i Peter polegał na niej całkowicie.

— O trzeciej? — sondażowe bąknął Wim, z nadzieją spoglądając na matkę.

— Wybij sobie z głowy. To nie jest bal maturalny, Wim, tylko zwykła piątkowa impreza

— odparła stanowczo Paris świadoma, że jej ustępstwo dziś może oznaczać coraz śmielsze żądania syna w najbliższej przyszłości. — Druga, i to moje ostatnie słowo, więc nie próbuj nic wytargować. — A gdy zadowolony z przebiegu negocjacji Wim zaczął wycofywać się z jej pokoju, dorzuciła jeszcze: — Nie tak szybko, chyba o czymś zapomniałeś...

Kiedy przytulał ją i pochylał głowę, by mogła pocałować go w policzek, wcale nie wyglądał jak prawie dorosły mężczyzna, lecz raczej niezbyt rozgarnięty wielki dzieciak. Na pożegnanie Paris zaleciła mu, by jechał ostrożnie, co w gruncie rzeczy nie było konieczne, bo za kierownicą zawsze zachowywał rozsądek, a gdy na imprezie wypił piwo, zostawiał samochód i wracał z kolegami bądź też — mając w myśl niepisanej umowy zagwarantowaną „amnestię” — dzwonił po rodziców. Pod żadnym pozorem nie wchodziło w grę tylko prowadzenie przezeń auta po wypiciu alkoholu.

Paris schodziła właśnie po schodach, gdy z neseserem w ręku do domu wszedł najwyraźniej wyczerpany Peter: Paris znów, jak przy wielu innych okazjach, uderzyło tak niezwykle podobieństwo ojca i syna, że Peter swobodnie mógłby uchodzić za Wima starszego o trzydzieści kilka lat.

— Cześć, kochanie — powiedziała z ciepłym uśmiechem, obejmując go i całując. Był tak zmęczony, że prawie nie odwzajemnił serdeczności. Paris natomiast, żeby nie pogarszać mu jeszcze samopoczucia, powstrzymała się od komentarza na temat jego stanu. Od miesiąca pracował nad fuzją dwóch spółek, sprawa nie szła po myśli jego klientów i Peter za wszelką cenę usiłował odwrócić niekorzystną sytuację. — Jak minął dzień?

Wyjęła mu z rąk neseser i nagle pożałowała, że zaplanowała przyjęcie na dzisiejszy wieczór, chociaż wtedy gdy postanowiła je wydać i gdy zamówiła firmę cateringową — a więc dwa miesiące temu — nie mogła przypuszczać, że Peterowi spadnie na głowę tak absorbująca sprawa.

— Nie miał końca — odparł Peter ze słabym uśmiechem. — A tydzień był jeszcze dłuższy. Padam z nóg. Kiedy przychodzą goście?

— Mniej więcej za godzinę, o ósmej. Może położy się na kilka minut, czasu jest dość.

— Raczej nie. Mogę się nie obudzić, jeśli zasnę.

Bez pytania poszła do spiżarki i naląła mężowi kieliszek białego wina. Przyjął go z westchnieniem ulgi. Pił niewiele, ale w takich sytuacjach jak dzisiejsza, gdy po długim dniu miał nastąpić długi wieczór, lampka szlachetnego trunku pozwalała mu zapomnieć na moment o problemach i stresach.

— Dzięki. — Upił łyk, a potem przeszedł do salonu

i usiadł na sofie, jednym z wielu wypełniających pokój pięknych angielskich antyków, które przez lata kupowali w Londynie i Nowym Jorku. Paris, tak samo zresztą jak Peter, straciła rodziców już w młodym wieku i cały swój skromny spadek przeznaczyła na urządzenie domu, w czym z ochotą pomagał jej mąż, tak więc zdołali zgromadzić nader interesującą — i podziwianą przez wszystkich przyjaciół — kolekcję mebli oraz dzieł sztuki. Ich piękny obszerny dom, jakby wzniesiony z myślą o podejmowaniu w nim gości, miał na parterze kuchnię, wielką jadalnię i takiż salon, mały gabinet, a wreszcie bibliotekę, która w weekendy pełniła rolę biura Petera; na piętrze były cztery przestronne sypialnie. Czwarta z nich zmieniała się w razie potrzeby w pokój gościnny, choć Armstrongowie długo mieli nadzieję, iż zamieszka w nim trzecie dziecko. Niestety, po urodzeniu dwojga Paris nie zdołała już zająć w ciążę, a ponieważ ani ona, ani Peter nie chcieli narażać się na stresy związane z leczeniem bezpłodności, koniec końców poprzestali na Meg i Wimie. Los, jak uważali teraz, nie mógł ich obdarować cudowniejszą rodziną.

Paris przysiadła na sofie obok Petera, przytuliła się do niego, on jednak nadal siedział nieruchomo i bezwładnie. Napięcie i zmęczenie fizyczne wycisnęły na nim tak wyraźnie piętno, że Paris nakazała sobie w myślach, aby natychmiast po sfinalizowaniu transakcji, nad którą obecnie pracował, dopilnować, by poddał się okresowemu badaniu lekarskiemu. W ciągu ostatnich lat niespodziewane zawały serca zabrały kilku ich przyjaciół, należało więc dmuchać na zimne, chociaż w wieku pięćdziesięciu jeden lat Peter cieszył się doskonałym zdrowiem i był w wyśmienitej kondycji. Paris trwała w niewzruszonym postanowieniu, by mieć go przy sobie jeszcze przez czterdzieści, a nawet pięćdziesiąt lat, z pewnością równie udanych jak ostatnie dwadzieścia cztery.

— Ta fuzja wciąż daje ci w kość, prawda? — zapytała ze współczuciem.

Skinął głową, ale — zbyt znużony, jak zgadywała Paris — nie wdał się tym razem w żadne szczegóły. Paris miała nadzieję, że jak to z reguły bywało, w gronie biesiadujących przyjaciół oderwie się od spraw zawodowych i rozluźni. Sam nigdy nie był animatorem ich życia towarzyskiego, zawsze jednak akceptował i plany Paris w tej dziedzinie, i gości, których zapraszała, czyniąc to zresztą z bezbłędnym wyczuciem, kto mógłby mężowi przypaść do gustu, kto zaś nie. Peter nazywał ją żartobliwie dyrektorką rodziny Armstrongów do spraw rozrywkowo-towarzyskich i ochoczo poddawał się jej kierownictwu.

Siedząc u boku Petera, zadowolona, że są wreszcie razem, zastanawiała się, czy również w ciągu tego weekendu mąż będzie musiał wpaść do biura bądź pojechać do miasta na spotkanie z klientami. Ale nie zadawała żadnych pytań; cóż, jeśli pojedzie, będzie musiała jakoś wypełnić sobie czas. Gdy po kilku minutach Peter wstał i poszedł na górę, podążyła za nim.

- Dobrze się czujesz, kochanie? — zapytała.

Najwyraźniej postanowił zastosować się do jej wcześniejszej sugestii, bo odstawił kieliszek na szafkę nocną i wyciągnął się na łóżku.

— Doskonale — odparł zamykając oczy.

Paris zostawiła go w sypialni, po raz kolejny zajrzała do kuchni, a upewniwszy się, że wszystko jest w najlepszym porządku, wyszła z domu i usiadła na patiu. Kochała męża, dzieci, dom, przyjaciół; niczego nie zmieniłaby w swoim życiu. Było idealne.

Gdy pół godziny później wróciła na górę, Peter brał prysznic; kiedy się goił, rozbrzmiał pierwszy tego wieczoru dzwonek u drzwi, a Paris zbiegła po schodach, poleciwszy przedtem mężowi, żeby się nie spieszył, bo kolacja nie ucieknie, a goście okażą wyrozumiałość.

— Zaraz zejść — obiecał Peter.

Okazało się jednak, że mógł osobiście powitać dopiero trzecią parę przybywających punktualnie gości. Zachodziło słońce, było ciepło jak na Hawajach lub w Meksyku, tak więc perspektywa kolacji na otwartym powietrzu wszystkich wprawiła w doskonały nastrój. Paris zaprosiła między innymi dwie swoje najlepsze przyjaciółki. Mąż Virginii — dzięki niemu się zresztą poznały piętnaście lat temu — pracował w kancelarii Petera, a ich syn był rówieśnikiem i kolegą szkolnym Wima. Natalie zaś miała córkę w wieku Meg i o rok od niej starszych bliźniaków. Wszystkie trzy setki razy spotykały się na gruncie szkolnym i towarzyskim, Paris i Natalie zaś przez dziesięć lat na zmianę woziły swoje córki na lekcje baletu. Córka Natalie traktowała je znacznie poważniej niż Meg i obecnie w Cleveland tańczyła zawodowo. Wszystkie lata prawdziwego macierzyństwa miały praktycznie za sobą i wszystkie ten fakt wprawiał w przygnębienie. Rozmawiały właśnie na ten temat, kiedy pojawił się Peter, a Virginia zwróciła uwagę, że sprawia wrażenie przemęczonego.

— Pracuje nad poważną fuzją i ta sprawa spędza mu sen z powiek — wyjaśniła Paris.

Virginia ze współczuciem skinęła głową; jej mąż współpracował przy tej sprawie z Peterem, ale nie przeżywał jej aż tak mocno. Nic zresztą dziwnego, brzemień spoczywające na barkach Petera, który kierował przeciw firmą, było znacznie cięższe.

Chwilę po Peterze przybyli ostatni goście i można było siadać do pięknie nakrytego stołu. Peter zagaił rozmowę z paniami, które Paris usadziła po obu jego stronach, niemniej jednak — chociaż w blasku świec prezentował się znacznie lepiej niż przed godziną — był jak na niego dość małomówny. Sprawiał w tej chwili wrażenie przygaszonego raczej niż zmęczonego.

Kiedy o północy goście się rozeszli, z westchnieniem ulgi zdjął marynarkę klubową i rozwiązał krawat.

— Dobrze się bawiłeś, najdroższy? — zapytała z niepokojem Paris. Nie mogła podczas całej kolacji obserwować męża siedzącego w przeciwległym końcu długiego stołu, wdała się zresztą w ożywioną pogawędkę ze swoimi bezpośrednimi sąsiadami — jak zwykle, o sprawach biznesowych. Mężcy znajomi Armstrongów cenili Paris za jej inteligencję, wiedzę i gotowość wykraczania w rozmowie daleko poza granice zwykłej niewieściej paplaniny o dzieciach i domu. Choć pod tym względem również Virginii i Natalie niczego nie można było zarzucić — Natalie była malarką, która ostatnio przerzuciła się na rzeźbę, Virginia zaś, zanim zrezygnowała z kariery zawodowej na rzecz wychowania dzieci, prawniczką procesową. — Bo mam wrażenie, że strasznie rzadko się odzywałeś.

Powoli szli na górę. Wielki plus korzystania z usług firmy cateringowej polegał na tym, że również po przyjęciu gospodarze niczym nie musieli zawracać sobie głowy, mając gwarancję, iż nazajutrz rano w domu będzie panował nienaganny porządek.

— Jestem po prostu zmęczony — odparł Peter z roztargnieniem, kiedy mijali pokój Wima. Paris była stuprocentowo pewna, że syn nie pojawi się nawet na minutkę przed drugą.

— Dobrze się czujesz? — zaniepokoiła się znowu. Peter już w przeszłości prowadził poważne sprawy, a przecież żadnej nie przeżywał tak mocno. Może zanosi się na fiasko? - Czuję się... — zamierzał powiedzieć „doskonale”, zamiast tego jednak pokręcił głową. Nie miał zamiaru rozmawiać o tym z żoną dzisiejszego wieczoru, postanowił odłożyć rzecz do jutra, dzięki czemu jeszcze tę noc Paris miałyby spokojną. Ale również nie mógł i nie chciał dłużej kłamać. To było wobec niej nie fair. Wciąż ją kochał, a zarazem zdawał sobie sprawę, że nie istnieje łatwy sposób, odpowiedni dzień ani właściwa godzina. Uginał się pod brzemieniem myśli, że dręczony obawami i niepokojem będzie musiał u jej boku spędzić kolejną noc.

— Czy coś się stało?

Paris przyszła do głowy zatrważająca myśl, że jednak ze zdrowiem Petera coś jest nie tak. Rok temu rozpoznano guza mózgu u męża jednej z jej przyjaciółek; zmarł cztery miesiące później. Trzeba było przyjmować do wiadomości, że wkraczają w wiek, kiedy takie rzeczy zdarzają się coraz częściej. Zanosila modły, by Peter nie miał dla niej właśnie takich wieści. W sypialni Peter usiadł w wygodnym bujaku i gestem, który zdawał się potwierdzać najgorsze obawy Paris, wskazał jej miejsce naprzeciwko.

— Usiądź.

— Dobrze się czujesz? — powtórzyła i wyciągnęła rękę, by ująć jego dłoń, ale Peter odsunął się od niej, rozsiadł w fotelu i zamknął oczy. Kiedy je na powrót otworzył, dostrzegła w nich bezgraniczną udrękę.

— Nie wiem, jak ci to powiedzieć... od czego zacząć i w jaki sposób — rzekł bezradnie. No bo jak rzucić bombę na kogoś, kogo kochało się dwadzieścia pięć lat? Gdzie i kiedy? Jak rozbić w drobny mak życie paru osób? — Ja... Paris... popełniłem w zeszłym roku szaleństwo... no, może nie takie szaleństwo... ale zrobiłem coś, o co nigdy się nie podejrzewałem. Nie zamierzałem tego zrobić, nie wiem właściwie, jak do tego doszło... ale nadarzyła się okazja, a ja z niej skorzystałem, chociaż pewnie nie powinienem... — Nie patrzył jej w oczy, nie potrafił, i Paris ogarnęło nagle przytłaczające uczucie, że zdarzy się coś strasznego, że problem Petera nie dotyczy fuzji firm, lecz ich dwojga. W jej głowie wyły syreny alarmowe, a serce waliło jak oszalałe. — Doszło do tego, kiedy na trzy tygodnie wyjechałem służbowo do Bostonu. Nie ma sensu wdawać się teraz w szczegóły dlaczego i kiedy. Zakochałem się w kimś, nie mając takiego zamiaru... nie sądząc, że to możliwe. Nie pamiętam właściwie, co sobie wtedy myślałem... ale nudziłem się, ona była interesująca, inteligentna, młoda... i umiała sprawić, że również ja poczułem się młodszy. Znacznie młodszy niż nawet wiele lat temu. Było tak, jakbym na kilka minut cofnął wskazówki zegarka, a po powrocie do teraźniejszości znów zapragnął z niej uciec. Rozmyślałem o tym, zadreślałem się, zrywałem kilka razy. Ale... nie mogę... i nie chcę... pragnę z nią być. Kocham cię, nigdy nie przestałem kochać, ale też nie potrafię miotać się dłużej pomiędzy jednym swoim życiem a drugim. To mnie doprowadza do obłądu. Nie wiem, jak ci to powiedzieć, ledwie sobie wyobrażam, co w tej chwili czujesz, i Boże, tak mi przykro, Paris... naprawdę przykro... — do oczu Petera napłynęły łzy, a Paris poderwała dłonie do ust, jak człowiek, który jest lub był przed ułamkiem sekundy świadkiem strasznego wypadku — ...no więc nie wiem, jak ci to powiedzieć... ale dla dobra nas dwojga... dla dobra nas wszystkich... chcę rozwodu.

Dotrzymywał danego Rachel słowa, że przeprowadzi tę rozmowę w najbliższy weekend, sam zdawał sobie sprawę, że musi ją przeprowadzić, zanim naprawdę zwariuje, uwikłany w swe podwójne życie, ale gdy w końcu ją rozpoczął, gdy widział przed sobą twarz Paris,

było mu trudniej, niż się spodziewał. Gdybyż istniał jakiś inny sposób! Lecz doskonale wiedział, że takiego sposobu nie ma. Kochał Paris przez wiele lat, teraz pokochał inną kobietę i za wszelką cenę pragnął zerwać stare więzy. Miał wrażenie, że trwając w nich, skazywałyby się na pogrzebanie za życia. Dopiero Rachel uzmysłowiła mu, jak wiele tracił, to ona — uważał — była drugą szansą, jaką dał mu Bóg. A zresztą... Bóg czy nie Bóg, jej właśnie pragnął i z nią zamierzał się złączyć: duszą, życiem, przyszłością, całą swoją istotą. Cóż wobec tego mogło znaczyć jego współczucie dla Paris, litość, a nawet wyrzuty sumienia?

Siedziała w milczeniu przez wiele ciągnących się w nieskończoność minut, nie mogąc uwierzyć w to, co usłyszała, a zarazem wierząc każdemu słowu Petera, bo wyraz jego oczu był jeszcze wymowniejszy niż słowa.

— Nie rozumiem — wyszeptała wreszcie przez łzy, które dwiema strużkami zaczęły spływać po jej policzkach. To nie mogło jej spotkać, choć spotykało innych... niedobrych, wiecznie skłóconych, niekochających się tak mocno jak Peter i ona. Spotykało jednak. Ani razu w ciągu dwudziestu czterech lat ich małżeństwa Paris nie przyszło do głowy, że Peter mógłby ją porzucić i że rozłączy ich cokolwiek innego niż śmierć. I teraz miała wrażenie, że Peter dla niej umiera. — Co się stało? Dlaczego nam to robisz? Dlaczego? Dlaczego to jej nie rzucisz?

— Próbowałem, Paris, naprawdę — odrzekł z rozpaczą. Cierpiał widząc w jej oczach rozwierającą się pustkę, a zarazem odczuwał niemal perwersyjną przyjemność, że koniec końców to zrobił, uwolnił się, niebacznym na cenę, jaką oboje zapłacą. — Nie potrafię jej rzucić, po prostu nie potrafię. Wiem, że postępuję parszywie, ale czynię to świadomie. Jesteś wspaniałym człowiekiem, byłaś dobrą żoną i fantastyczną matką... zawsze nią zresztą będziesz... ale to mi już nie wystarcza... Przy niej czuję, że żyję i że warto żyć, że przyszłość jest czymś, na co warto czekać. Od lat czułem się jak starzec. Paris, ty jeszcze tego nie dostrzegasz, ale może ta cała sytuacja okaże się błogosławieństwem dla nas obojga, bo oboje tkwiliśmy dotąd w pułapce.

— Błogosławieństwo? Ty to nazywasz błogosławieństwem? — wykrzyknęła głosem, który nagle stał się piskliwy i zdawał się zwiastować atak hysterii. — To nie żadne błogosławieństwo, tylko tragedia. Zdradasz żonę, rozbijasz rodzinę, żądasz rozwodu i jeszcze śmiesz nazywać to błogosławieństwem? Zwariowałeś? Co ty sobie myślisz? Kim jest ta dziewczyna? Jakie czary na ciebie rzuciła?

W końcu zdecydowała się zadać to pytanie, chociaż odpowiedź niewiele mogła zmienić. Ta druga kobieta była anonimowym nieprzyjacielem, który wygrał wojnę, zanim Paris w ogóle pojęła, że toczy się jakaś wojna. Nieostrzeżona, iż stawką owej wojny jest jej małżeństwo, w okamgnieniu straciła wszystko. Czuła się tak, jakby nastąpił koniec świata.

Peter przeczesał palcami włosy. Z początku nie zamierzał zdradzać tożsamości swojej nowej partnerki, obawiając się, że w przyływie zazdrości Paris może popełnić jakieś szaleństwo, wnet jednak skarcił się w myślach za podobne podejrzenia, a poza tym doszedł do wniosku, że tak czy inaczej dowie się tego wcześniej czy później. Chwilowo jednak postanowił przemilczeć swoje plany matrymonialne wobec Rachel, Paris i bez tego była dostatecznie zaszokowana.

— Jest prawniczką z mojej firmy. Poznałaś ją na przyjęciu bożonarodzeniowym, chociaż wiem, że z szacunku dla ciebie trzymała się od nas na dystans. Nazywa się Rachel Norman, była moją asystentką w tej bostońskiej sprawie. Jest porządną kobietą, rozwódką, ma dwóch synów.

Czuł, że ma wobec Rachel obowiązek, by przedstawić ją w jak najlepszym świetle, choć nie wątpił, iż dla Paris będzie jedynie dziwką. Dla Paris, która w tej chwili wyglądała jak strzęp człowieka... Peter wiedział, iż upłynie wiele czasu, zanim zdoła rozgrzeszyć się za to, co musiał dzisiaj zrobić. Musiał, obiecał przecież Rachel. Czekala cały rok. Nie mógł jej stracić, nawet gdyby oznaczało to zapłacenie wysokiej ceny.

— Ile ma lat? — zapytała Paris martwym głosem.

— Trzydzieści jeden — odparł prawie szeptem.

— Mój Boże. Jest dwadzieścia lat młodsza od ciebie. Zamierzasz ją poślubić? — wydusiła przez ściśnięte gardło. Dopóki Peter nie miał takich planów, była jeszcze nadzieja.

- Nie wiem. Najpierw musimy jakoś przejść przez tę całą i tak aż nadto traumatyczną sytuację.

Z każdym wypowiedzianym słowem przybywało mu lat, ale wystarczyło pomyśleć o Rachel, by znowu odmłodzić. Rachel była dlań źródłem wody życia i nadziei — gdy jedli razem kolację, zmieniał się w chłopca, gdy szli ze sobą do łóżka, miał wrażenie, że odkrywa nowe światy. Żadna kobieta w jego życiu, nawet Paris, nie dostarczała mu takich doznań, do niedawna jeszcze nie miał pojęcia, że istnieje aż taka namiętność. Teraz wiedział. Rachel roztaczała magię.

— I jest piętnaście lat młodsza ode mnie — wyszeptała Paris, wybuchając nieopanowanym płaczem. Pragnęła teraz poznać wszystkie okropne szczegóły, zdręczyć się nimi na śmierć.

— W jakim wieku są jej synowie?

— To mali chłopcy, jeden ma pięć, drugi siedem lat. Rachel wyszła za mąż jeszcze podczas studiów prawniczych, a potem, chociaż mąż ją porzucił, zdołała się uporać i z dziećmi, i z nauką. Przez wiele lat dźwigała na barkach ogromny ciężar.

Teraz pragnął jej we wszystkim pomagać; już się zdarzało, że w soboty — Paris sądziła w takich wypadkach, iż ma spotkania z klientami — zabierał chłopców do parku. Najkrócej mówiąc, miał na punkcie Rachel kompletnego kręćka, a ona odwzajemniała jego uczucia. Długo związek z Peterem był dla niej drogą przez mękę, nigdy bowiem nie wiedziała, kiedy się zobaczą i czy w końcu Peter porzuci dla niej żonę. Przypuszczała, że raczej nie, wielokrotnie bowiem powtarzał, iż kobieta tak wspaniała jak Paris nie zasłużyła na to, by ją boleśnie ranić. Wreszcie, po kolejnym zerwaniu, Peter podjął decyzję i poprosił Rachel o rękę. Teraz nie miał wyboru: musiał rozwieść się z żoną, rozwód był ceną, jaką należało zapłacić za bilet do nowego życia. A że pragnął tego życia za wszelką cenę, gotów był złożyć Paris w ofierze. Byle tylko mieć Rachel.

— Pójdiesz ze mną do poradni małżeńskiej? — zapytała cichutko Paris.

Zawahał się; nie chciał jej zwodzić, nie chciał dawać złudnej nadziei.

- Pójdę — odparł wreszcie — jeśli tylko pomoże ci to pogodzić się z nieuchronnym. Bo chcę, byś zdawała sobie sprawę, że nie zamierzam zmienić zdania. Długo trwało, zanim podjąłem decyzję, i w tej chwili nikt nie zdoła jej podważyć.

— Dlaczego nic mi nie powiedziałeś? Dlaczego przynajmniej nie dałeś mi szansy? Skąd mogłam wiedzieć? — spytała żałośnie, czując się jak osoba niemądra, załamana, maleńka i porzucona.

— Paris, przez dziewięć ostatnich miesięcy prawie nie bywałem w domu. Wracałem późno, w weekendy wymykałem się do miasta. Sądziłem, że potrafisz dodać dwa do dwóch. Zdumiewające, że nie potrafiłaś.

- Ufałam ci — odparła po raz pierwszy tego wieczoru gniewnie. — Sądziłam, że jesteś zapracowany i to, o czym mówisz, nawet nie powstało mi w głowie. — Znów zaniosła się

płaczem, a Peter odepchnął od siebie pokusę, by przytulić ją i pocieszyć. Zamiast tego wstał, podszedł do okna i spoglądając na ogród, zadumał się nad położeniem Paris. Wciąż jest młoda i piękna, mówił sobie, na pewno kogoś znajdzie. Wielokrotnie w ciągu ostatnich miesięcy uspokajał sumienie w taki właśnie sposób. Ale po raz pierwszy w życiu nie przejmował się tak naprawdę losem rodziny, lecz tylko własnym. — Co my powiemy Meg i Wimowi?

Było to zaledwie jedno z kilku pytań, które dopadły ją nagle z agresywnością szerszeni: jak przebrnąć przez to wszystko, co powiedziec znajomym, co powiedziec dzieciom? Było coś boleśnie ironicznego w tym, że nie tylko traciła teraz posadę matki, lecz również została wylana ze stanowiska żony. Nie miała pojęcia, co pocznie z całą resztą życia, i nic nie przychodziło jej do głowy.

— Nie wiem, co powiemy Meg i Wimowi — mruknął Peter. — Zapewne prawdę. Wciąż ich kocham, tu się nic nie zmieniło. Nie są już dziećmi, jakoś to przelkną.

Mówił tak naiwnie i niemądrze, iż Paris zaprotestowała, gorączkowo kręcąc głową. Nie mógł mieć pojęcia, jak zareagują. Prawdopodobnie poczują się zdradzeni, może tylko w inny sposób niż ona.

— Nie bądź tego taki pewien. Będą zaszokowani, zdruzgotani. Czy mogłoby zresztą być inaczej, skoro ich rodzina ni stąd, ni zowąd się rozpada?

- Wszystko zależy od tego, jak wyjaśnimy im sytuację. Jak ty się do niej odniesiesz — oświadczył, a Paris ogarnęła furia, gdy uświadomiła sobie, że chce zwalić na nią całą czarną robotę. Nie miała najmniejszego zamiaru brać tego na siebie, sam zwolnił ją z obowiązków żony. Teraz musiała zająć się sobą, choć nawet nie potrafiła sobie wyobrazić, w jaki sposób. Strawiła przeszło połowę życia, opiekując się dziećmi i Peterem. I wtedy Peter dodał niespodziewanie: — Chcę, żebyś zatrzymała dom.

Podjął tę decyzję wkrótce po tym, jak oświadczył się Rachel; doszli do wspólnego wniosku, że kupią apartament w Nowym Jorku, kilka już nawet obejrzeli.

— Gdzie będziesz mieszkać? — rzuciła głosem człowieka trawionego wysoką gorączką.

— Jeszcze nie wiem — odparł, znów unikając jej wzroku. — Czasu na decyzję w tej kwestii będzie dość. Jutro przeprowadzę się do hotelu. — Wstał, a Paris doznała nagłego olśnienia, że ta straszna rzecz nie wydarzy się kiedyś, w jakiejś odległej przyszłości, lecz dzieje się teraz, dziś i jutro. — Prześpię się w gościnnym — dodał Peter, kierując się w stronę łazienki.

Instynktownie chwyciła go za ramię.

— Nie chcę, żebyś to robił—powiedziała głośno i stanowczo. — Nie chcę, żeby Wim się zorientował.

To nie była cała prawda: Paris pragnęła go mieć przy sobie przez tę ostatnią noc. Ostatnią noc ich małżeństwa. Kiedy kilka godzin temu stroiła się przed kolacją, taka ewentualność była, z jej punktu widzenia, równie odległa jak najodleglejsza z galaktyk. Zastanawiała się, czy Peter zamierzał przeprowadzić z nią tę rozmowę dzisiaj wieczorem. Jakaż była niemądra, kładąc jego zafrasowanie na karb problemów zawodowych.

— Jesteś pewna, że nie masz nic przeciwko temu, bym spał tutaj? — zapytał z niepokojem. Przeszło mu przez myśl, że ogarnięta atakiem szału Paris może targnąć się na życie własne lub jego. Ale nie widział w jej oczach obłędu; tylko rozpacz. — Bo jeśli wolisz, mogę pojechać do miasta.

Do Rachel. Do swojego nowego życia. Jak najdalej od Paris. Na zawsze.

Gorączkowo pokręciła głową.

— Chcę, żebyś został. — Na zawsze, dodała w myślach. Na dobre i złe, dopóki śmierć nas nie rozłączy, tak jak obiecywałeś dwadzieścia cztery lata temu. Nie potrafiła otrząsnąć się ze zdziwienia, jak łatwo spisał na straty całe ich wspólne życie, jak łatwo zapomniał o tamtej przysiędze. Bo najwyraźniej zapomniał łatwo. Łamiąc ją dla trzydziesto-jednoletniej kobiety i dwóch małych chłopców. Wszystko, co łączyło go z Paris, w okamgnieniu rozwiało się jak dym.

Skinął głową i poszedł przebrać się w pidżamę, Paris zaś usiadła na krześle i zagapiła się w nicość. Peter wrócił, wyciągnął się na łóżku, znieruchomiał, a potem wyłączył swoją lampkę. Po chwili zaczął mówić — nie patrząc na żonę i tak cicho, że ledwie go słyszała.

— Wybacz, Paris... Nigdy nie sądziłem, że do tego dojdzie... Zrobię wszystko, aby to nie było dla ciebie zbyt bolesne. Po prostu nie widziałem innego wyjścia.

— Wciąż jeszcze możesz z niej zrezygnować. Czy się przynajmniej nad tym zastanowisz?
— zapytała, nie wstydząc się swego błagalnego tonu.

Odpowiedział dopiero po długiej chwili milczenia.

— Nie, na to już za późno. Nie ma odwrotu.

— Ona jest w ciąży?! — wykrzyknęła ze zgrozą Paris. Aż dotąd nie brała pod uwagę takiej możliwości, teraz dochodziła do wniosku, że wszystko jest lepsze niż utrata męża, nawet jego nieślubne dziecko i związany z tym skandal. Podobne rzeczy zdarzały się wielu mężczyznom, a przecież nie zawsze kończyły się rozpadem małżeństwa. Przy odrobinie dobrej woli ich związek także może przetrwać. Tyle że nie dostrzegała w Peterze nawet tej odrobiny dobrej woli.

- Nie, nie jest w ciąży. Po prostu uważam, że postępuję właściwie ze swojego, może nawet naszego punktu widzenia. Kocham cię, ale postrzegam nasz związek inaczej niż kiedyś. Zaslugujesz na coś lepszego. Potrzebny ci ktoś, kto pokocha cię w taki sposób jak ja kiedyś.

— Mówisz rzeczy obrzydliwe. Co mam niby robić? Dawać ogłoszenia do prasy? Rzucasz mnie do wody jak złowioną rybę i mówisz, żebym poszukała sobie kogoś innego. Jakież to dla ciebie wygodne. Byłam twoją żoną przez ponad połowę swojego życia, a ponieważ cię kocham, pozostałabym przez całą resztę. Co mam teraz robić?

Coraz bardziej paraliżowała ją zgroza i rozpacz, nigdy nie bała się tak bardzo. Dobiegało oto końca życie, które znała, przyszłość zaś rysowała się w najciemniejszych barwach.

Paris nie chciała żadnego innego mężczyzny, pragnęła tylko Petera. Byli sobie zaślubieni, a to stanowiło dla niej świętość. Dla Petera jednak najwyraźniej znacznie mniejszą.

— Jesteś piękną, inteligentną i dobrą kobietą. Cudowną kobietą, Paris, i wspaniałą żoną. Jakiemuś mężczyźnie dopisze ogromne szczęście. Tylko że ja nie jestem już tym odpowiednim. Coś się zmieniło... Nie wiem co i dlaczego... ale się zmieniło. Ja już nie mogę z tobą być.

Długo na niego patrzyła, potem wstała, podeszła do łóżka od strony Petera, osunęła się na kolana i z płaczem opuściła głowę na pościel. Peter wpatrywał się w sufit i lekko gładził włosy żony. Ten bolesnie czuły gest obudził w nich echo dawnej miłości, a zarazem uświadomił obojgu, że taką chwilę przeżywają po raz ostatni.

ROZDZIAŁ DRUGI

Kiedy nazajutrz wstał dzień, jaskrawe słońce i nieskazitelnie błękitne niebo były wręcz obraźliwe. Z punktu widzenia Paris, która przewróciwszy się w łóżku na wznak, przypomniała sobie wczorajsze wydarzenia, na świecie powinno być deszczowo i ponuro. Zaraz potem zaczęła płakać i rozglądać się za Peterem, którego jednak nie było już w

sypialni, bo golił się w łazience. Paris narzuciła szlafrok i zeszła na dół, żeby zaparzyć kawę dla nich obojga. Miała wrażenie, iż wczoraj wieczorem została mimowolną bohaterką jakiegoś tragicznego surrealistycznego filmu, jeśli więc dziś, w jasnym świetle dnia, zdoła przytomnie porozmawiać z mężem, wszystko się odmieni. Ale najpierw potrzebowała kawy. Niczym ofiara pobicia odczuwała ból w każdej cząstce ciała. Nie zwracała sobie głowy czesaniem ani myciem zębów, jej staranny wczorajszy makijaż przemienił się w ciemne smugi pod oczyma i na policzkach. Kiedy weszła do kuchni, Wim, który popijał grzanki sokiem pomarańczowym, spojrzał na nią zdumiony, a potem zmarszczył czoło. Nigdy dotąd nie widział matki w takim stanie, natychmiast więc przyszło mu do głowy, że albo jest chora, albo też skacowana po wczorajszym przyjęciu.

— Źle się czujesz, mamó? — zapytał.

— Nie, jestem tylko zmęczona — odparła, następnie zaś, znów mając wrażenie, że trwa w nierzeczywistym świecie, naląła szklankę soku pomarańczowego dla Petera. Może po raz ostatni. A może to tylko zła chwila, jedna z tych, jakie przydarzają się wszystkim małżeństwom? Tak, na pewno, bo przecież Peter nie może na serio myśleć o rozwodzie, prawda? Nagle przypomniała sobie przyjaciółkę, której mąż zmarł rok temu na zawał, grając w tenisa. Mówiła, że przez sześć pierwszych miesięcy po jego śmierci oczekiwała nieustannie, że mąż lada chwila wejdzie do domu i przyzna ze śmiechem, iż tylko sobie z niej zazartował. Tego samego spodziewała się teraz Paris po Peterze. Wycofa wszystko, co powiedział, Rachel wraz z synami spolegliwie rozmyje się we mgle, a jej, Paris, życie z Peterem potoczy się dalej jak gdyby nigdy nic. Peter uległ chwilowemu szaleństwu, ot i wszystko.

Kiedy jednak kompletnie ubrany wszedł z zaciętym wyrazem twarzy do kuchni, zrozumiała, że to nie żart. Podała mu sok pomarańczowy, on zaś przyjął szklankę, posępniejac jeszcze bardziej. Przygotował się na brzydką scenę, jaka ich czeka, kiedy Wim wyjdzie z kuchni — i jego przewidywania nie były przesadzone. Paris bowiem miała zamiar błagać go, by porzucił Rachel i wrócił do domu; kiedy stawką jest wspólne życie dwojga ludzi, takie pojęcia jak „poniżenie” tracą wszelki sens. W tej chwili ostatecznej rozgrywki obojgu stał na przeszkodzie Wim, który zresztą coś przeczuwał, aczkolwiek przychodziło mu do głowy jedynie to, że rodzice pospierali się wczoraj i wciąż panuje pomiędzy nimi lekkie napięcie. Takie rzeczy się zdarzały, chociaż niezmiernie rzadko. W końcu, zabierając ze sobą niedojedzoną grzankę, wrócił do swojego pokoju. Wtedy od stołu wstał również Peter i pospieszył na górę: miał zamiar zabrać dziś tylko niewielką torbę podróżną z niezbędnymi rzeczami, po całą resztę zaś przyjechać w połowie tygodnia — pragnął umknąć z domu jak najszybciej, zanim Paris znów się załamie, a on będzie musiał powiedzieć coś, czego wolałby nie mówić.

— Możemy chwilę porozmawiać? — zapytała wchodząc w ślad za nim do sypialni. Popatrzył na nią z niechęcią.

— Nic więcej nie ma tu do powiedzenia. Wczoraj wyjaśniliśmy sobie wszystko. Muszę już iść.

— Niczego nie musisz. Jesteś mi winien tę chwilę uwagi. Dlaczego nie chcesz się przynajmniej zastanowić? Może popełniasz okropny błąd. Ja tak przynajmniej uważam, a Wim i Meg zapewne się ze mną zgodzą. Umówmy się, że pójdziemy do poradni małżeńskiej i przynajmniej podejmiemy próbę. Nie możesz ot tak, dla jakiejś dziewczyny, wyrzucić na śmietnik dwudziestu czterech wspólnych lat.

Tylko że chciał i zamierzał to uczynić. Tak kurczowo trzymał się Rachel, jakby była jedynym kołem ratunkowym, które może go ocalić przed utonięciem w morzu świata będącego dotąd światem jego i Paris. Pragnął uciec jak najdalej od niego. Teraz tylko Paris odgradzała go od przyszłości i kobiety, których desperacko pożądał.

— Nie chcę iść z tobą do poradni małżeńskiej — oświadczył bez ogródek. — Chcę rozwodu. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że chciałbym się stąd wyrwać nawet wtedy, gdyby nie było Rachel. Pragnę dla siebie czegoś więcej niż to, co mam. Znacznie, znacznie więcej. Ty też powinnaś. Oddaliliśmy się od siebie, nasze życie jest martwe jak drzewo, które trzeba ścinać, bo w przeciwnym razie zwali się samo i przy okazji kogoś zabije. W tej chwili najprawdopodobniejszą ofiarą jestem ja. Paris, ja już nie wytrzymuję. Nie płakał, nie miał zbolącej miny: wyglądał na zdeterminowanego. Wierzył, że stawką jest jego życie, i miał zamiar o nie walczyć, puszczając mimo uszu wszystko, co powie Paris. Zdawał sobie sprawę, że go kocha, on zresztą kochał ją także, lecz zarazem mocniej, a może tylko inaczej kochał Rachel i to właśnie z Rachel pragnął połączyć swój los. Paris bez trudu wyczytała to wszystko z jego twarzy: z punktu widzenia Petera nie mieli o co się bić, bo ich małżeństwo umarło. Paris pozostawało tylko przyjąć tę diagnozę do wiadomości i przejść nad nią do porządku dziennego.

Łatwo powiedzieć...

— Kiedy to wszystko się stało? Kiedy poznałeś tę dziewczynę? Musi być świetna w łóżku, skoro z taką łatwością owinęła cię wokół palca — syknęła Paris, choć miała ochotę ugryźć się w język, zanim dopowiedziała słowa do końca.

— Skontaktuję się z tobą w sprawie szczegółów technicznych. Powinnaś skorzystać z usług mojej firmy, a ja, jeśli sobie życzysz, powierzę formalności innej kancelarii.

Porozmawiasz

z dziećmi? — zapytał takim tonem, jakby z sekretarką omawiał szczegóły transakcji bądź podróży służbowej. Nigdy w obecności Paris nie zachowywał się równie oziębłe: zniknęły nawet te drobne oznaki wyrzutów sumienia i czułości, jakie doszły do głosu zeszłego wieczoru. Drzwi do czarodziejskiego królestwa zamykały się na zawsze. Paris pojęła, że nigdy nie zapomni tej chwili i nie zapomni Petera w tej chwili... Stał przed nią w spodniach khaki i nienagannie wyprasowanej niebieskiej koszuli, promienie słońca padały mu na twarz. Tak zapamiętuje się człowieka, który wkrótce potem umiera, albo zwłoki wystawione w domu pogrzebowym. Oparła się pokusie, by dogonić go i objąć ze wszystkich sił, i tylko skinęła głową. Odwrócił się, wyszedł bez słowa, ona zaś stała jak słup soli, czując, że dygocą jej kolana.

Wciąż stała, gdy pojawił się Wim ubrany w szorty, T-shirt i bejsbolówkę. Stropiony, popatrzył na Paris.

— Dobrze się czujesz, mamó?

Skinęła głową, ale nie zdołała wydusić z siebie ani słowa. Nie chciała, by syn stał się świadkiem jej płaczu, a nawet hysterii. Poza tym na razie nie chciała mu mówić, nie czuła się na siłach. Wątpiła zresztą, czy kiedykolwiek je znajdzie. Więc uśmiechnęła się słabo do Wima, poklepała go po ramieniu i wróciła do swojego pokoju.

Padła na łóżko; poczuła unoszący się z poduszki zapach wody kolońskiej Petera. Jej owdowiała przyjaciółka mówiła kiedyś, że po śmierci męża nie zmieniała pościeli przez wiele tygodni, i Paris zadała sobie pytanie, czy postąpi tak samo. Nie wyobrażała sobie życia bez Petera, nie miała pojęcia, dlaczego nie odczuwa nań gniewu. Czuła tylko przerażenie — takie przerażenie, jakie ogarnia człowieka, gdy nie potrafi sobie

przypomnieć, co jest jego przyczyną. Ona jednak знаła przyczynę, znała ją każdą cząstką swej świadomości i podświadomości: straciła oto jedynego mężczyznę, jakiego w życiu kochała. Gdy na dole rozległo się trzaśnięcie zamykanych przez Wima drzwi, Paris przetoczyła się na stronę łóżka zajmowaną przez Petera, zatopiła twarz w poduszce i wybuchła nieopanowanym szlochem. Nastąpił oto koniec świata, który znała i kochała od dwudziestu czterech lat. Pragnęła tylko umrzeć razem z nim.

ROZDZIAŁ TRZECI

W ten weekend telefon odzywał się kilkakrotnie, ale nie odebrała go ani razu; ponieważ jednak sekretarka automatyczna była włączona, Paris wiedziała, iż usiłowały się z nią skontaktować Virginia, Natalie i Meg. Wciąż miała nadzieję, że zadzwoni Peter, oświadczy, że uległ chwilowemu przyływowi szaleństwa, ale że już oprzytomniał i wraca do domu. Nie zadzwonił.

Kilka razy przychodził do jej pokoju Wim i opowiadał o swoich planach — nie wstawała z łóżka, usprawiedliwiając się gripą. W niedzielę wieczorem wstała wreszcie, żeby zrobić synowi kolację. Wim przez całe popołudnie odrabiał na górze lekcje, ale zszedł do kuchni, zwabiony stukaniem garnków i talerzy. Paris była oszołomiona i zdezorientowana; nie wiedziała, co właściwie robi, nie miała pojęcia, co ugotować. Kiedy Wim pojawił się w drzwiach, podniosła nań udręczony wzrok.

— Wciąż jesteś chora? Okropnie wyglądasz. Jeśli źle się czujesz, sam coś upichcę — powiedział z niepokojem. Był wrażliwym chłopcem i wyczuwał, że powodem fatalnego samopoczucia matki jest nie tylko gorączka. Spojrzał na Paris badawczo. — Gdzie jest tata? — zapytał. Dopiero teraz uświadomił sobie, że kiedy o pierwszej nad ranem wrócił z randki, nie zobaczył w garażu samochodu ojca. — Strasznie długo ostatnimi czasy przesiaduje w pracy.

Paris nic nie odpowiedziała i tylko ciężko usiadła przy stole. Była w piżamie, rozczochrana, ostatni raz brała prysznic w piątek wieczorem; taka abnegacja pozostawała w jaskrawej sprzeczności z jej naturą, bo nawet chorując, Paris czyniła starania, by wyglądać schludnie, wręcz elegancko. W takim stanie jak dziś Wim nie widział jej nigdy.

— Mamo? — odezwał się z jeszcze większą troską. — Czy stało się coś złego? Skinęła głową i popatrzyła mu w oczy. Nie miała pojęcia, jak mu o tym opowiedzieć.

- W piątek wieczorem odbyliśmy z twoim ojcem dość poważną rozmowę — zaczęła, kiedy usiadł przy stole naprzeciwko niej, a ona mocno ujęła go za rękę. — Z niczego nie zdawałam sobie sprawy, co chyba świadczy o tym, jak bardzo byłam niemądra.

Z trudem powstrzymywała łzy, ale doskonale pojmowała, jak ważne jest w tej chwili jej zachowanie i dobór słów, Wim bowiem zapamięta dzisiejszą rozmowę na całe życie.

— Ale chyba twój ojciec już od dawna nie był szczęśliwy, bo przecież trudno jego życie nazwać ekscytującym. Raczej aż do znużenia wygodnym i uregulowanym. Może powinnam była pójść do pracy, kiedy odchowałam trochę Meg i ciebie... Mielibyśmy wtedy zapewne więcej interesujących tematów niż tylko dom, ogród i szkoła. Tak czy inaczej twój ojciec uznał... — głęboko nabrała powietrza w płuca — ...że nie chce dłużej być moim mężem. Wiem, że dla ciebie to równie wielki szok jak dla mnie. Ale zatrzymamy dom, czy raczej ja go zatrzymam, tak więc ty i Meg w każdej chwili będziecie mogli do niego wrócić. Tyle że nie zastaniecie w nim taty.

Nie zdała sobie sprawy — Wim też nie zwrócił na to uwagi — że po raz pierwszy od lat użyła w odniesieniu do Petera słowa „tata”.

— Mówisz serio? — zapytał oszołomiony. — Porzuca nas? Co się stało? Pokłóciliście się czy jak?

Rodzice, wedle jego wiedzy, nie kłócili się nigdy. Tak zresztą było naprawdę — w najgorszym razie dochodziło między nimi do drobnych sprzeczek, a nawet kiedy rzadko podnosili na siebie głos, nie używali żadnych ostrych słów.

— Nie porzuca was — uściśliła Paris — tylko mnie. Doszedł do wniosku, że tak właśnie powinien postąpić.

Jej wargi zaczęły drżeć i Paris wybuchła płaczem. Wim wstał, podszedł do niej i objął ją ramionami. Kiedy podniosła na niego wzrok, zobaczyła, że także płacze.

— Boże, mam, tak mi strasznie przykro. Coś go wyprowadziło z równowagi? Myślisz, że zmieni zdanie?

Wahała się przez dłuższą chwilę, pojmując wreszcie, że odpowiedź, której pragnęłaby udzielić synowi, nie będzie zgodna z prawdą. Jeśli nie zdarzy się cud. Peter nie wróci do mnie nigdy.

— Bardzo bym chciała — odrzekła szczerze — ale nie przypuszczam, by miało to nastąpić. Sądzę, że podjął nieodwołalne postanowienie.

— Weźmiecie rozwód? — zapytał Wim przez łzy. Chociaż pochylał się nad nią jak opiekuńczy mężczyzna, znów sprawiał wrażenie małego zrozpaczonego chłopca.

— Tego właśnie chce — wydusiła przez ściśnięte gardło. Wim wytarł oczy i wyprostował się.

— Coś tu nie gra — stwierdził. — Dlaczego miałby zrobić coś takiego?

Nawet nie podejrzewał, że w życiu jego ojca może być inna kobieta, a Paris nie miała zamiaru go o tym informować. Jeśli Rachel utrzyma się w grze, a Paris zakładała, że tak właśnie będzie, Wim dowie się o jej istnieniu wcześniej czy później. Z tego jednak Peter sam będzie musiał wypowiadać się dzieciom; ciekawe, jak to zrobi, żeby nie wyjść na drania.

— Chyba po prostu ludzie ulegają zmianom. Oddalają się od siebie, chociaż nie zdają sobie z tego sprawy. Musiałam być ślepa, skoro nie dostrzegłam tego, co czuje.

— Kiedy ci powiedział? — dociekał Wim, wciąż bezgranicznie oszołomiony tym, co spadło na niego jak grom z jasnego nieba.

— W piątek wieczorem, po przyjęciu.

— To dlatego w sobotę rano wyglądaliście oboje jak z krzyża zdjęci. A ja myślałem, że po prostu jesteście skacowani — stwierdził z wątlym uśmiechem.

— Czy kiedykolwiek widziałeś, żebyśmy mieli kaca? — zapytała Paris nie kryjąc lekkiej urazy.

— Nie, ale przecież zawsze musi być ten pierwszy raz. Naprawdę wyglądaliście fatalnie. No a potem powiedziałaś, że złapałaś grypę. — Zamyślił się na moment. — Czy Meg już wie?

Paris pokręciła głową. Ta rozmowa dopiero ją czekała i choć nie była to rozmowa na telefon, inne rozwiązanie nie wchodziło w grę, bo Meg nie miała zamiaru przyjeżdżać do domu przez całe lato.

— Zadzwoń do niej — zdecydowała. — Zadzwoń później, dziś wieczorem.

— A może wolisz, żebym ja jej powiedział? — zaproponował Wim, którego nagle ogarnęła złość, że ojciec zastosował strusią politykę, zwalając na matkę nieprzyjemny obowiązek powiadomienia dzieci. W istocie wykręcił się z niego argumentując, że już rozmowa z Paris była dlań wystarczająco traumatyczna i że z nich dwojga to Paris ma

lepsze podejście do dzieci i tym razem więc — jak zresztą zawsze — powinna stawić czoło zadaniu. Nie była mu zresztą obca i taka myśl, że jeśli Paris powie Wimowi i Meg coś, co postawi go w niekorzystnym świetle, będzie mógł później nakreślić sytuację zupełnie inaczej.

— Nie, nie musisz — odparła Paris z wdzięcznością. — To moja robota.

— Dobra, w takim razie ja przygotuję kolację — oświadczył Wim, któremu w tym samym momencie przyszło do głowy, że kiedy pojedzie na studia, matka zostanie w Greenwich zupełnie sama. Nagle ojciec ogromnie stracił w jego oczach. Jak mógł postąpić tak okrutnie? I wtedy, powodowany nagłym impulsem, zapytał: — Czy chcesz, żebym zrezygnował z Berkeley, mamó?

Złożył papiery na kilka uczelni i wszystkie, w tym również ze wschodniego wybrzeża, gotowe były go przyjąć. Do tej chwili powiadomił tylko Berkeley, że tam właśnie zamierza rozpocząć studia, do innych college'ów jeszcze nie zdążył napisać o swej rezygnacji, tak więc żadne mosty nie były spalone, mógł kontynuować naukę gdzieś bliżej domu.

— Nie, chcę, żebyś realizował swoje plany, jakby nic się nie stało. Jeśli ojciec uprze się, żeby przeprowadzić rozwód, cóż, po prostu będę musiała się z tym pogodzić. Nie możesz tkwić tu w nieskończoność i opiekować się mną jak dzieckiem.

Rozmyślała o tym przez cały weekend — z trwogą. Będzie teraz zdana wyłącznie na własne siły, zwłaszcza kiedy Wim pojedzie do college'u. Ileż ulgi przynosiła jej w ten weekend jego obecność, jakiej doznawała pociechy, kiedy co jakiś czas z troską zaglądał do jej sypialni. Teraz zaczynały ją prześladować coraz bardziej przerażające myśli. Kto się nią zajmie, jeśli zachoruje czy ulegnie wypadkowi? Więcej: kto będzie wiedzieć, że spotkało ją coś złego? Z kim będzie chodzić do kina, żartować? Z kim, i czy w ogóle, będzie się całować lub kochać? A jeśli już na zawsze pozostanie naprawdę samotna? Taka ewentualność przytłaczała ją, nie mieściła się w głowie, druzgotała. Wim zdawał się to rozumieć, dlaczego więc nie potrafił zrozumieć Peter?

Kiedy Wim przygotowywał kolację, próbowała z nim gawędzić o błahostkach, gdy jednak postawił na stole talerze z kurczakiem i sałatą, nie zdołała niczego wziąć do ust. Wim zresztą też.

— Wybacz, kochanie — powiedziała. — Chyba nie jestem głodna.

— Nie ma sprawy, mamó. Zadzwońisz teraz do Meg? Zależało mu na tym, bo dopiero wtedy mógłby otwarcie porozmawiać z siostrą. Zawsze byli ze sobą blisko, miał nadzieję, że może Meg naświetli mu sytuację, której do końca nie rozumiał. Może dostrzeże szansę na oprzytomnienie ojca i jego powrót. Był zatrwożony stanem matki, która sprawiała wrażenie dotkniętej nieuleczalną chorobą.

— Chyba tak — odparła z rezygnacją Paris. Ciężko wstała od stołu i krokiem skazańca poszła na górę.

Chciała być sama podczas rozmowy z córką. Nie dlatego zresztą, iż zamierzała powiedzieć Meg coś, co zataiła przed Wimmem — po prostu nie wyobrażała sobie, że mówi o swoim dramacie w obecności jakichkolwiek świadków.

Meg odebrała już po drugim sygnale: radosnym tonem oznajmiła matce, że wróciła właśnie z weekendu w Santa Barbarze i że ma nowego chłopaka, aktora.

- Jesteś w tej chwili sama, kochanie, czy wolisz, żebym zadzwoniła później? — Paris usiłowała tchnąć w swój głos choćby odrobinę życia.

- Jestem sama, mamó. Dlaczego pytasz? Masz jakąś szczególną sprawę? — zapytała Meg w taki sposób, w jaki o „sekretych” mówią dziesięcioletnie dziewczynki. Chwilę później niemal krzyczała, miała wrażenie, że jakiś szalenięć strzelający z pędzącego samochodu na lewo i prawo wymordował całą jej rodzinę. — Żartujesz? Zwariował? Co on wyprawia, mamó? Myślisz, że mówił poważnie?

Była raczej wściekła niż smutna czy wystraszona, gdyby jednak widziała w tym momencie twarz matki, zapewne przeraziłaby się równie mocno jak Wim. Bo ze swymi podkrążonymi oczyma i włosami w nieładzie Paris naprawdę mogła wzbudzać trwogę.

— Tak, sądzę, że mówił poważnie—stwierdziła z przekonaniem.

— Dlaczego? — zapytała Meg, a po dłuższej chwili milczenia dorzuciła jeszcze: — Czy spotyka się z inną kobietą?

Była starsza, bardziej obyta niż jej brat, tak w Hollywood, jak wcześniej umizgali się do niej żonaci mężczyźni, a przecież nie wyobrażała sobie, by jej ojciec mógł zdradzać matkę. Ale jeszcze przed chwilą nie wyobrażała sobie również, by mógł się z nią rozwieść. To jakiś obłąd.

Paris nie chciała ani potwierdzać, ani zaprzeczać.

— Bez wątpienia ma swoje powody. Twierdzi, że czuł się jak człowiek pogrzebany za życia, że pragnie jeszcze doznań, jakich ja nie mogę mu zagwarantować. Bo pewnie trudno nazwać ekscytującymi doznaniem codzienne powroty do domu w Greenwich i wysłuchiwanie moich rewelacji o tym, co działo się w kuchni czy w ogrodzie — odparła Paris. Czowała się poniżona i zrezygnowana, ale w jakimś stopniu również odpowiedzialna za to, że Peter się nią znudził. To jasne, że już wiele lat temu powinna podjąć pracę zawodową, jak Rachel, uczynić swoje życie bogatszym i bardziej interesującym. Rachel wygrała, bo była właśnie bardziej interesująca. I młodsza. O wiele, wiele młodsza. To bolało; Paris czuła się stara, nieładna i nudna.

— Nie opowiadaj głupstw, mamó. Byłaś i jesteś znacznie fajniejsza niż tato. Nie pojmuję, co się właściwie stało. Mówił coś wcześniej? — dopytywała Meg, usiłując złożyć to wszystko w jakąś logiczną całość. Ale nie było tu logiki, tylko wola i postanowienie ojca. Meg nie miała pojęcia, że wola ojca jest być z Rachel, nie zaś z Paris.

— Aż do piątku nawet się nie zająknął — odparła Paris, którą rozmowa z córką zaczęła po trosze uspokajać. Oparcie, jakie znajdowała w dzieciach, sprawiało, że poczuła się odrobinę lepiej. Znikła obawa, że to jej właśnie zechcą przypisać winę za rozkład małżeństwa. W tej kwestii kropkę nad i postawiła właśnie Meg.

— Najwyraźniej mu odbiło. Pójdzie z tobą do poradni małżeńskiej?

— Może. Ale jeśli nawet pójdzie, to nie po to, żeby sklejać na powrót nasz związek, tylko pomóc mi pogodzić się z myślą o rozwodzie. Żadne pojednania nie wchodzą w grę.

— Zdurniał — stwierdziła bez owijania w bawełnę Meg, ubolewając, że nie może być w tej chwili w domu z matką i bratem. — Gdzie się podziewa? Coś ci mówił?

— Wspomniał, że zatrzyma się w hotelu i jutro telefonicznie omówi ze mną szczegóły. Proponuje mi usługi jednego ze swoich prawników — odparła Paris. Powiedziała Meg znacznie więcej niż Wimowi; może dlatego, że córka była starsza, może zaś dlatego, że swoim wybuchem w jakiś sposób przywróciła matce wolę życia. — Pewnie stanął w Regency. Zawsze tak robi, kiedy musi zostać na noc w mieście. Ma stamtąd blisko do biura.

— Chcę do niego zadzwonić. Zamierzał mi powiedzieć czy też oczekiwał, że ty to zrobisz?
— wyrzuciła jednym tchem Meg. Była zdruzgotana i wściekła zarazem, ale jej gniew był na tyle silny, że nie pozwalał w tej chwili dojść do głosu innym uczuciom. Z tymi innymi — rozpaczą, poczuciem utraty

— jeszcze nawet nie próbowała wziąć się za bary. Wim, który był młodszy, a poza tym widział na własne oczy, w jakim stanie jest matka, zareagował przede wszystkim przerażeniem.

— Wiedział, że ci powiem. Pewnie tak było mu wygodniej

— stwierdziła ze smutkiem Paris.

— Jak to znosi Wim? — zaniepokoiła się Meg.

— Zrobił mi kolację. Biedny dzieciak, przeleżałam w łóżku cały weekend.

— Mamo — oświadczyła surowo dziewczyna — nie możesz pozwolić, żeby to zmarnowało ci życie. Wiem, to straszne i szokujące, ale zdarzają się najdziwniejsze rzeczy. Mógł umrzeć... dzięki Bogu nie umarł. Mógł oszaleć — i moim zdaniem tak właśnie się stało. Nie wiem dlaczego, ale... ale to numer nie w jego stylu. Zawsze sądziłam, że jesteście sobie pisani po grób.

— Ja też — wyszeptwała Paris czując, że łzy znowu napływają jej do oczu. Miała wrażenie, że od piątkowego wieczoru płacze bez chwili przerwy. — Nie wiem, co robić. Nie wiem, co zrobię bez niego z resztą życia.

Pochlipywała do słuchawki przez następne pół godziny, a kiedy wreszcie przestała, Meg poprosiła do telefonu brata. Rozmawiali ze sobą — Paris w tym czasie wyszła z pokoju — dobrą godzinę, by wreszcie dojść do wspólnego wniosku, że ich ojciec naprawdę, choć — miejmy nadzieję — chwilowo, zwariował. Wim wciąż żywił wątplą nadzieję, iż oprzytomnieje i wróci do domu, Meg jednak nie podzielała jego nikłego optymizmu i uwzględniała w swych spekulacjach inną kobietę.

Nie mogąc wiedzieć, że ojciec zamieszkał u Rachel, bez powodzenia szukała go w Regency, a potem w kilku innych hotelach.

Nazajutrz o szóstej swojego, dziewiątej zaś nowojorskiego czasu, zadzwoniła do jego biura.

— Co jest grane, tato? — zapytała bez wstępu, licząc na uczciwą odpowiedź. — Nie wiedziałam, że macie z mamą problemy.

Mówiła tonem wyzbytym jakichkolwiek nutek oskarżycielskich, starała się sprawiać wrażenie osoby racjonalnej i otwartej na argumenty.

Rzecz zdumiewająca, nie wił się i odpowiadał wprost.

— Bo ich nie mamy — stwierdził. — Ja je mam. Rozmawiałaś z nią? Jak się czuje?

- Sądząc po głosie, strasznie — odparła bez ogródek. Chciała, by opanowały go wyrzuty sumienia, zasłużył sobie na

to. — Odbiło ci, że ni z gruszki, ni z pietruszki dałeś z domu nogę?

Głęboko westchnął.

— Długo o tym rozmyślałem, Meg, i pewnie popełniłem błąd, nie mówiąc jej o tym wcześniej. Ale sądziłem, że jeśli jeszcze poczekam, być może ujrę całą sytuację w innym świetle. Tak się jednak nie stało. To coś, co po prostu muszę zrobić, dla własnego dobra. Czasem odnoszę wrażenie, że jestem w Greenwich pogrzebany żywcem.

— No więc kupcie mieszkanie w Nowym Jorku i przeprowadźcie się. Oboje. Nie musisz się z mamą rozwodzić

— powiedziała Meg z nadzieją. Może w końcu istniało jakieś rozwiązanie, może ojciec posłucha jej argumentów.

— Nie mogę ciągnąć tego małżeństwa, Meg. Ja już jej nie kocham. Wiem, że brzmi to strasznie, ale taka jest prawda.

Nadzieja Meg prysła jak bańka mydlana.

— Mówiłeś jej to? — zapytała wstrzymując oddech. Dopiero teraz pojęła w pełni, jaki ciężki, niewyobrażalnie ciężki cios spadł na jej matkę.

- Najogólniej, jak potrafiłem, choć zarazem musiałem oświadczyć bez ogródek, że nie zamierzam ratować naszego małżeństwa. Chciałem, aby zdawała sobie z tego sprawę.

— Ach, i co teraz? Jak dalej mają potoczyć się wasze losy?

— indagowała Meg, nie mając jeszcze odwagi, by zapytać ojca wprost. Aż do bólu współczuła matce, która po tylu latach małżeństwa nie zasłużyła na taką krzywdę.

— Nie wiem, Meg. W końcu sobie kogoś znajdzie. Jest piękną kobietą, więc zapewne niedługo.

Słyszając to, Meg najchętniej spoliczkowałaby w tej chwili ojca za taką gruboskórność.

- Ale ona cię kocha, tato — powiedziała ze smutkiem.

- Wiem, maleńka, i ubolewam, że ja ją przestałem kochać. Stało się jednak. Trudno.

— Czy w twoim życiu pojawił się ktoś inny, tato? Zawahał się i to wystarczyło, by podejrzenia Meg przerodziły się niemal w pewność.

— Nie wiem. Być może. To się jeszcze okaże. Najpierw muszę uporządkować sprawę z twoją matką — odparł wykrętnie, dla Meg jednak te słowa zawierały jednoznaczną odpowiedź.

— Zrobiłeś mamie okropne świństwo. Niczym sobie nie zasłużyła na takie traktowanie — oświadczyła bezkompromisowo Meg, która we wszystkim, tak samo jak Wim, brała stronę Paris. To ona miała zapłacić najwyższą cenę za postępek ojca, on natomiast nie miał prawa czynić założeń, iż znajdzie sobie kogoś innego, jakby kupowała nową sukienkę, kapelusz czy buty. Bo może nigdy nie znajdzie, może nie będzie chciała szukać. Może będzie go kochać zawsze. I to było — Meg tutaj podzielała opinię matki — najtragiczniejsze.

— Wiem, że nie zasłużyła — zgodził się z rezygnacją.

— Przejmuję się i zawsze będę się przejmował jej losem, stanę więc na głowie, aby to wszystko było dla niej możliwie bezbolesne.

Choćby po to, by zwalczyć wyrzuty sumienia, które dręczyły go przez cały weekend. Dręczyły, ale w niczym nie zdołały osłabić uczucia do Rachel; przeciwnie, teraz, kiedy zerwał wszelkie więzy, uczucie to doszło do głosu ze zdwojoną mocą.

— Jak bezbolesna twoim zdaniem może być utrata męża i w ogóle wszystkiego, co miało w życiu jakieś znaczenie? Wyobrażasz sobie, jaki koszmar ją czeka, kiedy Wim wyjedzie do college'u? Co ona wtedy ze sobą pocznie, tato? — zapytała ze łzami w oczach Meg.

— Nie wiem, sama będzie musiała jakoś się z tym uporać, kochanie. Takie rzeczy się zdarzają, życie jest pełne niespodziewanych zakrętów. Ludzie umierają, rozwodzą się, przestają kochać. Tak bywa. Coś podobnego mogłoby przecież przydarzyć się i jej.

— Ale się nie przydarzyło — podkreśliła dziewczyna.

— Ona by cię nigdy nie porzuciła, nigdy, pod żadnym pozorem.

Meg nadal kochała ojca, ale przestała go rozumieć, narastało w niej wrażenie, że rozmawia z nieznajomym. Samolubnym, infantylnym, rozpieszczonym nieznajomym. Nigdy dotąd nie dostrzegła w nim aż tyle egoizmu.

— Przypuszczam, że masz rację. Nie jestem wart takiej lojalności i uczciwości, jaką mi okazywała.

— Trudno zaprzeczyć, tato — westchnęła z rozczarowaniem w głosie Meg. — Kiedy zamierzasz się zabrać do sformalizowania sprawy? — spytała, ciągle jeszcze się łudząc, że przy odrobinie szczęścia zmieni decyzję.

— Moim zdaniem należy postępować rozsądnie, a więc nie zwlekać, nie budzić fałszywych nadziei, a co za tym idzie, nie zadawać więcej bólu, niż to nieuniknione. Szybki chirurgiczny zabieg jest rozwiązaniem najprostszym.

Mówił wyłącznie we własnym imieniu, w przypadku Paris wyglądało to zupełnie inaczej. I nawet się nie zająknął, że natychmiast po przyjeździe do biura wezwał adwokata, polecając mu zredagować pozew. Chciał być rozwiedziony przed Bożym Narodzeniem, obiecał bowiem Rachel — na czym zresztą zależało i jemu — ślub przed końcem roku. Poza tym Rachel pragnęła zajść w ciążę, póki jej dwaj synowie są jeszcze dziećmi.

— Przykro mi, tato. Przykro z powodu was dwojga, ale także mnie samej i Wima.

I chociaż nie miała takiego zamiaru, wybuchła niepowstrzymanym płaczem. Czowała, że z dnia na dzień utraciła nie tylko swoją rodzinę, lecz również wszystkie złudzenia. Ojciec okazał się kimś, kogo nie poznała, matce — takie przynajmniej obawy żywiła Meg — groziła głęboka depresja. Cóż bowiem miało stanąć jej na przeszkodzie? Bez męża, pracy, dzieci, które podążają własnymi ścieżkami, Paris pozostawały tylko pusty dom i garstka znajomych z Greenwich. A to za mało, by zyskać motywację do życia. Meg rozmyślała o tym cały dzień, wieczorem zaś zadzwoniła do Wima, by zrelacjonować mu rozmowę z ojcem.

— Nie ma cudów, on nie wróci — powiedziała posępnie. — Cokolwiek sprawiło, że zwiął. — Potem zamilkła na moment i dorzuciła po namyśle: — Przypuszczam, że spotyka się z inną kobietą.

— Coś o tym wspominał? — zapytał ze zgrozą Wim. Taka ewentualność nie przychodziła mu do głowy, uważał ojca za człowieka aż do przesady pryncypialnego. Z drugiej strony ten człowiek rozwodził się z ich matką... stawał się kimś obcym, nieznanym.

— Nie, ale takie właśnie odniosłam wrażenie. Cóż, zobaczymy, co pokaże czas — odparła Meg. Było dla niej oczywiste, że jeżeli ojciec związał się z jakąś kobietą i ta kobieta jest dla niego ważna, wyjdzie to na jaw wcześniej czy później.

- Myślisz, że mama wie? — zapytał Wim.

— Trudno powiedzieć. Nie chciałam jej dobijać swoimi przypuszczeniami, bo i tak jest zdruzgotana. Musimy ze wszystkich sił starać się jej pomóc. Pewnie powinnam przyjechać w następny weekend, ale mam plany, które trudno będzie zmienić. Zresztą zobaczymy. Na pewno będę w domu na twojej promocji. Co zamierzasz robić latem?

— Jadę do Europy z czterema chłopakami z mojej klasy

— odparł ponuro. Nie chciał rezygnować z podróży, na którą czekał przez cały rok, ale nie chciał też w tej kryzysowej sytuacji porzucać matki.

- Może do tego czasu poczuje się lepiej, więc na razie niczego nie odwołuj. Teraz wprawdzie na nic nie ma ochoty

— wiem, bo dzwoniłam dziś do niej z pracy — ale może latem zdołam ściągnąć ją do siebie. Dzwon, jeśli cokolwiek będzie się działo - powiedziała Meg, której przyszło do głowy, że biedny Wim nawet w najczarniejszych snach nie wyobrażał sobie, iż będzie wchodzić w dorosłość w sytuacji tak dramatycznej. Zresztą żadne z ich trójki nie otrząśnie się szybko z urazu.

— Położyła się już o ósmej, ale nie sądzę, by miała jeszcze wstać.

— Odezwę się jutro — obiecała Meg. — Do niej i do ciebie. W razie czego dzwoń na komórkę.

Cóż jednak mogło się wydarzyć, skoro niebo już runęło im na głowy?

ROZDZIAŁ CZWARTY

Dopiero w czwartek Virginia i Natalie zdołały skontaktować się z Paris — podczas wspólnego lunchu zadzwoniły do niej z telefonu komórkowego Virginii, a Paris, po raz pierwszy od kilku dni, podniosła słuchawkę. Miała ochryply głos i sprawiała wrażenie półprzytomnej. Nowiny przekazał Virginii mąż, kiedy w poniedziałek wieczorem wrócił z biura: Peter wyznał mu w zaufaniu, że rozstał się z Paris i że będą przeprowadzać rozwód. W istocie zależało mu na tym, by wieści rozniosły się jak najszybciej, bo dzięki temu już w nieodległej przyszłości mógłby oficjalnie pokazywać się z Rachel. Zapewne jednak nie zakładał, iż wszystko potoczy się tak błyskawicznie i że jego nowy związek stanie się tajemnicą poliszynela. Potrzeba było zaledwie kilku dni, aby ziściły się najczarniejsze obawy Paris: stała się obiektem troski i litości. Jej najbliższe przyjaciółki zaś — Virginia bowiem wtajemniczyła Natalie — uświadomiły sobie ze zgrozą, że nikt nie może mieć gwarancji, iż piorun nie porazi go w najmniej spodziewanym momencie, że człowiek nie zna dnia ani godziny, a poczucie bezpieczeństwa bywa czasem najokrutniejszym ze złudzeń.

— Cześć, mała — powiedziała Virginia ze współczuciem, ubolewając, że nie może w tej chwili siostrzanym gestem przygarnąć Paris do piersi. — Jak się miewasz?

Z tonu jej głosu Paris wywnioskowała, że Virginia wie. Nie od niej, bo zabrakło jej odwagi i energii, by zadzwonić do przyjaciółki. Po prostu nie mogła, to by było zbyt straszne. Zamiast tego więc zrejęterowała do łóżka, szukając schronienia w śnie. Budziła się tylko wtedy, kiedy Wim wracał ze szkoły i brał się do przyrządzania kolacji. Sama od tamtego piątkowego wieczoru nie zrobiła nic, a chociaż powtarzała Wimowi, że rychło dojdzie do siebie, syn zaczynał powątpiewać w jej zapewnienia.

— Jim ci powiedział? — zapytała Paris, przewracając się w pośłaniu na wznak.

— Tak — przyznała Virginia, ale nie mając pojęcia, czy Paris wie o romansie Petera, postanowiła o tym nie wspominać. — Możemy wpaść? Siedzimy teraz z Nat i zamartwiamy się o ciebie.

— Nie chcę w tej chwili nikogo widzieć. Wyglądam okropnie — odparła Paris, choć od poniedziałku zaczęła się myć i czesać.

— Nic nas nie obchodzi twój wygląd. Jak się czujesz?

— Jakby w piątek wieczorem moje życie dobiegło kresu. Przynajmniej takie życie, jakie znam. Lepiej, żeby mnie zabił. To byłoby prostsze i mniej bolesne.

— A ja się cieszę, że cię jednak nie zabił. Mówiłaś już Meg?

- Dzieciaki zachowały się cudownie. Biedny Wim, musi się czuć jak ordynator oddziału psychiatrycznego. Obiecuję mu, że wstanę, mam nawet zamiar to zrobić, ale potem po prostu mi się nie chce.

— Przyjeżdżamy — oświadczyła stanowczo Virginia, a jednocześnie marszcząc czoło, kręciła głową, żeby zasygnalizować Natalie, iż Paris jest naprawdę w koszmarnym stanie.

— Błagam, nie. Muszę wziąć się w garść, zanim stawię czoło światu.

Czuła się poniżona i załamana; nikt, nawet najlepsze przyjaciółki, nie mógł jej w tej chwili pomóc. We wtorek odsłuchiwała wiadomość, którą na automatycznej sekretarce zostawił adwokat zaangażowany dla niej przez Petera. Oddzwoniła i po krótkiej rozmowie pobiegła

do łazienki, żeby zwymiotować. Gdy adwokat oznajmił, że Peter pragnie wszcząć postępowanie rozwodowe jak najprędzej, ogarnęła ją taka panika i zgroza, jakby wyskoczyła z samolotu bez spadochronu i lada moment miała roztrzaskać się o ziemię. — Zadzwoń, kiedy poczyję się lepiej — obiecała Virginii.

W końcu zostawiły przed drzwiami wejściowymi bukiet kwiatów, krótki list i kilka magazynów ilustrowanych. Nie chciały się narzucać. Były zaszokowane, że tak z pozoru trwałe małżeństwo Armstrongów rozsypało się nagle jak domek z kart. Takie rzeczy się jednak zdarzają, na przykład śmierć, która czasem przychodzi po długiej chorobie, a czasem raptownie, bez uprzedzenia. Podzielały opinię, że Peter postąpił paskudnie wobec Paris, no i oczywiście nie miały najmniejszej ochoty zawierać znajomości z Rachel. Oznaczało to dla Petera banicję z kręgu przyjaciół znajdujących się od lat, co jednak — wedle opinii Jima — było dlań sprawą najzupełniej obojętną, skoro miał przy sobie piękną młodą kobietę i zaczynał nowe życie. Zapewne, przypuszczał Jim, ani się nie obejrzy za siebie, ani nie zakwestionuje słuszności swojego postępku. Teraz całym jego światem jest Rachel. Dopiero miesiąc później, akurat w dniu kiedy Wim miał odebrać dyplom szkoły średniej, Paris wyszła z ukrycia. Błada i wychudzona, z włosami upiętymi w kok, z perłami w uszach i na szyi, prezentowała się jednak jak zwykle nienagannie w eleganckim kostiumie z lnu. I tylko oczy, podkrążone po tygodniach udręk, skryła za ciemnymi szklami okularów przeciwsłonecznych. Najtrudniejsze było dla niej spotkanie z Peterem — pierwsze od owego poranka, kiedy ją porzucił. Gdy trzy tygodnie temu przesłał jej dokumenty rozwodowe, odbierała je ubrana tylko w szlafrok, z bezradnym płaczem, teraz nie okazała swego rozgoryczenia i rozpacz. Powitała go z dumą i opanowaniem, a potem oddaliła się do grupki znajomych, pozostawiając Petera sam na sam z Wimem. Zdumiewająco, jak się zdawało, dobre samopoczucie Petera nie zaskoczyło tylko Paris, która w ciągu minionego miesiąca uświadomiła sobie z całą mocą, że poniosła ostateczną i nieodwracalną porażkę: teraz czyniła jedynie starania, by nie dać tego po sobie poznać. Dzięki delikatnemu zachowaniu najbliższych zdołała jakoś przetrwać przyjęcie w restauracji, w którym oprócz Wima i tuzina przezeń zaproszonych przyjaciół • wzięła również udział przybyła z Los Angeles Meg. Peter znalazł w sobie dość przyzwoitości, by się nie pokazać, może zresztą podczas wspólnego obiadu na mieście zasugerowała mu to Meg. Wieczorem Paris wróciła do domu kompletnie wyczerpana: kiedy wyciągnęła się na łóżku, miała wrażenie, iż przed chwilą poddano ją operacji na otwartym sercu. Meg, obserwującej ją od drzwi, wydała się wątlejsza niż kiedykolwiek dotąd. Natalie użyła wobec niej tego dnia określenia! „krucha”, jak gdyby Paris lada chwila miała przełamać się na pół.

— Jak się czujesz, mamó? — zapytała z troską Meg, siadając na łóżku obok Paris.

— Doskonale, kochanie. Jestem po prostu zmęczona.

W istocie czuła się jak ktoś, kto stawia pierwsze kroki po ciężkim wypadku albo obłożnej chorobie. Za dzisiejsze pojawienie się w miejscu publicznym zapłaciła wysoką cenę, | musiała zresztą zebrać całą odwagę, żeby w ogóle ruszyć się z domu. Triumfem Wima nawet nie potrafiła się cieszyć, a krótkie, odbyte prawie że w milczeniu spotkanie z obcym teraz Peterem okazało się niemal ponad jej siły. Peter zachowywał się uprzejmie, ale wyniośle. Przestali być nawet przyjaciółmi. Paris nie mogła się oprzeć wrażeniu, że utraciła poczucie tożsamości, że jest własnym duchem, który nawiedza niegdyś znane miejsca i ludzi, albo też nieznaną, której sama nie potrafi rozpoznać. Przestała czy też przestawała być mężatką, a to przecież małżeństwo w niemałym stopniu określało jej osobowość, kiedyś bowiem poczyniła wiele wyrzeczeń, aby stać się panią Peterową Armstrong. Teraz

była nikim, anonimową, niekochaną, niechcianą, porzuconą kobietą. Samotną kobietą. Ziszczał się oto najokropniejszy z jej koszmarów.

— Jak zachowywał się tata, kiedy z tobą rozmawiał?! — zapytała Meg, która podczas ceremonii dostrzegła rodziców | stojących przez chwilę razem.

— Chyba w porządku. Ale trudno to nazwać rozmową, Przywitałam się z nim tylko, a potem zrejterowałam do przyjaciółek. Uznałam to za najprostsze rozwiązanie. Zresztą nie sądzę, by palił się teraz do rozmów ze mną. To zbyt kłopotliwe.

Korespondencyjnie natomiast Peter wykazywał wielką aktywność, zasypując Paris lawiną dokumentów do podpisania, w szczególności propozycji przeprowadzenia podziału majątku. Zgodnie ze swym przyrzeczeniem dom pozostawiał Paris, Paris jednak wpadała w przygnębienie na sam widok kolejnej porcji papierzyk. Ich czytanie napełniało ją odrazą, czasem więc składała podpis ledwie rzuciwszy na dokument okiem.

— Strasznie mi przykro, mamó — powiedziała Meg, wciąż zaszokowana mizernym wyglądem Paris. Usiłowała zresztą żartować, że to z pewnością rezultat kulinarnych wyczynów Wima. Sam Wim, świadom, że matka jest pod opieką siostry, balował tego dnia na całego, a pod koniec tygodnia — ulegając naciskom Paris, by nie rezygnował ze swych planów — wyruszał do Europy. Paris ostatecznie przekonała go argumentem, że w końcu musi zacząć przyzwyczajać się do samotności. Zaczynała się czuć jak pacjentka zamkniętego oddziału psychiatrycznego i miała świadomość, że albo weźmie się ze swymi problemami za bary, albo naprawdę zwariuje.

— Wszystko dobrze, kochanie — zapewniła ją Paris. - Nie chciałabyś wyjść, żeby się spotkać ze znajomymi?

Przecież za kilka minut pójdę spać.

Ostatnimi czasy to było jej głównym zajęciem.

— Na pewno nie miałabyś nic przeciwko temu? — zapytała Meg. Ani myślała w tej chwili zostawiać matkę, ale równie dobrze jak ona wiedziała, iż od niedzieli Paris czeka prawdziwa samotność — kiedy Meg wróci do Los Angeles, a Wim poleci do Anglii. Miał zamiar podróżować po Europie do sierpnia, potem posiedzieć w domu kilka tygodni, a następnie wyjechać do college'u. Bezpowrotnie mijały ostatnie chwile, jakie we trójkę spędzali pod jednym dachem, kończyło się wspólne życie, jakie dotąd znali.

Odwożąc w sobotę Wima na lotnisko i wkrótce potem, kiedy zniknął w wyjściu, Paris czuła się tak, jakby ktoś ostatecznie przeciął pępowinę łączącą ją z synem. Wymusiła wprawdzie na nim przyrzeczenie, że natychmiast po przylocie do Europy kupi sobie telefon komórkowy, dzięki czemu będą w stałym kontakcie, ale w gruncie rzeczy mogła tylko ufać, iż będzie zachowywać się rozważnie i odpowiedzialnie. W drodze powrotnej do Greenwich znów ogarnęła ją przygnębiająca świadomość, że jej życie zubożało o kolejną część, nazajutrz zaś, podczas pożegnania z Meg, była zupełnie zdruzgotana, chociaż usiłowała się z tym nie zdradzić. Długo potem krążyła po domu jak widmo, a kiedy z zadumy wyrwał ją dzwonek u drzwi, podskoczyła jak oparzona. Przyszła do niej z wizytą Virginia, której syn towarzyszył Wimowi w wyprawie do Europy; sprawiała wrażenie lekko zakłopotanej i czuła się w obowiązku wytłumaczyć Paris powód swoich niezapowiedzianych odwiedzin.

— Dostałam do wniosku, że skoro pewnie tak samo jak ja niepokoisz się o ich los, może powinniśmy się wesprzeć. Dzwonili do ciebie?

— Nie—odparła Paris z uśmiechem. Ubrana, umalowana i uczesana na benefis Meg, wciąż jednak sprawiała wrażenie ofiary rozległej gruźlicy albo czegoś równie dotkliwego. — I

sądzę, że nie zrobią tego jeszcze przez kilka dni. Poprosiłam Wima, żeby kupił sobie komórkę.

— Ja też — roześmiała się Virginia, a kiedy Paris ruszyła do kuchni, żeby zrobić kawę, zapytała jeszcze: — Gdzie się podziewa Meg?

— Wyjechała godzinę temu. Więdnęła z tęsknoty za swoim nowym chłopakiem. To ponoć aktor, grał w dwóch horrorach i kilku reklamówkach.

— No więc przynajmniej pracuje — zauważyła Virginia. Cieszyła się, że jej przyjaciółka najwyraźniej zerwała z abnegacją, cena jednak, jaką za perfidię Petera w ostatnich tygodniach zapłaciła Paris, była aż nadto widoczna, szczególnie w oczach przepelnionych przejmującą rozpaczą. Mogło się zdawać, że Paris straciła wiarę we wszystkich i wszystko, zwątpiła w każdy pewnik dotychczasowego życia. Okazało się wobec niej brutalne. Po krótkiej pogawędce przy kawie Virginia pogmerała w torebce, wyjęła i pchnęła w stronę Paris arkusik papieru.

Widniały na nim nazwisko, numer telefonu i adres w centrum Greenwich.

— Co to znowu? — stropiła się Paris. Nazwisko Annę Smythe nic jej nie mówiło.

— Namiary mojej psychoterapeutki wyjaśniła Virginia. - Bez niej wyładowałabym u czubków.

Paris wiedziała, że Virginia i jej mąż miewają wzloty i upadki, a Jim bywa trudnym mężczyzną. Cierpiał w swoim czasie na chroniczną depresję, z której pomogły mu wyjść leki, ale tamte mroczne lata położyły się długim cieniem na jego związku z Virginią. Dla Paris nie stanowił również tajemniczy jeden czy drugi romansik Virginii, ale nigdy zbyt nie przejmowała ani nie interesowała.

— Sądzisz, że zwariowałam? — zapytała ze smutkiem, wsuwając do kieszeni karteczkę.

— Bo ja czasem tak właśnie myślę.

Doznała nieomal ulgi, że wreszcie na głos dała wyraz swoim obawom.

— Ależ skąd—odparła z przekonaniem Virginia. — Gdybym tak sądziła, ściągnęłabym tu facetów z siatkami na motyle i kaftanem bezpieczeństwa. Ale uważam, że tak to się właśnie skończy, jeśli nie wyrwiesz się z domu i nie pogadasz z kimś o wszystkim, co cię spotkało. Przeżyłaś cholerny szok, trudno wyobrazić sobie coś bardziej wstrząsającego niż numer, jaki wykręcił ci Peter. Mocniejsze wrażenie wywarłaby chyba tylko jego nagła śmierć w środku przyjęcia, choć pewnie tobie łatwiej byłoby to przeżyć. W jednej chwili byłaś mężatką, uważałaś się za szczęśliwą, prowadziłaś życie, które znałaś i kochałaś od dwudziestu czterech lat, w następnej — twój facet odchodzi i żąda rozwodu, a ty nawet nie wiesz, z której strony spadł cios. Co gorsza, Peter mieszka o godzinę stąd i romansuje z kobietą dwadzieścia lat młodszą od ciebie. Jeśli coś takiego nie jest solidnym kopniakiem w twoją psychę i poczucie własnej wartości, to nie mam pojęcia, co mogłoby cię ruszyć. Kurczę, Paris, większość ludzi usiadłaby w takiej sytuacji w kącie i ślinała się na podłogę.

— I takie wyjście przychodziło mi do głowy — Paris szeroko się uśmiechnęła — ale uznałam je za nieestetyczne.

— Ja na twoim miejscu jak nic skończyłabym w drewnianej jesionce — stwierdziła Virginia z głębokim podziwem. Również jej mąż przyznawał, że zapewne nie zdołałby się uporać z taką sytuacją nawet za pomocą leków, wszyscy zaś przyjaciele Paris zgodnie twierdzili, że myśli samobójcze nie byłyby w jej wypadku czymś zaskakującym. Poza dziećmi, które przecież wyfrunęły już w świat, nie miała dla kogo żyć. Był jej rozpaczliwie potrzebny ktoś, z kim mogłaby porozmawiać, a Virginia uznała, że idealną kandydatką jest

Annę Smythe, osoba ciepła, rzeczowa, rozsądna, умеjąca przyprawiać szczerę współczucie bezbłędnie odmierzoną dawką pogodnego „no dobra, teraz musimy się zastanowić, co z tym zrobić”. Kiedy Jim uporał się z depresją, popadła w nią z kolei Virginia: tak długo koncentrowała całą uwagę na Jimie, że kiedy ten przestał potrzebować jej opieki, poczuła się zbędna. Wówczas pomogła jej Annę Smythe. — Ocaliła nie tylko mnie, lecz również kilka znajomych, które jej podesłałam. Uważam, że jest fantastyczna. — Nie jestem wcale pewna, czy warto się bić o ratowanie mojej skóry — stwierdziła smętnie Paris, a Virginia żarliwie pokręciła głową.

— I w tym właśnie rzecz. Uważasz, że coś jest z tobą nie tak, ponieważ cię porzucił, gdy tymczasem to w nim powinnaś szukać ułomności. To jego powinny dręczyć wyrzuty sumienia za to, co ci zrobił, nie zaś ciebie z tego powodu, że ci zrobił — oświadczyła z przekonaniem, mając nadzieję, że w przyjaciółce obudzi się gniew, może nawet nienawiść do Petera. Nic takiego się jednak nie stało i tylko ślepy przegapiłby oczywisty fakt, że Paris nadal kocha wiarołomnego męża. Okazywała mu takie przywiązanie, że jej miłość była skazana na długą agonię. Znacznie dłuższą niż czas, jakiego potrzebował Peter na uzyskanie wszystkich dokumentów gwarantujących mu wolność. Rozwód mógł unicestwić małżeństwo Paris, ale nie uczucia. — No więc zadzwonisz do niej?

— Może — odparła bez przekonania Paris. — Bo nie wiem, czy z kimkolwiek chcę o tym rozmawiać, zwłaszcza z obcą osobą. Czy w ogóle chcę z kimkolwiek rozmawiać. I nie chcę wychodzić, bo nie mam ochoty czuć na sobie współczujących spojrzeń. Chryste, Virginio, to żalosne.

— Jest żalosne tylko przy twoim przyzwoleniu. Przecież nie masz nawet pojęcia, co życie trzyma dla ciebie w zanadrzu. Może wyładujesz u boku faceta stokroć lepszego niż dotychczasowy.

— Zawsze zależało mi tylko na Peterze. Nawet nie spozrzałam na innego mężczyznę, bo nie miałam na to ochoty. Uważałam, że nikt lepszy nie mógł mi się trafić i że znalazłszy go na swojej drodze, złapałam Pana Boga za nogi.

— Cóż, i pierwsze, i drugie przekonanie okazało się fałszywe. Peter postąpił tak wrednie, że należałoby mu się za to czapa. Ale do diabła z nim. Zależy mi tylko na twoim szczęściu. Paris nie wątpiła w szczerłość przyjaciółki.

— A jeśli już nigdy nie będę szczęśliwa? — zapytała z obawą. — Jeśli nigdy nie przestanę go kochać?

— Wtedy cię zastrzelę — uśmiechnęła się Virginia. — Ale spróbuj najpierw z Annę. Jeśli zawiedzie, poszukam egzorcysty. Musisz jednak usunąć tego wirusa ze swojego krwiobiegu, bo inaczej będzie cię dręczyć tak długo, aż w końcu zabije. Chyba nie chcesz być po wsze czasy nieszczęśliwą schorowaną kobietą?

— Nie chcę — przyznała z zadumą Paris — ale też nie widzę, w jaki sposób ta Annę mogłaby mi pomóc. Cokolwiek jej powiem, moje dzieci będą dorosłe, a Peter poślubi po naszym rozwodzie kobietę o piętnaście lat młodszą ode mnie. To nie jest sytuacja łatwa ani przyjemna.

— Zgoda, ale inni dawali sobie radę z gorszymi. Mówię serio, może ci się trafić facet dziesięć razy fajniejszy niż Peter. Ile kobiet straciło mężów, bo umarli albo odeszli, a jednak potrafiło sobie na nowo ułożyć życie przy boku innych? Nie możesz rezygnować, masz przecież dopiero czterdzieści sześć lat. To czysta głupota, błąd, nieuczciwość wobec siebie, twoich dzieci i w ogóle wszystkich, którym na tobie zależy. Nie dawaj Peterowi tej satysfakcji. Ma nowe życie i ty też na nie zasługujesz.

- Ale go nie chcę.
- Zgłoś się do Anne, inaczej związaną dostarczę cię do jej gabinetu. Spotkaj się z nią tylko raz, dobra? Jeden jedyny raz. Jeśli nie przypadnie ci do gustu, nie musisz wracać. Po prostu spróbuj.
- W porządku. Spróbuję. Raz. Ale to nic nie zmieni.
- Dzięki za wotum zaufania — oświadczyła Virginia, nalewając sobie kolejną filiżankę kawy. Posiedziała z przyjaciółką prawie do czwartej, a kiedy wychodziła, zostawiała Paris znużoną, lecz w nieco lepszej formie psychicznej. Paris nie wierzyła wprawdzie, że wizyta u psychoterapeutki w czymkolwiek jej pomoże, dla świętego spokoju powtórzyła jednak zapewnienie, że nazajutrz skontaktuje się z Anną Smythe.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Poczekalnia przypominała bibliotekę: było w niej mnóstwo książek, wygodnych skórzanych foteli, a do tego wszystkiego mały kominek, który zimą dostarczał zapewne miłego ciepła. Teraz jednak był czerwiec i przez otwarte okna Paris widziała rozpościerający się w dole wypielegnowany ogród. Pod adresem, który podała jej Virginia, Paris znalazła uroczy domek o drewnianej szkieletowej konstrukcji; jego ściany były białe, obróbki żółte, starannie wymalowane okiennice zaś — niebieskie. Kiedy człowiek wchodził do środka, natychmiast przychodziło mu do głowy słowo „przytulny”. Widok gospodyni, która pojawiła się w poczekalni, ledwie Paris przysiadła i zaczęła kartkować jeden z wyłożonych magazynów, kompletnie zaskoczył jej przyszłą pacjentkę, Paris bowiem spodziewała się ujrzeć kogoś w rodzaju Anny Freud albo też osobę chłodną, surową i spoglądającą na świat z wyższością intelektualistki. Tymczasem doktor Smythe okazała się przystojną, doskonale ubraną pięćdziesięciokilkuletnią panią o nienagannej fryzurze i makijażu, kimś zatem, kto — przynajmniej w wyobrażeniach Paris — odpowiadał raczej wizerunkowi damy z towarzystwa czy też małżonki zamożnego biznesmena, nie zaś psychoterapeutki.
- Czy coś się stało? — zapytała z uśmiechem doktor Smythe, prowadząc Paris do swojego gabinetu, którym był przestronny pokój utrzymany w beżach i brązach, umeblowany z wielkim smakiem, a do tego przyozdobiony interesującymi obrazami malarzy współczesnych. — Sprawiasz wrażenie stropionej.
 - Po prostu spodziewałam się, że to wszystko będzie inne — wyznała Paris.
 - Inne, czyli jakie? — spytała zaintrygowana lekarka, patrząc na Paris ciepłym wzrokiem.
 - Surowsze — odparła Paris. — Chociaż jest tu bardzo pięknie.
 - Dziękuję — roześmiała się doktor Smythe. — Podczas studiów na akademii medycznej asystowałam przez pewien czas dekoratorce wnętrz. Trwam w przekonaniu, że jeśli moja kariera zawodowa ulegnie załamaniu, zawsze będę mogła powrócić do tamtego zajęcia. Uwielbiałam je. — Paris chcąc nie chcąc zaczynała odczuwać do niej sympatię. Z lekarki emanowała bezpośredniość, bezpretensjonalność i jakaś wielka uczciwość; z kimś takim, pod warunkiem poznania na gruncie prywatnym, łatwo by się było zaprzyjaźnić. — No więc w czym mogłabym ci pomóc?
 - Mój syn właśnie wyjechał do Europy — oświadczyła Paris. Była to dziwna odpowiedź, biorąc pod uwagę wszystko, co się ostatnio zdarzyło, niemniej jednak akurat taka natychmiast przyszła Paris do głowy.
 - Na stałe? W jakim jest wieku?

Lekarka uznała, że Paris jest trochę po czterdziestce; nie postarzała się za sprawą ostatnich przejść, była tylko szczuplejsza, smutna i przygaszona. Wyraźnie było widać, że cierpi na depresję.

— Ma osiemnaście lat i wyjechał tylko na dwa miesiące. Ale bardzo za nim tęsknię. — Paris poczuła, że do oczu podchodzą jej piekące łzy, z ulgą spostrzegła na stoliku pudełko chusteczek jednorazowych, zadała sobie pytanie, czy w tym pokoju ludzie często płaczą, i natychmiast uznała, że tak.

— To jedynie?

- Nie, mam jeszcze córkę. Mieszka w Kalifornii, w Los Angeles. Pracuje w filmie, jako asystentka kierownika produkcji. Ma dwadzieścia trzy lata.

— Czy twój syn jest już w college'u, Paris? — lekkim tonem dopytywała się lekarka, usiłując poskładać w całość informacje rzucane przez Paris nieco chaotycznie. Na tym właśnie polegał jej zawód i była w nim dobra.

— Pod koniec sierpnia zaczyna studia w Berkeley.

— Ty zaś zostajesz... sama w domu? Jesteś mężatką?

— Ja... nie... tak... byłam... jeszcze pięć tygodni temu... mój mąż zostawił mnie dla innej kobiety.

Annę Smythe ze współczuciem spojrzała na płaczącą Paris i podała jej pudełko chusteczek.

— Przykro mi to słyszeć. Czy wiedziałas już wcześniej o tej drugiej kobiecie?

— Nie, nie wiedziałam.

— A więc był to dla ciebie straszny szok. Mieliście uprzednio jakieś problemy małżeńskie?

- Nie, nasze małżeństwo było idealne. A przynajmniej ja tak sądziłam. Bo on, kiedy odszedł, powiedział, że czuł się ze mną jak pogrzebany za życia. To było pewnego piątkowego wieczoru, po przyjęciu, które wydaliśmy dla przyjaciół... Wtedy oznajmił, że odchodzi nazajutrz rano. Aż do tego momentu byłam przekonana, że wszystko pomiędzy nami układa się doskonale. - Paris urwała, żeby wysiąkać nos, a potem, ku własnemu zaskoczeniu, najpierw słowo w słowo powtórzyła to, co tamtego wieczora powiedział jej Peter, potem rozgadała się o studiach Wima, swoim nigdy nie wykorzystanym dyplomie, a wreszcie obawach, w kim może teraz znaleźć oparcie. Godzina rozrosła się do dwóch, co było zresztą zgodne z zamierzeniami lekarki, która lubiła rozpoczynać terapię od długich sesji, pozwalających skonstruować z grubsza strategię działania. Kiedy zapytała pacjentkę, czy chce się umówić na następne spotkanie, Paris uświadomiła sobie ze zdumieniem, ile czasu spędziła w gabinecie.

— Nie wiem. A powinnam? Czy to coś zmieni? Bo nie zmieni na pewno tego, co już się stało.

Sporo płakała w ciągu owych dwóch godzin, tym razem jednak nie czuła się wyczerpana i wewnętrznie pusta, przeciwnie: doznała czegoś na kształt ulgi. Niczego jeszcze we dwie nie rozstrzygnęły, ale wrzód został przecięty i rozpoczynało się gojenie.

— Masz słuszość, co się stało, to się nie odstanie, z czasem jednak, mam nadzieję, pozwoli ci przewartościować ogląd tamtych spraw. I to właśnie może być dla ciebie ogromnie ważne. Czeka cię podjęcie decyzji, co zrobić z własnym życiem. Może mogłybyśmy popracować nad tym problemem wspólnie.

Były to dla Paris sprawy nowe; nie do końca rozumiała, jakie decyzje lekarka ma na myśli. Bo dotąd wszystkie decyzje należały do Petera, ona zaś mogła tylko przyjmować je do wiadomości i ponosić ich skutki.

— Dobrze. Może przyjdę ponownie. Jaki dzień proponujesz?

— Co powiesz o wtorku? — A więc za ledwie za cztery <

w tej chwili jednak Paris dochodziła do wniosku, że woli się spotkać z terapeutką wcześniej niż później. Może dostatecznie szybkie podjęcie owych zagadkowych „decyzji” uchroni ją przed koniecznością następnych wizyt. Lekarka zapisała na kartce termin spotkania i numer swojego telefonu komórkowego, a następnie podała arkusik Paris. — Zadzwoń, jeśli w weekend będzie ci ciężko.

— Nie chciałabym cię fatygować — odparła zakłopotana | Paris.

— Cóż, dopóki nie wrócę do dekoracji wnętrz, w takii właśnie sposób zarabiam na życie. Dzwon więc, jeśli będziesz mnie potrzebować — powiedziała z uśmiechem, który Paris | odwzajemniła.

Wracając do domu nie miała pojęcia, dlaczego czuje się tak dobrze, lepiej niż od wielu, wielu tygodni. Lekarka nie rozwiązała żadnego z jej problemów, a przecież od odejścia Petera Paris nigdy nie było na duchu lżej niż teraz. Po przyjeździe natychmiast zadzwoniła do Virginii, żeby podziękować jej za kontakt z Annę Smythe.

— Cieszę się, że ci przypadła do gustu—westchnęła z ulgą Virginia. Byłaby jednak zaskoczona, gdyby stało się inaczej: uważała psychoterapeutkę za cudownego człowieka i najwspanialszy podarek, jakim mogłaby obdarzyć tak ciężko doświadczoną przez los przyjaciółkę. — Spotkasz się z nią znowu?

— Tak — odparła Paris wciąż zaskoczona własną decyzją. — Przynajmniej raz.

Umówiłyśmy się na przyszły tydzień.

Virginia uśmiechnęła się pod nosem: Annę zagrała z nią w identyczny sposób — jedno spotkanie po drugim i ani się obejrzała, jak minął rok. Potem były „reptycje” od czasu do czasu, no i wizyty służące uładowaniu doraźnie powstających problemów. Annę zawsze potrafiła pomóc. Dobrze jest mieć kogoś, z kim można szczerze pogadać i na kim można się oprzeć w krytycznej chwili.

Podczas następnego spotkania Paris kompletnie zaskoczyło pytanie zadane przez lekarkę gdzieś w połowie sesji. Zadane jakby mimochodem.

— Czy zastanawiałaś się nad przeprowadzką do Kalifornii?

— Nie. Bo dlaczego miałabym się zastanawiać?

Taka myśl istotnie nawet jej nie przeszła przez głowę. W Greenwich, gdzie mieszkali od narodzin Meg, głęboko zapuściła korzenie i nawet teraz, gdy zostały podcięte, nie brała pod uwagę ewentualności sprzedania domu. Była rada, że Peter jej go zostawiał.

— Cóż, mieszkają tam twoje dzieci. Będąc w pobliżu, mogłabyś widywać je znacznie częściej. Po prostu zastanawiałam się, czy rozważasz taką opcję.

Paris pokręciła głową. Nie miała zresztą pojęcia, co o podobnym pomysle powiedziałyby dzieci.

Wieczorem wspomniała o nim Meg podczas rozmowy telefonicznej, córka zaś uznała, że jest doskonały.

— A przeniosłabyś się do Los Angeles, mamó?

— Sama nie wiem. Pomysł zresztą nie jest mój, tylko lekarki, z którą spotkałam się dzisiaj drugi raz.

— Jakiej lekarki? Czy coś ci dolega? — zaniepokoiła się Meg.

— Właściwie psychoterapeutki — westchnęła z zakłopotaniem Paris, która nigdy nie miała przed córką tajemnic. Były zresztą swoimi powierniczkami od lat i ta sytuacja wiele dla Paris znaczyła: z Meg, kobietą i w dodatku starszą z rodzeństwa, rozmawiało się o wiele

łatwiej niż z Wimem. — Poleciała mi ją Virginia, widziałyśmy się dopiero dwa razy. Ale za kilka dni mam następną wizytę.

- Postępujesz bardzo rozsądnie — uznała Meg żalując, że za przykładem matki nie poszedł ojciec, któremu udało się tak schrzanić życie im wszystkim. Dotąd nie powiedział dzieciom o Rachel, czekał, aż opadnie kurzawa. Rachel wyrażała chęć poznania Wima i Meg, a on obiecywał, że pozna, kiedy nadejdzie właściwy moment.

— Ależ ona niczego nie zmieni — zaoponowała Paris. Jaki mają sens wizyty u psychiatry, skoro rozwód jest w toku, a Peter kocha inną kobietę? Najlepszy terapeuta nie powstrzyma raz obruszonej lawiny i nie przywróci jej Petera.

- Zgoda, ty jednak możesz wiele zmienić, mamó — powiedziała cicho Meg. — Tata postąpił strasznie, lecz dalszy ciąg jest w twoich rękach. Uważam, że byłoby wspaniale, gdybyś przeniosła się do Kalifornii. Taka przeprowadzka wyszłaby ci na zdrowie.

— Jak twoim zdaniem zareagowałby na to Wim? Nie chcę, by uznał, że depczę mu po piętach.

— Sądzę, że byłby zadowolony, zwłaszcza gdybyś zamieszkała na tyle blisko, żeby mógł od czasu do czasu u ciebie pomieszkiwać i zapraszać przyjaciół. Pamiętam, jak sama lubiałam podczas studiów wracać do domu — odparła śmiechem Meg, przypominając sobie torby pełne brudó które zabierała ze sobą z akademika przy takich okazjach

— Szczególnie gdybyś go miała opierać. Zresztą zapytaj o to jego samego.

— Nie wyobrażam sobie wyprawki z Greenwich. Przecież w Kalifornii nie znam nikogo.

— Ale poznasz. Może powinnaś rozejrzeć się za mieszkaniem w San Francisco, bo wtedy Wim mógłby do ciebie wpadać, kiedy zechce, a ja w weekendy. Rozstanie z Greenwich, choćby na rok czy dwa, dobrze ci zrobi. Kalifornia przypadnie ci do gustu. Wspaniały klimat, łagodne zimy, no

i my będziemy się z tobą widywać znacznie częściej. Naprawdę powinnaś to przemyśleć, mamó.

— Ależ nie mogę ot tak, po prostu, porzucić tego domu

— upierała się Paris. A kiedy pomysł wypłynął ponownie podczas następnej sesji z doktor Smythe, stwierdziła: — Nie do wiary, że Meg uznała go za dobry. Ba, doskonały. Ale cóż miałabym tam robić? Wszyscy moi przyjaciele są tutaj, tam nie będę znała nikogo.

— Z wyjątkiem Wima i Meg — przypomniała spokojnie terapeutka. Posiała ziarno i czekała teraz, aż się ukorzeni i przemieni w roślinę; liczyła, że będą je pielęgnować dzieci Paris, gdyby jednak okazało się to niezbędne, zamierzała w tym pomagać. Jeśli nic z tego nie wyjdzie — cóż, miała w zanadrzu inne pomysły, jak sprawić, by Paris wygrzebała się z otchłani, w którą strąciło ją odejście Petera, by dostrzegła wszystkie możliwości lepszego życia i zechciała ich pokosztować.

Poruszały mnóstwo tematów — dzieciństwo Paris, początki związku z Peterem, ów z największym sentymentem wspominany przez nią okres, gdy pojawiło się potomstwo, jej przyjaciele, podyplomowe studia MBA, które ukończyła z takim powodzeniem i z których nie zrobiła w życiu żadnego użytku. Pod koniec lipca zaczęły napomykać o podjęciu przez Paris pracy. W tym czasie Paris pozbyła się wobec swej psychoterapeutki resztek skrępowania i szczerze lubiła ich rozmowy, bo zawsze dostarczały wątków do przemyśleń, na które miała aż nazbyt wiele czasu po powrocie do swego pustego domu. Nadal bowiem unikała przyjaciółek, nie czuła się gotowa na ich towarzystwo.

Tego samotnego lata, gdy Wim podróżował, a Meg siedziała w Los Angeles, Paris i Peter ostatecznie osiągnęli porozumienie w kwestiach majątkowych — Paris zatrzymywała dom i dostawała gwarancję wysokich alimentów, którymi Peter pragnął uspokoić własne sumienie. Paris nie musiała więc pracować, tyle że jednak chciała, choćby po to by wypełnić czymś życie, życie — jak przypuszczała — już zawsze samotne. Gdy od czasu do czasu Annę Smythe sugerowała, by zaczęła spotykać się z innymi mężczyznami, Paris zamykała na te rady uszy: randki były ostatnią rzeczą, jaka przychodziła jej do głowy, drzwiami, których pod żadnym pozorem nie zamierzała otwierać. Odmawiała nawet zerknięcia przez dziurkę od klucza. W takich razach psychoterapeutka zwykle dawała za wygraną, by jednak poruszyć kwestię podczas kolejnej sesji.

Tego lata Paris widywała się tylko z Virginią i Natalie; nie miała ochoty chodzić na przyjęcia, pokazywać się w towarzystwie — wystarczały jej okazjonalne spotkania przy lunchu z dwiema przyjaciółkami. Niemniej jednak kiedy nadszedł sierpień, znów wyglądała dobrze — zrobiły swoje praca w ogrodzie, lektury, lepszy sen w nocy i rzadsze polegiwanie w łóżku za dnia. Wciąż bardzo szczupła, lecz za to opalona, zaczęła przypominać dawną siebie: Wim, gdy witała go na lotnisku, z radością dojrzał w jej oczach znajome iskierki! Zgodnie z przyrzeczeniem dzwonił do matki regularnie i często, we Francji, Anglii, Włoszech i Hiszpanii bawił się fantastycznie, a teraz, po powrocie, potrafił tylko mówić o powtórzeniu wyprawy w przyszłym roku.

— Jeśli pojedziesz, wybiorę się z tobą — ostrzegła przekornym tonem Paris, a Wim po raz kolejny stwierdził, że matka najwyraźniej wróciła do świata żywych. — Zbyt długo cię nie było. Nie mam pojęcia, co z sobą pocznę, kiedy wyjedziesz na uczelnię.

I wtedy, ciekawa jego reakcji, wspomniała o zasugerowanej przez Annę Smythe przeprowadzce do Kalifornii.

— Naprawdę byś się przeniosła? — zapytał ze zdumieniem i nie takim entuzjazmem, na jaki liczyła. Meg okazała znacznie większy. Ale Wim, który nie mógł się doczekać rozpoczęcia samodzielnego życia, nagle oczyma wyobraźni! ujrzał matkę przynoszącą mu do kampusu drugie śniadania! w takim samym pudełeczku z Batmanem, jakie miał w szkole podstawowej. I czy sprzedałabyś nasz dom?

To był jego rodzinny dom, jedyny, w jakim mieszkał:

o matce czekającej w tym właśnie domu myślał wielokrotnie podczas swojej wędrówki po Europie. Świadomość, że mógłby | go utracić, przejmowała go zgrozą.

— W żadnym razie, najwyżej bym go wynajęła, chociaż i to nie jest pewne. To zresztą luźny pomysł, do którego sama nie jestem jeszcze przekonana.

— Skąd ci przyszedł do głowy? — spytał Wim wyraźnie zaintrygowany.

— Zasugerowała mi go moja psychoterapeutka — odparła Paris nonszalanckim tonem.

Wysoko uniósł brwi.

— Psychoterapeutka? Dobrze się czujesz, mamo?

— Znacznie lepiej niż w chwili twojego wyjazdu — powiedziała spokojnie z uśmiechem.

— Uważam, że mi pomaga.

— Jeśli tak, to dobrze — mruknął zgodliwie Wim, ale wieczorem poruszył temat w rozmowie telefonicznej z siostrą. — Czy wiedziałaś, że mama chodzi do psychiatrii?

— Tak, i uważam, że doskonale jej to robi — odrzekła z przekonaniem Meg, dla której nie ulegało wątpliwości, iż wskutek sesji u Anny Smythe depresja Paris wyraźnie ustępuje.

— Czy mamie zaczyna odbijać? — zapytał Wim z takim niepokojem, że Meg parsknęła śmiechem.

— Nie, choć miałyby prawo po numerze, który wykręcił jej tato. Po takim szoku zwariowałyby niejedna kobieta. A nawiasem mówiąc, dzwoniłeś do niego z Europy? Dzwonił, choć znacznie rzadziej niż do matki i siostry; poza tym nie mieli sobie zbyt wiele do powiedzenia.

— Sądysz, że mama naprawdę przeprowadzi się do Kalifornii? — zapytał Wim. Zaczynał dostrzegać w tej koncepcji plusy i tylko wciąż niepokoiła go możliwość nieustannych wizyt Paris w Berkeley.

— Może, to byłaby dla niej wielka odmiana. Nie jestem pewna, czy rzeczywiście tego chce, raczej igra z taką ideą. A ty co myślisz?

— Może to by nawet było niegłupie — odparł ostrożnie.

— Znacznie lepsze niż samotne przesiadywanie w pustym domu. Aż mnie dreszcz przechodzi na myśl, co z nią będzie po twoim wyjeździe.

— Mnie też. Może powinna podjąć pracę, zacząć spotykać się z ludźmi — stwierdził z namysłem Wim.

— Chce to zrobić, ale nie wie, za czym się rozglądać. Przecież nigdy nie pracowała zarobkowo. W końcu, z pomocą psychoterapeutki, coś na pewno wymyśli.

— Pewnie tak.

Wim wciąż nie mógł otrząsnąć się z zaskoczenia: nigdy nie postrzegał matki jako kogoś, kto do rozwiązywania swych problemów potrzebuje pomocy osób trzecich, musiał jednak przyznać, że w ciągu trzech ostatnich miesięcy los zgotował jej aż nazbyt wiele dramatycznych niespodzianek. Jemu samemu zresztą też: dziwnie się poczuł, wracając do domu, w którym nie było już ojca. Dwa dni po powrocie Wima z wakacji umówili się w biurze Petera, a potem wspólnie poszli na lunch. Peter przedstawił synowi kilku prawników ze swojej firmy, w ich zaś gronie młodą kobietę — niewiele z pozoru starszą od Meg — która zachowywała się wobec niego nad wyraz ciepło i przyjaźnie. Gdy później Wim wspomniał o niej matce, Paris zmieszala się i popadła w przygnębienie, ale Wim nie potrafił dodać dwóch do dwóch — założył, iż Paris wytrącają z równowagi wszelkie wieści o eksmeżu, po prostu więc przestał wracać do tematu.

Poza tym ojciec obiecał, że przyleci do San Francisco, żeby« pomóc zadomowić się Wimowi w nowym środowisku, co także nie wzbudziło zachwyty Paris, sama bowiem miała identyczny plan. Oczywiście nie podzieliła się swoimi zastrzeżeniami z synem, niemniej jednak perspektywa spotkania Petera w akademiku Wima przejmowała ją dreszczem. Uznała, że prośenie Petera, by zrezygnował z wyjazdu, byłoby nie fair tak wobec niego, jak wobec Wima, ale poruszyła ten problem podczas następnej sesji z Annę Smythe.

— Czy sądzisz, że zdołasz się uporać z taką sytuacją? — zapytała współczującym tonem Annę, patrząc na wyraźnie zestresowaną i wyzbytą wszelkiej pewności siebie Paris.

— Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Spotkanie z Peterem będzie w tej chwili czymś tak dziwnym. Może -powinnam jechać?

— Jak przyjąłby to twój syn?

— Pewnie byłby równie rozczarowany jak ja.

— A gdybyś poprosiła Petera, żeby zrezygnował? — zasugerowała Annę.

Paris stanowczo pokręciła głową.

— Pod żadnym pozorem nie chcę sprawiać Wimowi przykrości.

— Cóż, masz numer mojej komórki, dzwoń, gdyby atmosfera zbyt gęstniała. Zresztą w takiej sytuacji zawsze możesz wyjść z akademika albo też ustalcie z Peterem, że pójdziecie tam na zmianę.

Paris, której taki pomysł nie przyszedł do głowy, potraktowała go jako optymalne rozwiązanie awaryjne.

— Sądysz, że może być naprawdę ciężko? — zapytała z wahaniem, ale też udawaną nonszalancją.

— Wszystko zależy od ciebie — odparła cicho Annę i po raz pierwszy Paris uświadomiła sobie, że jest to stuprocentową prawdą. — Masz prawo wyjść albo nawet w ogóle tam nie jechać. Jestem pewna, że Wim to zrozumie, przecież nie zależy mu na tym, byś czuła się nieszczęśliwa.

— Może podczas pobytu w San Francisco obejrzą jakieś nieruchomości — powiedziała Paris po krótkim namyśle.

— Świetnie się przy tym rozerwiesz — stwierdziła z przekonaniem Annę Smythe.

Paris nie podjęła jeszcze żadnych decyzji w sprawie ewentualnych przenosin na zachód; chociaż mówiły o nich od czasu do czasu, wciąż trwała w przeświadczeniu, że woli pozostać w Greenwich, miejscu, które znała i w którym czuła się bezpiecznie. Nie dojrzała na razie do jakichś drastycznych posunięć, także w sprawie pracy. We wrześniu zresztą, nie mając lepszych pomysłów, zgłosiła się ochotniczo w izbie dziecka, co było dla niej początkiem raczej niż celem, pierwszym krokiem podróży, która nie wiadomo jeszcze, dokąd ją zaprowadzi. Trzy miesiące temu Peter wypchnął ją z samolotu, a zważywszy, że nie miała spadochronu — choć może i miała, lecz nie potrafiła go otwierać — poradziła sobie, przynajmniej w opinii Annę, zupełnie dobrze. Wstawała każdego ranka, ubierała się, czesała i malowała, jadła czasem lunch z przyjaciółkami, zbierała siły na wyekspediowanie Wima do college'u. Na tyle było ją w tej chwili stać.

Widziała się z Annę jeszcze trzy dni przed swoim wyjazdem z Wimem; nie zamierzała unikać spotkania z Peterem, powtarzała sobie, że jakoś przez nie przebrnie, a potem — myślała o tym z przyjemnością — pojedzie do Los Angeles, żeby zobaczyć się z Meg. Wychodząc od terapeutki, posłała jej ostatnie niespokojne spojrzenie.

— Dam sobie radę? — spytała tonem wystraszonego dziecka.

— Świetnie ci idzie — odparła z uśmiechem Annę Smythe. — Dzwoń w razie czego.

Paris zbiegła po schodach, powtarzając w myślach jak refren słowa lekarki: świetnie mi idzie... świetnie mi idzie... świetnie mi idzie. W tej chwili nie mogła się zatrzymać, musiała ze wszystkich sił przeć naprzód, mając nadzieję, że pewnego dnia znów mocno stanie na ziemi. Musiała — patrzeć na to z perspektywy człowieka wypchniętego z samolotu — lecieć dalej i zanosić modły, by spadochron wreszcie się otworzył. Jeśli w ogóle ma jakiś spadochron.

Może jednak ma.

Chociaż na razie się nie otwierał, a wiatr wciąż gwizdał w uszach Paris zatrwając do donośnie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Paris i jej syn zabrali w podróż do San Francisco niemal wszystkie lary i penaty Wima, w tym również rower i komputer. Peter zamierzał dotrzeć na miejsce osobno, wieczornym samolotem. Przez cały lot — Wim oglądał wtedy film albo drzemał — Paris niepokoiła się

nieodległym spotkaniem: po dwudziestu czterech latach małżeństwa Peter wydawał się jej kimś bez mała obcym, a zarazem tak upragnionym jak lekarstwo niezbędne do życia. To właśnie było najgorsze — po trzech okropnych miesiącach, po wszystkim, co jej zrobił, wciąż go kochała i nie traciła nadziei, że zdarzy się cud i Peter do niej wróci. Jediną osobą, której zwierzyła się ze swych uczuć, była Annę Smythe. Psychoterapeutka stwierdziła wtedy, że są czymś najzupełniej naturalnym i minie wiele czasu, zanim osłabną na tyle, by Paris mogła podążyć nową drogą.

Po nieco ponadpięciogodzinnym locie pojechali taksówką do Ritza-Carltona, gdzie Paris zarezerwowała pokoje dla siebie i syna, wieczorem zaś zjedli kolację w Chinatown, sympatyczną — jak to zwykle bywało — dla obojga. Po powrocie do hotelu zadzwonili do Meg, którą Paris zamierzała odwiedzić za dwa dni: uznała, że potrzebuje właśnie dwóch dni, żeby urządzić syna w akademiku, zresztą niespieszno jej było do rozstania. No i prawdziwą zgrozą przejmowała ją myśl o powrocie do domu.

Nazajutrz o dziesiątej rano, wioząc wynajętym vanem manatki Wima, pojechali na teren uniwersytetu. Kiedy tylko dotarli na miejsce, dowodzenie przejął Wim: wręczywszy matce kartkę z adresem swojego akademika, oświadczył, że spotkają się tam za dwie godziny, a następnie ruszył pieszo załatwiać sprawy administracyjne. Campus był tak rozległy, że Paris potrzebowała pół godziny, żeby dojechać pod akademik; potem pospacerowała trochę, a wreszcie usiadła na kamieniu i grzejąc się w słońcu czekała na syna. Było przyjemnie, ale coraz upalniej — od rana temperatura skoczyła o piętnaście stopni. W pewnym momencie Paris dostrzegła spod przymrużonych powiek znajomą sylwetkę zbliżającą się niespiesznym posuwistym krokiem. Rozpoznałaby ją zresztą nawet z zamkniętymi oczami, zaanonsowałoby ją przyspieszonym biciem jej serce. Peter, z wyrazem determinacji na twarzy, zatrzymał się kilka stóp od Paris.

— Witaj, Paris — powiedział tonem tak chłodnym i obojętnym, jakby widzieli się po raz drugi czy trzeci w życiu. Trudno było wyczytać z jego rysów, że mają za sobą tyle wspólnych lat i doświadczeń. Tak jak i Paris zbierał siły przed tym spotkaniem. — Gdzie Wim?

— Zapisuje się na zajęcia, odbiera klucz do pokoju i tak dalej. Powinien tu być za godzinę. Skinął głową; było widać, że się waha, czy poczekać z Paris ' czy też odejść, skoro jednak campus i jego przytłaczał swoimi, rozmiarami, zdecydował się, mimo zakłopotania, pozostać. W nim także ta podróż budziła mieszane uczucia i zdobył się na nią tylko dla Wima.

Długo siedzieli w milczeniu, pogrążeni we własnych myślach, przy czym w wypadku Petera dotyczyły one przede wszystkim Rachel, w wypadku Paris zaś — dyskusji z terapeutką o dzisiejszym spotkaniu. W końcu pierwszy odezwał się Peter.

— Dobrze wyglądasz — stwierdził oficjalnym tonem. W istocie wyglądała tego dnia naprawdę pięknie, choć wciąż była bardzo szczupłą; to jednak Peter przemilczał.

— Dziękuję, ty też — odparła Paris. Ona z kolei nie zapytała, jak się miewa Rachel i jak Peterowi żyje się w Nowym Jorku, zapewne właśnie u Rachel. Od dawna podejrzewała, że Peter wciąż trzyma pokój w hotelu, tylko po to żeby zamydlić dzieciom oczy. Nie spytała też, czy czuje się szczęśliwy, będąc człowiekiem praktycznie wolnym: ich rozwód nabierał mocy prawnej pomiędzy Świętem Dziękczynienia a Bożym Narodzeniem. — Ładnie z twojej strony, że przyjechałeś — oświadczyła uprzejmie, choć bolało ją serce, że będąc tak blisko siebie przerzucają się absurdalnymi w ich sytuacji banałami. — To dla Wima wiele znaczy.

— Do takiego właśnie doszedłem wniosku. Dlatego przyjechałem. Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe.

Spojrzała na niego, stwierdzając, że jest jeszcze przystojniejszy niż kiedyś. Wiele ją kosztowało to spojrzenie. Wciąż trudno jej było uwierzyć, że odepchnął ją od siebie, tak niespodziewanie, całkowicie i nieodwracalnie, zadając najsilniejszy cios, jaki w życiu poczuła. Wyobrażała sobie, że będzie kochać go i cierpieć aż do kresu swoich dni.

— Sądzę, że oboje musimy powoli przyzwyczajać się do podobnych sytuacji — odparła rzeczowo, zdobywając się na lekki ton. — Będzie wiele wydarzeń na tyle ważnych dla naszych dzieci, że po prostu musimy założyć, iż ich nie zbagatelizujemy.

Pierwsza z tych konfrontacji była zresztą szczególnie trudna, bo odbywała się niemal z półdystansu, miała długo trwać i toczyła się na obcym terenie, co nie pozwalało Paris wrócić do znajomego schroniska — własnego domu, żeby wylizać rany. Hotel to zdecydowanie nie to samo. Peter w milczeniu skinął głową, a Paris oczyma duszy ujrzała ciągnącą się przed nimi bezkresnie wstęgę przyszłości. W tej przyszłości Peter miał przy sobie Rachel, ona zaś była sama.

Peter przysiadł na stojącej obok ławce, przynaglając w myślach Wima. To samo zresztą czyniła Paris. Stopniowo zaczęło go ogarniać zdenerwowanie i niemal wił się w udrękach, ilekroć Paris spoglądała na niego kątem oka.

— Dobrze się czujesz? — zapytał wreszcie. Otworzyła oczy; w przeciągających się chwilach milczenia

wystawiała twarz do słońca, daremnie usiłując nie odczuwać każdą komórką swego ciała bliskości Petera. Prawie niepowstrzymany impuls popychał ją, żeby wstać i albo paść mu w ramiona, albo do stóp. Jak to możliwe, że ktoś, z kim spędziło się połowę życia, pewnego ranka po prostu odchodzi? W umyśle Paris to pytanie nie znajdowało nawet przybliżonej odpowiedzi.

— Doskonale — odparła cicho, niezupełnie pewna, o co mu chodzi: samopoczucie w tej chwili, kiedy czekają na Wima, czy też samopoczucie w ogóle? Wołała nie prosić o uściślenie.

— Bo niepokoję się o ciebie — stwierdził wbijając wzrok w czubki swoich butów. Nie miał odwagi patrzeć Paris w oczy, bo była w nich cała udręka, jaką jej sprawił.

Przypominały tafelki potłuczonego zielonego szkła. — To było trudne dla nas obojga — dodał nieszczerze po kilku sekundach.

— Ale tego właśnie chciałeś, prawda? — spytała szeptem, zanosząc w duchu modły, by zaprzeczył. Miał po temu, jak uznała, ostatnią okazję.

— Tak. — Wypluł to słowo niczym kamyk, który uwiązał mu w gardle. — Tego chciałem. Co wcale nie znaczy, że było mi łatwo. Wyobrażam sobie, co ty musiałaś czuć.

Trzeba przyznać, że w tym momencie jego smutek i troska sprawiały wrażenie szczerych.

— Nie, nie potrafisz sobie tego wyobrazić. Ja też nie potrafiłam, dopóki się to nie stało. To coś gorszego niż śmierć. Czasem ułatwiam sobie życie kłamstwem, że umarłeś, bo wtedy nie zadręczam się pytaniami, gdzie jesteś i dlaczego odszedłeś — oświadczyła z bolesną otwartością. Dlaczego jednak nie miałyby się na nią zdobyć? W tym momencie nie było już nic do stracenia.

— Z czasem będzie ci lżej — szepnął Peter. W tym samym momencie los posłał im w sukurs Wima, który zasapany i spocony gnał w ich stronę alejką. Przez mgnienie Paris żałowała, iż syn pojawił się akurat teraz, natychmiast jednak poczuła ulgę. Usłyszała już wszystko, czego pragnęła się dowiedzieć, Peter trwał stanowczo przy swej decyzji i miał do

zaoferowania tylko współczucie. Paris natomiast nie zależało na jego litości, lecz na sercu. Gdyby rozmowa potrwała dłużej, skończyłaby się zapewne fatalnie.

Kilka minut później pomagali wprowadzać się Wimowi do jego nowego domu: Paris zajęła stanowisko przy łóżku, rozpakowując przyniesione już bagaże, podczas gdy Peter z synem taszczyli na trzecie piętro kolejne pudła, kufer podróżny, mały zestaw stereo, komputer i rower; gdy dostarczyli jeszcze wypożyczoną w administracji małą lodówkę i kuchenkę mikrofalową, Wim miał wszystko, co mogło się okazać niezbędne. Z robotą uporali się do czwartej; do tego czasu w pokoju pojawili się dwaj współlokatorzy Wima, kiedy zaś zbierali się do wyjścia, nadszedł trzeci. Wszyscy —dwóch było z Kalifornii, a jeden z Hongkongu — sprawiali wrażenie zdrowych, porządných i sympatycznych chłopaków. Zdawali się tworzyć zgraną paczkę. W drodze na dół zmęczony Wim zerkał nieustannie na równie zmęczoną matkę. Mieli za sobą długi dzień przepełniony emocjami. Paris nie tylko wyprawiała tego dnia syna w świat, lecz również musiała znosić obecność Petera, co z całą mocą uświadamiało jej podwójną stratę. Potrójną, jeśli wziąć pod uwagę Meg. Traciła wszystkich, którzy cokolwiek znaczyli w jej życiu: dzieci znikwały z jej codziennego życia, Peter — na dobre.

Kiedy dotarli do holu, zdominowanego przez ogromną tablicę ogłoszeń wypełnioną dziesiątkami ulotek, zaproszeń i anonsów, Peter, któremu Wim obiecał tego dnia wspólny obiad, spojrział na Paris i zapytał wspaniałomyślnie:

— Miałabyś może ochotę wybrać się z nami? Pokręciła głową i odrzuciła z czoła kosmyk włosów, zanim

uległ pokusie, by zrobić to za nią. W dzinsach, trykocie i sandałach sprawiała na Peterze wrażenie dziewczyny nie starszej niż te wszystkie, które widział obok pobliskiego akademika. Na moment oblała go fala wspomnień.

— Dzięki, nie. Padam z nóg. Chyba po prostu wrócę do hotelu i wezmę masaż — odparła, chociaż i na to nie miała sił. A już wieczór spędzony naprzeciwko Petera albo, co gorsza, obok niego był po prostu wykluczony. Patrząc na kogoś, kogo utraciła, mogłaby tylko płakać. Chciała oszczędzić tego i Peterowi i Wimowi. — Zobaczę się z Wimem jutro. Ty też przyjdiesz?

Pokręcił głową.

— Jutro po południu muszę być w Chicago, wyruszam więc skoro świt. Ale jest chyba nieźle urządzony i przypuszczam, że jutro o tej samej porze nie będzie chciał mieć z nami nic wspólnego. Wyrwał się na swobodę i już go nie dogonimy — powiedział z uśmiechem. Był równie jak Paris dumny z ich syna.

— Pewnie masz rację — odparła z uśmiechem, zdecydowanie jednak smutnym. To rozstanie, nieuchronne czy nie, > przepełniało ją bólem. — Dzięki za pomoc w noszeniu. Kiedyśmy się pakowali, było tego wszystkiego znacznie mniej. Widać urosło podczas lotu.

— Takie rzeczy się nie zdarzają. Pamiętasz, jak wieźliśmy Meg do Vassar? W życiu nie widziałem tyle bagażu

— przypomniał. Meg zabrała nawet dywan, zasłony i tapetę, którą następnie poleciła mu przypiąć do ścian pistoletem tapicerskim. Na szczęście odziedziczyła po matce gust i jej aranżacja wnętrza przypadła do gustu współlokatorce, niemniej jednak Peter nigdy się tak nie naharował. Zwłaszcza wieszanie zasłon w taki sposób, by zyskały aprobatę Meg, było wręcz upiorne. — A nawiasem mówiąc, co się z tym stało? Nie pamiętam, żeby te wszystkie manele wróciły do domu.

— Odsprzedała je pierwszorocznej, kiedy kończyła college.

Peter skinął głową i patrzyli na siebie przez długą chwilę, Straciło wagę tyle ich wspólnych wspomnień, stały się czymś na kształt starych ciuchów, cichutko murszejących na strychu. Wspomnienia miały teraz murszeć na strychach ich serc, małżeństwa, które obróciło się w nicość. Paris szła w tych porównaniach dalej, postrzegając całe dotychczasowe życie jako śmieć lekceważąco wepchnięty do pojemnika. Wszystkie te drobiazgi, pielęgnowane kiedyś, kochane i do kogoś należące, traciły oto swój dom. I ona wraz z nimi

— odrzucona, zapomniana, niekochana. Przygnębiająca myśl.

— Uważaj na siebie—powiedział z powagą Peter, a potem dodał coś, co chodziło mu po głowie przez cały dzień: — Ale naprawdę uważaj. Strasznie ostatnio schudłaś. — Gdy nie wiedząc, co odpowiedzieć, skinęła tylko głową i odwróciła wzrok, aby nie mógł zobaczyć łez w jej oczach, mruknął jeszcze: — Dzięki, że pozwoliłaś mi tu dzisiaj przyjechać.

— Cieszę się, że przyjechałeś — odparła. — Bez twojej obecności ten dzień byłby dla Wima znacznie uboższy.

Potem wsiadła do vana i odjechała, nie spojrzawszy już na Petera ani razu. On natomiast długo odprowadzał ją wzrokiem. Wierzył w słusność swojego wyboru, niekiedy zresztą doznawał z Rachel wręcz niewysłowionego szczęścia. Ale bywały też chwile, gdy uświadamiał sobie, że zawsze będzie tęsknić za Paris. Była naprawdę wyjątkową kobietą. Miał nadzieję, że pewnego dnia zapomni o krzywdzie, którą jej wyrządził. Podziwiał jej godność, odwagę i wielkoduszność, na jaką z pewnością sobie nie zasłużył.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kiedy nazajutrz Paris zjawiała się w akademiku, Wim akurat wychodził z dwójką nowych kolegów; miał do załatwienia tyle najrozmaitszych spraw, że Paris uświadomiła sobie po kilku minutach, iż lada chwila zacznie mu przeszkadzać. Jej misja została spełniona, czas było uciekać.

— Chcesz dziś ze mną iść na kolację? — zapytała z nadzieją, ale tylko zrobił zakłopotaną minę i pokręcił głową.

— Nie mogę, przepraszam, mam. Wieczorem jest zebranie w sprawie zajęć wf.

Paris wiedziała, że Wim pragnie się dostać do grupy pływackiej, przez cały ogólniak był w reprezentacji szkoły.

— Trudno, kochanie. No więc chyba wyruszę do Los Angeles, żeby spotkać się z Meg. Dasz sobie radę?

Niemal pragnęła, aby w tej chwili — tak samo jak wtedy gdy odwoziła go na kolonie — zarzucił jej ramiona na szyję i zaczął błagać, żeby nie odjeżdżała, ale... ale był już dużym chłopcem, zdolnym do samodzielnych lotów. Długo tuliła go ze wszystkich sił, on zaś obdarzył ją uśmiechem, którego nigdy, nie miała zapomnieć.

— Kocham cię, mam — wyszeptał. — Uważaj na siebie, I dziękuję za wszystko.

Chciał podziękować również za wczorajszy dzień, który zgodziła się spędzić z Peterem mimo całego zła, jakie jej wyrządził, ale nie bardzo wiedział, jak się do tego zabrać. Gdy podczas wspólnej kolacji ojciec wyrażał się o Paris z wielkim szacunkiem, Wim o mały włos byłby zapytał, dlaczego w takim razie ją porzucił. Nie rozumiał tego i właściwie nie chciał wiedzieć. Pragnął tylko, by oboje byli szczęśliwi, szczególnie matka. Czasem sprawiała wrażenie tak kruchej.

— Ja też cię kocham... i baw się dobrze — powiedziała.

Kiedy wyszli z pokoju, pomachał jej na pożegnanie i zbiegł na dół, Paris zaś schodziła powoli, pogrążona w zadumie. W pewnym momencie nawiedziła ją przelotna myśl, że

dobrze byłoby znów być młodą i zaczynać wszystko od początku. Czy jednak cokolwiek zrobiłaby w takim wypadku inaczej? Nawet dysponując swoją dzisiejszą wiedzą, poślubiłaby Petera, urodziła Wima i Meg. Pominąwszy trzy ostatnie katastrofalne miesiące, nie żałowała w swoim małżeństwie niczego.

San Francisco kąpało się w jaskrawym słońcu, gdy wracała vanem do hotelu, żeby się spakować. Przez chwilę igrała z myślą, czyby — na wypadek ewentualnych przenosin — nie obejrzyć kilku nieruchomości, doszła jednak do wniosku, że nie ma na to nastroju. Teraz, gdy pożegnała jedno ze swoich piskląt, czekała niecierpliwie na spotkanie z następnym. Zarezerwowała lot na trzecią, zamówiła taksówkę, zwróciła w recepcji kluczyki wozu, który wypożyczyła za pośrednictwem hotelu, i już o wpół do drugiej jechała na lotnisko. W Los Angeles miała być o czwartej, obiecała więc Meg, że odbierze ją z pracy. Tę noc zamierzała spędzić u córki, co było rozwiązaniem zdecydowanie bardziej zachęcającym niż nocleg w hotelu.

Podczas lotu znów rozmyślała o Peterze — o tym, jak wyglądał, co mówił. Przebrnęła jakoś przez to spotkanie, nie pozwoliła się poniżyć, nie wprawiła w zażenowanie Wima. Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, całkiem nieźle dała sobie radę. Będzie o czym pogadać z Anną Smythe. W końcu zamknęła oczy i drzemała aż do momentu lądowania.

Natychmiast po wyjściu z samolotu pojęła, że jest w tętniącej życiem metropolii, nie zaś w prowincjonalnej dziurze rodzaju San Francisco czy też akademickiej enklawie pokroju Berkeley. Atmosfera Los Angeles, nawet ta, jaką wyczuwało się na lotnisku, przypominała Nowy Jork, tyle że tu było cieplej i ludzie nosili się mniej obowiązuco. Z miejsca poczuła się przyjemnie. Potem wystarczył jej jeden rzut oka na wytwórnię filmową, by zrozumiała, dlaczego Meg tak uwielbia swoją pracę, choć jest to praca zupełnie szalona. Działo się tysiąc rzeczy naraz: wyelegantowani, ufryzowani i ucharakteryzowani aktorzy miotali się po planie gorączkowo, zgłaszając coraz to nowe żądania, technicy z girlandami przewodów na szyjach rozsuwali pajęczynę świateł, operatorzy zaś wrzaskliwie udzielali im wskazówek. Na szczęście chwilę później reżyser ogłosił fajrant i Meg mogła wyjść.

— Rany! Czy tak to wygląda codziennie? — westchnęła Paris zafascynowana tym całym kontrolowanym chaosem.

— Nie — roześmiała się beztrudno Meg. — Zwykle znacznie gorzej. Dziś mieliśmy na planie ledwie połowę obsady.

— Niesamowite — stwierdziła Paris.

Jej córka sprawiała wrażenie szczęśliwej i wyglądała naprawdę pięknie. Bardzo zresztą przypominała matkę, bo miały podobne rysy i takie same długie włosy blond. Teraz szczupłutką, a przez to jeszcze bardziej młodzieńczą Paris nietrudno było wziąć za siostrę jej własnej córki; tak właśnie powiedział uśmiechnięty oświetleniowiec, który mijając je, usłyszał, jak Meg mówi do Paris „mamo”.

Również mieszkanie Meg w Malibu przypadło Paris do gustu: niewielkie, bo zaledwie dwupokojowe, było jednak z widokiem na plażę i znajdowało się w prześlicznej okolicy. Meg mogła się tu przeprowadzić z jeszcze mniejszego w Venice Beach dzięki podwyżce pensji i comiesięcznemu kieszonkowemu od rodziców, którzy nie chcieli, by mieszkała w dzielnicy niebezpiecznej bądź też cieszącej się dwuznaczną reputacją. Paris doszła do wniosku, że chętnie osiadłaby tu sama, i ta refleksja znów skłoniła ją do rozmyślań o ewentualnej przeprowadzce do Kalifornii.

— Oglądałaś jakieś domy w San Francisco? — zapytała Meg, nalewając do szklanek mrożoną herbatę z karafki, którą trzymała w lodówce. Siedziały na małym balkoniku, rozkoszując się ostatnimi tego dnia promieniami słońca.

— W gruncie rzeczy nie miałam czasu — odparła wykrętnie Paris, którą przecież powstrzymał od tego melancholijny nastrój i chęć jak najszybszego spotkania córki. Wciąż przygnębiona w chwili przylotu, teraz czuła się zdecydowanie lepiej.

— Jak poszło z tatą? — zapytała Meg rozwiązując włosy, które upinała do pracy w koński ogon. Gdy — jeszcze dłuższe niż włosy matki — rozsypały się na plecach, Meg znów wydała się Paris małą dziewczynką, choć w gruncie rzeczy była piękną kobietą, nie ustępującą pod względem urody wielu aktorkom. Nosila swój mundur służbowy: bluzeczkę na ramiączkach, džinsy i adidas. — Zachował się przyzwoicie?

Z telefonicznej relacji Wima wiedziała, że tak, Wim jednak, jako osiemnastolatek, mógł przegapić pewne niuanse.

— Nie było źle — odparła ze znużeniem Paris, upijając łyk mrożonej herbaty. — Zachowywał się uprzejmie, a jego przyjazd dobrze Wimowi zrobił.

— Czy tobie również?

Paris westchnęła. Z Meg jak zawsze mogła mówić zupełnie szczerze, bo w równym stopniu jak matka i córka były przyjaciółkami. Ominął je nawet kryzys towarzyszący zwykle dojrzewaniu młodych dziewcząt: Meg w każdym momencie umiała zachowywać się rozsądnie i była gotowa poruszać w rozmowie nawet te tematy, które u większości jej rówieśniczek wywoływały jedynie bunt i zgrzytanie zębami. Miały więc rację te z przyjaciółek Paris, które utrzymywały, że jest wyjątkowo szczęśliwą matką. Była; szczególnie teraz, bo nikt nie okazał się po odejściu Petera równie pomocny jak Meg. Meg — już kobieta, ktoś więc, z czyimi opiniami należy się liczyć. I Paris traktowała zdanie córki z największą powagą.

— Tak z ręką na sercu, było mi ciężko. Nic się nie zmienił, w głębi ducha więc wciąż widzę w nim swojego męża, którym zresztą formalnie nadal jest. Trudno przyjąć do wiadomości, że całkowicie zniknął z mojego życia. Jemu zapewne też. Ale tego właśnie chce, niedwuznacznie to potwierdził. Nie wiem, co się właściwie stało, choć bardzo chciałabym wiedzieć. Chciałabym wiedzieć, co nawaliło, w którym momencie zawiodłam, co zrobiłam lub czego nie zrobiłam... zapewne jednak coś zrobiłam. Bo człowiek nie wstaje po prostu pewnego dnia z łóżka i nie znika z domu. A może znika. Nie wiem... chyba nigdy tego nie zrozumieć. I nigdy się z tym nie uporam.

— Byłaś bardzo dzielna, pozwalając mu przyjechać do Berkeley — stwierdziła z podziwem Meg. Uważała, że matka stawia czoło rozwodowi z wielką godnością, co zresztą zdaniem Paris było jedynym wyjściem. Nie potrafiła znienawidzić Petera, wiedziała, że musi jakoś przez to przejść — za wszelką cenę. W tej chwili tę cenę stanowiła cała odwaga, jaką potrafiła z siebie wykrzesać.

- Dobrze zrobił, że przyjechał. Sprawił Wimowi wiele radości — odparła Paris, a potem obszernie opowiedziała córce o kampusie w Berkeley, akademiku i współmieszkańcach Wima. — Trudno mi było się z nim rozstać. A jeszcze trudniej będzie wracać do Greenwich. We wrześniu zacznę trochę pracować jako wolontariuszka.

— Nadal sądzę, że twoja psychoterapeutka ma rację i powinnaś się stamtąd wyprowadzić.

— Może — stwierdziła z zadumą, lecz bez przekonania Paris. — No a co u ciebie? Jaki jest ten twój nowy chłopak? Przystojny?

Meg roześmiała się na całe gardło.

— Chyba tak, choć ty możesz być innego zdania. To rodzaj wolnego ducha. Urodził się w hipisowskiej komunie w San Francisco, dorastał na Hawajach. Nieźle się dogadujemy. Przyjdzie później, na kolację. Uprzedziłam go, że chcę przedtem spędzić z tobą trochę czasu sam na sam.

— Jak ma na imię? Chyba mi jeszcze nie mówiłaś. Istotnie, w obliczu wszystkiego, co się ostatnio zdarzyło

niewiele poświęciły uwagi nowej sympatii Meg.

— Peace.

— Peace? — powtórzyła zaskoczona Paris. Meg parsknęła śmiechem.

— Tak, wiem. Ale właściwie do niego pasuje. Peace! Jones. To świetne nazwisko, jakiego się nie zapomina. Chce grać w filmach walki, ale na razie ugrzązł w horrorach. Ma fantastyczną prezencję. Jego matka jest Euroazjatką, ojciec był czarny. Niesamowicie egzotyczna mieszanka, wyobraź sobie kogoś w rodzaju Meksykanina z wielkimi skośnymi oczyma.

— Brzmi interesująco — stwierdziła Paris, czyniąc usilne starania, by zachować szerokie horyzonty myślenia. Nawet jednak najszersze horyzonty nie przygotowałyby jej na Peace'a Jonesa we własnej osobie, wszystko bowiem, co powiedziała o nim Meg, było prawdą, tyle że nie powiedziała całej prawdy. Egzotycznie urodziwy i posągowo zbudowany, co doskonale podkreślał obcisły golf i takież dzinsy, przyjechał motocyklem, którego ryk niósł się na mile wokół, następnie zaś przemaszzerował przez beżowy dywan Meg, przy czym jego firmowe buciory Harley-Davidson pozostawiły sznurek czarnych śladów. Meg nie zwróciła na to najmniejszej uwagi, patrzyła na swojego chłopaka jak w obraz. Po półgodzinnej rozmowie Paris ogarnęła panika, Peace Jones bowiem bez zahamowań mówił o wszystkich narkotykach, które jako nastolatek brał na Hawajach — Paris zresztą nie znała nazw połowy z nich

- i bagatelizował wszelkie podejmowane przez Meg próby zmiany tematu. Potem oznajmił, że przestał ćpać, kiedy wziął się na serio do sztuk walki. Miał w karate czarny pas, ćwiczył cztery godziny dziennie, jeśli nie pięć. Przepelnione natomiast macierzyńską troską pytanie Paris o college, w którym pobierał nauki, skwitował niemądrą miną i wyznaniem, że regularnie przeprowadza sobie analizy, żeby utrzymać organizm w czystości, i jest na diecie makrobiotycznej. Obsesja na punkcie własnego zdrowia sprawiła więc przynajmniej, że odstawił narkotyki i alkohol; jego ciało stanowiło dlań jedyny godny uwagi temat rozmów. O Meg wypowiadał się z tak poetyckim uniesieniem, że zyskał w oczach jej matki niewielki punkt. Było oczywiste, że za nią szaleje i że niebawem pociągają się fizycznie: kiedy całował Meg na pożegnanie, mogło się zdawać, iż z pokoju zostało wyssane całe powietrze. Meg odprowadziła go do drzwi, a kiedy wróciła, roześmiała się na widok wyrazu twarzy matki. Milczenie Paris było wymowne.

— Daj spokój, mamo, nie panikuj — powiedziała Meg.

— Podaj mi jeden solidny powód, który mnie od tego powstrzyma.

— Nie zamierzam za niego wychodzić, to po pierwsze. Po prostu dobrze się razem bawimy.

— O czym wy ze sobą rozmawiacie? To znaczy, o czym poza lewatywami z ziół i programami treningowymi? — zapytała Paris, wprawiając córkę w paroksyzm śmiechu. — Choć są to, przyznam, tematy fascynujące. Na rany boskie, Meg... kim on właściwie jest?

— Po prostu sympatycznym facetem, którego poznałam i Uroczym. A rozmawiamy na ogół o branży filmowej. Jest uczciwy, nie ćpa, nie jest alkoholikiem na odwyku, jak większość tych typków, których poznawałam po przyjeździe do Los Angeles. Nie masz pojęcia, jak ryzykowne jest w tym mieście romansowanie, bo albo poznasz czubków, albo nieudaczników.

— To przygnębiające, że taki ktoś może zostać zakwalifikowany jako nieczubek. Choć przyznam, że jest uprzejmy i traktuje cię dobrze. Meg, czy potrafisz wyobrazić sobie, jaką minę zrobiłby na jego widok twój ojciec?

— Takie spotkanie po prostu odpada. Chodzimy ze sobą od niedawna i pewnie nie pochodzimy długo. Mam ochotę trochę poszaleć, a jego dieta narzuca mu wiele ograniczeń. Nie znosi klubów i restauracji, chodzi spać o wpół do dziewiątej.

— To istotnie mało zabawne — zgodziła się Paris.

— Poza tym to strasznie pobożny facet. Jest buddystą — oznajmiła Meg.

— Po matce?

— Nie, matka jest wyznania mojżeszowego. Przeszła na nie, kiedy poślubiła jakiegoś aparata z Nowego Jorku. Z powodu karate.

— Chyba za tym wszystkim nie nadążam, Meg. Jeśli tak to tutaj wygląda, zostaję w Greenwich.

— Ale San Francisco to miasto znacznie bardziej konserwatywne. Poza tym mieszkają w nim sami geje — stwierdziła Meg.

Żartowała, choć w jej słowach było sporo prawdy: niemal wszystkie jej przyjaciółki z San Francisco uskarżały się, że każdy poznany chłopak jest ładniejszy od nich.

— Teraz mnie pocieszyłaś. I chcesz, żebym tam zamieszkała? Cóż, przynajmniej znajdę bez trudu przyzwoitego fryzjera, jeśli postanowię kiedyś obciąć włosy.

Meg pogroziła jej palcem.

— Wstydź się, mamó. Mój fryzjer jest hetero. Ale geje rządzą światem. — Potem już poważniejszym tonem dodała:

- Uważam, że San Francisco przypadnie ci do gustu. Mogłabyś zamieszkać w okręgu Marin, który przypomina Greenwich i tylko ma lepszy klimat.

— No nie wiem, kochanie. W Connecticut mam przyjaciół, mieszkam tam od zawsze — powiedziała Paris niepewnym głosem. Myśl o przenosinach z tego tylko powodu, że zostawił ją Peter, przejmowała lękiem, pociągała natomiast bliskość dzieci. Kalifornia, idealna może dla kogoś takiego jak Meg, wydawała się innym światem, światem, do którego czterdziestokilkuletniej kobiecie trudno będzie przywyknąć.

— Jak często spotykasz się z tymi przyjaciółmi? — zapytała zaczepnie Meg.

— Niezbyt często — wyznała Paris. — No dobra, wcale. Chwilowo. Ale kiedy wszystko się uspokoi, kiedy pogodzę się z nową sytuacją, znowu zacznę bywać. Na razie po prostu nie mam na to nastroju.

— Czy w gronie twoich znajomych są wolni mężczyźni? — kontynuowała przesłuchanie Meg.

Paris zastanawiała się przez chwilę. — Chyba nie. Wolni, wdowcy lub rozwiedzeni zwykle przenoszą się do miasta. Nasza społeczność jest raczej rodzinna.

— Sama widzisz. No więc jak zamierzasz rozpocząć nowe życie, mając wokół tylko żonatych facetów, których znasz od lat? Z kim się będziesz umawiać, mamó?

Było to ważne pytanie, Paris jednak nie zamierzała odnieść się do niego konstruktywnie.

— Wcale nie zamierzam, nadal jestem mężatką.

— Jeszcze tylko przez trzy miesiące. I co potem? Przecież nie możesz żyć samotnie po kres swoich dni — stwierdziła z mocą Meg. Paris odwróciła oczy.

— Mogę — odparła z uporem. — Szczególnie jeśli tym, na co mogę liczyć, jest starsze pokolenie Peace'ów Jonesów.

W takim wypadku naprawdę wolę zostać sama. Ostatnio umówiłam się z mężczyzną jako dwudziestolatka i nie zamierzam teraz rozpoczynać na nowo. To by było żenujące.

— Nie możesz w wieku czterdziestu sześciu lat rezygnować z życia, mamó. To czyste szaleństwo — zaproponowała Meg, a gdy Paris powtórzyła argument o „starszym wydaniu Peace'a Jonesa” i oświadczyła, że wolałaby stos niż związek z kimś takim, powiedziała stanowczo: — Przestań się wreszcie nim podpierać, bo dobrze wiesz, że stanowi wyjątek. Jest wielu dojrzałych, szacownych mężczyzn, którzy rozwiedli się lub owdowieli i teraz szukają nowego związku. Mężczyzn równie samotnych jak ty. — Problem Paris jednak polegał nie tylko na tym, że była samotna: miała również złamane serce. Nie pogodziła się jeszcze z utratą Petera i wierzyła, że nigdy się nie pogodzi. — Przynajmniej bierz taką możliwość pod uwagę. I rozważ ewentualne przenosiny do Kalifornii. Nie posiadałabym się ze szczęścia, gdybyś się na nie zdecydowała.

— Ja też, kochanie — odrzekła Paris poruszona troską i entuzjazmem córki. — Ale przecież i bez tego mogę przylatywać tu częściej. Na przykład raz w miesiącu, na cały weekend.

Tyle że Meg bywała zajęta i w weekendy, miała przecież własne życie. W końcu takie życie będzie mieć również Paris; | na razie tylko nie była jeszcze do niego gotowa.

Wspólnie przyrządziły kolację w małej przytulnej kuchence, potem zaś położyły się spać do jednego łóżka. Nazajutrz Paris długo spacerowała po Rodeo Drive w Beverly Hills przyglądając się wystawom, a kiedy wróciła do mieszkania w Malibu, żeby poczekać na Meg, usiadła na balkonie w promieniach zachodzącego słońca i znów pogrążyła się w rozmyśleniach o swoim życiu. Nadal nie wiedziała, co z nim począć, zresztą chyba przestała się tym przejmować. Naprawdę nie zależało jej na znalezieniu nowego męża czy kochanka: , jeśli nie mogła odzyskać Petera, wolała samotność, towarzystwo swoich dzieci i przyjaciół. Myśl o zagrożeniu zdrowotnym, jakie niosą przelotne romanse, przepełniała ją zgrozą. Wspominała zresztą o tym swojej psychoterapeutce. O ileż prościej było żyć samotnie.

Tego dnia Meg miała na planie poważny problem i wróciła do domu dopiero o dziesiątej. Paris przygotowała dla niej kolację, a potem wgramoliła się do wspólnego łóżka, dziękując Opatrzności, że ma przy sobie drugą istotę ludzką, istotę dającą ciepło i ukojenie. Po raz pierwszy od wielu miesięcy spała lepiej. Rankiem zjadły na balkonie śniadanie: Meg musiała wrócić na plan przed dziewiątą, samolot Paris zaś odlatywał w południe.

— Będę za tobą tęsknić, mamó — powiedziała Meg, wychodząc z mieszkania. Uznała te dwa wspólnie spędzone dni za niezwykle udane, a poza tym Peace stwierdził, że Paris to babeczka z klasą. Gdy słowo w słowo powtórzyła tę opinię matce, Paris zaniósła się śmiechem i uniosła oczy ku niebu. Peace był egzemplarzem doprawdy dziwnym, lecz — miała nadzieję — nieszkodliwym. — Musisz niebawem znów mnie odwiedzić, nawet gdybyś nie wybierała się do Wima.

Równie dobrze jak matka zdawała sobie sprawę, że jej brat pragnie teraz zakosztować smaku niezależności.

Kiedy za Meg zamknęły się drzwi, Paris opłynęła fala smutku. Jej córka, kochająca wprawdzie i serdeczna, była dorosłą kobietą, miała odpowiedzialną pracę i wiodła aktywne życie. Nie było w nim, wyjąwszy okazjonalne spotkania, miejsca dla matki. Paris musiała teraz ułożyć jakoś swoje. Była samotna i samotną zamierzała pozostać. Pochlipywała, pisząc dla Meg liścik z pożegnaniem i podziękowaniami. Smutek nie opuszczał jej podczas jazdy na lotnisko i lotu do Nowego Jorku. A kiedy wkroczyła do cichego domu w Greenwich, pustka eksplodowała wokół niej jak bomba. Nie było tu nikogo — ani Wima, ani Meg, ani Petera. Tego nie dało się dłużej ukrywać. Paris była zupełnie sama; pękało jej serce, gdy leżąc tego wieczoru w łóżku przypominała sobie, jak bliski i przystojny wydawał się jej w Kalifornii Peter. Sytuacja była beznadziejna. Kiedy zapadała w sen w ich niegdyś wspólnym łóżku, rozpacz ścisła ją za gardło z taką mocą, że wydawało się, iż całkowicie odetnie dopływ powietrza do płuc. Paris trudno było uwierzyć, że mimo wszystko może przetrwać. Gdy tak samotnie leżała w łóżku, miała wrażenie, że odeszli od niej wszyscy, których w życiu kochała.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Po powrocie Paris z Kalifornii sesje u Annę Smythe z tygodnia na tydzień stawały się trudniejsze: terapeutka mocniej przyciskała Paris do muru, zmuszała do głębszego wejrzenia w siebie, wywlekała coraz boleśniejsze sprawy. Paris płakała podczas każdego spotkania, zwłaszcza że praca wolontariuszki w Stamfordzie wprawiała ją w stan permanentnego przygnębienia. Z oślim uporem broniła się przed życiem towarzyskim w jakiegokolwiek formie: nigdzie nie bywała i z nikim się nie spotykała, jeśli nie liczyć okazjonalnych lunchów z Natalie i Virginią. Ostatnio zresztą spostrzegła, że coraz więcej zaczyna je różnić, choć bowiem ich dzieci równie wyfrunęły lub wyfruwały z domu, obie miały mężów, którzy wypełniali swą obecnością dzień i noc, a poza tym masę zajęć i obowiązków. Paris to wszystko nie było dane, pozostały jej tylko telefony do Wima i Meg. A jednak, indagowana przez Annę, twierdziła stanowczo, że zostaje w Greenwich, bo tu jest jej miejsce.

— A co z ewentualną pracą? — zapytała kiedyś Annę. Paris bezradnie rozłożyła ręce.

— Na czym miałyby polegać? Na układaniu kompozycji kwiatowych? Wydawaniu przyjęć? Wożeniu dzieci do szkoły? Przecież właściwie niczego nie umiem.

— Masz magisterium z zarządzania — przypomniała surowym tonem terapeutka, która z wielką regularnością poddawała Paris różnym torturom. Paris uwielbiała ją za to, to znów nienawidziła, w sumie jednak więzy przyjaźni zacieśniały się pomiędzy obiema kobietami coraz mocniej.

— Nie potrafiłabym zarządzać przedsiębiorstwem, nawet gdyby zależało od tego moje życie — odparła Paris. — Na studiach opanowałam tylko teorię, nie mam żadnych praktycznych doświadczeń. Chyba że jako żona i matka.

— To ci się chwali, teraz jednak przyszedł czas na coś innego.

— Nie chcę robić niczego innego — burknęła Paris. Wyglądała jak naburmuszona dziewczynka, kiedy osunęła się w krzesło i skrzyżowała ręce na piersiach.

— Czy jesteś zadowolona ze swojego życia, Paris? — zapytała cicho Annę.

— Nie jestem. Nienawidzę każdej minuty.

- A zatem twoja praca domowa polega na tym, żeby określić, co lubisz robić. Obojętne, w jakiej dziedzinie, obojętne: teraz czy kiedyś, byleby sprawiało ci to prawdziwą frajdę. Robienie na drutach, haftowanie, hokej, pichcenie, fotografia, pacynki, malarstwo. Cokolwiek. Ty decydujesz. Dajmy sobie chwilowo spokój z pracą zawodową, poszukajmy jakiegoś zajęcia, które lubisz.

— Nie mam pojęcia, co lubię robić — odrzekła stropiona Paris. — Przez dwadzieścia cztery lata zajmowałam się innymi i nie miałam czasu na błahostki.

— Do tego właśnie zmierzam. Teraz zajmujemy się tobą. Twoimi rozrywkami. Wymyśl dwie rzeczy, które miałabyś ochotę robić, nawet jedną. I nie przejmuj się, jeśli uznasz ją za niemądrą bądź infantylną.

Kiedy po powrocie do domu usiadła z długopisem nad czystą kartką, w jej głowie zapanowała kompletna pustka i dopiero później, leżąc w łóżku, uświadomiła sobie, że coś, co powiedziała tego dnia Annę Smythe, potrafiło w jej sercu znajomą strunę. Hokej. Wtedy doznała olśnienia: jazda na łyżwach. Uwielbiała ją w dzieciństwie, mogła godzinami obserwować wirujące na lodowisku pary łyżwiarzy. Trzy dni później triumfalnie wmaszerowała do gabinetu Annę, z którą nadal widywała się dwa razy tygodniowo, bo nie czuła się jeszcze na siłach, by zredukować sesje do jednej.

— No dobra, coś znalazłam — oświadczyła z trochę niepewnym uśmiechem. — Łyżwiarstwo. Przepadałam zanim w dzieciństwie, później zabierałam na łyżwy Meg i Wima.

— A więc twoje zadanie polega na tym, żeby jak najszybciej wybrać się na lodowisko. Chcę usłyszeć następnym razem, że jeździłaś na łyżwach i świetnie się bawiłaś.

Paris czuła się wręcz idiotycznie, gdy w niedzielę wyszła na taflę Lodowiska Dorothy Hamill w Greenwich — z powodu wczesnej pory było tam zaledwie kilku chłopaków w hokejówkach i dwie zdumiewająco sprawne starsze panie — ale już pół godziny później naprawdę bawiła się doskonale; tak doskonale, że w czwartek rano ponownie wybrała się na łyżwy, a nawet, ku własnemu zdumieniu, zaangażowała instruktorkę, żeby ta nauczyła ją kręcenia piruetów. Łyżwiarstwo błyskawicznie stało się jej ulubioną rozrywką, inne jednak nadal nie wchodziły w grę: od rozstania z Peterem nie była w restauracji, na przyjęciu ani w kinie. Oświadczyła Annę, iż udział w życiu towarzyskim byłby dla niej zbyt zawstydzający, skoro wszyscy wiedzą, co ją spotkało, a samotne chodzenie do kina tylko pogłębiłoby jej depresję. Tak więc pozostawały jedynie łyżwy. Wim i Meg byli pod wrażeniem jej umiejętności, gdy w Święto Dziękczynienia przed południem namówiła ich na wspólną wyprawę na lodowisko. Wim stwierdził, że jest z niej dumny, Meg zaś oświadczyła z podziwem:

— Wyglądasz jak Peggy Fleming, mamo.

— Przesadzasz, kochanie, ale dziękuję.

Ślizgali się w trójkę prawie do dwunastej, potem wrócili do domu na indyka, który podczas ich nieobecności dochodził w piecu, chociaż jednak Paris była szczęśliwa z powodu odwiedzin dzieci, i one sprawiały wrażenie, że są rade mogąc spędzić w domu kilka dni, wszyscy czuli na sobie przytłaczające brzemienie zmian, jakie nastąpiły w ciągu upływającego roku. Nazajutrz wieczorem Meg i Wim byli umówieni z Peterem na kolację; też miał ochotę spędzić z nimi Święto Dziękczynienia, uznał jednak, że z pewnością będą woleli tego dnia gościć u matki.

W piątek po południu pojechali do miasta kolejką, padał bowiem śnieg i żadne nie miało ochoty na prowadzenie auta

w takich warunkach. Peter, pragnąc podkreślić zarówno wyjątkowość okazji, jak i swój gest, zaprosił ich do Le Cirque, Meg zatem nałożyła małą czarną swojej matki, Wim zaś — garnitur, który niespodziewanie dodał mu lat. Może zresztą istotnie dojrzał i wydorósł w ciągu trzech pierwszych miesięcy studiów.

Peter czekał na nich przed wejściem do restauracji — w eleganckim tenisie był tak dystyngowany i przystojny, że Meg nie potrafiła powstrzymać się od wygłoszenia pochlebnego komentarza. Oznajmił, że wziął dla nich pokoje w swoim hotelu, dzięki czemu nie będą musieli wracać w nocy, lecz dopiero jutro rano pojedą do Greenwich. Paris znała ten plan i akceptowała go, ani przez chwilę bowiem nie zakładała, iż zmonopolizuje cały czas swoich dzieci, które przecież miały nie tylko mieszkających osobno rodziców, lecz również masę starych przyjaciół. Zarówno Meg, jak i Wim widzieli się z nimi po obiedzie świątecznym, poza tym mieli rozległe plany towarzyskie na sobotni wieczór. Na Zachodnie Wybrzeże oboje wracali w niedzielę rano.

Meg odniosła z początku wrażenie, że ojciec jest trochę spięty — przynajmniej kiedy zwracał się do niej, bo z Wimem szło mu nieco lepiej — chociaż podtrzymywanie rozmowy nigdy nie było jego specjalnością i zawsze w tym zdawał się na Paris.

Rozkrochmalił się jednak po kilku kieliszkach wina, a nawet zamówił na deser szampana.

Ujął tym Meg, lecz i trochę zadziwił.

— Świątujemy coś czy jak? — zapytała żartobliwie.

— Cóż, właściwie tak — odrzekł zakłopotany, przenosząc wzrok z jednego dziecka na drugie. — Chciałbym złożyć krótkie oświadczenie.

Meg najpierw przyszło do głowy, że kupił nowy dom albo mieszkanie, zaraz potem zaś — co byłoby naprawdę cudowne

— że zamierza wrócić do ich matki. W takim razie jednak zapewne zaprosiłby Paris, a tego nie uczynił. Peter odstawił kieliszek i znieruchomiał; mogło się zdawać, że czeka na werble. Ale po prostu denerwował się coraz bardziej, było ciężiej, niż oczekiwał.

— Żenię się — wypalił wreszcie.

Wim i Meg wbili weń oszołomione spojrzenia. Nie zwiastował tego komunikatu dotychczasowy przebieg rozmowy, bo Peter najzwyczajniej nie zdawał sobie sprawy, jak zaszkodzi swoim stosunkom z dziećmi, stawiając je przed faktem właściwie dokonanym.

— Żartujesz sobie, prawda? — zapytała Meg, której twarz w okamgnieniu zbielała jak płótno.

Wimowi natychmiast przyszła do głowy Paris i jej reakcja na nowinę.

— Czy mama już wie? — zapytał.

— Nie, jeszcze nie — odrzekł lekko spanikowany Peter. — Wy pierwsi się dowiadujecie. Uznałem to za najwłaściwsze.

Meg miała już całkowitą pewność, że to z powodu tej nieznaney im jeszcze kobiety ojciec porzucił matkę. Ale jak może myśleć o małżeństwie, skoro na razie nie ma rozwodu? Matka dotąd z nikim się nie umawiała, tkwiła całymi dniami w domu jak pustelniczka.

— Kiedy ją poznałeś? — zapytała rzeczowo, choć kręciło się jej w głowie i doznawała dziecinnej pokusy, by spoliczkować ojca i z krzykiem wybiec z restauracji. Opanowała się jednak, dochodząc do wniosku, że powinna wysłuchać wszystkiego, co Peter miałby jej do powiedzenia. Może poznał tę kobietę dopiero ostatnio? Ale w takim razie byłby szalony, planując od razu małżeństwo. Może istotnie zwariował?

— Od dwóch lat pracuje w mojej kancelarii. To sympatyczna, niezmiernie błyskotliwa młoda kobieta. Studiowała w Stanfordzie i na Harvardzie. Ma dwóch synów, pięcioletniego Jasona i siedmioletniego Thomasa. Sądzę, że ich polubicie.

Dobry Boże, pomyślała Meg, będziemy mieli przybranych braci. I wyczytała z oczu Petera, że ojciec mówi najzupełniej poważnie. Chwali mu się przynajmniej, iż okazał dość wyczucia, by nie przyprowadzić dzisiaj ze sobą tej kobiety. Pocieszające, że nie jest całkowicie wyzbyty elementarnej wrażliwości.

— W jakim wieku jest twoja pani? — zapytała Meg. Miał ściśnięty żołądek i wiedziała, że zapamięta ten dzień jako drugi z najgorszych w swym życiu. Okropniejszy był tylko ten, kiedy matka telefonicznie powiadomiła ją o odejściu ojca.

— W grudniu skończy trzydzieści dwa lata.

— Rany boskie, tato, jest dwadzieścia lat młodsza od ciebie.

— I zaledwie osiem starsza od Meg — uzupełnił grobowym tonem Wim. Przestał go bawić ten wieczór, pragnął tylko wrócić do matki — jak przerażone dziecko.

— Czy nie mógłbyś na razie tylko z nią chodzić? — zapytała bliska płaczu Meg. —

Dlaczego musisz żenić się tak szybko? Przecież jeszcze nie macie z mamą rozwodu.

Peter nie odpowiedział na te pytania: surowe spojrzenie, jakie wbił w córkę, zdawało się mówić, że niczego nie zamierza tłumaczyć ani usprawiedliwiać.

— Bierzemy ślub w sylwestra i chciałbym, żebyście oboje wzięli udział w uroczystości.

Przy stole na długą chwilę zapanowała cisza, a Wim i Meg tylko wpatrywali się w ojca. Do końca roku pozostawało zaledwie pięć tygodni.

- Planowałem imprezę z przyjaciółmi — bąknął wreszcie Wim, rozpaczliwie szukając wymówki. Wyraz twarzy ojca nie pozostawiał jednak złudzeń. Wyraz — co kiepsko świadczyło

o wyczuciu przez Petera nastroju jego dzieci — pryncypialny i srogi.

- Chyba w tym roku będziesz ją sobie musiał darować, Wim. To ważny dzień i pragnę, byś był moim świadkiem.

Wim miał w oczach łzy, gdy gorączkowo kręcił głową.

— Nie zrobię tego mamie, tato, złamałbym jej serce. Możesz zmusić mnie do przyjęcia, ale nie będę ci świadkował.

Peter milczał dłuższą chwilę, a potem skinął głową i spojrzał na Meg.

— Zakładam, że ty też się pojawisz? Przytaknęła równie załamana jak brat.

— Czy poznamy ją przed ślubem, tato? — zapytała łamiącym się głosem, a Peter uświadomił sobie, że dotąd nie powiedział dzieciom, jak się nazywa jego wybranka. Postanowił to szybko nadrobić.

— Rachel i ja zjemy z wami jutro śniadanie — oświadczył. — Rachel pragnie również, byście poznali jej synów. To cudowni chłopcy.

Meg dostawała mdłości: oto ojciec jednym posunięciem! fundował sobie nową rodzinę, a na dodatek chciał, żeby ona i Wim brali w tym cyrku udział. Może zresztą lepiej, że chciał, może byłoby jeszcze gorzej, gdyby ich nie zaprosił albo wręcz powiadomił po fackie?

— Gdzie odbędzie się uroczystość?

— W Metropolitan Club. Żadne z nas nie chce wielkiego wesela, więc przyjdzie najwyżej setka gości. Rachel jest żydówką, weźmiemy tylko ślub cywilny. Udzieli go nam sędzia, dobry znajomy Rachel.

To wszystko nie mieściło się w głowie, Meg czuła, że jest bliska ataku hysterii. Podobnie jak Wim potrafiła w tej chwili myśleć tylko o matce, jej bezgranicznej rozpacz... oby tylko nie samobójczych zapędach! Dziękowała Bogu, że są z Wimem w domu i mogą ją pocieszyć.

— Kiedy zamierzasz poinformować mamę? — zapytał Wim od kilku minut nie odezwał się ani słowem i tylko bawił się serwetką leżącą na jego kolanach.

— Jeszcze nie wiem — odrzekł wymijająco Peter. — Was chciałem powiadomić najpierw. I wtedy Meg zrozumiała jego taktykę: miał nadzieję, że to oni przekażą matce wieści. To na nich zwałą czarną robotę.

Peter zapłacił rachunek, w milczeniu wrócili do hotelu. Kiedy Wima i Meg oddzieliły wreszcie od ojca zamknięte drzwi dwupokojowego apartamentu, który dla nich wynajął rodzeństwo z płaczem padło sobie w ramiona, jak dwójka zbłąkanych nocą dzieci.

Potrzebowali długiej chwili, żeby się uspokoić.

— Jak to powiemy mamie? — zapytał bezradnie Wim.

— Nie wiem. Coś się wymyśli. Chyba po prostu powiemy

— Zapewne znów przestanie jeść — stwierdził ponuro.

— Miejmy nadzieję, że nie, w końcu ma tę swoją psychoterapeutkę. Nie do wiary, że ojcu tak odbiło. Ta kobieta jest niemal w moim wieku i ma na dodatek dwoje małych dzieci. To z jej powodu porzucił mamę.

— Tak sądzisz? — zapytał oszołomiony Wim. Był zbyt młody i naiwny, żeby wyciągać z faktów oczywiste wnioski.

— W przeciwnym razie nie spieszyłby się tak do ślubu. Rozwód nabiera mocy prawnej dopiero za dwa tygodnie. Więc nie traci czasu. Może ta kobieta jest w ciąży — powiedziała z paniką w głosie Meg, a Wim wyciągnął się na łóżku i zamknął oczy.

Zaraz potem zadzwonili do matki, ale nie wspomnieli słowem o planach ojca — oznajmili tylko, że byli w Le Cirque na sympatycznej kolacji i zaraz idą spać.

Tej nocy, po raz pierwszy od wielu, wielu lat, spali razem, przytuleni do siebie jak zrozpaczone dzieciaki, które nie potrafią odnaleźć drogi do domu. Po raz ostatni zdarzyło się to wtedy, kiedy zdechł ich ukochany pies.

Rankiem zadzwonił do nich ojciec, żeby przypomnieć, iż o dziesiątej spotykają się w restauracji na dole z Rachel i jej synami.

— Wprost nie mogę się doczekać — stwierdziła sarkastycznie Meg, czując się jak człowiek dręczony koszmarnym kacem.

Wim zaś sprawiał wrażenie ciężko chorego.

— Czy naprawdę musimy to zrobić? — zapytał, gdy zjeżdżali windą. Meg nałożyła tego dnia brązowe zamszowe spodnie i sweter matki, Wim zaś — dżinsy i uniwersytecką koszulkę. Miał nadzieję, że w tym nonszalanckim ubraniu nie zostanie wpuszczony do eleganckiej restauracji, ale jego nadzieja okazała się płonna. Ojciec czekał już przy dużym okrągłym stole; towarzyszyła mu młoda, bardzo urodziwa kobieta i dwóch wiercących się na krzesłach jasnowłosych chłopaczków. Meg spostrzegła natychmiast, że Rachel jest młodszą, wyższą i bardziej seksowną wersją ich matki. Podobieństwo obydwu kobiet było uderzające. Mogło się zdawać, że ojciec próbuje oszukać czas i cofnąć wskazówki zegara, zastępując Paris kimś, kto wygląda dokładnie tak samo jak ona przed kilkunastu laty. Był w tym rodzaj pochlebstwa, lecz zarazem jakaś gryząca, bolesna ironia. Czy ojciec naprawdę — zastanawiała się Meg — nie potrafi przyjąć do wiadomości, że się starzeje? I czy nie mógłby się starzeć u boku matki?

Peter dokonał wzajemnych prezentacji i wszyscy usiedli do śniadania, podczas którego Rachel wychodziła ze skóry, żeby ugłaskać Meg i Wima. Pod koniec posiłku popatrzyła na nich przeciągle i przeszła do sedna sprawy — ślubu. Sprzeciwiała się stanowczo zdaniu Petera, że należy zwlekać jak najdłużej z powiadomieniem jego dzieci, bo to tylko skomplikuje tę sytuację, ale też nie miała zamiaru odkładać samego ślubu, na który w swojej opinii dość się naczekała. Niemniej jednak • politykę Petera uznawała za strusią i zgadzała się z nim tylko co do tego, iż Wim i Meg nie powinni wiedzieć, że ze sobą mieszkają. Przed dzisiejszym śniadaniem poprosiła synów, by zachowali to w tajemnicy, a Jason i Tommy obiecali, że może na nich liczyć.

— Wiem, że wiadomość o naszym ślubie nie jest dla was przyjemna — zaczęła. — To ogromna i zapewne szokująca zmiana. Ale naprawdę kocham waszego ojca i pragnę, by był szczęśliwy. Poza tym pamiętajcie, że zawsze będziecie mile widziani w naszym domu, który mam nadzieję, będzie również waszym domem.

Ten dom już istniał: Peter kupił piękny apartament przy Piątej Alei—z widokiem na park, trzema sypialniami i dwoma pokojami gościnnymi.

— Dziękuję — wykrztusiła Meg.

O wpół do dwunastej Wim, który podczas całego śniadania nie odezwał się ani słowem, spojrzał na siostrę i oświadczył, że muszą już iść, bo spóźnią się na pociąg. Uściskali ojca — który przypomniał Wimowi, że na uroczystości będą obowiązywać stroje wieczorowe — zdawkowo pożegnali Rachel i jej synów, następnie zaś pospiesznie zrejterowali z restauracji. Kiedy jechali taksówką na dworzec, Wim trzymał siostrę za rękę i gapił się w okno. Ten sylwester, jak oboje zdawali sobie sprawę, będzie zabójczy zarówno dla nich, jak i matki.

Paris jednak należało dopiero powiadomić o szykowanym ślubie. Meg była w tej chwili rada, że to jej przypadł w udziale ten obowiązek, wiedziała bowiem, że zdoła się z niego wywiązać znacznie delikatniej niż Peter.

— Jak poszło twoim zdaniem? — zapytał Peter, kiedy już zapłacił rachunek, a Rachel pomagała synom nakładać palta,

Zachowywali się bardzo grzecznie, choć zarówno Meg, jak i Wim traktowali ich jak powietrze.

— Uważam, że są zaszokowani. Ja, chłopcy, ślub... to sporo do przełknięcia na jeden raz. Sama byłabym zaszokowana — odparła, znając z autopsji niemal identyczną sytuację, kiedy bowiem kończyła Stanford, jej ojciec porzucił matkę i poślubił jedną z koleżanek uniwersyteckich własnej córki. Przepaść, która się wtedy pomiędzy nimi rozwarła, a pogłębiła pięć lat później, po śmierci matki, oficjalnie z powodu raka, lecz naprawdę, w co wierzyła Rachel, z rozpacz, pozostała niezasypana do dziś. Nawet jednak traumatyczne doświadczenia osobiste nie zniechęciły Rachel do związku z Peterem, którego szalenie kochała. — Kiedy zamierzasz powiadomić Paris?

Wyszli z hotelu i zatrzymali taksówkę.

— Wcale nie zamierzam. Meg obiecała, że to zrobi. Takie rozwiązanie jest moim zdaniem najlepsze — odparł przekonany, że jego tchórzostwo jest w istocie rozsądkiem.

— Moim też — zgodziła się Rachel.

Peter podał taksówkarzowi adres przy Piątej Alei, objął Rachel, zmierzwił dłonią czupryny chłopców i odetchnął z ulgą. Ten ranek był dla niego niełatwy: znów musiał wyrzucać Paris ze swoich myśli i znów, jak przez sześć minionych miesięcy, powtarzać sobie, że nie miał

innego wyboru i że to, co robi, jest dobre dla nich wszystkich. To złudzenie będzie musiało mu towarzyszyć przez resztę życia.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Podczas następnej wizyty u psychoterapeutki Paris sprawiała wrażenie szklanej figurynki czy wręcz niematerialnej zjawy. Annę spojrzała na nią badawczo i doszła do wniosku, że tak kiepsko pacjentka wyglądała tylko w czerwcu, gdy zjawili się w jej gabinecie po raz pierwszy.

— Jak ci idzie jeżdżenie na łyżwach? — spytała.

— Wcale nie idzie — odparła Paris bezbarwnym głosem.

— Dlaczego? Zachorowałaś?

Widziały się zaledwie cztery dni temu, ale nawet w ciągu czterech dni może się zdarzyć bardzo wiele i zdarzyło

— Peter się żeni w sylwestra. Na długą chwilę zapadła cisza.

— Rozumiem. Ciężka sprawa.

— Otóż to.

Paris zachowywała się jak ktoś, kto wziął końską dawkę valium: nie krzyczała, nie płakała, nie wdawała się w żadne szczegóły. Siedziała tylko z bladą, pozbawioną wyrazu twarzą i czuła się martwa w środku. Bo umarła ostatnia nadzieja, jaką hołubiła w duchu, Peter nie oprzytomniał i nie zmienił zdania. Za pięć tygodni bierze ślub. Meg i Wim powiedzieli jej o tym natychmiast po powrocie z miasta. Potem Meg spała z nią w jednym łóżku. Później dzieci wróciły do Kalifornii, a Paris chlipała przez całą niedzielę. Oplakując Meg, Wima, Petera i siebie. Była skazana na dożywotnią samotność. A Peter miał nową żonę... czy raczej będzie ją miał za kilka tygodni.

— Jak się czujesz?

— Do dupy.

— To widzę — stwierdziła Annę z uśmiechem. — Każdy by się tak czuł na twoim miejscu. Jesteś zła, Paris?

Paris pokręciła głową i zaczęła cicho płakać. Odpowiedziała dopiero po kilku minutach.

— Tylko smutna. Bardzo, bardzo smutna.

— Może powinniśmy porozmawiać o jakichś lekach? Nie uważasz, że mogłyby ci pomóc?

Paris ponownie pokręciła głową.

— Nie chcę uciekać od rzeczywistości. Muszę się nauczyć z nią żyć. Petera już nie ma.

— Ano nie ma, ale ty masz przed sobą całe życie i czeka cię w tym życiu wiele dobrych rzeczy. Tak źle jak teraz zapewne nie będzie już nigdy.

— Miejmy nadzieję — mruknęła Paris wycierając nos.

- Pragnę go nienawidzić, ale nie umiem. Nienawidzę tej dziwki. Zrujnowała mi życie. On też zrujnował, gnojek. Lecz i tak go kocham.

Mówiła jak dziecko i czuła się jak dziecko — zagubione, wyzbyte wszelkich nadziei na lepszą przyszłość.

— Jak tam Wim i Meg?

— Dla mnie są cudowni. Ale rozgniewani i zaszokowani. Spytała, czy wiedziałam o tej kobiecie, a ja skłamałam. Uznałam, że mówiąc prawdę, nie postąpiłabym fair wobec Petera.

— Dlaczego postanowiłaś go kryć?

— Bo jest ich ojcem, a ja go kocham. Niech sam im powie prawdę, jeśli chce. Decyzja należy do niego.

— To bardzo szlachetne z twojej strony. — Paris skinęła głową i wysiąkała nos. — Ale co z tobą, Paris? Co zamierzasz zrobić, żeby jakoś uporać się z tym wszystkim? Sądzę, że powinnaś wrócić do łyżwiarstwa.

— Nie chcę jeździć na łyżwach. Niczego nie chcę robić

- odparła z bezsilną rozpaczą. Rozpacz znów stała się jej sposobem na życie.

— A spotkania z przyjaciółmi? Dostałaś jakieś zaproszenia na przyjęcia bożonarodzeniowe?

— Dziesiątki. Żadnego nie przyjąłem.

— Dlaczego? Moim zdaniem powinnaś iść.

— Nie chcę, żeby się nade mną litowano.

— Jako pustelniczka będziesz wzbudzać daleko większą litość. Może jednak podejmij wysiłek, wybierz się na choćby jedno przyjęcie i przekonaj, jak ci pójdzie.

Paris znów długo patrzyła na nią w milczeniu, a potem pokręciła głową.

— No, skoro tkwisz w tak głębokiej depresji, naprawdę musimy pogadać o lekach — stwierdziła Annę stanowczo.

Paris spiorunowała ją wzrokiem, a później ciężko westchnęła.

— Już dobra, dobra. Pójdę na jedno przyjęcie. Ale na tym koniec.

— Dzięki — powiedziała Annę z zadowoleniem. — Zastanowimy się wspólnie na które?

— Nie — warknęła Paris. — Sama wybiorę.

Podczas następnej wizyty wypaliła, że przyjęła zaproszenie! na koktajl party wydawane przez Virginie i jej męża tydzień przed Wigilią. Następnego dnia na dwa tygodnie miały przyjechać dzieci: drugą połowę swoich zimowych ferii, już po ślubie Petera, Wim zamierzał spędzić z kolegami na nartach w Vermoncie. Paris pragnęła tylko przeżyć jakoś okres świąteczny, wychodziła bowiem z założenia, że po Nowym Roku może być tylko lepiej.

Zgoda na udział w przyjęciu nie była jedynym ustępstwem Paris wobec Annę, która poza wszystkim zalecała pacjentce więcej troski o siebie — dobre odżywianie, wypoczynek, sen, ćwiczenia fizyczne, nawet masaże. Paris oświadczyła, że spróbuje zastosować się do tych sugestii, a dwa dni później może był w tym palec Opatrzności, spotkała w sklepie spożywczym znajomą z czasów, gdy na zmianę woziły dzieci do szkoły, wysłuchała entuzjastycznej opinii o pewnej masażystce i aromaterapeutce, no i rzecz jasna dostała jej wizytówkę. Przyjęła ją nie bez oporów wewnętrznych, doszła jednak do wniosku, że cóż jej to może zaszkodzić, poza tym zaś naprawdę musi zadbać o swój spokój i zdrowie psychiczne. Trwała w niezłomnym postanowieniu, by nie uciekać się do leków antydepresyjnych — choć zasadniczo nie widziała w ich przyjmowaniu nic zdroźnego — i dojść do siebie o własnych siłach. Masaże były więc jakimś pomysłem, uznała, i po powrocie do domu wybrała podany na wizytówce numer telefoniczny.

Gdy nastąpiło połączenie, usłyszała kobiecy, trochę nieziemski głos, a w tle hinduską muzykę. Irytującą muzykę, ale Paris upomniała się w myślach, że ma się wyzbyć wszelkich uprzedzeń. Niemniej z najwyższym trudem opanowała śmiech, kiedy poznała nazwisko rozmówczynie: Karma Applebaum. Masażystka oświadczyła, że chętnie przyjedzie do Paris z własnym stołem, jak również olejkami do aromaterapii. Bogowie najwyraźniej im sprzyjali, jedna z klientek bowiem odwołała dzisiejszą sesję i Karma, dysponując z łaski Opatrzności wolnym wieczorem, mogła być do dyspozycji o dwudziestej pierwszej. Paris

wahała się przez chwilę i w końcu postanowiła wziąć byka za rogi. Nie miała nic do stracenia, do zyskania natomiast — choćby jedną dobrze przespaną noc. W życiu nie brała masażu, ta cała aromaterapia z jej punktu widzenia trąciła czarami, czyli czymś zgoła groteskowym, ale... tonący brzytwy się chwyta, powiedziała sobie.

Po rozmowie z masażystką zrobiła kubek zupy błyskawicznej, a kiedy zadzwoniła do niej Meg — opowiedziała córce o swoim zamiarze. Meg entuzjastycznie przyklasnęła jej pomysłowi.

— Peace uwielbia aromaterapię — oświadczyła radośnie.

- Fundujemy ją sobie nieustannie.

Paris jęknęła; tego się właśnie obawiała.

— Dam ci znać, jak poszło — z ironią w głosie przyrzekła córce.

Karma Applebaum — blondynka uczesana w cieniutkie warkoczki, w które powplatała korale — przyjechała furgonetką z wymalowanymi na karoserii hinduistycznymi symbolami. Nosiła się na białą i nawet sceptyczna Paris musiała przyznać, że jej śliczna buzia emanuje spokojem. Naprawdę miała w sobie coś niezemskiego. Przystąpiwszy próg, zdjęła sandały, zapytała Paris, gdzie jest jej sypialnia, poszła na górę, rozstawiła stół, przykryła go flanelowym pledem, włączyła kuchenkę elektryczną i puściła z przenośnego magnetofonu taką samą hinduską muzykę, jaką wcześniej Paris słyszała przez telefon. Gdy Paris wyłoniła się z łazienki w kaszmirowym szlafroku będącym ostatnimi czasy jej podstawową i najbardziej uniwersalną kreacją, pokój kąpał się w półmroku, a Karma była gotowa. Paris poczuła się jak uczestniczka rozpoczynanego właśnie seansu spirytystycznego.

— Oddychaj głęboko, by wraz z oddechem opuściły twe ciało wszystkie demony, które tobą zawładnęły — wyszeptwała Karma, gdy już Paris wyciągnęła się na stole. A potem również oddychając głęboko i miarowo, zaczęła wodzić dłońmi ponad spiętym i niezupełnie skłonny do współpracy ciałem Paris, która uważała to wszystko za idiotyzm. Karma, machając dłońmi w taki sposób, jakby to były czarodziejskie różdżki, wyjaśniła, że stara się wyczuć czakry Paris. Jej dłonie znieruchomiały nagle nad wątrową Paris, Karma zmarszczyła czoło, spojrzała pacjentce w oczy, a następnie z troską i szczerym niepokojem stwierdziła: — Czuję blokadę.

— Gdzie? — zapytała podenerwowana Paris. Chciała tylko wziąć masaż, na wysłuchiwanie komunikatów przesyłanych przez wątrobę wcale jej nie zależało.

— Moim zdaniem gdzieś pomiędzy nerkami a wątrobą. Miałaś jakieś problemy z matką?

— W ostatnich czasach nie. Zmarła przed osiemnastu laty. Ale przedtem tak, i to aż nazbyt wiele — odparła Paris. Jej matka była zgorzkniałą złością, ale w obliczu obecnych powikłań Paris prawie o niej nie myślała.

— A zatem powód musi być inny... ale czuję w tym domu > duchy. Słyszałaś je?

A więc pierwsze odczucie okazało się słuszne: to był seans. • Paris mobilizowała wszystkie siły woli, żeby nie pokazać po sobie irytacji.

— Nie słyszałam — odrzekła zgodnie z prawdą. Była realistką, mocno stąpającą po ziemi. Nie interesowały jej duchy, lecz przetrwanie rozwodu i nieodległego ślubu Petera. Choć wolałaby mieć do czynienia z duchami, bo zapewne łatwiej byłoby się ich pozbyć. Karma znów zaczęła wodzić dłońmi nad ciałem Paris i dłonie te znów znieruchomiały

— tym razem gdzieś nad żołądkiem.

— Są, mam je — oznajmiła triumfalnie. — Są w twoich trzewiach.

Wieści zatem były gorsze z minuty na minutę.

— Co takiego? — zapytała Paris nie wiedząc, czy parsknąć śmiechem czy wpaść w panikę. Bo w końcu wieść o czymś, co tkwi w kiszkiach, wcale nie jest pocieszająca.

— Demony. Są w twoich wnętrznościach — wyjaśniła spokojnie Karma, wyraźnie pewna postawionej diagnozy. —• Musisz być bardzo rozzłoszczona, powinnaś sobie zrobić płukanie jelita grubego. Masaż ci nie pomoże, dopóki nie usuniesz z organizmu wszelkich toksyn.

Wiało coraz większą grozą, a Paris zyskiwała coraz większą pewność, że ta kobieta jest rodem z tej samej planety co Peace, wegański chłopak Meg.

— Ale czy skoro już tu jesteś, nie dałoby się czegoś zrobić bez płukania jelita grubego? — zapytała Paris, wciąż nie tracąc nadziei na przyjemny masaż i zdrowy sen.

— Spróbuję, choć w tym wypadku nie ręczę za rezultaty

— odparła wyraźnie zniechęcona Karma. Wyjęła z torby flaszkę oliwy, hojnie spryskała ciało Paris tłustą cieczą, następnie zaś zaczęła wcierać ją w ramiona, dłonie i barki. Potem przeniosła się na piersi, brzuch i nogi, przy czym cmokała z dezaprobatą, ilekroć jej dłonie spiesznie miały namierzony wcześniej krytyczny punkt. — Nie zależy mi na tym, żeby sprawić demonom przyjemność, tylko by je przegnać.

W końcu muzyka, półmrok, oliwa i dłonie Karmy zaczęły robić swoje i Paris, mimo wszystkich demonów oszańcowanych w jej wnętrznościach, poczuła, że się rozluźnia, ale dopiero gdy na polecenie masażystki obróciła się na brzuch, zaczęło się najlepsze. Leżąc z zamkniętymi oczyma, miała wrażenie, że topnieje, odpływa, żeglujecie do nieba... i nagle pomiędzy łopatki trafiła ją ciśnięta z potworną mocą piłeczka tenisowa, a zaraz potem Karma brutalnie wyrwała z jej barku strzęp ciała. Tak się przynajmniej Paris zdawało.

— Co ty wyprawiasz?! — wykrzyknęła, szeroko otwierając oczy.

— Stawiam ci bańki. Będziesz zachwycona. Wyciągną z twego ciała miazmaty i demony.

— Jezu — westchnęła tylko Paris. Złowrogie bestie umknęły zatem z jelit do pleców, ale ich manewr nie uszedł uwagi przenikliwej masażystki, która z determinacją wymierzała zjadliwe ciosy rozgrzanym naczynkiem, a kiedy tylko wytworzyło się podciśnienie, odrywała je z donośnym młaśnięciem. Bolało to wszystko jak diabli, Paris wiała się w męczarniach, ale wstydziła się prosić o przerwanie zabiegu.

— Super, co? — zapytała porozumiewawczo Karma. Paris jednak zdobyła się przynajmniej na szczerłość.

— Niezupełnie. To pierwsze podobało mi się bardziej.

— Twoim demonom też. Ale przecież nie możemy zanadto ich rozpieszczać, prawda? — powiedziała Karma, a Paris miała ochotę zapytać: „Dlaczego nie?” Bo kiedy demonom było dobrze, ona również czuła się błogo. Kiedy wreszcie stawianie baniek szczęśliwie dobiegło końca, masażystka zaczęła pracowicie ugniatać i tłuc pupę Paris. Demony były w poważnym błędzie, jeśli liczyły, że znajdą w pośladkach bezpieczne schronienie, i tam bowiem dopadły je karzące dłonie sprawiedliwości! Karma zresztą miała dla nich w zanadrzu coś jeszcze: bez ostrzeżenia położyła na barkach Paris dwa prawie nie do wytrzymania gorące kamienie, dwoma następnymi zaś ją uciskać podeszwy swojej ofiary, aż stopy zdawały się płonąć żywym ogniem. — To oczyści twoje trzewia i głowę, dopóki nie zrobisz sobie płukania jelita — wyjaśniła kontynuując tortury. Po pokoju rozniósł się odór spalenizny, coś jak zapach przypiekanego ciała zmieszany ze smrodem przegrzanych opon. Był tak przeraźliwy, że Paris zaniósła się niepowstrzymanym kaszlem. — O to właśnie | chodziło. Teraz oddychaj głęboko. Nienawidzą tego zapachu, i Musimy przegnać z pokoju wszystkie złe duchy.

Duchy może uciekną, pomyślała Paris, ale smród zostanie! na wieki. Otworzyła oczy, niemal pewna, że zobaczy płonąca kanapę, dostrzegła jednak tylko rodzaj małego kocherka z wotywną świeczką, w której płomieniu grzało się naczynie z jakąś oleistą cieczą.

— Co to za świństwo? — zapytała krztusząc się od oparów. Rozjaśniona wniebowziętym uśmiechem twarz Karmy

przywiodła Paris na myśl oblicze Joanny d'Arc w girlandzie płomieni.

— Dekokt sporządzony wedle mej własnej receptury. Stuprocentowo niezawodny.

— Na co? — W tej chwili Paris miała tylko stuprocentową pewność, że niezawodnie zasmrodzi zasłony i wykładzinę.

— Na płuca. Sama zobaczysz, jak zaczną się oczyszczać. Tymczasem do samooczyszczenia gotował się żołądek

Paris — z zupy błyskawicznej zjedzonej przed przybyciem masażystki. Zanim Paris zdążyła poprosić o zdjęcie z ognia czarodziejskiego wywaru, Karma umieściła nad płomykiem świeczki naczynie z innym płynem, który dla odmiany śmierdzał jak trutka na szczury zmieszana z arsenikiem i czosnkiem. Praktycznie uniemożliwiał oddychanie. Paris zapytała, na co pomaga nowy specyfik, nie doczekała się jednak odpowiedzi. Wciąż leżała na brzuchu, a jej kark zdawał się płonąć pod ciężarem rozgrzanych tłustych kamieni. To wszystko zaczynało przypominać walkę o przetrwanie, a jednak w jakiś szczególny sposób tortury miały na Paris zbawienny wpływ. Zrozumiała wreszcie filozofię skłaniającą rozmaitych sekciarzy do łykania płomieni czy też spania na fakirskich łóżach: koncentrując się na bólu fizycznym odczuwanym w rozmaitych punktach ciała, człowiek oddala od siebie wszelkie cierpienia psychiczne. A te są znacznie gorsze. Gdy na polecenie masażystki znów przewróciła się na plecy. Karma usypała na jej pępku stosik soli, a następnie położyła na nim gorącą kulkę kadzidła.

— Czemu to służy? — zapytała Paris.

— Wyssie z ciebie wszystkie trucizny i przyniesie ci spokój wewnętrzny. — Umieściła nad ogniem naczynie z kolejną cieczą i pokojem zawładnął tak przemożny aromat kwiatów, że Paris donośnie kichnęła, zrzucając przy okazji kadzidło z brzucha. — Nienawidzą tego — zauważyła z uśmiechem Karma, mając oczywiście na myśli demony. Niemniej jednak Paris kichała bez opamiętania przez pięć minut, aż wreszcie skapitulowała przed potęgą olejków eterycznych.

— Kończymy z tym — powiedziała. — Chyba jestem na nie uczulona.

Karma zrobiła taką minę, jakby ją spoliczkowano.

- Człowiek nie może być uczulony na aromaterapię — stwierdziła z bezgraniczną pewnością, ale Paris miała już po uszy olejków, gorących kamieni i smrodu. Poza tym minęła jedenasta.

— Ale ja jestem — odparła stanowczo — no i robi się późno. Mam wyrzuty sumienia, że zatrzymuję cię tak długo.

Spuściła nogi ze stołu i sięgnęła po szlafrok.

— Nie możesz jeszcze wstawać — zaprotestowała Karma, — Muszę przed wyjściem uspokoić twoje czakry. Połóż się. Jeśli tego nie zrobisz, wycieknie z ciebie cała energia. To jakbyś wyszła z domu zostawiając podkręcane krany.

Perspektywa była kusząca, mimo to jednak — i wbrew zdrowemu rozsądkowi — Paris ponownie legła na stole, a Karma, mrużąc coś niezrozumiale, pod nosem, znów ją

wodząc dłońmi nad jej rozciągniętym ciałem. Dzięki Bogu, ta część zabiegu trwała najwyżej pięć minut.

Ale sypialnię wciąż wypełniał odór i Paris powątpiewała, czy kiedykolwiek ustąpi.

— Serdeczne dzięki — powiedziała, zeskakując ze stołu, a Karma ostrzegła ją z naciskiem, by nie kąpała się tego wieczoru, bo byłby to szok zbyt wielki zarówno dla niej, jak i dla demonów. Paris jednak nie wyobrażała sobie, że pójdzie do łóżka wysmarowana od stóp do głów tłustą oliwą. Karma spakowała manatki, co zajęło jej pół godziny, zainkasowała sto dolarów — honorarium więc, zdaniem Paris, całkiem niewygórowane — przypomniała Paris o konieczności zrobienia płukania jelita przed następną wizytą i wreszcie wyszła. Była północ. Wtedy Paris wybuchła śmiechem: część zabiegów sprawiła jej przyjemność, cała reszta jednak była kompletnie idiotyczna. Wciąż uśmiechnięta weszła do łazienki, puściła prysznic, zrzuciła szlafrok i... z przerażeniem spojrzała w lustro na swoje plecy, pokryte równymi rzędami czerwonych plam, które nazajutrz z pewnością będą sine. Karma spuściła nieliczne manto nie tylko demonom Paris, lecz również jej biednym plecom.

Nazajutrz Paris wyglądała istotnie jak ofiara ciężkiego pobicia, a oprócz sińców dostrzegła na swych barkach dwa czerwone oparzenia w miejscach, gdzie spoczęły rozgrzane kamienie. Pokój cuchnął jak trupiarnia, o dziwo jednak, to wszystko raczej Paris rozbawiło. Coś przynajmniej przeżyła, a jej plecy? Cóż, nikt ich nie będzie oglądać. Wciąż zanosila się od śmiechu, kiedy zadzwoniła Meg.

— No i jak było, mam? — zapytała z nieskrywanym zainteresowaniem.

— Z pewnością ciekawie. Coś na kształt neomasochizmu. No i okazało się, że mam demony w kiszkach.

— Wiem. Peace też je ma. Odziedziczył po ojcu.

— Mam nadzieję, że ciebie ominęły — stwierdziła Paris z troską. — Ja mam swoje po matce, jak się dowiedziałam.

— Peace będzie pod wrażeniem, kiedy się dowie, że to zrobiłaś — rzekła Meg pełna uznania dla odwagi Paris.

— Byłabyś pod jeszcze większym, gdybyś zobaczyła sińce na moich plecach.

— Za kilka dni znikną. Może następnym razem powinnaś spróbować egzorcyzmów?

— Chyba sobie odpuszczę. Dobrze mi z moimi demonami.

Nazajutrz po przyjęciu u Morrisonów, na które dała się zaprosić — pierwszy raz od siedmiu miesięcy — Paris wmaszerowała do gabinetu doktor Smythe. Sprawiała wrażenie wielce z siebie radej.

— Dobrze się bawiłaś? — z nadzieją w głosie zapytała Annę.

— Fatalnie. — Posłała psychoterapeutce wyzywające spojrzenie, jak gdyby zdołała czegoś dowieść. Może istotnie dowiodła: spełniła wszelkie zalecenia i nie miała z tego najmniejszej przyjemności.

— Ile wytrzymałaś?

— Dwadzieścia minut.

— To się nie liczy. Musisz zostać przynajmniej godzinę.

— Od siedmiu osób usłyszałam wyrazy współczucia, że porzucił mnie mąż. Dwaj mężowie moich przyjaciółek zaproponowali, byśmy się cichcem umówili na drinka. Pięć osób nie omieszkało mnie poinformować, że zostały zaproszone na ślub Petera. Nigdzie więcej nie pójde. Czułam się jak żałosna kretynka.

— Ależ pójdziesz, pójdziesz. I nie jesteś żalną kretyką, lecz kobietą zdradzoną przez męża. To przykre, Paris, ale się zdarza. Jakoś przeżyjesz.

- Nigdzie więcej nie pójde — powtórzyła z uporem a nawet determinacją. — I nigdy więcej. Poza tym wzięłam masaż. Masażystka to jakiś świr, wskutek czego jestem posiniaczona od stóp do głów. W moich wnętrznościach mieszkają demony. I nie pójde już na żadne przyjęcie.

— Zatem musisz poznać jakichś ludzi, którzy nie wiedzą o Peterze. To też sensowne rozwiązanie. Ale nie możesz po kres swoich dni siedzieć w domu jak Greta Garbo. Jeśli nie trafiają do ciebie inne argumenty, to wiedz, że wzbudisz niepokój swoich dzieci i oszalejesz z nudów. Sterczenie w domu nie zapełni ci życia, potrzebujesz czegoś więcej.

— Zaczne wychodzić po ślubie Petera — obiecała bez przekonania Paris.

— A cóż to zmieni?

— Przynajmniej ludziska przestaną gadać o tym ślubie. Ktoś okazał się na tyle głupi, żeby spytać, czy zostałam zaproszona!

— I co odpowiedziałas?

— Że już się nie mogę doczekać i że jadę do Nowego Jorku po suknię na tę uroczystość. Bo cóż miałam powiedzieć? Że zamierzam tego wieczoru popełnić samobójstwo?

— A zamierzasz? — wypaliła Annę.

— Nie—westchnęła Paris.—Nawet gdybym chciała, nie zrobiłabym tego dzieciom.

— Ale chcesz?

— Nie — odparła Paris ze smutkiem. — Chciałabym umrzeć, lecz nie z własnej ręki. Brak mi do tego odwagi.

— Gdyby cokolwiek się w tej kwestii zmieniło, gdyby coś niemądrego przyszło ci do głowy, masz do mnie natychmiast zadzwonić, zgoda?

— Zgoda — przyrzekła Paris. Była nieszczęśliwa, ale nie dość nieszczęśliwa, by targnąć się na własne życie. Zresztą nie miała zamiaru dawać Rachel tej satysfakcji.

— Co będziesz robić w sylwestra?

— Zapewne płakać.

— Czy jest ktoś, z kim chciałabyś się wtedy spotkać?

- Przypuszczalnie wszyscy, którzy wchodzą w grę, będą na weselu Petera. Przygnębiające. Nie martw się, jakoś przeżyję. Po prostu pójde spać.

Boże Narodzenie upłynęło tego roku spokojnie. Wim i Meg spędzili Wigilię z matką, pierwszy dzień świąt zaś

— z Peterem i Rachel. Jeszcze przed przyjazdem dzieci Paris kupiła i ubrała choinkę, a wcześniej — pięć dni przed świątami

— dostała pocztą prawomocny akt rozwodu. Długo mu się przyglądała, a potem schowała do szuflady. Miała wrażenie, że czyta akt własnego zgonu, bo nigdy w życiu nie przypuszczała, iż ujrzy swoje nazwisko na takim dokumencie. Nie powiedziała o nim dzieciom, nie potrafiłaby znaleźć ani wydusić z siebie odpowiednich słów. Było po wszystkim, niemal dokładnie siedem miesięcy po tym, jak Peter ją porzucił. Teraz żenił się z Rachel. To przypominało zły sen. Życie Paris zmieniło się w zły sen.

W sylwestra Wim i Meg pojechali do miasta. Paris pocałowała ich na pożegnanie, ale nic nie powiedziała. Zastanawiała się, czyby nie zadzwonić do Annę, ale jej również nie miała nic do powiedzenia. Nikomu nie miała nic do powiedzenia. Pragnęła być sama. Zrobiła sobie zupę, pooglądała telewizję, a o dziesiątej poszła do łóżka. Usiłowała nie myśleć o tym, co się właśnie dokonuje. Goście zostali zaproszeni na ósmą; w chwili gdy Paris gasiła

światło, Peter i Rachel składali sobie przysięgę ślubną, a życie, jakie Paris знаła przez dwadzieścia cztery lata, nieodwołalnie dobiegało końca. Peter miał nową żonę i z jego punktu widzenia Paris przestawała istnieć. Zdołał ich wspólny świat rozbić w proch. Zapadając w sen, Paris powtarzała w myślach, że nie przejmuje się ani Peterem, ani Rachel, ani w ogóle niczym. Pragnęła napomnieć, że go kiedykolwiek kochała, i zasnąć. Nazajutrz Peter wyruszał z żoną w podróż poślubną na Karaiby. Z nowym rokiem i nowym dniem zaczynał nowe życie.

Paris, czy sobie tego życzyła, czy nie — również.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Tydzień, który nastąpił po ślubie Petera, przywodził Paris na myśl rozmazany, nieprzedstawiający obraz. W Nowy Rok obudziła się podziębiona, a kiedy wróciły dzieci, miała wysoką gorączkę, kaszel, obolałe gardło i za żadną cenę nie dałaby się wywlec z łóżka. Wkrótce potem Wim pojechał z kolegami na narty, a Meg odleciała do Los Angeles, gdzie czekał na nią Peace. Wciąż z nim chodziła, choć wyznała matce, że powoli zaczyna mieć go po uszy, a przynajmniej jego osobliwej diety, reżimu zdrowotnego i katorzniczych ćwiczeń. Nudziła się z nim niewiarygodnie.

— Kiedy go widzę, natychmiast mam ochotę na hamburgera. Zwariuję, jeśli zaciągnie mnie do następnej wegetariańskiej restauracji.

Paris westchnęła z ulgą.

Potrzebowała tygodnia, żeby dojść do siebie, a ledwie wstała z łóżka, zadzwoniła do niej Natalie. Oświadczyła jednym tchem, że też ma grypę, ale w przyszłą sobotę urządza małe przyjęcie, ot, dla kilku starych przyjaciół, no więc Paris byłaby mile widziana. Nie wyjaśniła, z jakiej okazji, i nie wspomniała ani słowem o ślubie Petera. W pierwszym odruchu Paris chciała się wymówić, pomyślała jednak o przyrzeczeniu złożonym Anne Smyth i uświadomiła sobie, że nie widziała Natalie od Święta Dziękczynienia. A skoro ze słów Natalie wynikało, że impreza nie będzie zbyt oficjalna, wyraziła zgodę.

Gdy w sobotę wieczorem szykowała się do wyjścia, stwierdziła ze zdumieniem, że ma właściwie ochotę spotkać się z przyjaciółmi, może więc Annę Smythe nie myliła się mówiąc,

jest gotowa wrócić do życia? Odpowiadał jej kameralny charakter wieczoru — miało bowiem być najwyżej dwanaście osób — jak również dobór zaproszonych gości, wśród których nie zabraknie Virginii i Jima.

Nałożyła atlasowe spodnie, kaszmirowy sweter i po raz pierwszy od wielu miesięcy upięła włosy w kok; sięgała właśnie po szpilki, gdy wyjrzała przez okno i spostrzegła, że pada śnieg, po namyśle więc wsunęła pantofle do kieszeni palta, a na nogi wciągnęła kozaczki. Śnieg walił tak obficie, że uświadomiła sobie, iż będzie musiała oczyścić podjazd, w przeciwnym bowiem razie nie zdoła wyjechać na ulicę. Mogła wprawdzie zadzwonić do Morrisonów, żeby po nią wpadli, po pierwsze jednak nie chciała się narzucać, po drugie zaś doszła do wniosku, że skoro żyje samotnie, sama musi dawać sobie radę we wszelkich sytuacjach. Ubrana więc w grubą kurtkę z kapturem i wełniane rękawice wyszła na dwór z łopatą. Potrzebowała dwudziestu minut, żeby odśnieżyć podjazd i zdrapać lód z szyby wozu, wskutek czego wyjechała z domu z niemal półgodzinnym opóźnieniem, a mimo to była u Natalie i Freda jednym z pierwszych gości — inni, zaskoczeni niespodziewanie obfitą śnieżycą, spóźnili się jeszcze bardziej. Gdy Fred czynił jej łagodne wyrzuty, że nie

zadzwoiła, aby po nią przyjechał, i ryzykowała samotną jazdę w tak trudnych warunkach, roześmiała się tylko, czując po raz pierwszy smak prawdziwej niezależności.

Pół godziny później towarzystwo było w komplecie, a Paris uzyskała potwierdzenie swych przypuszczeń, że będzie dziś jedyną kobietą bez partnera. Musiała przyzwyczajać się do tej roli. Z ulgą jednak stwierdziła, iż zna wszystkich i że wszyscy mają dość wrażliwości, by nie wspominać o ślubie Petera, choć niektórzy — na przykład Virginia i jej mąż — wzięli w nim udział.

Rozprawiała właśnie z Virginią o rozmaitych domowych sposobach na grypę, Virginia bowiem również ją przeszła, gdy po raz kolejny rozległ się dzwonek u drzwi. Paris spodziewała się jeszcze jednego zaprzyjaźnionego małżeństwa, lecz do pokoju wszedł tylko samotny nieznamy mężczyzna. Wysoki, ciemnowłosy, przypominał trochę Petera, choć po bliższych oględzinach okazało się, że ma na czubku głowy sporą łysinę i jest starszy. Niemniej jednak sprawiał sympatyczne wrażenie.

- Kto to jest?—zapytała Paris Virginię, która odparła, że nie wie.

Oszukiwała; był nowym maklerem Freda, został zaproszony jako ewentualny partner Paris, która zdaniem grona najbliższych przyjaciół powinna wreszcie wyjść z ukrycia i zacząć się z kimś spotykać. Cała impreza została zresztą zorganizowana z myślą o niej — później, podczas sesji z Annę, Paris nazwała ją „przyjęciem dobroczynnym”.

Nowo przybyły miał na sobie marynarkę klubową, czerwony golf i najbardziej krzykliwe spodnie ze szczypankami, jakie Paris w życiu widziała. Nie ulegało również wątpliwości, że jest lekko podпиты. Nie czekając na pośrednictwo Freda, przedstawiał się wszystkim dokoła i z takim rozmachem potrzasał podawanymi mu dłońmi, że tylko cudem nie doszło do żadnych wywichnięć. Paris potrzebowała zaledwie sekund żeby się zorientować, po co go tu zaproszono.

— A więc to ty jesteś tą wesołą rozwódką z Greenwich — oświadczył szczerząc zęby w uśmiechu od ucha do ucha. Nie potrzasał dłonią Paris, lecz ścisnął z taką mocą, że musiała zmobilizować wszystkie siły, by ją uwolnić. — Słyszałem, że twój mąż niedawno powtórnie się ożenił — dodał grubiańsko.

Paris skinęła głową, odwróciła się do Virgini i szepnęła: — Czarujący.

Virginia wzdygnęła się, zerknęła w stronę Natalie i spostrzegła, że jej przyjaciółka piorunuje męża wzrokiem. Fred utrzymywał, że facet jest świetny, choć spotkali się tylko dwa razy w biurze. Wiadomo było, że jest rozwiedziony, ma trójkę dzieci i — przynajmniej we własnej opinii — fantastycznie jeździ na nartach. To wystarczyło Fredowi, by go zaprosić, zwłaszcza że prezentował się nie najgorzej, był inteligentny, uczciwy w interesach i — jak sam twierdził — do wzięcia,

Zanim zasiedli do stołu, zaserwował całą serię sprośnych dowcipów, których większość nie nadawała się do opowiadania w obecności kobiet, tylko kilka było zabawnych, a zaledwie jeden wzbudził szczerą wesołość Paris. Trochę plątał mu się język, ponieważ jeszcze przed zupą zdążył wychylić dwie szkockie.

— Chryste, jakże nienawidzę zup na przyjęciach — powiedział do Paris znacznie głośniejszym głosem niż zapewne sądził.

— Zawsze się nimi oblewam, moczę w nich krawat i w ogóle. Dlatego przestałem nosić krawaty. — Najwyraźniej troszczył się również o swoją marynarkę, bo starannie utknął serwetkę pod golf, potem zaś zwrócił się do gospodarza: — Obowiązuje w tym stanie prohibicja czy jak? A może wciąż jesteś w Anonimowych Alkoholikach, Fred? Gdzie wino, chłopie?

Fred pospiesznie napełnił jego kieliszek, a Natalie posłała mu spojrzenie gorgony Meduzy. Aż nazbyt dobrze zdawała sobie sprawę, że z Paris, która wyszła z domu pierwszy raz od wielu miesięcy, trzeba obchodzić się jak z jajkiem, gdy tymczasem ten facet był równie subtelny jak walec drogowy i znacznie mniej pociągający. Bez przerwy to zdejmował, to nakładał okulary, przez co wprowadzał swoje włosy w coraz większy nieład, im zaś niechlujniej wyglądał, tym sprośniejsze stawały się jego żarciki. Jeszcze przed końcem pierwszego dania nazwał po imieniu każdą możliwą część ludzkiego ciała, przed końcem drugiego — każdą wyobrażalną i niewyobrażalną pozycję seksualną, przy deserze natomiast był tak rozbawiony swoimi kawałami, że tylko rechotał na całe gardło i walił kulakiem w stół. Paris krzywiła się z niesmakiem, to wszystko było okropne.

Po posiłku Natalie odciągnęła ją na stronę i zaczęła wylewnie przepraszać.

— Tak strasznie mi przykro, Paris. Fred przysięgał, że to sympatyczny gość, no więc pomyślałam, że warto was ze sobą poznać.

— Nie ma sprawy — odrzekła wyrozumiale Paris. — Jest na swój sposób zabawny. Ale wiesz, nie musisz mnie z nikim poznawać, wśród przyjaciół nawet sama bawię się doskonale. Randki mnie nie interesują.

— A powinny — stwierdziła surowo Natalie. — Nie możesz tkwić samotnie w tym domu po kres swoich dni. Musimy ci kogoś znaleźć.

Pierwsze podejście zakończyło się jednak całkowitym fiaskiem. Samotny wilk zasiadł na kanapie, dudlił brandy i sprawiał wrażenie kogoś, kto lada chwila padnie jak neptek. Paris szepnęła w pewnym momencie do Virginii, że gospodarze albo będą musieli go przenocować, albo odwieźć do domu, bo pod żadnym pozorem nie powinien siadać za kierownicą, zwłaszcza podczas burzy śnieżnej. Śnieg bowiem rozpadał się na całego i nawet zupełnie trzeźwa Paris myślała z niepokojem o powrocie w takich warunkach. Nikomu jednak nie zwierzyła się ze swoich obaw, zdecydowana przywdziać na dobre skórę kobiety samodzielnej i niezależnej.

— Na początek mogłabyś okazać wielkoduszność i przenocować tego biedaka w swoim pokoju gościnnym — zasugerowała żartem Virginia, ogromnie rada, że Paris wciąż jeszcze się uśmiecha. Bo wieczór był koszmar, a makler z pewnością nie okazał się darem losu. Paris jednak przestała się uśmiechać, gdy ów makler klepnął ją w pupę, kiedy nierozważnie podeszła do kanapy, a następnie oświadczył:

— Cześć, kitek. Usiądź obok, żebyśmy mogli poznać się bliżej.

Zmroziła go wzrokiem, odpłynęła w stronę gospodyni i poinformowała ją, że chce się dyskretnie wymknąć, żeby nie psuć innym zabawy. Natalie popatrzyła na Paris badawczo, lecz nie podjęła dyskusji. Uznała, że w zaistniałych okolicznościach jej przyjaciółka stanęła na wysokości zadania.

— Naprawdę mi przykro z powodu Ralpa. Jeśli sobie życzysz, zastrzelę go, zanim upije się jeszcze bardziej, a potem, gdy już wszyscy się rozejdą, zastrzelę jeszcze Freda.

Obiecuję, następnym razem spiszę się lepiej.

— Następnym razem zaproszę mnie samą, sprawicie mi większą przyjemność — odparła cicho Paris.

— Masz moje słowo — przyrzekła Natalie ściskając Paris na pożegnanie. Tak piękną, pomyślała przy tym, i tak samotną. — Nie boisz się jechać w taką śnieżycę?

— Wszystko będzie w porządku — odparła z przekonaniem Paris, chociaż wcale nie czuła się zbyt pewnie. Ale poszłaby do domu pieszo, byle tylko nie pozostawać ani minuty dłużej w towarzystwie Rubasznego Ralpa i litujących się nad nią przyjaciół. Wiedziała, że mieli

dobre chęci, ale przecież dobrymi chęciami piekło jest wybrukowane. Oto na co jest skazana — na facetów pokroju Ralpa, facetów, którzy noszą spodnie ze szczypankami, opowiadają sprośne dowcipy i piją tak, że kwalifikują się do wszycia esperalu. — Porozmawiamy jutro, dziękuję! — dodała, a potem wybiegła na dwór, zanosząc modły, by samochód zapalił bez fanaberii. Chciała być jak najszybciej w domu.

Kiedy zrezygnowana Natalie wróciła do salonu, Ralph przygwoździł ją pytaniem:

— Gdzie jest Londyn... no, Mediolan... a może Frankfurt, zresztą mniejsza o to?

— Ma na imię Paris i pojechała do domu. Chyba dostała migreny — odparła z naciskiem Natalie, świdrując jednocześnie wzrokiem Freda, który wycofywał się z niemądrym wyrazem twarzy.

— Szkoda. Przypadła mi do gustu. Naprawdę ekstralaseczka — stwierdził Ralph, krzepiąc się kolejnym haustem brandy. — To mi przypomina historię o...

Zanim skończył, Paris zdołała pokonać połowę drogi powrotnej, jadąc szybciej, niż powinna w takich warunkach. Ale pragnęła być wreszcie w domu, mieć za sobą ten straszny wieczór, którego przebieg chcąc nie chcąc na okrągło odtwarzała w pamięci. Bo kogoś takiego jak Ralph po prostu się nie da zapomnieć. Pogrążona w myślach, zapomniała o ostrożności i na zakręcie wpadła w poślizg: odruchowo przycisnęła pedał hamulca, co tylko pogorszyło sytuację, samochód bowiem obrócił się majestatycznie i wbił tyłem w zaspę na poboczu, a kilka podjętych przez Paris prób powrotu na jezdnię spelzło na niczym. Zdenerwowana i bezsilna, doszła wreszcie do wniosku, że bez holowania się nie obejdzie.

— Cholera! — powiedziała na głos, sięgnęła po torebkę, by poszukać karty Assistance, wcale zresztą nieprzekonana, że ma ją przy sobie. Znalazła banknot pięciodolarowy, klucze do domu, prawo jazdy, szminkę — i nic więcej. Zajrzała więc do skrytki i niemal wykrzyknęła z radości, widząc nie tylko kartę lecz również ulotkę z numerami alarmowymi. Byłaby bezgranicznie wdzięczna skrzętnemu w takich sprawach Peterowi, gdyby tak się na niego nie wściekała. Bo to przecież z jego powodu musiała wziąć udział w dzisiejszym okropnym przyjęciu, to za jego sprawą stała się łatwym łupem dla osobników [pokroju Ralpa... gdy on tymczasem spędzał z Rachel miodowy miesiąc na Karaibach. Zadzwoiła, poinformowała, co się stało, i usłyszała w odpowiedzi, że wóz pomocy drogowej dotrze do niej najszybciej, jak to będzie możliwe, a więc za dwa do czterech kwadransów. Paris ważyła myśl, czyby dla zabicia czasu nie zadzwonić do Meg, uznała jednak, że tylko niepotrzebnie zaniepokoi córkę, komunikując jej, że ciemną nocą utknęła w zaspie.

Pomoc drogowa przyjechała po czterdziestu pięciu minutach, wóz został wyholowany na szosę i niebawem — półtora godziny jednak po opuszczeniu przyjęcia — kompletnie wyczerpana Paris dotarła do domu. Zamknęła za sobą drzwi i ciężko się o nie oparła. Po raz pierwszy od odejścia Petera była naprawdę wściekła, tak wściekła, że miała ochotę kogoś zabić — Ralpa, Natalie, Freda, Petera, Rachel. Kogokolwiek. Zrzuciła płaszcz na podłogę holu, ściągnęła kozaczki, ciężko powędrowała na górę, rozebrała się. Nawet nie próbowała złożyć ciuchów, to nie miało żadnego znaczenia, bo któż by miał zwrócić uwagę na panujący w sypialni nieporządek? Nikt. Nikt nie odśnieży podjazdu, nikt jej nie odwiezie do domu, nikt nie ostrzeże przed poślizgiem, nie uchroni przed dupkami w rodzaju Ralpa. Nienawidziła wszystkich, ale najbardziej Petera. Nienawidziła go równie mocno, jak kiedyś kochała. Położyła się, wbiła wzrok w sufit i w jednej chwili z całą wyrazistością pojęła, co ma w tej sprawie zrobić. Przyszedł na to czas.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Anne Smythe ze zdumieniem popatrzyła na Paris, gdy ta w poniedziałek wpadła jak burza do jej gabinetu i oznajmiła:

— Uciekam!

— Skąd uciekasz? Z psychoterapii?

Na pierwszy rzut oka było widać, że Paris gotuje się ze złości.

— Nie. Tak. No, właściwie też. Uciekam z Greenwich.

— Co cię skłoniło do powzięcia tej decyzji?

— W sobotę poszłam na przyjęcie, a znajomi, nawet nie pytając, czy chcę, postanowili skojarzyć mnie z kompletnym czubem. Nie dasz wiary, przez co przeszłam. Najpierw musiałam odśnieżyć podjazd, a potem zjawił się facet w portkach ze szczypankami i zaczął opowiadać świńskie dowcipy. Schlał się jak wieprz i klepał mnie w zadek.

— I to dlatego postanowiłaś wyjechać? — upewniła się Annę, nie wiedząc, czy Paris mówi serio czy żartuje.

— Nie. Wracając do domu, utknęłam w zaspie. Wpadłam w poślizg, bo nie umiem jeździć po oblodzonej nawierzchni. Zimą zawsze prowadził Peter. Musiałam wezwać pomoc drogową, wyciągnęli mnie dopiero o północy. Dotarłam do siebie o wpół do drugiej. Dlatego wyjeżdżam.

— Z powodu zasy i czuba? — zapytała Annę dochodząc do wniosku, że Paris z rumieńcami na twarzy i ogniem w oczach wygląda wspaniale jak nigdy dotąd. Że przebudziła się wreszcie i znów panuje nad swoim życiem.

— Nie. Z powodu Petera. Nienawidzę go, to wszystko z jego winy, to on postawił mnie w takiej sytuacji. Porzucił mnie dla tej dziwki i teraz muszę znosić dupków w rodzaju Ralpha albo też swoich cholernych skretyniałych przyjaciół, którzy z litości wyświadczają mi takie, pożałuj Boże, przysługi. Przeprowadzam się do Kalifornii.

Annę badawczo przyglądała się Paris spod przymrużonych powiek.

— Dlaczego?

— Bo tu nie ma dla mnie życia.

— A będziesz je miała w Kalifornii?

Terapeutka chciała, by wyjazd Paris miał racjonalne powody i nie wynikał tylko z chęci ucieczki przed tym wszystkim, czego Paris nie robi tutaj, w Greenwich. Bo w takim wypadku wszystkie swoje problemy zabrałaby w drogę jak bagaż podręczny.

— Przynajmniej tam nie utknę w zaspie, wracając z przyjęcia.

— Zamierzasz więc bywać na przyjęciach?

— Nie znam nikogo, kto mógłby mnie zaprosić — odparła już spokojniej i po namyśle.

Ale przenosiny były sprawą postanowioną. — Jeśli jednak podejmę pracę, poznam nowych ludzi. No i nie palę za sobą żadnych mostów, zawsze mogę wrócić. W tej chwili nie chcę po prostu mieć wokół siebie przyjaciół, którzy się nade mną użalają. To tylko pogarsza sytuację. Wszyscy tu wiedzą o Peterze; chcę poznać takich, którzy nie wiedzą ani o nim, ani o tym wszystkim, co się stało.

— To już brzmi sensownie. Jakie więc będą twoje kolejne posunięcia?

— Jutro rano lecę do San Francisco. Zarezerwowałam już bilet, zadzwoniłam do tamtejszej agencji obrotu nieruchomości, bo zamierzam obejrzeć parę domów i mieszkań.

Dzwoniłam też do Wima, który jest wprawdzie zajęty, ale pójdzie ze mną na kolację. Nie wiem, jak długo tam zostanę, wszystko zależy od tego, czy coś znajdę czy nie. Ale przynajmniej podejmę próbę. Już nigdy nie chcę przeżyć czegoś takiego jak w sobotę.

Annę dopięła celu: wiedziała wprawdzie od miesiący, że Paris jest gotowa do wielkiej zmiany w swoim życiu, ale też nie usiłowała skłonić jej za wszelką cenę do podjęcia decyzji. Teraz Paris podjęła ją z własnej inicjatywy.

— Cóż, wygląda na to, że wychodzimy na prostą, prawda? — odezwała się z satysfakcją, ale też smutkiem spowodowanym utratą podopiecznej, którą szczerze polubiła przez osiem miesięcy owocnej — jak się okazało — wspólnej pracy.

— Może myślisz, że zwariowałam? — zapytała Paris z nieskrywanym niepokojem.

— Nie, uważam, że postępujesz niezwykle racjonalnie i dokonujesz właściwego wyboru. Mam nadzieję, że znajdziesz coś, co ci przypadnie do gustu.

— Ja też na to liczę — odparła Paris z nutą smutku w głosie. — Wyjeżdżam niechętnie, przecież z tym miejscem wiąże mnie tyle wspomnień.

— Zamierzasz sprzedać dom?

— Nie, tylko wynająć.

— Więc zawsze możesz wrócić, jeśli uznasz, że nie odpowiada ci życie w Kalifornii. Ale daj sobie szansę, spróbuj odkryć ten nowy świat, który na ciebie czeka. Jesteś wolna, możesz robić, co chcesz, i jechać, gdzie chcesz. Drzwi są szeroko otwarte.

— To wszystko jest trochę przerażające.

— Ale i podniecające. Jestem z ciebie bardzo dumna. Paris powiedziała jeszcze Annę, że ze swych planów

zwierzyła się tylko jej i dzieciom, przyjaciół zaś postanowiła poinformować dopiero wtedy, gdy znajdzie sobie lokum.

Kiedy wróciła do domu, żeby się spakować, z przeprosinami za przedwczorajsze przyjęcie zadzwoniła Natalie.

— Nic się nie stało — odparła pogodnie Paris. — Było całkiem niezłe.

— Może umówimy się w tym tygodniu na lunch?

— Nie mogę, lecę do San Francisco zobaczyć się z Wimem.

— To się przynajmniej rozerwiesz — stwierdziła Natalie, ogarnięta uczuciem ulgi, że przyjaciółka powoli zrywa z pustelniczym trybem życia. Oczywiście jej zdaniem sytuacja poprawi się diametralnie dopiero wtedy, kiedy Paris powtórnie wyjdzie za mąż, co jest mało prawdopodobne, jeśli nie trafią się kandydaci z wyższej ligi niż Ralph, ale złożyły sobie z Virginią solenne przyrzeczenie, że znajdą dla Paris jakiegoś sensownego faceta.

— Odezwę się po powrocie — obiecała Paris. Nazajutrz rano siedziała już w fotelu lotniczym pierwszej

klasy obok przystojnego biznesmena koło pięćdziesiątki ubranego w elegancki garnitur. Pracował na laptopie. Paris chwilę poczytała, zjadła lunch i obejrzała film; skończył się na pół godziny przed lądowaniem w San Francisco i wtedy też sąsiad Paris odłożył komputer, a następnie popatrzył na współtowarzyszkę lotu i czarująco się uśmiechnął. Stewardesa, która akurat serwowała im wety — Paris poprosiła o owoce, biznesmen natomiast o kawę — zdawała się go znać.

— Zapewne często lata pan do San Francisco? — zagadnęła lekkim tonem Paris.

— Dwa albo trzy razy w miesiącu. Pracujemy dla tamtejszej grupy kapitałowej inwestującej w biotechnologie rozwijane w Dolinie Krzemowej — odparł. Brzmiało to imponująco i współgrało z budzącą zaufanie powierzchownością przystojnego dżentelmena. — A pani? To podróż w interesach czy dla przyjemności?

— Jadę odwiedzić syna, który studiuje w Berkeley. Zauważyła, że zerknął na jej lewą dłoń, na której nie nosiła

już obrączki, bo zdjęła ją natychmiast po ślubie Petera. Czuła się bez niej naga, traktowała ją sentymentalnie i przesądnie: przez dwadzieścia cztery lata nieustannie miała ją na palcu. Jej sąsiad, spostrzegła, również nie miał obrączki. Może to dobry znak, pomyślała.

— Jak długo zamierza pani pozostać w mieście? — zapytał z rosnącym zainteresowaniem.

— Jeszcze nie wiem. Zamierzam rozejrzeć się po rynku nieruchomości, nie wykluczam, że przeprowadzę się do San Francisco.

— Z Nowego Jorku? — dociekał. Zaczynała intrygować go ta kobieta. Była urodziwa, oceniał, że jest koło czterdziestki... nie pasował do niej syn studiujący w college'u.

— Z Greenwich.

— Rozwiedziona? — zdiagnozował bezbłędnie.

— Tak. Skąd pan wie?

— W Greenwich mieszka niewiele samotnych kobiet, a chyba jest pani samotna, skoro myśli o przeprowadzce.

Skinęła głową, ale sama nie zadała mu żadnego pytania: nie chciała być wścibska, poza tym zaś nie miała pewności, czy chce poznać ewentualne odpowiedzi. Kiedy pilot ogłosił, że niebawem rozpocznie się podchodzenie do lądowania, Paris wstała, korzystając z ostatniej szansy, i skierowała się w stronę toalety. Czekala właśnie, aż się zwolni, gdy podeszła do niej stewardesa, która ich obsługiwała.

— To wprawdzie nie mój interes — powiedziała ściszym głosem — ale może powinna pani wiedzieć, że ten facet ma w Stamfordie żonę i czworo dzieci. Miał romanse z dwiema paniami, które w tej chwili z nami lecą, żadnej nie wspomniał o tym słowem. Pani zapewne też nie wspomni. My wiemy od stałej pasażerki, która zna jego żonę. Oczywiście, może to pani nie przeszkadza, ale zawsze lepiej wiedzieć. My, dziewczyny, powinnyśmy sobie pomagać, prawda?

— Dzięki — westchnęła Paris. — Wielkie dzięki. Weszła do wolnej już toalety, umyła ręce, uczesała się

i spojrzała w lustro. Świat jest wielki i zły, pełen dupków, czubków i kanciarzy. Trudniej na nim znaleźć przyzwoitego faceta niż przysłowiową igłę w stogu siana. Zresztą Paris nie chciała go szukać, wiedziała ponad wszelką wątpliwość, że nigdy powtórnie nie wyjdzie za mąż. Peter wyleczył ją z małżeństwa. Mogła tylko przyzwyczajać się do samotności. Gdy wróciła na miejsce odświeżona, uczesana, z poprawionym makijażem, towarzysz podróży spojrzał na nią z jeszcze większym uznaniem, a chwilę później wręczył jej swoją wizytówkę.

— Zatrzymam się w Four Seasons — oświadczył. — Proszę zadzwonić, jeśli znajdzie pani czas na wspólną kolację. Gdzie będzie pani mieszkać?

— U syna — skłamała. Po tym, czego dowiedziała się od stewardesy, nie miała zamiaru otwierać przed nim serca. — Niestety jednak sądzę, że będę dość zajęta.

Ale schowała wizytówkę do torebki.

— Proszę zatem zadzwonić po powrocie do Nowego Jorku — zasugerował, gdy samolot z głuchym łupnięciem wylądował na pasie. — Może mógłbym podwieźć panią do miasta? Paris w duchu współczuła jego nieszczęsnej żonie.

— Nie, dziękuję, czekają na mnie znajomi. Ale miło, że pan to zaproponował.

Dwadzieścia minut później znów dostrzegł Paris, która samotnie wsiadała do taksówki. Pomachała mu, gdy spotkali się wzrokiem, on zaś uniósł brew.

Po przyjeździe do hotelu Paris natychmiast wyrzuciła jego wizytówkę do kosza.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Paris miała wrażenie, że w ciągu czterech następnych dni obejrzała wszystkie nieruchomości w mieście. Najpierw były Cztery mieszkania — szybko jednak doszła do wniosku, że mieszkanie w ogóle nie wchodzi w grę, bo po przestronnym domu w Greenwich czułaby się w nim klaustrofobicznie

- potem liczne domy, z których po namyśle wyselekcjonowała dwa. Jeden, w Pacific Heights, był z kamienia i pod wieloma względami przypominał ten w Greenwich, drugi - schludny wiktoriański budynek przy Vallejo Street w Cow lollow — miał widok na zatokę i most Golden Gate, a przede wszystkim niezależną przybudówkę, z której mógłby korzystać Wim, nie czując jednocześnie, że znów mieszka u matki. Był po remoncie, prezentował się zachęcająco, właściciele nie rządzili wygórowanego czynszu, a Paris wydawała im się nieomal ideałem lokatorki, będąc osobą dorosłą, odpowiedzialną i wypłacalną.

W głównej części budynku znajdowały się trzy sypialnie: tę ze wspaniałym widokiem, na najwyższej kondygnacji, Paris przeznaczyła dla siebie, z dwóch zaś położonych pod nią mogłaby podczas swych wizyt korzystać Meg albo inni goście. Na parterze była urocza kuchnia utrzymana w stylu rustykalnym i dość przestronny salon, z którego wychodziło się do niewielkiego starannie utrzymanego ogródka. Pod względem rozmiaru ten dom nie mógł się wprawdzie równać z rezydencją Armstrongów w Greenwich, lecz to właśnie jego kameralność ujęła Paris, która bez oporu pogodziła się z myślą, że zdoła w nim pomieścić zaledwie część swoich mebli, resztę zaś będzie musiała zdeponować w składzie. Chwilowo mogła korzystać z wypożyczonych za pośrednictwem agenta. Sprawa została sfinalizowana bez zbędnych ceregieli, Paris podpisała umowę, wpłaciła dwumiesięczny czynsz i spory depozyt, agent zaś podrzucił jej do hotelu wszystkie klucze. Teraz musiała tylko wynająć dom w Greenwich, ale przecież nie musiała robić tego osobiście, mogła przenieść się do San Francisco w każdej chwili.

Po kolacji z Wimem postanowiła mu pokazać swoją nową siedzibę; już wcześniej wynajęła samochód, żeby przyzwyczajać się do jazdy po wzgórzach, na których leżało miasto. Wim pochwalił wybór matki, a w dwupokojowej przybudówce z wyjściem na ogród zakochał się od pierwszego wejrzenia.

— Super, mamó! — wykrzyknął. — Będę mógł tu czasem zapraszać na dłużej kumpli?

— W każdej chwili, kochanie. Dlatego właśnie wynajęłam ten dom — odparła Paris, nie mając zresztą złudzeń, że Wim będzie u niej gościł zbyt często. Fantastycznie bawił się w Berkeley, zawarł masę przyjaźni, lubił zajęcia i wedle własnej relacji dobrze dawał sobie na nich radę.

— Kiedy się sprowadzasz? — zapytał podekscytowany.

— Kiedy się tylko spakuję.

— Zamierzasz sprzedać dom?

— Nie, tylko wynająć.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy Paris czekało coś przyjemnego, podniecającego, innego niż rozpacz i ból. Długo trwało, zanim to osiągnęła, ale jednak udało się.

Odwiozła Wima do Berkeley, a nazajutrz wróciła do Greenwich. Tym razem jej sąsiadką była sędziwa matrona, która oznajmiła, że jedzie z wizytą do syna, i zaraz potem zapadła w głęboki sen.

Wchodząc do swego domu Paris doznawała złudzenia, że nie była w nim od miesiąca; wiele działała w ciągu kilku dni.

Natalie i Virginia były zaszokowane i smutne, kiedy nazajutrz zrelacjonowała im sytuację, a zarazem na swój sposób szczęśliwe, że oto robi coś, co naprawdę chce zrobić.

Paris rzecz jasna nie wyznała Natalie, iż języckiem u wagi okazało się sobotnie przyjęcie. Była w tym czasie bardzo zaganiana: zgłosiła swój dom w agencji, mieli go zacząć pokazywać potencjalnym klientom już w najbliższy weekend, choć uprzedzali, że znalezienie odpowiedniego może trochę potrwać, obecna pora roku bowiem uchodzi na rynku nieruchomości za martwy sezon i prawdziwy ruch zacznie się dopiero na wiosnę. Poza tym zamówiła już firmę transportową, powoli zaczynała się pakować, rozważając nieustannie, co ze sobą zabrać, a co zdeponować w magazynie. Virginia zakomunikowała jej telefonicznie, że postanowiła z Jimem wydać na jej cześć przyjęcie pożegnalne; przed końcem tygodnia na identyczny pomysł wpadły cztery inne osoby. Z dnia na dzień Paris przestała być obiektem współczucia — teraz z entuzjazmem kibicowano jej poczynaniom, choć zarazem ubolewano, że wyjeżdża. Sama Paris nie do końca zdawała sobie sprawę, w jak wielkim stopniu ta zmiana stosunku przyjaciół wobec niej wynika z decyzji, którą podjęła. Tak czy inaczej otaczała ją teraz zupełnie inna atmosfera niż zaledwie kilka dni temu.

Nie posiadała się ze zdumienia, gdy w niedzielę po południu jej dom został wynajęty; zdecydowała się na niego już druga para klientów, przy czym pierwsza zadzwoniła godzinę później również wyrażając zainteresowanie. Umowa najmu opiewała na rok z możliwością przedłużenia na następny, wysokość czynszu przeszła najśmielsze oczekiwania Paris, która stwierdziła z zaskoczeniem, że będzie dostawała sporo więcej, niż musi płacić za dom w San Francisco. Jej lokatorzy — przenoszeni służbowo z Atlanty do Nowego Jorku — odetchnęli z ulgą, gdy zorientowali się, że Paris nie tylko nie ma zastrzeżeń do trójki ich dzieci, lecz jest zgoła zadowolona, iż dom znowu wypełni się zgiełkiem i życiem. Przez następne dni Paris pakowała się i żegnała z przyjaciółmi, gdy więc nadszedł koniec stycznia, zaplanowany przez nią termin przeprowadzki, była gotowa.

Na ostatni weekend wzięła pokój w Homestead Inn i zjadła pożegnalny lunch z Natalie i Virginią. Dobrze się bawiła na wszystkich przyjęciach, które dla niej wydano, może dlatego, że byli na nich sami starzy znajomi i żadnych podpitych zalotników. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, ile osób z Greenwich zna i lubi, przez chwilę nawet pożałowała, że wyjeżdża. Ale wiedziała, że podjęła słuszną decyzję, bo choć w San Francisco może jej być niełatwo, tu byłaby skazana na samotność, depresję i chandrę. Samotność czekająca w San Francisco stanowiła wyzwanie, Paris bowiem będzie musiała rozejrzeć się za pracą i poznać nowych ludzi. Miała zresztą oparcie w Annę, z którą umówiły się na sesje telefoniczne dwa razy w tygodniu.

W piątek o ósmej rano pojechała na lotnisko, a kiedy samolot odrywał się od ziemi, usiłowała za wszelką cenę nie myśleć o Peterze. Znał jej plany od Wima i Meg, ale nie zadzwonił, zajęty nową rodziną i nowym życiem. Teraz Paris musiała zatroszczyć się o własne. Jeśli poniesie klęskę, może zawsze wrócić do Greenwich, nie zamierzała jednak tego uczynić przez najbliższy rok. Ten rok przeznaczała na naukę latania, mając przy tym uspokajającą świadomość, że zabrała ze sobą spadochron. Nikt jej nie wypchnął z samolotu, nie spadała jak kamień na ziemię — wyskoczyła sama, świadoma, co i dlaczego robi. Uśmiechała się szeroko, gdy samolot lądował w San Francisco.

Gdy dojechała taksówką do swojego nowego domu, stwierdziła, że agent dotrzymał obietnicy i dostarczył niezbędne sprzęty — łóżko, komody, stół, krzesła, kanapę, niski stolik i kilka lamp. Zadzwigała walizkę do sypialni na górze, rozejrzała się dookoła, zerknęła przez okno na most Golden Gate, a potem stanęła przed lustrem i uśmiechnięta powiedziała do swojego odbicia:

— Kochanie, wróciłam!

Lekko oszołomiona, pełna nadziei, usiadła na skraju łóżka i wybuchła śmiechem. Zaczynała nowe życie.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Czekając nadal na przywóz swoich mebli, Paris nie miała w nowym domu wiele do roboty; te wypożyczone wystarczały wprawdzie na codzienne potrzeby, lecz bez znajomych sprzętów i ozdób wnętrza, mimo wspaniałych widoków z okien, wydawały się trochę chłodne i anonimowe. Jedynym elementem, który zdaniem Paris mógł je ożywić, były kwiaty, w sobotę więc postanowiła nakupić ich całą masę, zwłaszcza że w niedzielę na kolację przyjeżdżał Wim.

Kiedy z Fillmore Street skręcała w Sacramento, gdzie wypatrzyła mnóstwo kuszących małych antykwariatów, rozmyślała o odbytej tuż przed wyjściem z domu długiej rozmowie telefonicznej z Meg, która oznajmiła, że w miniony weekend ona i Peace postanowili zerwać. Zasmucona, lecz nie zrozpaczona, podzielała — z innych wprawdzie powodów — opinię matki, że był to związek bez perspektyw, dzieliło ich bowiem zbyt wiele, choć w jej przekonaniu Peace to naprawdę porządny facet i spędzone z nim miesiące nie okazały się czasem straconym.

— I co teraz? — zapytała spokojnie Paris, która lubiła orientować się na bieżąco w sprawach córki. — Ktoś nowy na horyzoncie?

Meg się roześmiała.

— Mamo, przecież minął zaledwie tydzień! Masz mnie za puszczałką? To nie był romans mojego życia, ale mimo to obowiązuje mnie jakiś okres żałoby. Peace był dla mnie dobry i przeżyliśmy wiele miłych chwil.

— Wcale cię nie mam za puszczałką. Ale jesteś młoda, piękna i zapewne nie opędzisz się od mężczyzn.

— To wcale nie jest takie proste. Mnóstwo tu szajbusów, aktorzy są zakochani tylko w sobie — Peace wprawdzie taki nie był, ale miał kręcka na punkcie sztuk walki i zdrowia, ostatnio zresztą doszedł do wniosku, że woli uczyć karate, niż grać w horrorach — połowa facetów, których tu poznałam, ostro ćpa, wielu interesuje tylko chodzenie z gwiazdeczkami albo modelkami, ci normalni, no wiesz, prawnicy, maklerzy i księgowi, są beznadziejnie, prozaiczni, a moi rówieśnicy — niedojrzali i nudni jak flaki z olejem.

— Ktoś ci się trafi, kochanie. Twój świat jest pełen odpowiednich kandydatów, trzeba ich tylko odnaleźć.

— A twój, mamo? Co zamierzasz zrobić, żeby poznać nowych ludzi? — zapytała Meg, zdjeta obawą, że i w San Francisco Paris zacznie wieść pustelniczy żywot. W mieście, gdzie nie znała nikogo, mogła popaść w jeszcze głębszą depresję.

— Daj mi szansę, przyjechałam tu dopiero wczoraj. Złożyłam psychoterapeutce obietnicę, że znajdę pracę, i zamierzam jej dotrzymać. Tylko nie bardzo wiem, gdzie tej pracy szukać.

— Może zaczęłabyś uczyć? Masz magisterium, rozejrzyj się po college'ach i szkołach biznesu, zapytaj w Stanfordzie i Berkeley.

W luźnych rozważaniach Paris brała pod uwagę i tę ewentualność, zdawała sobie jednak sprawę, że jej kwalifikacje są o wiele za skromne i że w gruncie rzeczy sama powinna wrócić w tej chwili do szkoły. Zresztą perspektywa nauczania nie pociągała jej zbytnio, wolałaby coś bardziej interesującego. Wyrzuty sumienia i hojność Petera, a także umiejętnie przez lata inwestowany majątek osobisty dawały jej niezależność finansową, tak więc stałe zarobki nie były głównym przedmiotem jej troski.

— Wim zamordowałby mnie, gdybym podjęła pracę w Berkeley. Uznałby, że mu depczę po piętach. Ewentualnie zatem zostaje tylko Stanford.

— A praca biurowa? Poznałabyś wielu facetów — zasugerowała Meg.

— Nie szukam mężczyzny, Meg, chcę tylko poznać jakichś ludzi.

Meg miała jednak w stosunku do matki wyższe aspiracje, wychodząc z założenia, że jedynie małżeństwo lub przynajmniej poważny romans zagwarantuje jej równowagę emocjonalną. Samotność była dla niej najgorsza.

— Cóż, mężczyźni to też w pewnym sensie ludzie

— stwierdziła Meg, a Paris wybuchła śmiechem.

— Nie zawsze. Czasem tak, czasem nie — odparła Paris, mając przede wszystkim na myśli Petera, który aż nadto wyraźnie dowiódł swoim postępowaniem, jak ułomna bywa natura ludzka. Zrobił coś, czego się po nim nie spodziewała, wskutek czego teraz nie potrafiłaby zaufać nikomu. — Zobaczymy, może coś się urodzi. Rozważałam, czyby nie poddać się jednemu z tych wariackich testów, które badają predyspozycje człowieka do rozmaitych zawodów. Chyba coś takiego przeprowadzają w Stanfordzie. Pewnie usłyszę, że powinnam zostać pielęgniarką w wojsku, higienistką stomatologiczną albo malarką. Czasem wyniki tych testów są nie z tej ziemi. Może przedtem faszerują ofiarę jakimś serum zmuszającym do mówienia prawdy?

— To dobry pomysł — oświadczyła stanowczo Meg.

— Bo co masz właściwie do stracenia?

— Tylko czas i pieniądze. Zgadzam się z tobą. A tak nawiasem mówiąc, kiedy zamierzasz mnie odwiedzić? — zapytała Paris z nadzieją w głosie. Możliwość częstszych spotkań z córką była bodaj najpoważniejszym argumentem za przeprowadzką do San Francisco. Meg jednak odparła z zalem, że przez kilka najbliższych weekendów będzie zaharowana po uszy, bo kończą akurat pracę nad filmem i sytuacja jest podbramkowa. Tak więc spotkanie trzeba niestety odłożyć na później.

Paris zaparkowała wynajęty wóz przy Sacramento — jej własny, podróżujący z Greenwich ciężarówką, miał dotrzeć mniej więcej w tym samym czasie co reszta dobytku. Weszła do jednego z antykwariatów, w którym kupiła urocze srebrne puzderko. W następnym ogromnie przypadła jej do gustu para zabytkowych, też srebrnych świeczników. Uwielbiała myszkować po sklepach ze starociami i świetnie się bawiła. Trzeci z rzędu nie był jednak antykwariatem, lecz kwiaciarnią: mieścił się na parterze eleganckiego wiktoriańskiego domu, wystawę zaś zdobiły trzy najpiękniejsze kompozycje kwiatowe, jakie Paris w życiu widziała — stojące w przepysznych srebrnych naczyniach, oszalały barwami i zaskakiwały niekonwencjonalnym doбором roślin. Kiedy Paris weszła do środka, doskonale ubrana młoda kobieta kończyła właśnie rozmowę telefoniczną; Paris dostrzegła na jej palcu pierścionek z okazałym brylantem. Z pewnością ten sklep nie był zwykłą kwiaciarnią.

— Czym mogę służyć? — zapytała uprzejmie wytworna sprzedawczyni.

Paris zamierzała tego dnia kupić kwiaty do domu, ale akurat tu weszła zaintrygowana kompozycjami na wystawie.

— Nigdy nie widziałam tak cudownych bukietów — odparła zerkając za siebie.

— Dziękuję za uznanie. Są przeznaczone na przyjęcie które przygotowujemy dziś wieczorem. Wazony należą do klienta, pani również mogłaby nam dostarczyć własny.

— Wspaniały pomysł — odrzekła po krótkim namyśle Paris, przypominając sobie, że ma przecież podobny do wazonu stojącego w środku, antyczny samowar, który kiedyś kupili z Peterem w Anglii. Ale będę mogła z niego skorzystać dopiero za jakiś czas. Niedawno przeprowadziłam się tu ze wschodu.

— W każdej chwili jesteśmy do usług. Jeśli zaś postanowi pani wydać przyjęcie, możemy zapewnić również catering. To skądinąd — uśmiechnęła się — moja działka. Prowadzę firmę cateringową i często kooperuję z właścicielem sklepu. Dziś jestem tu na gościnnych występach, bo sprzedawczyni zachorowała, natomiast asystentka Bixby'ego, która rodzi w przyszłym tygodniu, bawi się na „przedpępkowym”.

— Czy to naprawdę kwiaciarnia? — zapytała zbита z tropu Paris. Wystrój sklepu był wręcz luksusowy, a z głębi głównego pomieszczenia prowadziły na górę wąskie marmurowe schody.

— Kiedyś wyłącznie, teraz — znacznie więcej. Właściciel, Bixby Mason, zresztą widziała pani nazwisko na szyldzie, jest artystą i prawdziwym geniuszem. Przygotowuje najlepsze przyjęcia w mieście, i to od a do zet: załatwia muzykę, catering, ustala motyw przewodni, wspólnie z klientami pracuje nad taką atmosferą imprezy, jakiej sobie życzą, obojętne, czy chodzi o kameralną kolację czy też wesele z udziałem tysiąca gości. Praktycznie zmonopolizował w San Francisco ten rynek, pracuje zresztą na terenie całego stanu, a nawet kraju. Tak więc kwiaty są, by tak rzec, zaledwie wierzchołkiem góry lodowej.

— Imponujące — westchnęła Paris, a młoda kobieta sięgnęła na półkę za swoimi plecami i zdjęła trzy z chyba dwunastu oprawnych w skórę albumów.

— Chce pani zerknąć? To fotografie z kilku zeszłorocznych imprez. Naprawdę fantastyczne.

Paris nie wątpiła, bo fantastyczne przecież były kwiaty na wystawie.

Zaciekawiona zaczęła kartkować albumy pełne zdjęć bajkowych rezydencji i wypieszczonych ogrodów, w których rozkwiwały namioty dla gości uszyte z najniezwyklejszych, a zarazem genialnie dobranych tkanin. Sądząc po fotografiach, również mniejsze przyjęcia były spełnieniem marzeń najbardziej wymagających gospodarzy i gości. Na imprezie hallo-weenowej stół zdobiły ręcznie malowane dynie, na innej - brązowe orchidee i poustawiane w chińskich wazonikach bukietki z ziół, na jeszcze innej, utrzymanej w duchu lat pięćdziesiątych, taka masa zabawnych gadżetów, że trudno było powstrzymać śmiech.

— Naprawdę niezwykle imponujące — powiedziała ze szczerym przekonaniem Paris, która wydała wprawdzie w Greenwich wiele bardzo udanych przyjęć, ale żadnego choćby odlegle przypominającego te na fotografiach. Ubolewała, że zabrakło jej wyobraźni.

— Kim właściwie jest pan Bixby Mason?

— Naprawdę artystą, to znaczy malarzem i rzeźbiarzem. Skończył również architekturę, ale jak się orientuję, nigdy nie pracował w tym zawodzie. A najkrócej mówiąc, niezmiernie twórczym człowiekiem o wielkiej wyobraźni i rozmachu, prywatnie zaś ogromnie sympatycznym facetem. W swoim czasie niemal zabił kogoś, kto go nazwał planistą weselnym, choć istotnie przygotowuje sporo wesel. Ale jest kimś więcej. Często z nim

współpracuję i uwielbiam tę współpracę, bo wszystko idzie zawsze jak w zegarku. Ma kręćka na punkcie osobistego nadzorowania wszystkiego, co się da, tyle że jest to zupełnie zrozumiałe. Klienci wracają do niego, bo czeokolwiek się tknie, wypada idealnie, a gospodarze mogą spokojnie bawić się na imprezie równie dobrze jak goście.

— Pójdę o zakład, że czeki, które później wypisują, opiewają na niebotyczne sumy — zauważyła Paris. Niektóre z imprez przedstawionych na zdjęciach musiały kosztować majątek.

— Jest tego wart — odparła z przekonaniem, a nawet dumą kobieta przy biurku. — Sprawia, że te imprezy są niezapomniane. Nawet ceremonie pogrzebowe, które czasem aranżuje, są piękne i gustowne. Nie oszczędza na kwiatach, jedzeniu ani muzyce. Jeśli to konieczne, sprowadza zespoły z najdalszych zakątków kraju, nawet z Europy.

— Zdumiewające — stwierdziła Paris, trochę zawstydzona swym pomysłem, by komuś, kto działa na tak ogromną skalę, przynosić do umajenia kwiatami srebrny samowar. — Cieszę się, że tu trafiłam... choć szukałam najzwyczajszej kwiaciarni. Jestem w mieście tak krótko, że myślę, iż upłynie sporo czasu, zanim zacznę wydawać przyjęcia.

Młoda kobieta podała jej wizytówkę sugerując, by dzwoniła, kiedy tylko uzna, że usługi firmy mogłyby się jej przydać.

— Bixby na pewno się pani spodoba, to prawdziwy żywioł, choć ostatnio po prostu odchodzi od zmysłów, bo jego asystentka za kilka dni będzie rodzić, a dosłownie na każdy weekend mamy zamówione wesela. Powtarza nawet Jane, że mimo wszystko zmusi ją do roboty. Słabo się zna na rodzeniu dzieci.

Roześmiały się i w tym momencie Paris przyszedł do głowy pomysł, który wydawał się jej szaleńczo zuchwały. A mimo to postawiła wszystko na jedną kartę, schowała więc wizytówkę do kieszeni i oświadczyła:

— W gruncie rzeczy rozglądam się właśnie za pracą. Wydawałam wiele przyjęć, choć nigdy na taką skalę. Jakiej asystentki potrzebuje pan Mason?

Nie łudziła się, że ze swym brakiem przygotowania zawodowego i nader skromnym doświadczeniem może być odpowiednią kandydatką.

— Osoby z bezmiarem energii i mnóstwem wolnego czasu wieczorami i w weekendy. Jest pani mężatką? — zapytała młoda kobieta praktycznie pro forma, bo Paris miała ten dystyngowany, opanowany i zdradzający pewność siebie styl bycia kobiet, o które dobrze dbają ich majątni mężowie.

— Nie, rozwódką — odparła cicho. Te słowa wciąż z trudem przechodziły jej przez gardło, miała wrażenie, że przyznaje się do zbrodni bądź też publicznie obwieszcza swą życiową porażkę. Wciąż pracowały z Anną nad tym problemem.

— Czy ma pani dzieci?

— Tak, dwoje. Córka mieszka w Los Angeles, syn studiuje w Berkeley.

— To ciekawe, chyba muszę mu o tym wspomnieć, powinien zresztą zadzwonić za kilka minut. Proszę łaskawie zostawić numer, odezwę się, jeśli wyrazi zainteresowanie. Jest przyciśnięty do muru z powodu Jane, której dziecko przyjdzie na świat lada chwila, a mąż upiera się, żeby rzuciła pracę. Na ostatnim weselu byłam prawie pewna, że zaraz urodzi. Wygląda, jakby nosiła trojaczki, dzięki Bogu tak nie jest, ale dzieciak będzie olbrzymi. Nie wiem, co Bix pocznie, jeśli nie znajdzie dla niej zastępstwa. Podczas rozmów kwalifikacyjnych nikt mu nie przypadł do gustu. To perfekcjonista, tyran jako szef, ale odważa tak fantastyczną robotę i jest tak porządnym człowiekiem, że wszyscy go kochamy.

Czy jest coś jeszcze, co powinien o pani wiedzieć? Doświadczenia zawodowe? Języki? Szczególne zainteresowania? Znajomości?

Jakież mogła mieć doświadczenia zawodowe, skoro przez dwadzieścia cztery lata była wyłącznie matką i żoną? Znajomości? Tu, w San Francisco, nie miała żadnych.

— Mam magisterium z zarządzania, jeśli mogłoby go to zainteresować—odparła i pospiesznie, by nie zostać uznaną za

osobę nadętą i pozbawioną wyobraźni, dorzuciła: — Nieźle znam się na ogrodnictwie i zawsze sama układam kwiaty, choć... — obejrzała się na wystawę — ...po amatorsku w porównaniu z tym, co tu widzę.

— Bez obaw. Bix nie ma o tym pojęcia i zatrudnia pewną Japonkę. Genialnie dobiera ludzi, którzy coś potrafią, w tym jest prawdziwym mistrzem. To dyrygent, który aranżuje i prowadzi orkiestrę. My — tylko gramy. Pani rola polegałaby na słuchaniu, notowaniu, co mówi, i telefonowaniu. To właśnie robi Jane.

— Telefonowanie wychodzi mi rewelacyjnie — uśmiechnęła się Paris — i mam mnóstwo czasu. Jak również przywoicie zaopatrzoną garderobę, w związku z czym nie przynosiłabym mu wstydu przed klientami. Przez dwadzieścia cztery lata prowadziłam dość zamożny dom i... nie wiem, co mogłabym jeszcze dodać, chyba tylko tyle, że poznam go z największą przyjemnością.

— Jeśli to zagra — powiedziała kobieta, kiedy Paris zapisywała swoje nazwisko i numer telefonu — zostanie pani najserdeczniejszym przyjacielem. To uroczy człowiek. — Przyjmując od Paris karteczkę, uśmiechnęła się współczująco. — Wiem, jak to jest. Kiedy po osiemnastu latach rozpadło się moje małżeństwo, nie miałam doświadczeń zawodowych ani właściwie żadnych umiejętności. Potrafiłam tylko składać pranie, wozić dzieci i gotować dla wszystkich. Stąd przyszedł mi do głowy pomysł z cateringiem... a potem okazało się, że mam znacznie więcej talentów, niż przypuszczałam. Teraz moje biura są w Los Angeles, Santa Barbarze i Newport Beach. Pomógł mi w tym Bixby. Pani też musi kiedyś zacząć i to właśnie może być ten początek. Nazywam się Sydney Harrington i mam nadzieję, że będziemy spotykać się często. Jeśli nie wypali ta sprawa, proszę zadzwonić. Rozumiem pani sytuację i mam wiele pomysłów.

Wręczyła Paris swoją wizytówkę służbową, a Paris serdecznie jej podziękowała.

Wychodząc z biura, miała wrażenie, że płynie w powietrzu. Jeśli nawet nie dostanie tej pracy, to przecież zyskała chyba przyjaciółkę. Znajomość z Sydney Harrington mogła okazać się korzystna—w końcu ewentualne podjęcie pracy w jej firmie cateringowej to też jakaś myśl. Ale gdyby jednak zatrudnił ją Bixby Mason... cóż, to byłoby zupełnie fantastyczne. Lecz swoje szansę oceniała nisko, czym bowiem miałyby go przekonać — doświadczeniem w wydawaniu przyjęć dla niewielkiego grona przyjaciół? Niemniej uznawała za sukces już to, że znalazła w sobie dość odwagi, by spytać.

Jeszcze przez dwie godziny oglądała sklepy przy Sacramento Street — kupiła serwis do sałatek oraz kanwę i włóczki, żeby umilać sobie haftem samotne wieczory — a gdy około czwartej wróciła do domu, usiadła z filiżanką herbaty przy oknie, napawając oczy pięknym widokiem. Wtedy z ekscytującymi nowinami zadzwoniła Sydney Harrington.

— Bixby zaprasza panią w poniedziałek na dziewiątą. Nie chcę budzić w pani złudnych nadziei, bo nie wiem, jak panią oceni, ale zarekomendowałam panią w samych superlatywach. Jest zdesperowany, odrzucił wszystkie kandydatki podesłane przez agencję, argumentując, że są nieciekawe, pozbawione wyobraźni lub mają fatalną prezencję.

Asystentka musi towarzyszyć mu w trakcie imprez, czasem nawet, gdy dwie odbywają się

w tym samym czasie, działać samodzielnie, a co za tym idzie, nie wyróżniać się in minus z towarzystwa, jak też łatwo znajdować z klientami wspólny język. To dla niego bardzo ważne. Asystentka, twierdzi, jest jego prawą ręką, jego ambasadorem. Z Jane pracuje od sześciu lat, teraz czeka go ogromna zmiana. Już wiele miesięcy temu powinien był zatrudnić kogoś, kto podszkoliłby się u boku Jane, ale podejrzewam, że po prostu nie przyjmował do wiadomości, iż naprawdę jest w ciąży, naprawdę urodzi dziecko i naprawdę od niego odejdzie.

— Na urlop macierzyński? — zapytała Paris. Z jej punktu widzenia nie było to zbyt istotne, bo nawet kilkumiesięczna praca w firmie gwarantowała zdobycie bezcennych doświadczeń i wypełnienie wolnego czasu czymś naprawdę interesującym.

— Na dobre. Bix urządził Jane wesele i zdaniem jej męża urządzi również rozwód, jeśli Jane natychmiast nie zrezygnuje z pracy. W ciągu ostatnich pięciu tygodni Paul widywał ją przez najwyżej dziesięć minut dziennie. Teraz chce ją mieć w domu, a i sama Jane, jak sądzę, do tego dojrzała. Bix jest fantastyczny, ale praca z nim to najprawdziwsza harówka. Mam nadzieję, że będzie pani na to przygotowana.

— To wszystko brzmi rewelacyjnie — z nieskrywanym entuzjazmem oświadczyła Paris, ale chwilę później spytała zaniepokojona: — Co mam włożyć? Czy są jakieś rzeczy, które lubi albo których nie lubi?

— Po prostu proszę być sobą, to ceni najbardziej. Niech pani będzie otwarta, szczerą i naturalną. I gotowa na osiemnastogodzinne szczyty. Taką gotowość też szanuje. Nikt na całej planecie nie pracuje równie ciężko jak Bixby Mason, ale takiej samej pracy Bixby Mason oczekuje od innych.

— W porządku, jeśli chodzi o mnie. Nie mam wielkiego domu do prowadzenia, nie mam pod skrzydłami dzieci ani męża. Nikogo tu nie znam i nie mam nic innego do roboty.

— To mu się spodoba. Wspominałam o pani dyplomie z zarządzania i chyba był zaintrygowany. Powodzenia — powiedziała głosem pełnym ciepła. — Sprawdzę w poniedziałek, jak pani poszło.

— Ogromne dzięki — odparła Paris z głęboką wdzięcznością. — I proszę za mnie trzymać kciuki!

— Będę trzymać. Świetnie pani wypadnie, mam dobre przeczucie. Uważam, że to Opatrzność skierowała panią do sklepu, a mnie kazała zaproponować Bixowi, że posiedzę tam na zastępstwie. Teraz sprawdzmy, co z tego wyjdzie. A jeśli nawet nie wyjdzie, wymyślimy coś innego, nie wątpię.

Po zakończeniu rozmowy Paris długo jeszcze wyglądała przez okno — uśmiechnięta. Najniespodziewaniej w świecie zaczęły się dziać dobre rzeczy, lepsze, niż śmiała marzyć. Miała tylko nadzieję, że nie wygłupi się w poniedziałek i nie palnie czegoś bez sensu. Do zaoferowania miała niewiele, jeśli jednak dostanie tę pracę, włoży w nią serce i duszę. Byłoby to najlepsze, co mogło ją spotkać.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

W poniedziałek Paris zaparkowała auto przy Sacramento Street już za dziesięć dziewięta i zgodnie z instrukcją Sydney podeszła do czarnych drzwi z mosiężną kołatką, znajdujących się obok wejścia do sklepu. Kiedy przyciskała guzik dzwonka, stwierdziła z zakłopotaniem, że drżą jej dłonie. Miała na sobie dopasowany czarny kostium i pantofle na wysokim obcasie, włosy upięła w luźny kok, ozdobiła uszy małymi brylantowymi kolczykami, na ramię zaś zarzuciła klasyczną czarną torebkę Chanel, gwiazdkowy prezent sprzed kilku lat.

W Greenwich nie miała wielu okazji, by ją nosić, torebka więc wyglądała na zupełnie nową. Paris sądziła, że na dzisiejsze spotkanie odpowiedniejszy byłby neseser, nie miała jednak żadnego. W ogóle szykując się dziś do wyjścia, przeżywała rozterki, czy zdecydować się na skromniejszą czy też bardziej wykwintną kreację; w rezultacie miała wrażenie, że trochę przesadziła, z drugiej jednak strony pragnęła dowiedzieć, iż nie wzbudzi swoją prezencją zastrzeżeń na żadnym, nawet najelegantszym przyjęciu. Właśnie prewencja, intelekt, energia, czas, talent organizacyjny składały się na jej kapitał. Miała nadzieję, że to wystarczy.

Rozległ się brzęczyk, pchnęła drzwi i zobaczyła przed sobą wiodące na górę marmurowe schody, takie same jak w sklepie. Podążając w kierunku głosów dobiegających z piętra, znalazła się w eleganckiej sieni udekorowanej płótnami wybitnych malarzy współczesnych i zobaczyła przed sobą wyłożony boazerią przestronny pokój pełen książek. Siedziały w nim dwie osoby: ubrany w czarny golf i spodnie uderzająco przystojny blondyn przed czterdziestką i młoda kobieta w monsturalnej wręcz ciąży. Ciężko dźwignęła się z fotela, przywitała Paris i wprowadziła ją do pokoju.

— Jesteś zapewne Paris, cóż za urocze imię. Ja jestem Jane, to Bixby Mason. Czekaliśmy na ciebie.

Paris miała wrażenie, że prześwietlają ją promienie Roentgena, kiedy Bixby Mason spojrział na nią, szacując w jednej krótkiej chwili wszystko: fryzurę, kolczyki, strój, torebkę Chanel, pantofle na wysokich obcasach. Lustracja wypadła chyba zadowolająco, bo uśmiechnął się i poprosił Paris, żeby usiadła.

— Świetny kostium—stwierdził z uznaniem, a gdy w tym samym momencie zadzwonił telefon, chwycił słuchawkę, w tempie karabinu maszynowego wyrzucił z siebie serię pytań, odłożył słuchawkę i bezzwłocznie przystąpił do relacjonowania Jane przebiegu rozmowy.

— Furgonetka z orchideami ma opóźnienie, jest w połowie drogi z Los Angeles, ale powinna być przed południem, co oznacza, że będziemy musieli się uwijać. Ale za opóźnienie proponuję ekstrarabat. Myślę, że się wyrobimy: przyjęcie zaczyna się o siódmej, jeśli więc będziemy na miejscu o trzeciej, powinno być OK.

Ponownie skupił uwagę na Paris pytając, od jak dawna jest w San Francisco i dlaczego się tu przeniosła.

Nad odpowiedzią—pytanie bowiem było do przewidzenia—zastanawiała się już wcześniej. Nie chciała wypaść na osobę przygnębioną czy żalowaną, zamierzała oszczędzić mu drastycznych szczegółów, bo ich nie musiał znać, poinformować natomiast tylko o tym, że jest rozwiedziona i niezależna.

— Przyjechałam trzy dni temu — odparła. — Jestem rozwódką. Przez dwadzieścia cztery lata małżeństwa prowadziłam dom, zajmowałam się dziećmi, nie pracowałam zawodowo, dość często wydawałam przyjęcia. Przyjechałam do San Francisco, bo mój syn studiuje w Berkeley, a córka mieszka w Los Angeles. Uwielbiam urządzenie wnętrza, podejmowanie gości i ogrodnictwo. Aha, mam dyplom z zarządzania.

Skwitował uśmiechem tę spieszoną deklamację, a Paris dostrzegła w jego oczach ciepłe iskierki.

— Od jak dawna jesteś rozwiedziona? Głęboko nabrała powietrza w płuca.

— Od miesiąca. Rozwód nabrał mocy prawnej w grudniu, ale żyliśmy w separacji już od maja.

— Przykra historia. Szczególnie po dwudziestu czterech latach — stwierdził ze współczuciem, a Paris wysiłkiem woli powstrzymała łzy. Zawsze zbierało się jej na płacz, kiedy okazywano jej współczucie. — Jak dajesz sobie radę?

— Zupełnie dobrze — odparła spokojnie. — To była dramatyczna zmiana, ale dzieci zachowały się wspaniale. Moi przyjaciele też. Teraz uznałam, że potrzebne mi nowe otoczenie.

— Gdzie mieszkałaś w Nowym Jorku?

— W Greenwich, w Connecticut. To taka dość zamożna podmiejska sypialnia, żyjąca własnym życiem

— Znam to miejsce — stwierdził z uśmiechem. — Dorastałem w nieodległym i bardzo podobnym Purchase. To też pipidowa pełna majątnych ludzi, którzy wszystko o sobie wiedzą. Nie mogłem się doczekać, kiedy po college'u wyrwę się wreszcie stamtąd w świat. Postąpiłaś słusznie, przenosząc się do San Francisco — dodał aprobującym tonem.

— Też tak uważam. Szczególnie jeśli mnie zatrudnisz. Niczego nie pragnę tak bardzo. Wygłaszając tę śmiałą deklarację, drżała w duchu jak liść osiki.

— To mnóstwo bardzo, bardzo, bardzo ciężkiej pracy. Jako szef jestem obłądnym, obsesyjnym upierdliwcem. Żądam doskonałości. Tyram milion godzin dziennie. Nigdy nie śpię. Potrafię zadzwonić w środku nocy i kazać zrobić z samego rana coś, co wcześniej wyleciało mi z głowy. Będiesz musiała zapomnieć o życiu osobistym. Dopisze ci niebywałe szczęście, jeśli zobaczysz się z dziećmi przy okazji Święta Dziękczynienia albo gwiazdki. Prawdopodobnie jednak nie dopisze, bo będziemy wtedy robić przyjęcia. Masz moje słowo: będę tobą orać jak parą wołów, doprowadzę cię do szaleństwa, nauczę wszystkiego, co sam umiem, i sprawię, że niemal w każdej chwili będziesz gorzko żałować, że kiedykolwiek skrzyżowały się nasze ścieżki. Ale jeśli zdołasz to wszystko wytrzymać, Paris, będziemy mieli wspólnie setny ubaw. No i co o tym sądzisz?

— To brzmi jak spełnienie moich najskrytszych marzeń

— odparła z przekonaniem, naprawdę dostrzegając w tym układzie same plusy: będzie zajęta fizycznie i umysłowo, będzie użyteczna, pozna mnóstwo ludzi i znajdzie się w samym centrum wielu ekscytujących wydarzeń. — Sądzę... mam nadzieję, że nie zawiodę twoich oczekiwań.

— Chcesz zatem spróbować? — zapytał z ożywieniem.

— W tym tygodniu robimy tylko cztery przyjęcia: jedno dzisiaj, dwa jutro i dość okazałe, na czterdziestolecie małżeństwa, w sobotę. Jeśli to przeżyjesz, jesteś przyjęta. Zobaczymy, co powiesz pod koniec tygodnia — oświadczył, a potem surowo spojrzał na Jane. — A jeśli ty wcześniej urodzisz dziecko, stłukę je na kwaśne jabłko, ciebie natomiast uduszę. Zrozumiano, pani Winslow?

Pogroził jej palcem, ona zaś roześmiała się i pogłaskała swój brzuch godny Buddy. Sprawiał wrażenie, że eksploduje lada chwila.

— Zrobię, co w mojej mocy. Muszę z nim pogadać i przekonać go, że jeśli wylezie przed końcem tygodnia, jego ojciec chrzestny wkurzy się jak sto diabłów.

— W tym właśnie rzecz. Żadnego spadku, żadnego funduszu powierniczego, żadnej balangi maturalnej, żadnych prezentów urodzinowych ani gwiazdkowych. Musi siedzieć jak trusia tam, gdzie jest, dopóki nie ustalimy z Paris, czy wychodzi nam współpraca. A tymczasem masz ją wszystkiego nauczyć.

Jane nie mrugnęła nawet okiem, choć miała do dyspozycji zaledwie pięć dni.

— Tak jest, sir, kapitanie Bly, Wasza Przewielebność. Bez dwóch zdań — odparła salutując żartobliwie.

Bixby Mason roześmiał się i wstał, a Paris ze zdumieniem, stwierdziła, że jest nie tylko niezwykle przystojny, lecz również bardzo wysoki. Mierzył co najmniej metr dziewięćdziesiąt. Niemal na pewno był gejem.

— Och, zamknij buzię—powiedział do Jane, która wstała z fotela o własnych siłach, chociaż wydawało się, że nie zdoła tego dokonać bez pomocy dźwigu, a potem znacząco popatrzył na Paris. — A jeśli i ty zajdziesz w ciążę, ze ślubnym czy nie, wyleję cię bez najmniejszych ceregieli. Nie chcę drugi raz przechodzić przez taki koszmar, bo... — znów przeniósł spojrzenie na Jane — ...moje nerwy są napięte znacznie mocniej niż twoja skóra na brzuchu.

— Wybacz, Bix — odparła, nie sprawiając wrażenia skruszonej. Wiedziała, że Bix, jej mentor i najlepszy przyjaciel, cieszy się z dziecka nie mniej niż ona.

— Skoro poruszyliśmy ten temat — rzekł po namyśle Bixby Mason, zerkając na Paris — to może podwiązałaś sobie jajniki, co? Ile właściwie masz lat?

— Czterdzieści sześć. Prawie czterdzieści siedem.

— Naprawdę? Tu mnie zaskoczyłaś. Nawet biorąc pod uwagę podchowane dzieciaki, dawałem ci najwyżej czterdziestkę. Ja mam trzydzieści dziewięć, ale... —kokieteryjnie zawiesił głos — ...zeszłego roku zrobiłem sobie oczy. Ty nic sobie nie musisz robić, więc nazwisko chirurga zatrzymam w tajemnicy. — Spoważniał i popatrzył na biurko zavalone papierzyskami, zdjęciami, projektami i próbkami tkanin, świadom, że biurko Jane ugina się pod jeszcze większym brzemieniem, a na zajmującej całą ścianę jej gabinetu korkowej tablicy wisi milion notatek i wiadomości. — Kiedy możesz zacząć?

— Kiedy sobie życzysz — odparła spokojnie.

— A więc zaraz. Pasuje ci czy może masz jakieś plany na dzisiaj?

— Jestem do twojej dyspozycji.

Rozpromienił się, a Jane zaprosiła Paris do swojego pokoju.

- Przypadłaś mu do gustu — wyszeptła, kiedy usiadły naprzeciwko siebie po obu stronach biurka. — To jasne jak słońce, Wszystkie inne kandydatki spławiał po góra dwóch minutach. „Cześć, do widzenia, wielkie dzięki, na drzewo.” Ale ty mu się spodobałaś, jesteś dla niego idealna. Nowa w mieście, nieobciążona mężem ani dziećmi. Możesz podążyć za nim jak warkocz za kometą.

— To praca jakby dla mnie stworzona. No i on mi się też spodobał, sprawia wrażenie sympatycznego faceta — stwierdziła Paris, która wyczuła, że za fasadą elegancji, urody i pewnej dezynwoltury Bixby Mason jest porządnym, rzeczowym i pełnokrwistym człowiekiem.

— Nie mylisz się — zapewniła ją Jane. —Naprawdę wiele mu zawdzięczam. Miałam wyjść za mąż niedługo po tym, jak podjęłam u niego pracę, ale narzeczony dosłownie uciekł przed ołtarza. Rodzice byli wściekli, bo na wesele wydali majątek, a ja przez rok nie mogłam dojść do siebie. Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, to małżeństwo tak czy owak skończyłoby się fiaskiem. Chociaż wtedy nie podzielałam jeszcze opinii Bixa, że oddał mi olbrzymią przysługę. Tak czy inaczej wkrótce poznałam Paula, zaręczyliśmy się po czterech miesiącach, co wszystkich zaszokowało, rodzice natomiast oświadczyli, że nie dadzą grosza na wesele, bo już za jedno zapłacili, a w ich przekonaniu chcę wyjść za mąż, żeby się odkuć za tamtą katastrofę. No i wtedy Bix wyprawił mi takie weselisko, że klękajcie narody: sprowadził z Europy bombową kapelę o nazwie Sammy Go, a całą

impresę urządził w rezydencji Gettych, za ich zgodą rzecz jasna. Sam za wszystko zapłacił. Rodziców wprowadziło to wszystko w straszne zakłopotanie i nasze wzajemne stosunki przez długi czas były mocno napięte. Teraz od mojego ślubu z Paulem mija pięć lat, no i mamy to dziecko. Odkładałam zajście w ciążę najdłużej, jak się dało, bo nie chciałam zostawić Bixa na lodzie, ale w końcu Paul postawił sprawę na ostrzu noża i stało się. Tylko Bix ciągle nie potrafi przyjąć tego do wiadomości. Nie może także znaleźć nikogo odpowiedniego na moje miejsce, ale też nie bardzo się stara. Wyznam ci w sekrecie, że moim zdaniem dziecko nie będzie czekać do końca tygodnia... więc lepiej naucz się wszystkiego znacznie szybciej. Oczywiście z całych sił będę się starała ci pomóc.

Kiedy kilka chwil później Jane wspomniała, że ma trzydzieści jeden lat, Paris uświadomiła sobie, iż jest rówieśniczką nowej żony Petera. Ciekawe, zadała sobie pytanie, czy Peter i Rachel też planują dziecko. Mdlilo ją na samą myśl o takiej możliwości, na szczęście jednak nie miała czasu, by roztrząsać ją zbyt długo: miała mnóstwo pracy.

Przez całe przedpołudnie wertowały akta. Paris poznawała informacje dotyczące najlepszych klientów, systemu zaopatrzenia, kooperantów, na których można liczyć, i tych, których powinno się omijać, a wreszcie przejrzała niekończącą się z pozoru listę przyszłych imprez. Nie wyobrażała sobie, że w jednym mieście, i to w ciągu zaledwie kilku miesięcy może ich być aż tyle, a przecież dochodziło jeszcze sporo przyjęć w Santa Barbarze i Los Angeles, a także — planowane wprawdzie warunkowo, bo młodzi nie byli jeszcze oficjalnie zaręczeni — ogromne wesele w Nowym Jorku.

— Doprawdy imponujące! — stwierdziła Paris po kilku godzinach, kiedy wreszcie oderwały się od pracy.—Jak ty nad tym wszystkim panujesz?

Zaczynała ogarniać ją obawa, czy zdoła sprostać temu iście herkulesowemu wyzwaniu. Pod żadnym pozorem nie chciała, by za jej sprawą precyzyjnym mechanizmem, jakim była firma Bixa, zawładnął chaos.

— Przyzwyczajasz się do tego po jakimś czasie—zapewniła ją Jane. — To nie czary, tylko ciężka praca. Kluczem do sukcesu jest wykorzystywanie kooperantów, którzy nie nawalą. To się czasem zdarza, ale bardzo rzadko, Bix zresztą nie toleruje żadnych obsuwek: ktoś, kto zawiedzie, nie dostaje drugiej szansy. Klientów nie interesują nasze problemy, żądają perfekcji, i to właśnie perfekcjonizm zadecydował o sukcesie Bixa. Czasem następują komplikacje, ale klienci nigdy o tym nie wiedzą. Stajemy na głowie, improwizujemy i zawsze jakoś się udaje.

— Ten facet jest naprawdę niesamowity — stwierdziła Paris z podziwem.

— Tak, lecz zarazem haruje jak wół. Ja zresztą też. Odpowiada ci taki układ, Paris?

— Jasne — odparła z przekonaniem.

Wróciły do przeglądania dokumentów, a kiedy zgodnie z przyrzeczeniem dostarczono orchidee, pojechały — dochodziła wtedy trzecia — na Jackson Street w Pacific Heights, gdzie w imponującej rezydencji miało się odbyć dzisiejsze przyjęcie. Paris знаła ze słyszenia klienta, szefa cieszącej się międzynarodową renomą firmy biotechnologicznej z Doliny Krzemowej. Wystrój domu był dziełem słynnego francuskiego dekoratora wnętrz, w jadalni niepodzielnie królował jasnoczerwony lakier.

— Bix nie znosi oczywistości — wyjaśniła Jane — i to dlatego postawił na brązowe orchidee, podczas gdy każdy na jego miejscu wykorzystałby czerwone róże.

Posiłek przygotowywał tego dnia ich własny personel, Bix zaś osobiście zamówił upominki dla gości — urocze srebrne dzwoneczki z wygrawerowanymi inicjałami każdego z zaproszonych. Takie pamiątkowe upominki — od pluszowych misiów do kopii jajek

Fabergego — stanowiły jeden z jego znaków firmowych, a zarazem były powodem, dla którego uwielbiano bywać na urządzanych przezeń imprezach.

Ponieważ wieczór miał umilać gościom zespół muzyczny usunięto z salonu część mebli i wniesiono dostarczone akurat furgonetką pianino. Kiedy Bixby Mason zajmował się przyjęciem, półśrodki nie wchodziły w grę.

Pojawił się osobiście pół godziny po Paris i Jane, by pozostać prawie do samej kolacji i upewnić się, że wszystko jest w idealnym porządku. Pieszczotliwymi gestami poprawiał kompozycje kwiatowe, a w ostatniej chwili kazał zmienić jeden ze srebrnych wazonów, w których stały, uznał bowiem, że stanowi dysonans.

Nieco wcześniej Jane pojechała do domu, by przebrać się w czarną sukienkę koktajlową; zamierzała wrócić przed pojawieniem się pierwszych gości i dokonać ostatecznej inspekcji. W wypadku kameralnych przyjęć pozostawała zwykle do chwili, kiedy goście siadali do stołu, podczas większych i organizacyjnie bardziej skomplikowanych — do momentu rozpoczęcia tańców. Północ nie zawsze kończyła dzień jej pracy. Powiedziała Paris, że jej obecność nie jest dzisiaj konieczna, Paris jednak odparła, że woli przyjść i przekonać się naocznie, na czym polega koordynacja takiej imprezy. Wiedziała już teoretycznie, że jeśli nawet angażuje się renomowaną firmę cateringową, trzeba jej pracowników mieć na oku, a oprócz tego pilnować, czy goście są witani we właściwy sposób, czy muzycy są na stanowiskach, czy bukiety kwiatów wciąż prezentują się nienagannie i czy parkingowi wiedzą, co robić z autami zaproszonych. Należało również zredagować komunikat dla prasy, jeśli kaliber imprezy tego wymagał. Bixby Mason i członkowie jego personelu zważali na najdrobniejsze szczegóły.

Paris pośpiesznie wróciła do domu. Wziąwszy kąpiel, wyjęła z szafy krótką czarną sukienkę, rozpuściła i uczesała włosy. Była na nogach od samego rana, a przecież najważniejsze dopiero się na dobre zaczynało.

Myszkując w lodówce za czymś na ząb, zadzwoniła na komórkę do Meg. Miała zaledwie godzinę, żeby się ubrać, wrócić na Jackson Street i spotkać się z Jane jeszcze przed przybyciem pierwszych gości. Gdy Meg odebrała telefon, okazało się, że wciąż jest w wytwórni.

— Chyba znalazłam pracę — oznajmiła córce podekscytowana Paris, a potem opowiedziała o Bixbym Masonie.

— To fantastycznie, mam nadzieję, że cię zatrudni na stałe.

— Ja też, kochanie, ja też.

Paris zrelacjonowała wydarzenia dnia, a gdy przywołano Meg do jej obowiązków, połączyła się z Anną Smythe.

— Znalazłam idealną pracę i przymierzam się do niej w tym tygodniu — wyrzuciła jednym tchem. — Naprawdę rewelacyjną.

— Jestem z ciebie dumna, Paris — odpowiedziała terapeutka promieniejąc. — Szybko się uwinęłaś. Ile ci to zajęło? Trzy dni? — A kiedy Paris gorączkowo wprowadziła ją w sytuację, stwierdziła: — Jeśli ma trochę oleju w głowie, zatrudni cię natychmiast. Informuj mnie na bieżąco.

— Będę — obiecała Paris, a potem wsunęła się do wanny i na pięć minut przymknęła oczy. To, czym zajmowała się przez cały dzień, sprawiło jej wielką przyjemność, szczególnie jednak przemawiała jej do wyobraźni wynikająca z tej pracy możliwość realizowania pewnych koncepcji, rozwijania ich i przekształcania w zaistniałe fakty, co z kolei gwarantowało Bardzo szczególną i cenną satysfakcję.

Dotarła na Jackson Street pięć minut przed Jane, przyjęcie zaś opuściły wspólnie dokładnie o wpół do jedenastej, kiedy goście zaczęli tańczyć. Wszystko poszło jak po maśle, gospodarze odnieśli się do Paris niezwykle uprzejmie i ciepło. W swej dyskretnej kreacji mogła śmiało być jedną z zaproszonych osób, na tym zresztą — i Paris pojęła to z miejsca — polegała sztuka: żeby nie wyróżniać się pod żadnym względem, lecz idealnie wtopić w grono zaproszonych. Jane wysoko oceniała debiut — uznała Paris za osobę dojrzałą, rozsądną, zdecydowaną, pracowitą i pomysłową. Gdy jeden z parkingowych zachował się niegrzecznie wobec gościa, Paris spokojnie i stanowczo poleciła kierownikowi grupy, by skontaktował się z centralą i natychmiast ściągnął zastępstwo. Nie czekała na wskazówki Jane, lecz świadoma, że tak samo jak w balecie kluczem do sukcesu jest idealne zgranie wszystkich tancerzy, eliminowała problemy, zanim na dobre zdążyły się pojawić. Jane doszła do wniosku, że Bixby nie mógłby sobie wymarzyć lepszej asystentki.

— Musisz być wyczerpana — współczującym głosem powiedziała do niej Paris, gdy wychodziły z rezydencji przy Jackson Street. Czternaście godzin pracy w dziewiątym miesiącu ciąży to był zły sen lekarza i męża.

— Powiedziałam dziecku, że nie mam czasu, by rodzic je w tym tygodniu — odparła z uśmiechem znużenia Jane.

— Kiedy przewidywane jest rozwiązanie? — zapytała z troską Paris. Polubiła Jane, tak ofiarną i tak lojalną wobec Bixby'ego. Ale zdecydowanie nadszedł czas, by przekazała pałeczkę komuś innemu. Paris miała nadzieję, że Bix wyrazi zgodę, by to ona ją przejęła.

— Jutro — odrzekła z niewesołym uśmiechem Jane.

— Udaję, że tego nie wiem, ale on... — potarła dłonią brzuch

— ...wie aż nazbyt dobrze.

Dziecko kopało jak szalone, od dwóch tygodni miewała skurcze i choć zdawała sobie sprawę, że to tylko przedbiegi, nie miała złudzeń, iż od prawdziwego finału dzielą ją zaledwie godziny. Z trudem wcisnęła się za kierownicę auta, pomachała Paris na pożegnanie i ze słowami: „Świetnie się dziś spisałaś” uruchomiła silnik. Kiedy odjechała, Paris wsiadła do swego wozu i ruszyła w drogę powrotną. Dopiero w domu uświadomiła sobie, jak bardzo jest zmęczona, ile sił kosztował ją ten długi interesujący dzień zakończony niezwykle udanym wieczorem. Nie wysiłek fizyczny okazał się tu jednak najbardziej wyczerpujący, lecz nieustanna koncentracja, świadomość, że w niebywale krótkim czasie musi nauczyć się jak najwięcej. Na razie żadne zadanie nie wydało się jej niezwykle bądź niewykonalne, czuła, że każdemu potrafi podołać.

Ogromnie chciała dostać pracę asystentki Bixby'ego Masona... i jeśli taka będzie wola Boża, myślała kładąc się do łóżka, dostanie ją na pewno.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Dwa kolejne dni edukacji zawodowej Paris przypominały kocioł, we wtorek bowiem urządzali dwie imprezy: pierwszą z nich — wernisażem w galerii sztuki, który miał w programie pokaz laserowy i występ zespołu techno — osobiście zawiadywał Bix, nad drugą zaś — zwykłym formalnym przyjęciem — pieczę powierzył Jane. Paris była i tu, i tu, pomagając w miarę swoich możliwości i chłonąc wszystko, co wydawało się jej istotne. Gdy w połowie wieczoru Jane poczuła się kiepsko, Paris odesłała ją do domu i sama doprowadziła przyjęcie do szczęśliwego końca. Nazajutrz Jane wciąż wyglądała nienadzwyczajnie — było oczywiste, że rozwiązanie jest tuż-tuż, zwłaszcza że jego przewidywany termin minął dzień wcześniej.

— Dobrze się czujesz? — zapytała z troską Paris, gdy zasiadły naprzeciwko siebie przy biurku.

— Jestem po prostu zmęczona. Miałam tej nocy takie skurcze, że w ogóle nie mogłam spać. No i Paul się na mnie wścieka. Powiada, że nie powinnam już pracować, bo zabije, dziecko.

Paris w znacznym stopniu podzielała tę opinię.

— Nie zabijesz dziecka, ale jeśli nie zwolnisz tempa, możesz zabić siebie. Masz... — powiedziała podsuwając jej wyściełany taboret — ...oprzyj na nim stopy.

— Dzięki, Paris.

Przystąpiły do wertowania dokumentów, a gdy okazało się, że tego ranka przyszły dwa kolejne zamówienia na organizację wesel, Paris miała okazję prześledzić, co robi w takiej sytuacji Jane, a zwłaszcza z kim zamierza się skontaktować. System funkcjonowania firmy był starannie dopracowany: dwa razy w tygodniu przychodziła sekretarka, by zredagować wszelkie niezbędne materiały, finansami zaś zajmowała się księgowa, odpowiedzialność jednak za całą resztę działalności spoczywała na barkach Bixby'ego i Jane. Paris miała nadzieję, że niebawem będzie również spoczywać na jej barkach. Tak polubiła tę pracę, że byłaby ogromnie rozczarowana, gdyby jej nie dostała; w czwartek wieczorem odnosiła wrażenie, że jest w firmie Bixa od lat.

W piątek dopinali na ostatni guzik najważniejszą imprezę tygodnia: zaplanowane na sto osób sobotnie przyjęcie z okazji czterdziestej rocznicy ślubu Fleischmannów miało się odbyć w ich pałacowej rezydencji w Hillsborough. Zleceniodawcy przywiązywali do niego ogromną wagę, zwłaszcza pani Fleischmann, którą, niestety, charakteryzowała nieuleczalna słabość do koloru różowego. Bix zdołał jednak dokonać kolejnego cudu: zamówił namiot uszyty z tkaniny tak bladoróżowej, że niemal białej, udekorował stoły sprowadzonymi z Holandii tulipanami takiejże barwy — i stworzył cudownie gustowną oprawę dla bohaterki wieczoru, zamierzającej rzecz jasna wystąpić w różowej kreacji i przyozdobić dłón otrzymanym w prezencie od męża pierścieniem z okazałym różowym brylantem.

Pani Fleischmann, którą Paris poznała w sobotę, okazała się dobiegającą siedemdziesiątki — choć wyglądała na znacznie starszą — uroczą pulchną matroną. Miała trzech synów, trzynaścioro wnuków i kompletnego kręcka na punkcie Bixa. Rok temu Bix urządził dla jednego z jej wnuków barmicwę, której koszt sięgnął wedle relacji Jane — pół miliona dolarów.

— Rety! — powiedziała tylko Paris, kiedy to usłyszała.

— Kilka lat temu zrobiliśmy dla pewnego znanego producenta taką za dwa miliony. Zaangażowaliśmy trzy grupy cyrkowe, które występowały na trzech arenach, urządziliśmy wrotkowisko dla dzieciaków. To dopiero było coś.

Zanim przybyli pierwsi goście, zespół Bixby'ego Masona niepodzielnie panował nad sytuacją, a gospodarze promienieli, gdy zaś Oscar Fleischmann wyprowadził żonę na parkiet do pierwszego walca, Paris omal nie popłakała się ze wzruszenia.

— Uroczy, prawda? — wyszeptał jej do ucha Bix. — Uwielbiam panią Fleischmann. Uwielbiał większość swoich klientów i to dlatego umiał robić na ich użytek czary. Gdy ich nie darzył sympatią, zapewniał imprezy perfekcyjne wprawdzie pod każdym możliwym względem, lecz pozbawione owej szczypty magii, która zwykłe przyjęcie czyni niepowtarzalnym.

Paris, ubrana tego dnia w prostą wieczorową suknię koloru ciemnogrnatowego i uczesana w luźny kok, stała przy bufecie, znów idealnie wtopiona w tłum gości, tak samo jak Bix i

Jane. Bix niemal zawsze nosił się na czarno, jak lalkarz lub mim, Jane miała ostatnio do dyspozycji tylko dwie kreacje: czarną koktajlową sukienkę i również czarną wieczorową suknię, która powoli zaczynała puszczać w szwach. Nic dziwnego, lekarz ocenił, że dziecko będzie ważyć cztery do pięciu kilo. Sama Jane jednak była dziś w dobrej formie, jakby złapała drugi oddech.

— Sympatyczne przyjęcie — powiedział do Paris siwowłosa mężczyzna w smokingu, który stanął tuż za nią. Dobiegał pięćdziesiątki, był niezwykle przystojny i dystyngowany.

— W rzeczy samej — odparła neutralnym tonem Paris, Pragnęła zachować się uprzejmie, a jednocześnie zniechęcić go do kontynuowania rozmowy. Była w pracy, choć nic na to nie wskazywało.

— Fantastyczny bufet — zauważył srebrnowłosa dżentelmen, spoglądając na przeżywający prawdziwe oblężenie stół z samym kawiozem. Jeden z bardzo wielu stołów.

— Czy dobrze zna pani Fleischmannów? — nie dawał za wygraną.

Miał takie same jak Peter jasnobłękitne oczy, choć — musiała z niechęcią przyznać Paris — był od Petera znacznie przystojniejszy. Sprężysty, smukły, lecz mocnej budowy, mógł być aktorem lub modelem, co jednak, znając skład dzisiejszego towarzystwa, Paris uważała za mało prawdopodobne.

— Poznałam ich dopiero dzisiaj — odparła spokojnie.

— Ach tak — powiedział, dochodząc do oczywistego wniosku, że musi w takim razie być partnerką jednego z gości. Nie dostrzegł na jej palcu obrączki. — To przesympatyczni ludzie. — Potem popatrzył na nią z absolutnie olśniewającym uśmiechem i zapytał: — Czy mógłbym prosić panią do tańca? Nazywam się Chandler Freeman i jestem współnikiem Oscara juniora.

Paris skwitowała uśmiechem tę prezentację, lecz nie ruszyła w stronę parkietu.

— A ja nazywam się Paris Armstrong i jestem tu służbowo, pracuję bowiem dla Bixby'ego Masona, który zorganizował tę spektakularną imprezę.

— Rozumiem - powiedział bez mrugnięcia, a jego uśmiech stał się jeszcze szerszy. — Cóż, Kopciuszkule, jeśli przetańczysz ze mną do północy, obiecuję, że będę przetrząsać całe królestwo wzdłuż i wszerz, aż odnajdę stopkę, z której zsunął się złoty pantofelek. A zatem?

— Chyba jednak nie powinnam — odparła z rozbawieniem, lecz również zakłopotaniem. Chandler Freeman był pociągający i czarujący.

— Ależ nie wydam pani. Zresztą jest pani zbyt piękna, żeby podierać ściany. Jeden taniec nikomu jeszcze nie zaszkodził.

Nie czekając na odpowiedź, otoczył Paris ramieniem i powiódł w stronę parkietu, ona zaś, zdumiona własnym postępowaniem, podążyła bez oporu. W pewnym momencie poczuła na sobie wzrok Bixa; kiedy uśmiechnął się i puścił do niej oko, zrozumiała, że nie ma żadnych obiekcji.

Chandler Freeman okazał się znakomitym tancerzem i dopiero po trzech utworach ujął Paris pod ramię i poprowadził do swojego stolika, przy którym między innymi siedział z obsypaną klejnotami urodziwą żoną Oscar Fleischmann. przystojny czterdziestokilkuletni mężczyzna. Paris dowiedziała się później od Jane, że to właśnie bar micwa jego syna kosztowała pół miliona dolarów. Ale Fleischmannów było stać na taki wydatek, zanim bowiem przenieśli się do San Francisco, zbili w Denver olbrzymią fortunę na ropie naftowej.

— Czy nie miałabyś ochoty przysiąść się do nas? — zapytał Chandler Freeman.

— Z największą przyjemnością — odparła Paris — ale niestety muszę wracać do swoich obowiązków.

Nie chcąc pod żadnym pozorem wywrzeć złego wrażenia, na Bixbym czy klientach, była najdalej od myśli, by spoufalać się z gośćmi bądź też ich podrywać. Nawet tych najprzystojniejszych. A bez dwóch zdań Chandler Freeman zwał z nóg. Paris zastanawiała się, z kim przyszedł na przyjęcie, przy stoliku nie dostrzegła jednak żadnej kobiety, która mogłaby być jego partnerką. Dopiero później wyszło na jaw, że ta zaproszona przezeń wycofała się w ostatniej chwili.

— Cudownie mi się z tobą tańczyło, Paris — powiedział tak cicho, żeby nikt inny nie mógł go usłyszeć. — Chętnie spotkałbym się z tobą ponownie.

— Zostawię swój numer w złotym pantofelku — odparła ze śmiechem. — Zawsze mnie dziwiło, dlaczego ksiązę nie zapytał przynajmniej Kopciuszką o imię. Nie był chyba zbyt rozgarniętym facetem.

Chandler również roześmiał się na to dictum.

— Paris Armstrong. Pracujesz dla Bixby'ego Masona. Chyba zdołam to zapamiętać — powiedział takim tonem, jakby naprawdę zamierzał się odezwać. Paris jednak zbytnio na to nie liczyła; widziała w nim tylko przystojnego, czarującego mężczyznę, którego zainteresowanie na moment poprawiło jej mniemanie o sobie.

— Raz jeszcze dziękuję i życzę przyjemnego wieczoru — odrzekła na pożegnanie.

Oddalając się od stolika, usłyszała pytanie żony Oscara Fleischmanna: „Kto to był?”, odpowiedź Chandlera: „Kopciuszek”, i chóralny wybuch śmiechu.

Sama też była rozbawiona, kiedy wróciła do Bixby'ego i Jane.

— Przepraszam — powiedziała z zakłopotaniem. — Nie chciałam go urazić odmową, ale umknęłam najszybciej, jak mogłam.

Bix nie sprawiał wrażenia oburzonego jej postępowaniem.

— Jedną z tajemnic naszego sukcesu to wiedzieć, kiedy pobratać się z tubylcami, kiedy zaś podać tyły i wracać do roboty. Zachowałam się dokładnie tak, jak należało. Ludziska lubią czasem szczyptę fraternizacji. Sam jej nie unikam, nie widzę więc podstaw, by odradzać ją tobie. Wszystko jest okej, dopóki kontrolujemy bieg wydarzeń. Zresztą na wielu organizowanych przez nas imprezach jestem jednym z zaproszonych gości — stwierdził z uśmiechem, odnotowując w myślach, że Paris jest nie tylko bystra i kompetentna, lecz również znakomicie wyrobiona towarzysko. — A nawiasem mówiąc — dodał z błyskiem w oku — kim jest ten przystojniaczek?

— Księciem z bajki — odparła beztrąsko, a potem popatrzyła na Jane, która usiadła i masowała sobie plecy. Wyglądała tak, jakby miała eksplodować lada moment. — Dobrze się czujesz? — zapytała.

— W porządku, ale dzieciak przyjął jakąś dziwną pozycję i chyba przygniata mi nerki.

— Och, to urocze — powiedział Bix z udawaną zgrozą, przewracając oczyma. — Nie wiem, jak wy, kobiety, to znosicie. Coś takiego... — wskazał brzuch Jane — ...wykończyłoby mnie jak amen w pacierzu.

— Nie, do wszystkiego można się przyzwyczaić — zaoponowała z uśmiechem Paris.

— Mimo wszystko twój syn jest bardzo dobrze wychowany — powiedział Bix do Jane. Pierwsi goście zaczęli już opuszczać przyjęcie, z rezydencji Fleischmannów bowiem jechało się do miasta niemal godzinę. Bix, Paris i Jane nie musieli czekać do końca, gdyż rozbiórka namiotu i wszelkie prace porządkowe należały już do wynajętej ekipy. —

Powiedziałam mu, żeby nie śmiał się pokazywać przed końcem dzisiejszej imprezy, i grzecznie mnie posłuchał. Doskonałe maniery, gratuluję, Jane. Mój chrześniak to najprawdziwsze ksiąźatko. Z drugiej strony wiedział, że za niesubordynację grozi mu lanie. Wkrótce potem spod rezydencji odjechały ostatnie auta, a Bix, Paris i Jane zostali tylko z gospodarzami. Pani Fleischmann, zjawiskowa w swych różach, miłośnie popatrzyła na męża, a potem z wdzięcznością na Bixby'ego.

— To przyjęcie przerosło moje najśmielsze oczekiwania, Bix. Serdeczne, serdeczne dzięki. Nigdy ci tego nie zapomnę.

— Staralem się, by było równie piękne jak ty, Doris. My też bawiliśmy się wspaniale.

— I odwaliliście kawał dobrej roboty — uzupełniła ciepłym tonem pani Fleischmann. Paris przypadła jej do gustu od pierwszego spojrzenia, uznała, że jest dla Bixa cennym nabytkiem.

Niebawem gospodarze oddalili się ramię w ramię do domu, Bix poszedł po swój neseser i ubranie, które zdjął przed przyjęciem, aby nałożyć smoking, Paris zaś powoli ruszyła w kierunku samochodu. Wtedy usłyszała cichy jęk; w pierwszej chwili nie zorientowała się, jakie jest jego źródło, spojrzała więc przez ramię i zobaczyła zgiętą Jane i rozlewającą się u jej stóp kałużę.

— Dobry Boże — jęknęła Jane wbijając w Paris szeroko otwarte oczy. — Chyba odeszły mi wody.

I zgięła się jeszcze bardziej, ogarnięta straszliwymi konwulsjami.

— Usiądź — powiedziała stanowczo Paris, podtrzymując Jane, która niezgrabnie osuwała się na trawę. — Nic ci nie jest, wszystko będzie w porządku. Wygląda na to, że Bix wykrakał i dziecko poczekało do końca przyjęcia. Teraz musimy cię zabrać do domu.

Jane tylko skinęła głową, bo nie mogła wydusić słowa przez zaciśnięte zęby. Kiedy skurcz wreszcie ustąpił, podniosła na Paris udręczony wzrok i jęknęła:

— Chyba zaraz rzygnę.

Paris znała takie porody z własnego doświadczenia: szybkie, ciężkie, z torsjami. Porody, kiedy wszystko dzieje się jednocześnie. Zwykle jednak kończyły się przynajmniej błyskawicznym przyjściem dziecka na świat.

Jane wymiotowała, kiedy odnalazł je Bix.

— Jezu Chryste, co ci się stało? Coś zjadłaś? Mam nadzieję, że to nie kawior ani ostrygi, ludzie się nimi zażerali.

Jane milczała zawstydzona.

— Ona chyba rodzi — wyjaśniła spokojnie Paris. — Jest tu w pobliżu jakiś szpital?

— Rodzi? Tutaj? — wykrzyknął ze zgrozą Bixby. Wtedy Jane odzyskała głos.

— Nie chcę jechać do szpitala. Chcę do domu. Już się czuję lepiej — powiedziała z mocą.

— Przedyskutujemy to w samochodzie — odparła pojednawczym tonem Paris. Pomogła Jane wyciągnąć się na tylnym siedzeniu, podała jej ręcznik, który znalazła w bagażniku, kiedy Bix chował tam zdjętą marynarkę smokingową, usiadła na fotelu pasażera, a kiedy nieco później, już podczas jazdy, Jane powiadomiła telefonicznie Paula, co się dzieje, zasugerowała: — Moim zdaniem powinnaś również zadzwonić do swojego lekarza. Kiedy zaczęły się skurcze?

Jane wybierała już numer swojego położnika.

— Nie wiem. Dziwnie się czułam przez całe popołudnie, ale kładłam to na karb kłopotów żołądkowych.

Przez centralę uzyskała połączenie z lekarzem, który polecił jej udać się wprost do California Pacific Medical Center w mieście, uważał bowiem że jazda — pod opieką przyjaciół, a nadto w pozycji leżącej — nie powinna jej zaszkodzić. Gdyby jednak cokolwiek się działo, powinni skrócić do najbliższego szpitala albo przynajmniej wezwać pogotowie. Jane zadzwoniła więc jeszcze do Paula, poinformowała go, gdzie ma na nią czekać i poleciła mu zabrać ze sobą przygotowaną od trzech tygodni torbę z niezbędnymi rzeczami osobistymi.

Wtedy nastąpił kolejny skurcz i Jane znowu straciła mowę na kilka minut.

— Jeśli dobrze pamiętam — powiedziała Paris czując, jak jej palce są niemal miażdżone w zaciskającej się z mocą imadła dłoni Jane — kobieta, która nie może mówić podczas skurczów, powinna być bezwzględnie w szpitalu. Uważam, że sytuacja jest znacznie bardziej zaawansowana, niż myśli Jane.

— Dobry Boże — westchnął z paniką w głosie Bix — jestem, kurczę, homoseksualistą i nie mam o tych sprawach bladego pojęcia. Co właściwie muszę teraz robić?

— Zasuway do miasta najszybciej, jak możesz — roześmiała się Paris, a Jane słabo zawtórowała jej z tylnego siedzenia.

— No więc powiedz mu, że nie chcę go widzieć. Chwilowo. Chcę go zobaczyć dopiero na oddziale położniczym, schludnie uczesanego i owiniętego w niebieski kocyk. Ty również weź to sobie do serca — dodał spoglądając w lusterku wstecznym na Jane. — Jesteś pewna, że nie powinniśmy zjechać do najbliższego szpitala?

Pokiwała głową, bo znów miała skurcz. Paris, zerkając na zegarek, stwierdziła, że pojawiają się mniej więcej co siedem minut, wciąż więc mieli czas, choć ten czas topniał w oczach. Najmocniejszy skurcz przyszedł w chwili, gdy jadąc pełnym gazem mijali lotnisko.

— Wszystko dobrze? — zapytał z niepokojem Bix.

— Tak — odparła Jane ochryple — ale chyba znów będę miała torsje.

Tym razem jednak nie zwymiotowała, ale kiedy wjeżdżali na przedmieścia, oznajmiła, że chce rodzić.

— Nie — zaprotestowała stanowczo Paris. — Jesteśmy prawie na miejscu. Trzymaj się.

— Jezu Chryste — jęknął Bix. — To się nie dzieje naprawdę. — Nerwowo zerknął na Paris. — Umiesz również przyjmować porody?

— Czy to element niezbędnych kwalifikacji zawodowych? — zapytała kpiarsko, nie spuszczając oka z Jane.

— Całkiem możliwe, choć mam nadzieję, że nie. A nawiasem mówiąc... — zaczął, gdy przejeżdżając na czerwonym świetle przez Franklin Street omal nie zostali staranowani przez inny samochód — ...jesteś przyjęta, Paris. Chyba że już ci o tym mówiłem. Świetnie się spisałaś w tym tygodniu. A ty z tyłu... — lekko skinął głową w stronę Jane —... jesteś wylana. Ani mi się waż przychodzić do biura w poniedziałek. I w ogóle nigdy.

Byli już na California Street, a Jane wydawała jakieś okropne odgłosy. To Paris zmuszała ją do dyszenia jak zziajany pies, co miało zapobiec parciu.

— Czy nie moglibyśmy stanąć? — wątlym głosem poprosiła Jane, którą ruch samochodu przyprawiał o mdłości.

— Nie! — wrzasnął Bix zdając sobie sprawę, że od szpitala dzieli ich zaledwie kilka przecznic. — Nigdzie nie staję, a ty nie rodzisz dziecka w moim samochodzie! Zrozumiano, Jane?

— Jak zechcę, to urodzę — odparła zamykając oczy. Spocona jak mysz, puściła rękę Paris i położyła dłoń na brzuchu. Paris wiedziała, że dopisze im ogromne szczęście, jeśli dojadą

na czas, bo dziecko zdecydowanie paliło się do wyjścia na świat. I wtedy właśnie Bix zatrzymał się z piskiem opon na jednym z miejsc parkingowych zarezerwowanych dla karettek, wyskoczył z auta, pognął szukać lekarza, Jane zaś wysapała: — Właściwie już rodzę.

— W porządku, jestem przy tobie — odparła Paris. Otwierała właśnie drzwi, by dostać się do Jane, kiedy

w towarzystwie Paula nadbiegli dwaj sanitariusze z wózkiem, położyli na nim Jane i spieszenie ruszyli w stronę szpitala. Jane płakała i ścisnęła dłoń Paula, który biegł obok, powtarzając: „Tak się o ciebie niepokoiłem, kochanie.” Nawet nie próbowano zawieźć Jane na górę: zabrano ją wprost do pokoju zabiegowego, a ledwie Paris i Bix, którzy również pobiegli za wózkiem, podjęli pierwszą próbę złapania oddechu, rozległ się krzyk Jane, a właściwie przenikający do głębi pierwotny skowyt. Bix ze zgrozą popatrzył na Paris i złapał ją za rękę.

— Mój Boże, czy ona umiera? — zapytał ze łzami w oczach. Nigdy nie słyszał podobnego wrzasku, w taki sposób mógł krzyczeć tylko człowiek rozpiłowywany żywcem na pół.

— Nie — odparła spokojnie Paris. — Myślę, że właśnie urodziła dziecko.

— To było straszne. Przeżyłaś coś podobnego?

— Raz. Za drugim razem miałam cesarkę.

- Wy, kobiety, jesteście zupełnie niesamowite. Ja bym tego nie wytrzymał.

— Ale warto wytrzymać — odrzekła ocierając łzę, bo nagle przypomniała sobie Petera. Chwilę później z zabiegowego wyszła pielęgniarka i oznajmiła, że dziecko jest zdrowe i waży prawie pięć kilogramów. Pół godziny później ujrzeli wiezioną na wózku Jane, za którą z dzieckiem w ramionach kroczył Paul, dumny jak paw. Zmierzali do pokoju na górze.

- Dobrze się czujesz? — zapytała Paris, pochylając się nad Jane, by ją pocałować. — Jestem z ciebie taka dumna. Wspaniale się spisałaś.

— To było zupełnie łatwe — odparła Jane, wyraźnie nadrabiając miną.

Dostała środki przeciwbólowe, sprawiała więc wrażenie trochę oszołomionej.

Paris wiedziała, że przy pięciokilowym dzieciaku nie mogło być łatwo.

— Odwiedzimy cię jutro — obiecała, Bix zaś pochylił się i również złożył na czole Jane ojcowski pocałunek.

— Dzięki, że nie urodziłaś go na przyjęciu u Fleischmannów — powiedział tak uroczyście, że wszyscy parsknęli śmiechem. Potem zerknął na dziecko, a stwierdziwszy, że jest istotnie okazałe, rzekł do Paula: — Mógłby już palić cygara i nosić neseser. Mój nieodrodny syn chrzestny.

Gdy mała rodzina w nowym składzie pojechała na górę, żeby poznać się lepiej, Bix i Paris wyszli na dwór. Niebo było rozgwieżdżone, dochodziła trzecia nad ranem.

— Niesamowity wieczór — zauważył Bix.

Dla Paris niesamowity był cały ten tydzień: dostała pracę, | zyskała parę przyjaciół, omal nie przyjęła porodu.

— Dzięki, że mnie zatrudniłeś — powiedziała zapinając pas.

— Jutro dopisujemy do naszej broszury usługi akuszerskie — stwierdził z powagą. — Chociaż cholernie się cieszę, że nie musieliśmy przyjmować tego porodu.

— Ja też — Paris uśmiechnęła się ziewając. Czowała, że ta noc zbudowała pomiędzy nimi więź, która nie mogłaby zaistnieć w żadnych innych okolicznościach. Zawsze, wszyscy troje, będą pamiętać, przez co dzisiaj przeszli.

— Może wpadłabyś jutro do mnie na śniadanie?—zapytał Bix podjeżdżając pod dom Paris.

— Chciałbym, żebyś poznała mojego partnera.

Do swego prywatnego świata Bix zapraszał nielicznych, miał jednak uczucie, że Paris ze wszech miar sobie na to zasłużyła. Nie mógł dobitniej wyrazić jej swego uznania.

— Nie wiedziałam, że masz współnika — odparła sennie, mile jednak połączona.

— Bo go nie mam. Mówię o mężczyźnie, z którym mieszkam — odrzekł rozbawiony. — Jak ty się uchowałaś?

— Wybacz, palnęłam bez sensu. Z największą przyjemnością.

— Przyjdź o jedenastej. Oblejemy dzisiejszą noc. Szkoda, że go z nami nie było, jest lekarzem.

— Bardzo chętnie go poznam — powiedziała z przekonaniem, wysiadła z wozu, pomachała Bixowi, otworzyła drzwi i weszła do domu.

Odjeżdżając, Bix dokonywał szybkiej rekapituacji zdarzeń: na świat przyszło nowe dziecko, omal nie musiał zabawiać się w położnika, a wreszcie zdobył asystentkę. Sporo jak na jeden dzień.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Nazajutrz Paris spała najdłużej, jak to było możliwe, potem wzięła prysznic, nałożyła oliwkowe spodnie, stary kaszmirowy sweter oraz swój ulubiony płaszcz groszkowego koloru i o jedenastej stawiała się w mieszkaniu Bixa, zajmującym dwa najwyższe piętra kamieniczki, w której były kwiaciarnia i biuro. Pokoje okazały się przytulne i ciepłe, wszędzie królowały książki, w salonie zaś, przed rozpalonym kominkiem, Bix i sporo od niego starszy mężczyzna czytali niedzielne gazety. Starszy mężczyzna, siwowłosy, lecz sprężysty i zgrabny, miał na sobie tweedowy garnitur i rozpiętą niebieską koszulę, Bix zaś — dżinsy i trykot. Partner Bixa, Steven Ward, serdecznie przywitał Paris.

— Słyszałem, że mieliście wczoraj nielichy wieczór i niemal przyjęliście poród.

— Niewiele brakowało —uśmiechnęła się Paris. Z kieliszka, który podał jej Bix, upiła łyżeczkę smakowitego koktajlu Bellini: szampana z kroplą soku brzoskwiniowego. — Prawie straciłam nadzieję, że zdążymy dojechać do szpitala.

— Ja też—przyznał Bix — choć liczyłem, że przynajmniej przeżyjemy, jeśli po drodze nie zabiję nas wszystkich. Prawdziwy koszmar.

— Bez dwóch zdań — zgodziła się Paris. Popatrzyła na siwowłosego mężczyznę. — Bix wspomniał, że jesteś lekarzem.

Skinął głową.

— Internistą — wyjaśnił lakonicznie.

— Specjalizuje się w HIV i AIDS — z wyraźną dumą uściślił Bix. — Najlepszy fachowiec w mieście.

— To z pewnością trudna specjalizacja — powiedziała Paris.

— Istotnie, w tej chwili jednak leczenie farmakologiczne przynosi coraz lepsze rezultaty. Kiedy Bix poszedł smażyć omlety, Steven poinformował Paris, że do San Francisco przeniósł się w latach osiemdziesiątych ze środkowego zachodu, że jego poprzedni partner zmarł na AIDS dziesięć lat temu i że są z Bixem od siedmiu lat. Przekroczył sześćdziesiątkę, najwyraźniej Bixa podziwiał i byli razem bardzo szczęśliwi.

Podczas śniadania, na które składały się omlety, croissantsy i cappuccino, Paris pochwaliła talenty kulinarne Bixa, Bix zaś odparł, że gdyby ich nie miał, umarliby z głodu, Steven bowiem nie potrafi ugotować nawet wody. Umie ratować życie, nieść chorym ulgę, ale w kuchni jest beznadziejny.

— Raz, kiedy zachorowałem, próbował dla mnie gotować i o mały włos byłby mnie wysłał na tamten świat. Miałem grypę żołądkową, a on mi, wyobraź sobie, zaserwował pomidorową z puszki i chili też z puszki. Serdeczne dzięki za takie menu, ja w tym domu zajmuję się pichceniem.

Ich związek, oparty na głębokim uczuciu i wzajemnym szacunku, wydawał się interesujący i dynamiczny, a Steven opowiadał z całą otwartością, jak boleśnie przeżył śmierć swojego poprzedniego partnera, z którym był dwadzieścia siedem lat.

— Nie mogłem się pogodzić z tym, że nagle zostałem sam. Nigdzie nie bywałem przez dwa lata, pracowałem tylko, czytałem i spałem. Potem poznałem Bixa, spotykaliśmy się przez rok, a teraz mieszkamy razem już od sześciu lat. Dopisało mi ogromne szczęście.

— To prawda — cichym głosem zgodziła się Paris. — Moje małżeństwo trwało dwadzieścia cztery lata i nigdy nie przypuszczałam, że zakończy się rozwodem. Wciąż nie potrafię otrząsnąć się z szoku. Czasem nie mogę uwierzyć, że to naprawdę się stało. Mój eksmaż ożenił się powtórnie.

— Kiedy cię porzucił? — zapytał ze współczuciem Steven, który rozumiał coraz lepiej, dlaczego Paris wzbudziła taką sympatię Bixa: była urocza, inteligentna, dowcipna. Czegóż więcej można oczekiwać od kobiety?

— Dziewięć miesięcy temu — odparła ze smutkiem.

— I już zdążył się ochajtnąć? — wykrzyknął oburzony Bix, a potem, dociekliwszy widać niż jego partner, zapytał:

— To dlatego cię porzucił?

Skinęła głową, ale tym razem opanowała łzy — jej stan psychiczny najwyraźniej uległ poprawie.

— Ona ma trzydzieści dwa lata, chyba trudno rywalizować z kimś takim.

— Patrz na to inaczej: jak sobie posłała, tak się wyśpi. Ten facet postąpił ohydnie. Zaczęłaś się już z kimś spotykać?

— Nie i nie zamierzam. Jestem na to za stara. Zrobię z siebie idiotkę, jeśli zacznę konkurować z rówieśniczkami mojej córki. Zresztą nikt nie wpadł mi w oko i... naprawdę go kochałam.

Widząc, że tym razem jest naprawdę bliska łez, Steven delikatnie dotknął jej ramienia.

— Ja czułem coś podobnego. Przysięgałem sobie, że nigdy więcej. A przecież jesteś znacznie młodsza niż ja w chwili śmierci Johna.

- Mam czterdzieści sześć lat i jestem za stara na romanse.

— Na to nigdy nie jest za późno — zaoponował Steven.

— Znam owdowiałe po moich pacjentach siedemdziesięcio-pięcioletnie osoby, które zakochują się, a potem żenią albo wychodzą za mąż.

— Bo Steven leczy nie tylko gejów — wyjaśnił Bix.

— Mówię zupełnie serio, Paris. Masz przed sobą całe życie i po prostu potrzebujesz czasu, żeby to zrozumieć. Dziewięć miesięcy to jeszcze nic... przynajmniej dla niektórych. Innym wystarczą tygodnie, żeby sobie kogoś znaleźć. Tak czy inaczej opłakiwanie ukochanej osoby czy związku nigdy nie jest łatwe. Potrzebowałem trzech lat, żeby znaleźć Bixa, i znalazłem go, choć zdążyłem już zwątpić, że znów potrafię kochać. I patrz, jesteśmy ze

sobą bardzo szczęśliwi - powiedział, do głębi poruszając Paris swoją otwartością i zrozumieniem.

— Przy czym wiedz, że w środowisku gejów jest daleko trudniej znaleźć kogoś wartościowego — wtrącił Bix. — Tu liczy się wyłącznie powierzchowność, uroda i miłość. Nie ma gorszej rzeczy niż samotna starość geja. Kto nie jest młody i piękny, ma przechlapane. Byłem w kursie przez dwa lata po moim ostatnim związku i rzygać mi się chce na samo wspomnienie tego okresu. Miałem wtedy zaledwie trzydzieści lat, a przecież czułem się jak niechciany staruch. Kiedy wreszcie poznałem Stevena, nie mogłem doczekać się chwili, gdy wspólnie uwijemy gniazdko. Nie mam natury podrywacza.

Choć, pomyślała Paris, miał po temu wszelkie warunki. Mimo bez mała czterdziestki wciąż oszałamiał urodą, w młodości zaś, tuż po ukończeniu college'u, pracował jako model. System wartości zbudował jednak na znacznie solidniejszych podstawach.

— Ja też nie — westchnęła Paris. — Możesz sobie wyobrazić coś bardziej groteskowego niż panią w moim wieku romansującą na prawo i lewo? To żalosne, wręcz przygnębiające. I wtedy opowiedziała im o pijanym maklerze w spodniach ze szczypankami, który na przyjęciu w Greenwich sypał świńskimi dowcipami.

— Chyba umówiłem się kiedyś z jego homoseksualnym bratem stwierdził ze śmiechem Bix. — Miałem najkoszmarniejsze randki w ciemno na całym Bożym świecie. Kiedy mój ostatni partner wyrolował mnie dla pewnego dwudziesto-dwulatka, wszyscy zaczęli się nade mną użalać i aby dowieść swej życzliwości, kojarzyć mnie z najokropniejszymi typkami, jakie przychodziły im do głowy, najchętniej psychologami uzależnionymi od wszystkiego, co tylko powoduje uzależnienie. Jeden nie spał od dwóch lat, miał nieustanne halucynacje i uważał mnie za swoją matkę. Pewnego razu po powrocie do domu znalazłem go nieprzytomnego na kanapie; ubrany w różowe stringi i staniczek, ścisnął w garści fiolkę proszków nasennych. Wtedy kazałem mu się wynosić. Ale to było jeszcze nic w porównaniu z jednym wielbicielem przyrody, który musiał być krewniakiem Dusiciela z Hillside. Miał pięć węży, którym pozwolił rozpełznąć się po moim mieszkaniu. Dwa mu się gdzieś zapodziały i odnalazł je dopiero po miesiącu, kiedy byłem już gotów poszukać sobie innej mety. Tak, trafiały mi się nieliczne aparaty. Masz moje słowo, Paris, nigdy nie zaaranżuję ci randki w ciemno, mam dla ciebie zbyt wiele szacunku. Sama rób sobie zakupy.

— Dzięki. Jak poznaliście się ze Stevenem?

— Prozaicznie. Potrzebowałem nowego lekarza, przypadliśmy sobie do gustu. Potrzebował dwóch miesięcy, a także całej masy problemów z zatokami, korzonkami i innych urojonych dolegliwości, z którymi się do niego zgłaszałem, zanim pojął, co jest grane, i zaprosił mnie na kolację.

Rozmarzony Steven uśmiechnął się do wspomnień.

— Co prawda, to prawda, nie okazałem się zbyt bystry — przyznał — choć z drugiej strony przypuszczałem, że szuka po prostu zastępczego ojca.

— Nic tak wyrafinowanego — powiedział Bix. — Tylko , chłopaka.

W tej chwili zaś, jak oceniała Paris, przypominali raczej zgodne małżeństwo, a ich związek mógł budzić tylko szacunek. Jakże cudownie, pomyślała, jest mieć kogoś, z kim dzieli się życie — tak jak ona dzieliła je kiedyś z Peterem.

Po powrocie do domu zadzwoniła do Meg, lecz nie zdołała uzyskać połączenia, o szóstej zaś, w towarzystwie współlokatora z akademika, pojawił się Wim. Paris zaproponowała im kolację i po raz kolejny doszła do wniosku, że życie w Kalifornii naprawdę się jej podoba.

Rozpieszczała ją nawet pogoda: mimo lutego dni były słoneczne i ciepłe. A w Greenwich, wedle słów Natalie i Virginii, padał śnieg. I jak tu podważać sensowność przeprowadzki? — No i jak oceniasz swoją nową pracę, mamó? — zapytał Wim, kładąc na oparciu kanapy swe długie nogi. On i jego kolega pochłonęli monstrualną kolację z zapalem ludzi głodzonych od miesiąca.

— Jest fantastyczna — odparła promieniejąc.

— Co ty właściwie robisz? — zapytał, bo z wcześniejszej relacji nabral zaledwie mętnego wyobrażenia o jej pracy.

— Planujemy najrozmaitsze imprezy: wesela, przyjęcia, premiery. Twórca koncepcji tego wszystkiego jest człowiekiem niezmiernie kreatywnym.

— Brzmi interesująco — stwierdził. Dobrze się czuł w nowym domu, a niezależny apartament, którego staranne oględziny przeprowadził wspólnie z kumplem, wręcz wprawił go w zachwyt. Przyrzekł częste wizyty, Paris zaś, oceniając realistycznie, że w jego wieku miewa się sto myśli na minutę i masę najrozmaitszych zajęć, miała jednak nadzieję, że chociaż częściowo spełni obietnicę.

Odjechali o dziesiątej, Paris posprzątała dom i o jedenastej leżała już w łóżku. Ta niedziela była naprawdę udana, choć jeszcze niedawno — zwłaszcza w Greenwich — weekendy przejmowały ją grozą. Bo była sama, podczas gdy wszyscy na świecie, jak się jej zdawało, mają kogoś do towarzystwa. Ale tu jakoś jej szło. Spędziła sympatyczne przedpołudnie z Bixem i Stevenem oraz miły wieczór z Wimem i jego kolegą.

Zapadła już w sen, gdy z relacją o udanej niedzieli zadzwoniła Meg. Kalifornia, nowy świat Paris, okazała się miejscem wprost dla niej wymarzonym.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Poniedziałek był pracowitym dniem, zwłaszcza że Paris nie miała już doradczyni w osobie Jane, która z mężem i nowo narodzonym synem — nazywał się już oficjalnie Alexander Mason Winslow i był zdaniem rodziców najzupełniej bezproblemowym niemowlęciem — szczęśliwie siedzieli w domu.

Jedynym zatem mentorem Paris pozostał Bix na sobotę, która była dniem Świętego Walentego, mieli zaplanowane dwa niezbyt wielkie przyjęcia, z których jedno zamierzał osobiście nadzorować Bix, pieczę nad drugim natomiast powierzył Paris. Późnym popołudniem sekretarka, która akurat zajmowała się porządkowaniem dokumentacji, odebrała telefon i oznajmiła Paris, że dzwoni do niej pan Freeman.

— Chyba nie znam nikogo takiego — odparła bez namysłu Paris i już zamierzała poprosić sekretarkę o przyjęcie wiadomości, gdy uświadomiła sobie, że „pan Freeman” to książę z bajki, mężczyzna, z którym tańczyła na przyjęciu u Fleischmannów. Podniosła więc słuchawkę i powściągliwym tonem powiedziała: — Słucham?

— Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam — wydeklamował bez zająknięcia, a słysząc dźwięk jego głosu, Paris przypomniała go sobie w najdrobniejszych szczegółach. — Mam twój numer od Marjorie Fleischmann, która z kolei dostała go od teściowej. Okrężna, ale skuteczna droga. Jakże się miewasz, Kopciuszk?

— Doskonale — odparła ze śmiechem, będąc pod wrażeniem wysiłku, jaki włożył w to, by ją odnaleźć, choć przecież, mimo wspólnego tańca, nie zachęcała go raczej do kontynuowania znajomości. — Mam mnóstwo roboty, porządkujemy sprawy, a wracając z przyjęcia przedwczoraj wieczorem, omal nie przyjęłam porodu.

Pokrótkie zrelacjonowała mu perypetie Jane, swoje i Bixa, a potem zawiesiła głos, oddając mu inicjatywę. Przyszło jej do głowy, że pewnie sam zamierza urządzić jakąś imprezę.

— Pomyślałem sobie, że może jutro wybralibyśmy się wspólnie na lunch. No i co o tym sądzisz, Paris?

Pierwsza odpowiedź, która jej przyszła do głowy, brzmiała: „Nic dobrego”, druga natomiast: „Po co?”. Nie miała w ogóle nastroju do randek, zajmowały zdecydowanie ostatnie miejsce na liście jej priorytetów.

— To miło z twojej strony, Chandler — powiedziała, przypominając sobie jego imię w ostatniej chwili — ale zwykle nie jadam lunchów, a poza tym jesteśmy okropnie zajęci.

— To źle, że nie jadasz, twój poziom cukru we krwi poleci na łeb, na szyję. Zjemy ten lunch na jednej nodze — zaproponował nie mając widać zwyczaju przyjmować do wiadomości odpowiedzi odmownych.

Był w tej swojej bezceremonialności tak miły, że Paris, nie chcąc uciekać się do grubiaństwa, z wahaniem wyraziła wreszcie zgodę.

— Dobra, pod warunkiem że będzie naprawdę błyskawiczny — odparła, karcąc się w duchu za uległość. Nie miała ochoty umawiać się na lunch z praktycznie nieznanym mężczyzną. Postanowiła, że bez względu na jego intencje zachowa się wyniośle i zrejeruje najszybciej, jak zdoła. — Gdzie się spotkamy?

— W południe zajadę po ciebie do biura i przyrzekam, że odstawię z powrotem po godzinie.

— Może jednak spotkajmy się na jakimś neutralnym gruncie — zaproponowała — bo nie wiem jeszcze, gdzie będę jutro przed południem.

— Nic się nie przejmuj. Przyjadę po ciebie. Przynajmniej nie będziesz się musiała denerwować ewentualnym spóźnieniem, bo mam w samochodzie telefon — oświadczył pogodnie, zupełnie nieświadom, że właśnie jazdy z obcym mężczyzną jego samochodem Paris usiłowała uniknąć za wszelką cenę. — Do zobaczenia jutro, Kopciuszk.

Odkładała właśnie słuchawkę, gdy do pokoju wszedł Bix.

— Czy coś się stało? — zapytał zaintrygowany wyrazem jej twarzy.

— Popełniłam właśnie okropne głupstwo — odparła poirytowana swoją uległością. Chandler Freeman ustawił ją, jak chciał.

— Chyba nie rzuciłaś słuchawkę podczas rozmowy z klientem?

— Nic z tych rzeczy — zapewniła. — Po prostu pozwoliłam jednemu facetowi namówić się na lunch, chociaż nie miałam na to najmniejszej ochoty. Tak mnie skołował, że nie zdążyłam właściwie otworzyć ust... no i jesteśmy umówieni na jutro.

— Ktoś, kogo znam? Ten przystojniaczek z przyjęcia u Fleischmannów?

— Skąd wiesz? — zapytała zaskoczona.

— Przypuszczałem, że zadzwoni. Dla takich jak on to typowe. Przypomnij mi z łaski swojej, jak się nazywa.

— Chandler Freeman. To wspólnik Oscara Fleischmanna juniora, ale nie wiem, czym się zajmuje.

— Czytałem o nim tu i tam. Wygląda mi na profesjonalnego randkowicza. Uważaj na niego.

— Co masz na myśli? — zapytała tonem zgoła niewinnego dziewczątka zbłąkanego w gąszczu nowego wspaniałego świata.

— To szczególnie gatunek złożony po części z zaprzysięgłych starych kawalerów, po części zaś rozwodników, których rozstanie ze znienawidzonymi babami kosztowało masę

nerwów i pieniędzy. Facetów zasadniczo zgorzkniałych. No więc ci drudzy potrafią spotykać się z dziesiątkami, a nawet setkami rozmaitych nieszczęśnic, opowiadając każdej, jakimi nikczemnymi dziwkami były ich ekszony. Nie ożenili się powtórnie, zapewniają, bo nie znaleźli jak dotąd „odpowiedniej kobiety”. Prawda natomiast wygląda tak, że nie ożenią się nigdy, bo nie chcą. Pragną tylko romansować, przyjaciółeczki są z ich punktu widzenia znacznie zabawniejsze niż żony.

— Charakterystyka zwięzła i precyzyjna — uznała Paris, uśmiechając się szeroko. — Przekonamy się, co opowie mi o sobie, a później dokonamy porównań.

— Niestety, zapewne będzie do niego pasowała jak ulał

— stwierdził ze współczuciem Bix. Zabawa w randki, hetero-czy homoseksualne, nie była dla normalnych ludzi, przynajmniej w jego opinii.

— Mogę wyskoczyć jutro do miasta na lunch? — zapytała jakby mimochodem Paris.

Bix zachichotał.

— Chcesz, żebym powiedział „tak”?

— Dajmy na to — odparła wciąż niezupełnie pewna, jaką odpowiedź wolałaby usłyszeć.

— Idź. Rozerwiesz się. Zresztą musisz zadebiutować, a o ile sobie przypominam, wywarł na mnie nie najgorsze wrażenie.

— Mimo że jest przypuszczalnie zawodowym randkowiczem?

— I co z tego? Nie idziesz do ołtarza, tylko na lunch. Nic ci nie grozi. No i musisz zacząć zdobywać praktykę przed...

— Przed czym?

— Przed powrotem do prawdziwego świata — odparł.

— Bo nie uciekniesz od takiego powrotu, nie możesz do końca życia tkwić w domu.

Kobieta twojego rodzaju, Paris, zasługuje na to, by mieć przy sobie porządnego mężczyznę. A nie znajdziesz go, wegetując jak pustelniczka.

— Byłam pewna, że mam przy sobie porządnego mężczyznę — zauważyła ze smutkiem.

— Okazało się, że nie był tak porządny, jak sądziłaś.

— Ano nie był.

Pół godziny później Bix zjawił się z prezentem dla Jane: czterostopowym białym misiem z róż tak fantastycznym, że jego widok zaparł Paris dech w piersiach. Nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, jak Bix go zrobił.

— Bo go nie zrobiłem — odrzekł. — Tylko zaprojektowałem, a Hiroko odwaliała całą resztę. Uroczy, nie uważasz?

— zapytał z dumą.

— Niewiarygodny. Zakocha się w nim od pierwszego wejrzenia — stwierdziła przypominając sobie, że sama również musi się rozejrzeć za upominkiem dla Jane.

Zamierzała to zrobić w weekend, jeśli znajdzie wolną chwilę. Musiała nadzorować jedno z przyjęć walentynkowych, ale w przeddzień, przynajmniej teoretycznie, była wolna. Nie do wiary, jak bardzo wypełniło się jej życie w ciągu zaledwie kilku dni. Podzieliła się zresztą tą refleksją z Annę Smythe podczas ich wieczornej sesji telefonicznej. Ograniczyły rozmowy do jednej w tygodniu i odbywały je albo w weekendy, albo wieczorami — mimo różnicy czasu Annę nie miała nic przeciwko temu, rada z sukcesów podopiecznej, Paris zaś wiedziała, że w każdej sytuacji awaryjnej znajdzie w Annę oparcie.

Tym razem poinformowała ją o swoim jutrzejszym lunchu z Chandlerem Freemanem, którego Bix zaklasyfikował jako profesjonalnego randkowicza.

— Nie pozwól, by powodowały tobą uprzedzenia—przypomniała Annę. — Jeśli nawet jest, jak utrzymuje Bix, nałogowym uwodzicielem, znajomość ta może się okazać całkiem interesująca. Bo masz poznawać nowych ludzi, a to wcale nie oznacza, że musisz się we wszystkich zakochiwać. Zobacz w nim na przykład kogoś, kto wprowadzi cię w swoje kręgi towarzyskie.

Uwaga była celna: Paris zdawała sobie sprawę, że po wyprowadzce z Greenwich zaczyna od zera i że jest dopiero na początku długiej drogi.

Nazajutrz, pięć minut przed południem, Paris usłyszała z ulicy ryk silnika, zobaczyła przez okno swojego biura srebrzyste ferrari, kilka sekund później natomiast, i tym razem w drzwiach — Chandlera Freemana we własnej osobie. Nosił granatową marynarkę, szare spodnie, niebieską koszulę i żółty krawat, chyba od Hermesa. Wyglądał niezwykle szykownie i uśmiechał się ołsniewająco.

— Jestem pod wrażeniem — powiedział. — Masz wystrzałowe biuro.

— Dzięki, ale to nie moja zasługa, bo pracuję w nim od jakichś pięciu minut.

— Jak to?

— Przeniosłam się tu z Greenwich w Connecticut niespełna dwa tygodnie temu, a u Bixa przepracowałam raptem tydzień.

— Pasujesz do tego miejsca, a to miejsce pasuje do ciebie.

— Miły jesteś — odparła z uśmiechem.

— Jedziemy? — Kiedy szczerzył zęby, wyglądał jak model reklamujący w telewizji jakąś nową cudowną pastę. Był naprawdę niesamowicie przystojny i Paris pochlebiało w pewien sposób, że towarzyszy jej taki facet.

— Dokąd jedziemy? — zapytała nerwowo, gdy ferrari ruszyło z rykiem.

— Najchętniej powiedziałbym, że cię porywam, ale nie lubię kłamać. Goni cię czas, wiem, i dlatego bardzo bliźutko.

— Zatrzymał wóz przed maleńką włoską knajpką, odległą od biura Bixa o zaledwie kilka przecznic. Mieściła się w stylowej wiktoriańskiej kamienicy i miała na zapleczu ogródek.

— To jeden z najlepiej strzeżonych sekretów tego miasta — wyjaśnił Chandler. — Często tu jadam, bo nie cierpię kisić się w czterech ścianach.

Od zeszłego tygodnia bardzo się ociepliło, do Kalifornii nadciągnęła wiosna.

Paris odmówiła wina, prosząc zamiast tego o szklankę herbaty mrożonej, Chandler zamówił dla siebie Krwawą Mary, na lunch zaś dla nich obojga — pastę i sałatę. Okazały się wyśmienite. Mniej więcej w połowie posiłku Paris rozluźniła się nieco, Chandler bowiem naprawdę sprawił na niej wrażenie sympatycznego człowieka.

— Od jak dawna jesteś rozwiedziona? — zapytał wreszcie, ona zaś pomyślała, że skoro to pytanie pada nieustannie i zapewne padać będzie jeszcze bardzo długo, może powinna przygotować na podobne okazje jakieś drukowane materiały informacyjne.

— Od dwóch miesięcy, a separacja trwała dziewięć — rzekła lakonicznie, uznając, że na tym etapie nie należą się jej towarzyszowi żadne wyjaśnienia ani szczegóły.

— A jak długo trwało twoje małżeństwo?

— Dwadzieścia cztery lata. Wzdrygnął się.

— Uch, to musiało boleć.

— I to bardzo — odparła z uśmiechem i przystąpiła do kontrofensywy. — A ty?

— Co ja?

— Te same pytania. Kiedy się rozwiodłeś? Po ilu latach małżeństwa?

— Po dwunastu, czternaście lat temu.

— To kawał czasu — zauważyła.

— Zgadzam się z tobą.

— I nie ożeniłeś się powtórnie?—Bo jeżeli nie, pomyślała, Bix ma zapewne rację.

— Nie ożeniłem się.

— Dlaczego?

— Bo chyba nie znalazłem odpowiedniej kobiety. — Kurczę, Bix ma jednak rację, uznała w duchu. — A może dlatego, że jako rozwodnik bawiłem się zbyt dobrze. W chwili rozwodu miałem trzydzieści cztery lata i silny uraz psychiczny. Żona puściła mnie w trąbę z moim najlepszym przyjacielem. Wykręciła mi naprawdę paskudny numer. Okazało się, że romansowali ze sobą od trzech lat. Takie rzeczy się zdarzają... pół biedy, jeśli innym, ale jeśli człowiek sam pada ofiarą, cierpi jak sto diabłów.

Kolejne ważne dane: ekszona jest nikczemną dziwką.

— Rzeczywiście przykra historia — stwierdziła współczującym tonem, choć Chandler nie sprawiał w tej chwili wrażenia kogoś, kto potrzebuje współczucia bliźnich. Może upłynęło dostatecznie dużo czasu, może aż za dużo. — Masz dzieci?

— Syna. Dwadzieścia siedem lat, mieszka w Nowym Jorku, ma dwie córeczki, dwu- i czteroletnią. Prześliczne. Trzecia w drodze. Jestem dziadkiem, w co czasem trudno mi uwierzyć.

Paris również trudno było uwierzyć, że ten przystojny czterdziestoośmioletni mężczyzna może być dziadkiem.

Potem zaczęli gwarzyć o rozmaitych innych sprawach — podróżach, ulubionych miejscach, najlepszych ich zdaniem nowojorskich restauracjach, o językach, które znali i które chcieliby znać. Paris potrafiła porozumieć się po francusku,

Chandler, który jako młody człowiek dwa lata mieszkał w Buenos Aires, płynnie władał hiszpańskim. Wreszcie Chandler zagadnął Paris o jej imię, które zawsze uważała za niezbyt mądre — została poczęta w Paryżu, gdzie rodzice spędzali miesiąc miodowy, i w rezultacie nazwana tak jak ich ukochane miasto. Chandler uznał z życzliwym rozbawieniem, że jest oryginalne i urocze. Był mistrzem w prowadzeniu lekkiej konwersacji i naprawdę sympatycznym współbiedniakiem. Kiedy odwoził Paris do biura, wspomniawszy jeszcze, że pilotuje własny samolot, 64—zawsze jednak w asyście drugiego pilota - proponuje więc wspólną wycieczkę powietrzną w bliższej czy dalszej przyszłości. A jeszcze w tym tygodniu ewentualną kolację. Gdy Paris odrzekła, że ma mnóstwo pracy, tylko się uśmiechnął i na pożegnanie pocałował ją w policzek.

Na jej widok Bix podniósł głowę znad jakichś szkiców.

— No i?

- Chyba miałaś słuszność. Nie wiem właściwie, po co się fatygowałam. Nie mam ochoty na romanse, więc czemu niby miało to służyć?

- Zdobywaniu doświadczeń przed wyfrunięciem z gniazda. Bo wyfruniesz jeszcze, chyba że postanowisz zostać zakonnica.

— To jakaś myśl.

— Ale wracając do sprawy...

— Był żonaty przez dwanaście lat, jest rozwiedziony od czternastu. Nie spotkał dotąd kobiety, która obudziłaby w nim nieprzewartą chęć ponownego wstąpienia w związek małżeński. No i jak ci się to podoba?

— Wcale - mruknął ponuro Bix, który znając Paris zaledwie od tygodnia, już odczuwał potrzebę otaczania jej opieką. Była jak dziecko we mgle.

- Ma syna, dwie wnuczki i trzecią w drodze. Przez dwa lata mieszkał w Buenos Aires. Pilotuje własny samolot. Ach, no i żona Chandlera romansowała z jego najlepszym przyjacielem, uciekła z nim i stąd rozwód. To mniej więcej wszystko.

- Doskonale—z uśmiechem pochwalił ją Bix. — Robiłaś notatki czy masz taką dobrą pamięć?

— Nie, szpiegowski dyktafonik w obcasie. Co zatem sądzisz? Zdaniem mojej psychoterapeutki nie ma znaczenia, czy jest dupkiem czy nie, bo w najgorszym razie przedstawi mnie swoim przyjaciołom.

— Też przypuszczalnie dupkom. Profesjonalni randkowicze trzymają się razem, normalnych, zakładających rodziny ludzi uważają za kabotynów i przygłupów bez polotu.

— Ach tak? Więc nim jest? To znaczy zawodowym randkowiczem?

— Może. Bądź ostrożna. Zaproponował ponowne spotkanie?

— Kolację w tym tygodniu. Odparłam, że jestem zajęta.

— Czy on ci się podoba?

— Powiedzmy. Jest interesujący, inteligentny, bardzo kulturalny. Tylko nie wiem, czy przyzwoity.

— Ja też nie wiem i dlatego powinnaś uważać. Daj mu szansę, ale tycią. Zachowaj czujność, i to w każdej chwili.

— Trudne zadanie.

— Ale warto je podjąć. Chyba że chcesz zostać zakonnica.

— Rozważę i taką możliwość.

— Tylko pamiętaj, że współczesne habity są wyjątkowo szpetne. To nie czasy Audrey Hepburn czy Ingrid Bergman w zwiewnych powłóczystych szatach. Dziś siostrzyczki noszą krótkie poliestrowe worki i takie fryzurki, że człowieka przechodzi dreszcz. Roześmiała się i wróciła do swego biurka. Po południu Chandler przesłał jej kwiaty — dwa tuziny czerwonych róż, a do tego bilecik: „Dzięki, że zechciałaś wyrwać się z pracy. Lunch z tobą był cudowny. Do rychłego zobaczenia. CF”.

Bixby obejrzał róże, zerknął na bilecik i pokiwał głową.

— Zawodowiec, mówiłem. Ale róże ładne.

Paris wysłała Chandlerowi karteczkę z podziękowaniem i zapomniała o jego istnieniu. Tydzień poprzedzający walentynki wypełniła katorżnicza harówka, bo dosłownie każdy z ich klientów pragnął komuś przesłać coś oryginalnego, nawet matce czy siostrze z Des Moines, najgorsi jednak byli romantyczni kochankowie. Na szczęście Bixowi jak zwykle dopisywała znamienna dlań fantazja i świetnie wywiązał się ze wszystkich zleceń. Poza tym mieli do przygotowania dwa przyjęcia.

W czwartek znowu zadzwonił Chandler, proponując kolację w sobotę.

— Wybacz, Chandler, nie mogę — odparła Paris. — Muszę pracować.

— Czy wiesz, co to za dzień? — zapytał z naciskiem.

— Jasne, walentynki. Ale mimo to muszę pracować.

I była szczęśliwa, że pracuje, w przeciwnym bowiem razie siedziałaby przez cały ten dzień zapłakana i usiłowała zapomnieć. W walentynki zawsze chodzili z Peterem do restauracji, rok temu również, chociaż Peter już wówczas spotykał się z Rachel. Ciekawe, jak rozwiązał tę trudną sytuację. Nieważne zresztą, w maju znalazł ostateczną receptę i w tym roku na pewno jest z Rachel.

— O której kończysz pracę?

— Późno, pewnie około jedenastej — odparła. Urządzała niewielkie przyjęcie i zgodnie z zasadami obowiązującymi w firmie Bixa mogła wyjść, kiedy goście zasiądą do stołu, aby jednak zniechęcić Chandlera, nie wspomniała o tym ani słowem.

— Mogę spokojnie poczekać. A więc kolacja, kiedy wybije północ?

Wahała się przez długą chwilę: z jednej strony nie interesowały jej żadne randki, z drugiej natomiast — zachowywała się tak, jakby były możliwe. Nie wiedziała, co robić, Chandler ją osaczał, ona zaś pozwalała pojmać się w pułapkę. Poza tym miał w sobie coś pociągającego.

— No nie wiem, Chandler — powiedziała bezradnie. — Chyba jeszcze nie jestem gotowa, a walentynki to dość szczególny dzień.

— Rozumiem, też przez to przeszedłem. Ale wyskoczmy gdzieś po prostu na skromniutką kolacyjkę.

— Dlaczego mnie prześladujesz? — zapytała błagalnym tonem.

— Bo uważam, że jesteś fantastyczna. Od czternastu lat nie spotkałem nikogo takiego jak ty.

To stwierdzenie miało duży ciężar gatunkowy, najgorsze jednak że wygłosił je — jak się Paris zdawało — z pełnym przekonaniem.

— Powinieneś umówić się z kimś, kto ma wolny wieczór — odparła nie mając nic mądrzejszego do powiedzenia.

— Wolę z tobą. A więc o północy? Jeśli skończysz wcześniej, będziesz mogła zadzwonić. To będzie coś prostego i niezobowiązującego. Wrąbiemy po hamburgerze, nie będziemy roztrząsać przeszłości, prowadzić gierki. Ot, dwoje przyjaciół w dniu głupiutkiego święta. Jeśli nie chcesz odpowiadać teraz, zastanów się, a ja zadzwonię jutro. Może być?

— Zgoda — szepnęła słabym głosem. Trudno było się oprzeć komuś, kto z taką swobodą operował argumentami rozsądnymi i przekonującymi.

Na rozmyślenia poświęciła cały wieczór, nie zdołała jednak podjąć żadnej decyzji: chciała się z nim spotkać, a zarazem nie chciała, gdy zaś zadzwonił w piątek rano, była tak zapracowana i roztargniona, że wyraziła zgodę, zanim właściwie zorientowała się, iż ją wyraża. Obiecała, że do niego zadzwoni, kiedy upora się z przyjęciem, a potem wyskoczą gdzieś na hamburgera. W dzinsach, podkreśliła z mocą. Było to sensowne rozwiązanie problemu walentynek, Paris bowiem wolałaby nie być w tym dniu sama, lecz również nie miała najmniejszej ochoty na romantyczną kolację we dwoje.

Goście na jej przyjęciu zasiedli do stołu o dziewiątej, wróciła więc do domu o wpół do dziesiątej, punkt dziesiąta zaś przyjechał po nią Chandler. Był zgodnie z przyrzeczeniem w dzinsach; Paris też nałożyła dzinsy, a do tego czerwony kaszmirowy sweter i biały bajowy płaszcz, jeden z jej najbardziej wysłużonych ciuchów.

— Wyglądasz zniewalająco, Kopciuszkę — stwierdził z uśmiechem Chandler, całując ją w policzek, w połowie kolacji zaś, którą jedli w cichym lokaliku, pchnął w jej stronę zapakowane pudełko i dwie koperty. Ich wymowne kolory — czerwony i różowy — zdradzały ponad wszelką wątpliwość, że zawierają walentynki. Dowcipne i ujmujące, jak przekonała się Paris chwilę później. Pudełko skrywało natomiast srebrną bombonierkę w kształcie serca, pełną czekoladowych serduszek.

— Dziękuję, Chandler, to miłe z twojej strony — powiedziała Paris, dodając z zakłopotaniem: — Ale ja nic dla ciebie nie mam.

— Nie musisz. Przyjęłaś moje zaproszenie i to wystarczy — odparł z przekonaniem.

Po kolacji, która upłynęła w sympatycznej niewymuszonej atmosferze, o północy odwiózł ją do domu, odprowadził do drzwi i delikatnie pocałował w policzek.

— Dziękuję za uroczy wieczór — powiedziała i nie były to tylko zdawkowe słowa.

— Staralem się, jak mogłem. Co robisz jutro? Może dasz się namówić na spacer po plaży?

— zapytał, a kiedy skinęła głową, stwierdził: — Super. Wpadnę po ciebie o drugiej.

Ubrani w dzinsy i adidas dotarli po dwugodzinnym spacerze aż do mostu Golden Gate.

Była cudowna pogoda, łagodny wietrzyk rozwiewał płowe włosy Paris, a Chandler spoglądał na nią z zachwytem. Gdy odwiózł ją po przechadzce, zaprosił ją na drinka. Bez skrępowania rozejrzał się po nowych właścicielach Paris, a potem z kieliszkiem białego wina w dłoni usiadł na sofie i stwierdził:

— Podoba mi się u ciebie.

— Mnie też — odparła siadając obok. Zaczynała się czuć swobodnie w jego towarzystwie.

— Nie mogę się doczekać na przywóz moich mebli.

Przez godzinę gawędzili głównie o dzieciach i powodach rozpadu ich małżeństw.

— Sądzę, że po prostu zbyt jej ufałem — powiedział spokojnie Chandler. — Przyjąłem głupie założenie, że mogę ufać.

— Komuś przecież trzeba ufać.

— Chyba od rozwodu nie spotkałem nikogo takiego. Pewnie dlatego nie ożeniłem się powtórnie.

— Ufność można okazywać tylko właściwej osobie.

— A ty mu ufałaś? — zapytał świdrując Paris wzrokiem, a kiedy skinęła głową, dorzucił:

— I jaka z tego wypływa nauka?

— Że nawet osoby, które się kocha, popełniają błędy. Zmieniają zdanie. Przestają odwzajemniać miłość. To się zdarza. Pech, że przytrafiło się mnie.

— Jesteś bardzo naiwna. Gdyby o czymkolwiek decydowały kaprysy losu, sytuacja mogłaby być w tej chwili diametralnie inna. Ale ja nie zdradzałem swojej żony, ty natomiast

— męża. Zdradzałaś go? — Paris żarliwie pokręciła głową.

— Tak więc słuszny wniosek powinien brzmieć, że twój mąż nie był godzien zaufania. Nie był tak przyzwoity, jak sądzisz, nie zdarzyło mu się przypadkowe potknięcie. On po prostu, tak samo jak moja żona, do tego doprowadził, może nawet parł do tego z całych sił, mając w głębokim poważaniu cenę, jaką będziesz musiała zapłacić za jego postępek. Nic się nie przejmował.

— Nie podzielam twojej opinii, że to wszystko jest takie proste — zaoponowała. — Przecież ludzie wikłają się czasem w związki, które omotują ich jak pajęczyna. Tracą orientację. Lecz również zmieniają się, na gorsze czy lepsze. Tak właśnie było z Peterem. Oznajmił, że jest mną znudzony.

— Nuda to nieodłączny element małżeństwa. Biorąc ślub, człowiek musi traktować nudę jak dobrodziejstwo inwentarza.

— Nie zawsze — odparła, a w jej głowie podniosły się echem słowa Bixa: „Profesjonalni randkowicze normalnych, zakładających rodziny ludzi uważają za kabotynów i przygłupów bez polotu.” — Ja się nie nudziłam.

— A może tylko nie potrafiłaś rozpoznać symptomów. Postawię każde pieniądze, że w tej chwili twoje życie jest znacznie bardziej interesujące — uśmiechnął się, pociągając łyk wina.

— Pod pewnymi względami — zgodziła się Paris — choć nie jest to życie, jakie dla siebie wybrałam i z jakiego byłabym zadowolona.

— Jestem gotów założyć się jeszcze, że za rok będziesz dziękowała Bogu, iż twój mąż zechciał cię porzucić.

Tego jednak nie potrafiła sobie wyobrazić, i to w żadnych okolicznościach. Oddałaby wszystko, byle tylko móc cofnąć czas i ocalić swoje małżeństwo... ale skoro nie mogła tego zrobić, była skłonna cieszyć się wszystkim dobrym, co przynosi jej nowe życie.

Chandler wyszedł o szóstej: nazajutrz leciał swoim samolotem do Los Angeles, obiecał, że zadzwoni po powrocie.

Rankiem natomiast znów przysłał jej kwiaty.

— Widzę, że pan Freeman zaciska krąg obławy — zauważył ironicznie Bix, kiedy wszedł do biura Paris, aby przejrzeć wstępne notatki dotyczące wesela, które organizowali w czerwcu. — Dobrze się z nim bawisz?

— Chyba tak — odparła powściągliwie, choć wcale nie miała co do tego pewności.

Chandler był swobodny i czarujący, ale wyczuwała w nim jakieś rozgoryczenie i gniew.

Czyżby ekszona była garbem, który będzie nosił przez całe życie?

Zadzwoił dopiero w czwartek, z Nowego Jorku. Poinformował, że interesy zatrzymują go tam do niedzieli, czym Paris zupełnie się nie przejęła. Przy okazji kolejnego telefonu, już w następnym tygodniu, zapytał, czy nie poleciałaby z nim do Los Angeles. Prawie bez wahania odmówiła. Nie miała zamiaru ani z nim podróżować, ani tym bardziej sypiać. Do przekroczenia tego mostu nie była jeszcze gotowa.

Gdy najogólniej, jak umiała, podzieliła się z nim swoimi przemyśleniami w tej kwestii, parsknęła śmiechem.

— Przecież wiem, głuptasie. Zamierzałem wziąć w Bel-Air dwa apartamenty i zabrać cię na jedno z przyjęć poprzedzających rozdanie nagród Grammy. Mam przyjaciela z branży muzycznej, który zaprasza mnie co roku. To naprawdę wystrzałowe imprezy. A więc?

Paris uświadomiła sobie, że przyjmując zaproszenie, miałaby okazję zobaczyć Meg.

Oczywiście mogła bez problemu wyskoczyć do Los Angeles sama, ale udział w przyjęciu, o którym wspominał Chandler, był naprawdę kuszący.

— Nie jestem pewna, czy zdołam wyrwać się z pracy. Pogadam z Bixbym i dam ci znać — powiedziała. Wcale zresztą nie była pewna, czy zapyta Bixa, chciała tylko zyskać na czasie. Spytała jednak, i to jeszcze tego samego popołudnia, kiedy pracowali wspólnie w jego gabinecie.

— Dam ci wolny dzień, jeśli naprawdę tego chcesz — odrzekł wielkodusznie. — Jesteś pewna, że chcesz jechać?

— Wcale nie jestem pewna. To sympatyczny facet, ale nie dojrzałam jeszcze do tego, żeby iść do łóżka z nim czy z kimkolwiek innym — wyznała bez owijania w bawełnę.

— Z drugiej strony, mówił, że będziemy mieli osobne pokoje, a impreza zapowiada się ciekawie.

— Cholera, Paris, no to czemu nie? — zapytał Bix szczerząc zęby. — Sam bym się chętnie wybrał.

— Więc z nim jedź — zasugerowała żartem Paris.

— Aleby się zdziwił, co? Serio mówił o tych osobnych pokojach?

— Chyba tak — odparła po namyśle.

— Bo mi wygląda na szczwanego lisa. Prawdziwego zawodowca.

Pod wieczór zadzwoniła do Chandlera, głęboko zaczerpnęła powietrza i powiedziała, że się zgadza, Chandler zaś oznajmił radośnie, iż wylatują w piątek rano, bo właśnie w piątek ma się odbyć przyjęcie, na które chce ją zabrać. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności Bix nie miał żadnych zaplanowanych na ten weekend wielkich imprez, tylko kameralną kolację: catering zapewniała Sydney Harrington i ona też wzięła na siebie nadzór organizacyjny. Tydzień później wyprawa do Los Angeles byłaby niemożliwa z powodu ogromnego wesela.

Wieczorem Paris zadzwoniła do Meg i powiedziała, że przyjeżdża, że idzie na bal związany z nagrodami Grammy i że chociaż nie wiadomo, kiedy będą mogły się spotkać, bo to w dużym stopniu zależy od planów Chandlera na weekend, na pewno w jakiejś dogodnej chwili im się to uda.

— Ależ wdepnęłaś w wielki świat, mamó — stwierdziła z aprobatą Meg. — Jaki jest ten facet?

— Nie wiem... chyba sympatyczny. Bardzo przystojny i znakomicie ubrany. Ma, jak by to określił Bix, gadane. I jest dla mnie miły.

Ale w jej głosie trudno było wyczuć entuzjazm. Chandler nie był Peterem, przywykła z trudem do towarzystwa obcego mężczyzny, a już perspektywa wyjazdu z nim do innego miasta wydawała się zgoła niewyobrażalna. Paris wciąż wątpiła w słuszność swojej decyzji. Z drugiej strony zdawał się akcentować narzucone przez nią zasady, sam wystąpił z propozycją osobnych pokoi... Za swój zresztą zamierzała zapłacić sama, żeby nie mieć wobec niego niepotrzebnych zobowiązań.

Wystarczy, że udaje się do Los Angeles jego samolotem i pozwala mu zaprosić się na przyjęcie.

— Lecisz na niego, mamó? — zapytała z troską Meg.

— Nie, w żadnym razie. Nie flirtujemy ze sobą — wyjaśniła nieszczerze—tylko chodzimy tu i tam jak para przyjaciół.

— On też tak myśli?

— Nie wiem, co sobie myśli, ale dałam mu jasno do zrozumienia, że nie zamierzam z nim sypiać. Traktuję go jak dżentelmena, a jeśli się nim nie okaże, przenocuję u ciebie.

Meg rozśmieszyła naiwność matki.

— Lepiej zabierz ze sobą gaz paralizujący, na wypadek gdyby chciał się włamać do twojego pokoju.

— To nie w jego stylu. Taką mam przynajmniej nadzieję. Jeśli jednak się włamie, wezwę policję.

— Ale byłby ubaw — stwierdziła Meg ze śmiechem, a potem poinformowała matkę, że po raz pierwszy od zerwania z Peace'em znów się z kimś spotyka.

— Ma może jakieś normalne imię? — zapytała Paris z nadzieją.

Miał. Nazywał się Anthony Waterson i był kolejnym poznanym przez Meg na planie młodym aktorem. W tej chwili wiedziała o nim tylko tyle, że jest bardzo utalentowany.

— Ciężka sprawa z tymi facetami, prawda? — westchnęła Paris. Miała wrażenie, że kobieta przypomina ogrodniczkę w zapuszczonym ogrodzie, której czasem trudno odróżnić kwiat od chwastu, niekiedy popełnia więc błędy. — No to do zobaczenia w weekend.

Po rozmowie z Meg zadzwoniła jeszcze do Wima; nie było go w akademiku, nagrała więc na automatyczną sekretarkę wiadomość o swym wyjeździe, a potem położyła się do łóżka, dokonując w myślach przeglądu kreacji, w których mogłaby wystąpić na przyjęciu. W gruncie rzeczy nie miała żadnego wyboru — w grę wchodziła tylko biała jedwabna suknia,

którą Peter lubił, choć w Greenwich uchodziła za zbyt śmiałą. O nowych zakupach Paris mogła tylko pomarzyć, bo przywalona przez okrągły tydzień pracą nie znajdowała chwili ani na wypoczynek, ani rozmyślenia o Chandlerze Freemanie.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Kiedy w piątek o ósmej przyjechał po nią swoim ferrari, już czekała, gotowa do podróży, z jedną walizką i suknią wieczorową w pokrowcu. Włożyła na wyjazd czarny kostium i futerko. Chandler zaś miał na sobie ciemny garnitur. Oboje prezentowali się znakomicie. Godzinę później wchodzili już na pokład samolotu, smukłej komfortowej maszyny, w której załozce nie brakło nawet stewardesy. Zająwszy miejsce za sterami, Chandler stracił wszelkie zainteresowanie dla Paris i było tak do samego lądowania w Los Angeles.

Najwyraźniej traktował pilotaż bardzo serio. Paris wypiła filiżankę herbaty i przez cały niedługi lot czytała gazety. Widząc czekającą na płycie limuzynę, doszła do wniosku, że uwaga Meg o wkraczaniu w wielki świat była jak najbardziej trafna. Rzeczywistość zresztą, jak okazało się później, przeszła najśmielsze oczekiwania.

Chandler był w hotelu Bel-Air osobistością doskonale znaną, kłaniano mu się bowiem w pas i zdmuchiwno pyłki spod stóp, do pokoiów zaś powiódł ich osobiście wicedyrektor: Chandler zamieszkał „tam gdzie zawsze”, cokolwiek to mogło znaczyć, Paris natomiast w ogromnym, luksusowym i już opłaconym apartamencie. Jej protesty nie zdały się na nic, Chandler oświadczył, że chciał to zrobić, zrobił i basta.

Paris była zakłopotana; czuła, że rozpieszcza ją ponad wszelką miarę.

Lunch zjedli w hotelowej restauracji, przyglądając się łąbodziom pływającym po stawie, potem zaś Chandler zapytał Paris, czy skoro limuzyna jest przez cały czas do dyspozycji, nie miałyby ochoty zrobić małych zakupów na Rodeo Drive. Nieśmiało odparła, że tak.

— Ale nie musisz ze mną jechać. Chcę tylko poszperać trochę po sklepach; kiedy odwiedzam Meg, nigdy nie mam na to czasu — powiedziała. Teraz miała czas, i to sporo czasu, przyjęcie bowiem zaczynało się dopiero o siódmej, Paris zaś nie należała do kobiet, które przygotowują się całymi godzinami — brała tylko kąpiel, upinała włosy w kok, robiła sobie dyskretny makijaż, nakładała suknię i była gotowa. Trwało to bardzo krótko, a jednak zawsze prezentowała się nienagannie.

Postanowił z nią jednak jechać i nie miała nic przeciwko temu, bo szczerze polubiła jego towarzystwo. Wyszło przy okazji na jaw, że jest nie tylko sympatyczny i dowcipny, lecz również doświadczony w niełatwej sztuce eskortowania kobiety na zakupach. Znał najlepsze sklepy, czekał cierpliwie, gdy myszkowała po nich czy znikwała w przebieralni, a w drodze powrotnej do hotelu wprawił ją w osłupienie zapakowanym w firmowe pudło Chanel niespodziewanym prezentem, który kupił w czasie, kiedy Paris mierzyła jakieś przecenione swetry i bluzki. Podczas całej zresztą wyprawy zdecydowała się jedynie na czarne proste pantofle, uznając, że przydadzą się jej do pracy.

— Chandler, nie musiałeś tego robić — zaprotestowała, stuprocentowo pewna, że coś, co ma metkę Chanel, nie może być tanie.

— Wiem, że nie powinienem, ale lubię cię rozpieszczać, bo na to zasługujesz. Chcę, żebyś dobrze się bawiła w ten weekend, a mój skromny upominek zawsze ci go będzie przypominać.

Ostrożnie otworzyła pudełko i oszołomiona stwierdziła, że zawiera przepiękną torebkę z jaszczurczej skóry. Osobliwa rzecz, przechodząc zwróciła na nią uwagę, lecz nie odważyła się kupić, bo torebka kosztowała fortunę. Chandler najwyraźniej zauważył jej zachwyty.

— Dobry Boże, Chandler! — wykrzyknęła robiąc wielkie oczy. — Jest fantastyczna.

— Więc ci się podoba?

— I to jeszcze jak, ale naprawdę nie powinieneś — powtórzyła, delikatnie całując go w policzek. Wzburzył ją tym hojnym i jak sądziła, spontanicznym gestem; wiedziała, że zawsze będzie sobie cenić ten podarek i zawsze, mając go przed oczyma, pamiętać o Chandlerze.

Ten zaś zresztą zamierzał osiągnąć taki właśnie cel: torebka była dobrą inwestycją, prezent wywarł na Paris potężne wrażenie.

W hotelu zamówił masaż dla każdego z nich, a następnie zniknął w swoim apartamencie. Po masażu zrelaksowana Paris podelektowała się długą gorącą kąpielą, raz i drugi z zachwytem zerknęła na torebkę, a potem zadzwoniła do Meg i zrelacjonowała jej ostatnie wydarzenia.

— Uważaj na niego, mamó — z niepokojem ostrzegła Meg. — Skoro zafundował ci taki prezent, na pewno ma zamiar ostro się do ciebie przystawić.

Paris prychnęła śmiechem.

— Ja też miałam takie obawy, ale raczej nie sędzę. Jest bardzo kulturalny i powściągliwy.

— Tylko poczekaj do wieczora — grobowym głosem powiedziała Meg. Naprawdę niepokoiła się o matkę, Paris nie miała pojęcia, w co się ładuje. Facet miał gest, to fakt, ale Meg nie mogła się oprzeć wrażeniu, że coś kombinuje. Istniała wprawdzie pewna możliwość, że zakochał się w Paris po uszy i zrobił taki numer po raz pierwszy, wedle jednak znacznie większego prawdopodobieństwa był po prostu playboyem. Meg straciła pewność, czy jej matka jest nadal w stanie panować nad sytuacją.

Chandler zapukał do drzwi Paris za pięć siódma: w nienagannie skrojonym smokingu — który uszyto mu na miarę w Londynie — prezentował się lepiej niż wielu gwiazdorów filmowych. Paris zresztą też wyglądała szalowo w swej idealnie podkreślającej sylwetkę białej sukni wieczorowej. Umalowała się nieco mocniej niż zwykle, w kok wpięła szpile z kryształu górskiego, ozdobiła uszy brylantowymi kolczykami, wsunęła na stopy srebrne szpilki, na ramiona zaś narzuciła białą etolę z norek. Chandler z dumą wprowadzał ją do hotelu Beverly Hills, w całości wynajętego na ten wieczór przez Waltera Frye'a, jego „przyjaciela z branży muzycznej”, w istocie zaś — o czym Paris dowiedziała się wkrótce — człowieka właściwie trzęsącego tą branżą.

Może dwustu fotoreporterów wymierzyło w nich obiektywy aparatów, błysnęły flesze.

— Wyglądasz prześlicznie, Paris — szepnął Chandler, gdy majestatycznie sunęli środkiem szpaleru. Tuż przed nimi szła nominowana w czterech kategoriach Allison Jones, za nimi zaś — wielka zwyciężczyni zeszłorocznej edycji Grammy, Wanda Bird, dwie odkryte przez Waltera fenomenalne piosenkarki. Dwudziestodwuletnia Allison nosiła koronkową sukienkę tak skąpą, że nie trzeba było nadmiernie wyteżać wyobraźni, by się domyślić, jak jest zbudowana.

W sali kłębiło się osiemset osób — wszystkie grube ryby światka muzycznego, piosenkarze, producenci, najrozmaitsi menedżerowie i maklerzy, a oprócz tego horda uwijających się w tłumie fotoreporterów. Walter Frye, który królował w samym środku tej cizby, najwyraźniej ucieszył się na widok Chandlera, Paris zaś powitał ciepłym uśmiechem. Gdy po godzinie wszyscy zaproszeni przenieśli się z wolna do restauracji, Paris stwierdziła wcale tym niezaskoczona, że wyznaczono im miejsca przy stole Waltera: sama siedziała pomiędzy Chandlerem a Steviem Wonderem.

— Niesamowity wieczór — wyszeptała Chandlerowi do ucha.

— Odjazdowy, prawda?

— Odjazdowy. — Było to niedopowiedzenie stulecia.

Ledwie podano deser, przygasły światła i rozpoczął się trwający niemal trzy godziny koncert, w którym wystąpiła plejada gwiazd, w tym prawie wszyscy nominowani.

Publiczność szalała, kołysała się w rytm muzyki, wtórowała wykonawcom, Paris zaś była w siódmym niebie i ubolewała tylko, że na pewno nie znajdzie słów, by opisać to wszystko swoim dzieciom.

— Może wpadniemy jeszcze na drinka do baru? — zapytał Chandler, gdy grubo po pierwszej wrócili do hotelu.

— Z przyjemnością — odparła Paris, która pragnęła, aby ten cudowny wieczór trwał w nieskończoność. — Koncert był naprawdę rewelacyjny.

— Przypuszczałem, że ci się spodoba — stwierdził z zadowoleniem.

— Spodoba? Jestem zachwycona.

Przy szampanie, który zamówiła dla siebie Paris, i brandy, którą pił Chandler, przegadali jeszcze godzinę, a po zamknięciu baru pojechali na górę. Na pożegnanie Chandler pocałował ją w policzek i zaproponował, by zaprosiła na wspólny lunch Meg, o której wiele mu opowiadała i którą chyba naprawdę pragnął poznać. Paris nigdy nie miała do czynienia z człowiekiem tak wielkodusznym, serdecznym i hojnym. Nie wiedziała, jak mu się odwdziaczyć.

Śmiała się w słuchawkę, gdy rano zadzwoniła do Meg.

— Co cię tak rozbawiło? — zapytała z ziewnięciem Meg, przewracając się na bok. — Jezu, mam, jest dopiero wpół do dziesiątej.

— Wiem, ale chcę, żebyś zjadła z nami lunch. Musisz go poznać.

— Oświadczył się? — zapytała Meg z nutką paniki w głosie.

— Nie. I wcale się do mnie ostro nie przystawił.

— Dobrze się wczoraj bawiłaś?

— Fantastycznie — westchnęła na samo wspomnienie i zrelacjonowała córce przebieg wieczoru.

— No więc muszę go poznać — stwierdziła Meg.

— Jesteśmy umówieni w Spago o wpół do pierwszej.

— Już się nie mogę doczekać. Masz coś przeciwko temu, żebyś zabrała Anthony'ego?

— Wygląda przyzwoicie?

— Nie — wyznała uczciwie Meg — ale jest bardzo dobrze wychowany i nie rozprawia o lewatywach.

— To już coś — odetchnęła z ulgą Paris, a gdy spotkała się z Chandlerem przy śniadaniu, ostrzegła go, że Meg przyprowadzi swojego chłopaka.

— Świetnie, chętnie go poznam — odrzekł z entuzjazmem.

Wtedy zastrzegła się, że nie bierze odpowiedzialności za powierzchowność Anthony'ego, po czym podzieliła się z Chandlerem wrażeniami ze swego pamiętnego spotkania z Peace'em.

Ryknął śmiechem.

— Mój syn prowadził się z panienkami podobnego rodzaju, ale wreszcie poznał właściwą dziewczynę, normalną i konserwatywną. Pół roku później ją poślubił i teraz mają trójkę dzieci. No, prawie trójkę. Więc i dla nas nie wszystko jeszcze stracone. Do niedawna nie byłem po prostu takim szczęściarzem jak on — powiedział, a gdy nie zareagowała na jego

znaczący uśmiech i dopiero po chwili powtórzyła, że nie jest i pewnie nigdy nie będzie gotowa, dodał wyrozumiale:

— Wiem, wiem. Potrzebujesz czasu, kochanie. To, przez co przeszłaś niespełna rok temu, musiało pozostawić blizny. Ja leczyłem się z nich znacznie dłużej.

Paris zresztą wcale nie miała pewności, czy się do końca wyleczył. Kiedy mówił o ekszonie, jego głos brzmiał jadownicie.

— Ale nadal czuję się tak, jakby był moim mężem

— wyznała.

— Miałem podobne uczucie, przez wiele lat. Okaż cierpliwość wobec siebie samej, Paris, bierz przykład ze mnie. Niczego nie żądam i do niczego cię nie popycham.

Nie wierzyła własnemu szczęściu, że poznała kogoś takiego. Ucieleśniał najskrytsze marzenia każdej kobiety. Sądziła, że chce z nią być bez względu na wszelkie ograniczenia, jakie mu narzuca.

Byli w Spago punktualnie o wpół do pierwszej, Meg natomiast i jej chłopak pojawili się dwadzieścia minut później. O ile Meg wyglądała uroczo, o tyle Anthony — wręcz przeciwnie. Nosił wygniecione bawełniane spodnie, wygnieciony T-shirt, a jego włosy — choć Paris usiłowała tego nie dostrzegać — lepiły się z brudu i spadły na czoło jak poskręcane frytki. Miał wielkie kolczyki w uszach, a na ramieniu wytatuowanego węża.

Był jednak inteligentnym i urodziwym chłopcem, z Chandlerem zaś, którego najwyraźniej nie raziła jego powierzchowność, odbył zupełnie sensowną rozmowę na poważne tematy.

Paris nie potrafiła się zmusić, by wziąć w niej udział, jeśli bowiem Peace wydał się jej zaledwie ekscentryczny i trochę szurnięty, Anthony z mety wzbudził w niej niechęć. Był dęty, zonglował nazwiskami i zachowywał się tak, jakby robił Meg olbrzymią łaskę, obdarzając ją swoimi względami. Paris wciąż jeszcze gotowała się w duchu, kiedy w towarzystwie Meg wyszedł z restauracji, spiesząc na jakieś przesłuchanie.

— Oj, chyba ci nie przypadł do gustu — stwierdził Chandler, gdy zostali sami.

— To było widać?

— Tylko dla doświadczonego oka. Nie zapominaj, że jestem ojcem, znam ten ból. Czasem człowiek musi po prostu zacisnąć zęby i udawać ślepego. Pociesz się, że tacy jak on z reguły nie zagrzewają miejsca. To ambitny chłopak, wcześniej czy później przyklei się do kogoś, kto mu pomoże w karierze.

A Meg, pomyślała Paris, jest tylko skromną asystentką szefa produkcji. Oby nie złamał jej serca jakiś wysoko mierzący młody aktor.

— Wydał mi się nadęty, arogancki i tak zakochany w sobie, że aż dziw bierze, iż zniżył się do rozmowy z tobą.

— Ma zatem wszystko, czego wymaga się od aktora — zauważył żartobliwie Chandler. — Bystry chłopak, daleko zajdzie. Meg bardzo go kocha?

— Mam nadzieję, że nie. Poprzedni był dziwny. Ten jest okropny.

— Zobaczysz jeszcze niejednego, zanim się ustatkuje. Przeszedłem przez to. Był czas, kiedy traciłem rachunek kolejnych dziewczyn mojego syna, ilekroć jednak na widok którejś zaczynała ogarniać mnie panika, znikła jak sen.

— Moje dzieci też takie były, zwłaszcza Meg. Wim jest bardziej stały w uczuciach, a przynajmniej był przed pójściem do college'u. Łajam się za swoje matczyne obawy, ale nie chcę, żeby trafili w życiu źle.

— Nie trafiają, ale muszą się trochę wyszaleć, poeksperymentować. Stawiam dolary przeciw orzechom, że ten chłopak zniknie, zanim się połapiesz.

— Miejmy nadzieję — westchnęła Paris, a kiedy zbierali się do wyjścia, serdecznie podziękowała mu za lunch. Czowała, że w jakiś sposób narzucili mu swoje towarzystwo, on jednak sprawiał wrażenie szczerze zadowolonego. Był doprawdy ujmujący. Po południu zwiedzali galerie sztuki i muzea, a wieczorem zjedli kolację w L'Orangerie. Nie ustając w wysiłkach, by rozpieścić Paris jeszcze bardziej, Chandler zamówił dla niej kawior, później zaś, pod drzwiami pokoju, mocno i długo pocałował w usta, nie napotykając z jej strony żadnego oporu. Ale nie uczynił dalszych kroków i tylko popatrzył na nią z czułością i pewnego rodzaju żalem. Czesząc włosy przed lustrem, Paris zastanawiała się, co właściwie robi. Odpływała od Petera, to pewne, po raz pierwszy od dwudziestu sześciu lat pozwoliła się pocałować innemu mężczyźnie. I co gorsza, zasmakował jej ten pocałunek. Teraz niemal żałowała, że nie mają wspólnego pokoju. Ta myśl wprowadziła ją w bezsenność. Nie stało się jeszcze nic dramatycznego, ale czowała, że kontrola nad związkiem z Chandlerem wymyka się jej z rąk.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

W niedzielę, po solidnym śniadaniu zjedzonym w restauracji hotelowej, wrócili samolotem do San Francisco, a potem Chandler odwiózł Paris do domu. Jej magiczny weekend skończył się o wpół do trzeciej.

— Teraz naprawdę czuję się jak Kopciuszek — powiedziała do Chandlera, kiedy wnosił po schodach jej walizkę — który za chwilę zmieni się w kocmołucha.

— Nie zmieni się, a jeśli nawet tak, to znów go uprowadzę od macochy — odparł z uśmiechem. — Zadzwoń później.

Pocałował ją przed drzwiami, a Paris miała tylko nadzieję, że nikt tego nie widzi, choć jakież to mogło mieć znaczenie, skoro nie znała żadnego z sąsiadów i nikogo nie powinno obchodzić, co robi?

Zgodnie z przyrzeczeniem Chandler zadzwonił wieczorem.

— Tęsknię za tobą — powiedział, a Paris zatrzepotało serce. Odczuwała coś bardzo podobnego.

— A ja za tobą — szepnęła.

— Kiedy się zobaczymy? — zapytał niecierpliwie. — Może jutro?

— Do późna będę pracować z Bixem — odparła smętnie i tym razem zgodnie z prawdą. — Może we wtorek?

— Doskonale. Czy chciałabyś obejrzeć moje mieszkanie? Zrobię ci kolację.

— Nie musisz. Chyba że ci pomogę.

— Będę wniebowzięty.

W poniedziałek Bix przywitał ją miną surowego ojca i żądaniem raportu.

— No i jak było?

— Fantastycznie. Lepiej, niż się spodziewałam. Chandler to najprawdziwszy dżentelmen.

— Tego się właśnie obawiałem — stwierdził ponuro.

— Dlaczego? Wolałbyś, żeby mnie zgwałcił?

Bix uznał, że Paris jest w zatrważająco dobrym nastroju.

— Nie, ale prawdziwi mężczyźni nie są najprawdziwszymi dżentelmenami, tylko znużonymi, mrukliwymi facetami. Nie zabierają kobiet na zakupy, nie... A skoro o tym mowa, zabrał cię?

— Tak — odparła ze śmiechem. — I kupił mi torebkę Chanel.

— Coraz gorzej. Kiedy ostatni raz mężczyzna zabrał cię na zakupy i obdarował torebką Chanel? Na przykład Peter?

— Nigdy. Nienawidził zakupów. Wolałby kopać rowy melioracyjne, niż łączyć ze mną po sklepach.

— W tym właśnie rzecz. Ten facet jest za gładki, Paris. Przeraza mnie. Gdyby nie był zakłamanym, zdarłby z ciebie ciuchy. Prawdziwi faceci to kmioty. Nie wiedzą, jak się zachować, chyba że przeciwicyli wszystkie grepsy z mnóstwem kobiet.

— Nie sądzę, żeby był prawiczkiem.

— Miejmy nadzieję. Ale wygląda mi na playboya.

— Twierdzi, że nie spotkał dotąd odpowiedniej kobiety. Umawiał się z wieloma.

— Nie kupuję tego. Jest od metra porządnych kobiet, które oddałyby wszystko za przyzwoitego faceta. Znalazłby właściwą, gdyby tylko chciał.

— Może. Istnieje jednak powszechna opinia, że to wcale nie jest bułka z masłem.

— Dla takiego faceta jak on? Żartujesz? Ma ferrari, samolot, kasę. Myślisz, że ktoś taki może mieć problemy z usidleniem kobiety?

— Porządne kobiety niekoniecznie lecą na te wszystkie rzeczy. Jutro przyrządza dla mnie kolację.

— Zaczynasz przyprawiać mnie o mdłości — odparł z grymasem na twarzy Bix, rozpierając się w fotelu.

— Co jest złego w ugotowaniu kolacji dla kobiety?

— Peter ci gotował?

— Tylko w wyjątkowych okolicznościach. — Spowaźniała na moment. — Ale też porzucił mnie dla innej. Czy więc w końcu wyszło na to, że jest przyzwoitym człowiekiem? Niezbyt. Chandler jedzie na tym samym wózku co ja i myślę, że jest po prostu ostrożny. Podejrzliwość Bixa najwyraźniej zaczynała ją irytować.

— A ja myślę, że ma tylko pełne... mhm... ręce roboty. Chodziłem kiedyś z podobnym gościem. Rozpuszczał mnie jak dziadowski bicz, choć nie wiedziałem dlaczego. Zegarki, bransoletki, kaszmirowe marynarki, wycieczki. Czuję się jak w raj, dopóki nie odkryłem, że sypia z trzema innymi chłopakami i jest najbardziej rozpustnym sukinsynem, jakiego ziemia nosi. Nie miał duszy ani serca, kiedy się mną znudził, przestał nawet odbierać moje telefony. Myślałem, że świat się dla mnie skończył, zanim go nie rozgryzłem. Był graczem. Obawiam się, że podobnie stoją sprawy z Chandlerem. Aparat takiego samego pokroju, tylko że lubi kobiety. Spróbuj nie pójść z nim do łóżka zbyt szybko.

Skinęła głową zdumiona, jak wielka bliskość wytworzyła się pomiędzy nią a Bixym w tak krótkim czasie. Kochała Bixa: był bystry, rozsądny i opiekuńczy wobec niej. Ceniła to sobie, uważając zarazem, że jednak co do Chandlera jest w błędzie.

Zgodnie z przewidywaniami pracowali do późnego wieczora, ale nazajutrz wyszła z biura już o szóstej, Chandler natomiast przyjechał po nią o wpół do ósmej. Nie zorientowała się zrazu, że to on, z ferrari bowiem przesiadł się do starego bentleya. Jeździł nim, jak wyjaśnił, bardzo rzadko, ale nie miał serca sprzedać.

— Cudowny samochód — westchnęła Paris. Dopiero jednak mieszkanie Chandlera wzbudziło w niej szczerzy zachwyt: był to penthouse na Russian Hill z widokiem na wszystkie cztery strony świata i tarasem przyprawiającym o zawroty głowy. Efektowny wystrój — w którym dominował biały marmur, czarny granit i także skóra — sprawiał bardzo męskie wrażenie,

kuchnia zasługiwała właściwie na miano cudu techniki. Kolacja — ostrygi, homar i znakomite capellini z kawiozem — była już gotowa, bezzwłocznie więc zasiedli do jedzenia przy długim granitowym stole w kuchni. Chandler przygasił światła, zapalił świece, puścił muzykę i nalał do kieliszków wyborne białe bordeaux. Paris doszła do wniosku, że zapewne nie zdołałyby sama przygotować tak wykwintnego i smakowitego posiłku. Po kolacji zasiedli w salonie przed rozpalonym kominkiem i chwilę później zaczęli się całować. Paris знаła Chandlera od zaledwie trzech tygodni i oto, mimo wszelkich zastrzeżeń, mimo przestróg Bixa, czuła, że się w nim zakochuje. Nie potrafiła sobie nawet przypomnieć, dlaczego jeszcze niedawno uważała to za kiepski pomysł, czy też z jakiego powodu zaprzysięgała w duchu wieczną lojalność wobec Petera. Jakież miała znaczenie, skoro ożenił się z Rachel? Nic mu nie jestem winna, powtarzała sobie, czując na nodze powoli sunącą w górę dłoń Chandlera. Na chwilę przestał ją całować, odsunął się, przeciągle spojrzawszy jej w oczy, ona zaś stopniała w jego ramionach i... pewnie straciła poczucie czasu, bo nagle stwierdziła, że zupełnie nadzy leżą obok siebie w łóżku.

— Paris, pragnę tego, jeśli i ty pragniesz — powiedział z czułością.

— Tak, pragnę — szepnęła, on zaś pochylił nad nią głowę, odnalazł piersi, zaczął je pieścić. Stracili poczucie wszelkiej odrębności, utonęli w sobie, a Paris doświadczyła rozkoszy, o jakiej z Peterem mogła tylko marzyć. Potem spali przytuleni, rankiem zaś — co też z Peterem nie zdarzało się nigdy — kochali się znowu. Wstając z łóżka, Paris miała lekkie wyrzuty sumienia, gdy jednak usiadła do śniadania i zobaczyła przed sobą uśmiechniętą, pogodną twarz Chandlera, poczuła się znacznie lepiej. To nie był sen, lecz jawa.

Która przeszła wszelkie oczekiwania.

Odwiózł ją do domu na czas, by zdążyła przebrać się do pracy, potem, gdy była już w biurze, telefonicznie umówili się na lunch w ich ulubionej włoskiej knajpce z ogródkiem. Oczarowana przez Chandlera bez reszty, nie wspomniała Bixowi tym razem o niczym, bo cóż go to mogło obchodzić?

Noc spędzona z Chandlerem zmieniła wszystko, teraz to jemu winna była lojalność.

Połączył ich romans.

Podczas lunchu, bezgranicznie zakłopotana, zdołała jednak znaleźć w sobie dość odwagi, by wypłynąć na szerokie wody i zadać pytanie, które dręczyło ją od pewnego czasu:

— Czy nie... czy nie powinniśmy poddać się... testom na AIDS, zanim posuniemy się dalej?

Chandler używał wprawdzie prezerwatyw, ale wcale nie było powiedziane, że będzie ich używać zawsze, a zatem przeprowadzenie testów na obecność wirusa HIV wydało się sensownym pomysłem. Taka właśnie, przynajmniej zdaniem Meg, była w dzisiejszych czasach powszechnie obowiązująca praktyka.

— Nie musimy, dopóki stosujemy ochronę — odparł z uśmiechem, Paris zaś skinęła głową, rezygnując chwilowo z dalszego drażenia sprawy.

Tę noc znowu spędzili w jego mieszkaniu, a nazajutrz do biura zadzwoniła zaniepokojona Meg.

— Mamo, czy wszystko w porządku? — zapytała. — Wczoraj i przedwczoraj wydzwaniałam po nocy, ale nie było cię w domu. Pracowałam.

— Nie... ja... wychodziłam z Chandlerem.

— Doszło do czegoś?

— Nie, oczywiście że nie. Nic się nie stało, kochanie, po prostu rozmawialiśmy sobie do późna.

— No, uważaj. I nie skapituluj zbyt szybko.

Niemal słowo w słowo powtórzyła przestrożę Bixa, a Paris, chociaż podziękowała jej za troskę, pomyślała tylko: „Biedny Chandler, jest dla mnie taki dobry, a mimo to wszyscy traktują go podejrzliwie.” Była z nim szczęśliwa, chciała nawet podzielić się swoim szczęściem z Annę, ale zapracowana przez cały tydzień, jakoś nie zebrała się, by do niej zadzwonić, ba, przez weekend nie miała nawet czasu dla Chandlera, w sobotę bowiem urządzali dwa wesela, z których jedno trwało do wpół do trzeciej, drugie zaś — do czwartej, a skoro wesela były imprezami znacznie bardziej skomplikowanymi niż zwykłe przyjęcia okolicznościowe i mogło w ich trakcie nastąpić mnóstwo obsuwek, czuwali nad ich przebiegiem do samiułkiego końca, nawet jeśli w ostatnich godzinach ślaniali się na nogach ze zmęczenia. Tak więc umówiła się z Chandlerem dopiero na niedzielny wieczór; zaprosiła go na kolację, gdyż chciała, aby poznał Wima. Wim jednak, bardzo tego dnia zajęty, nie mógł się zjawić wieczorem u matki. Do stołu zasiedli zatem we dwoje. Po kolacji — znacznie mniej wykwintnej niż u Chandlera, złożonej z pasty, sałaty i niezłego wina poszli do łóżka, nieco później zaś Chandler wrócił do siebie, bo nazajutrz z rana miał jakieś ważne spotkanie.

Przez trzy tygodnie żyli we własnym przytulnym świecie. Paris spędzała z Chandlerem każdą wolną chwilę, przy czym bywała u niego znacznie częściej niż on u niej. Miała wrażenie, iż przeniosła się w krainę bajki, odnajdując w niej uważającego, dobrego, opiekuńczego i dowcipnego księcia. Chociaż Chandler przez cały czas pilnie stosował ochronę, Paris wróciła pewnego razu do kwestii testów, gdy zaś znowu zbył ją zapewnieniem, że są bezpieczni, zaniepokojona czymś jeszcze tego samego wieczoru podjęła temat ponownie.

— Gdybyśmy zrobili te badania, nie musiałbyś niczego używać — powiedziała ostrożnie.

— A ja tam wolę dmuchać na zimne. To jeszcze nikomu nie zaszkodziło — odrzekł z przekonaniem, gdy po powrocie z łazienki mościł się w łóżku przy Paris. Był w doskonałej formie, miał świetne ciało i opanowaną do perfekcji sztukę miłosną.

Wtedy, przekonana wprawdzie, że zna odpowiedź, zadała mu pytanie, które zrodziło się w jej umyśle kilka minut wcześniej.

— Ale nie sypiasz z nikim innym, prawda? To znaczy ostatnio, odkąd ze sobą jesteście? Spojrzał na Paris z uśmiechem i musnął palcem jej sutek.

— To pytanie o dużym ciężarze gatunkowym — stwierdził.

— Zakładam jednak, że odpowiedź na nie jest prosta — szepnęła. — Zakładam, że układ pomiędzy nami opiera się na wyłączności.

Zapożyczyła ten termin od Meg.

— Wyłączność to słowo, które ma również wielki ciężar gatunkowy — odparł, a potem wyciągnął się na wznak i wlepił oczy w sufit.

— Co to znaczy? — spytała Paris czując, jak ściska ją w żołądku.

— Nie spałem z nikim, odkąd z tobą jestem — odrzekł zerkając w jej stronę. Ona ani na sekundę nie spuszczała z niego wzroku. — Ale to się może zdarzyć. Za wcześniej jeszcze, żebyśmy składali sobie jakiegokolwiek wiążące deklaracje.

— Nie oczekuję deklaracji, chcę tylko, by podstawą naszego związku była wyłączność czy też monogamia, jeśli wolisz to określenie.

— Dopóki używam prezerwatyw, nie ma żadnego problemu. Nie zamierzam narażać cię na ryzyko, Paris.

— Ale nie zamierzasz również być monogamiczny?

— Tego nie mogę obiecać, bo nie chcę cię okłamywać. Jesteśmy dorośli, mogą się nam przydarzyć najrozmaitsze rzeczy.

— Zatem rezerwujesz sobie prawo romansowania z innymi kobietami? — nieomal wykrzyknęła bezgranicznie oszołomiona Paris.

— Akurat na to nie zostawiasz mi zbyt wiele czasu — stwierdził pogodnie, choć oboje zdawali sobie sprawę, że zastosował w tym momencie unik. Wiele bowiem podróżował, Paris natomiast często pracowała od świtu do nocy. — Nigdy zresztą nie dałaś do zrozumienia, że to dla ciebie istotny problem — dodał z lekką irytacją.

— Nie sądziłam, że muszę. Zakładałam, że mamy wspólny system wartości, mówiłeś, że nasz związek jest szczególny, inny.

— Jest szczególny, ale nie pozwolę wziąć się na smycz. Nie jesteśmy małżeństwem, oboje zresztą wiemy, jak to mało znaczy.

— Ja nie wiem — powiedziała żałośnie. — Zawsze dochowywałam wierności mężowi, a i on był mi wierny przez dwadzieścia lat z górą. To zresztą nie ma nic do rzeczy, bo... bo nie chcę dzielić się tobą z nikim.

— Nie stanowią twojej własności — odparował gniewnie.

— Wcale nie jestem pewna, czy chcę, żebyś ją stanowił. Wiem natomiast, że chcę, byś sypiając ze mną — obojętne, jak długo będziemy ze sobą sypiać — nie sypiał z nikim innym.

— Podobne samoograniczenie byłoby w naszym związku przedwczesne, Paris. Jesteśmy dorośli, jesteście wolni. Może poznasz kogoś, z kim miałabyś ochotę pójść do łóżka.

— Nie, dopóki jestem z tobą, a jeśli coś podobnego nastąpi, ty dowiesz się pierwszy. Siedziała w tej chwili na łóżku wyprostowana, jakby kij połknęła.

— Bardzo to szlachetne z twojej strony — odrzekł — ale nie zamierzam składać podobnej deklaracji. Przydarzają się nam rzeczy, których wcale nie planujemy.

— A powiedziałbyś mi później?

— Niekoniecznie. Po sześciu tygodniach nie jestem do tego zobowiązany. Może po sześciu miesiącach, ale to zależy od tego, jak się nam ułoży. Nie wybiegajmy jednak w przyszłość tak daleko.

— Istnieje jakiś kodeks postępowania w takich sprawach? Bo jeśli istnieje, to chcę go zobaczyć. Jakaś agenda określająca, co teraz, co za sześć tygodni, trzy miesiące, pół roku, rok? Kto ustanawia te zasady?

— Wszystko zależy od ustaleń pomiędzy dwojgiem ludzi — odrzekł ze spokojem, nie mając zamiaru ulegać jakimkolwiek naciskom. Zły był, że Paris w ogóle podjęła próbę przyparcia go do muru.

— A jakie obowiązują pomiędzy nami? — zapytała Paris, patrząc mu prosto w oczy.

— Chwilowo żadne. Dobrze się bawimy, ot i wszystko. Czy potrzebujemy czegoś więcej? Paris wstała z łóżka i spojrzała na niego przez ramię.

— Ja potrzebuję o wiele więcej. Chcę wiedzieć, że przynajmniej w tej chwili jestem jedyną kobietą w twoim życiu i łóżku.

— To nierozsądne — zaprotestował.

— Moim zdaniem przeciwnie. Kreślisz przygnębiający obraz ludzkiego życia. Bo w życiu liczą się uczciwość, miłość i oddanie, nie zaś wyłącznie zabawa i seks.

— Czy dobrze się ze mną bawisz? — zapytał. Wsparty na łokciu, obserwował ubierającą się Paris.

— Tak, ale na zabawie świat się nie kończy.

— Więc daj nam szansę, aby dotrzeć dalej. Na razie jest zbyt wcześnie, żeby o tym mówić. Paris, nie psuj wszystkiego.

— To ty właśnie wszystko zepsułeś — stwierdziła, licząc mu na plus tylko szczerość.

— Jeśli przestaniesz naciskać, może dokądś wspólnie zawędrujemy. Tylko błagam, nic na siłę.

— I podczas tego „wspólnego wędrowania” chcesz sypiać z innymi?

— Może z nikim się nie prześpię. Dotąd się nie przespałem. Ale tak, to możliwe.

— Nie chcę się tym zamartwiać, a wiem, że będę. Zawsze. Teraz, gdy już wyłożyłeś karty na stół, zwątpiłam, czy kiedykolwiek będę mogła ci zaufać. Bo jak? Teoretycznie broń jest obosieczna, ale tylko teoretycznie, bo ty nie musiałbyś wcale się zastanawiać, co robię i z kim. Na tym polega różnica.

— Ależ mogłabyś robić, co tylko zechcesz, zasady są jednakowe dla wszystkich.

— Jakie zasady? Każdy sobie rzepkę skrobie, każdy skacze z kwiatka na kwiatek? To żalosne, smutne. Chcę czegoś więcej. Chcę miłości i uczciwości pomiędzy dwojgiem ludzi.

— Nigdy nie okłamałem cię i nie okłamię.

— Fakt — przyznała — ale przemilczysz. Może się mylę? — A kiedy nie doczekała się odpowiedzi, prześwidrowała go wzrokiem. — Jeśli kiedykolwiek zmienisz system wartości, zadzwoni. Było cudownie, ale przestałoby być z pierwszą twoją zdradą. Jestem bardzo staroświecką osobą.

— Po prostu chcesz wyjść za mąż i wziąć mnie pod pantofel — stwierdził cynicznie. — A nie będąc mężatką, chcesz przynajmniej udawać, że nią jesteś. Otóż pamiętaj, że nie jesteś i że z tym też mogłoby ci być dobrze... pod warunkiem że zrezygnujesz z prób brania mnie pod pantofel. To po prostu nie wchodzi w rachubę.

— Było dobrze... przez moment... dopóki wszystkiego nie popsułeś.

— Tracisz czas — powiedział poirytowany. Podniósł się z łóżka i stanął przed nią nago. — Dzisiaj już się nie gra wedle tych reguł, odeszły razem ze średniowieczem.

— Może — szepnęła. — Ale jeśli tak, to idę z nimi. Dzięki za wszystko.

Wyszła z sypialni, zamknęła za sobą drzwi, w holu zaś stała może minutę, zanim wezwała windę: w głębi ducha hołubiła nadzieję, że zaraz pojawi się Chandler i zacznie błagać, by wróciła, choć w gruncie rzeczy miała zupełną pewność, że nic takiego nie nastąpi. Lekcja była bolesna, lecz w jej rezultacie Paris pojęła ponad wszelką wątpliwość, że ani prawa rządzące współczesną sztuką romansu, ani ich głosiciel Chandler Freeman nie są dla niej.

Bixby miał rację.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Paris przestała się spotykać z Chandlerem w trzecim tygodniu marca, ale Bix zagadnął ją o to dopiero dwa tygodnie później. Czuł, że coś wisi w powietrzu, Paris bowiem najpierw była dziwnie zgaszona przez kilka dni, a potem bez opamiętania rzuciła się w wir pracy.

- Czy może coś przegapiłem? — zapytał pewnego razu, gdy zasiedzieli się do późna, opracowując plany uroczystości weselnej. — Mam dziwne wrażenie, że Chandler przestał dzwonić. Mylę się?

Wahała się przez chwilę, a potem skinęła głową.

— Nie mylisz się. Przestał.

— Mała sprzeczka czy też zdruzżyły ci się kawior i ferrari? Uśmiechnęła się lekko; przez pierwszy tydzień było fajnie, teraz zaczęło się trochę poprawiać, najgorsze jednak było to, że nie tylko pozwoliła się zranić, lecz również wyszła na idiotkę. Mogła tego uniknąć, ale nie uniknęła. Chandler nie zadzwonił, rozwiął się jak dym. Dostała bolesną nauczkę. A mimo to, stwierdziła ze wstydem i niechęcią, tęskniła za nim, za jego cudowną bliskością, za fantastycznym seksem. Po raz pierwszy od roku czuła się kobietą, nie zaś rozbitkiem. W tym sensie Chandler wyświadczył jej przysługę, w innym — zubożył ją o jakąś ważną część. Gorzej, dała mu tę część siebie z własnej woli.

— Nie zagrało. Popeliłam błąd — stwierdziła, a potem, po chwili wahania, opowiedziała Bixowi wszystko.

— Gnojek. Zachował się parszywie.

— Tak sądzisz? — zapytała zaintrygowana. Bix był co prawda od niej młodszy o osiem lat, jednakże daleko bardziej doświadczony, ufała więc jego sądom. Sama czuła się niczym przybysz z innego świata rzucony na ten za sprawą jakiegoś kaprysu fortuny. Pod wieloma względami tak właśnie było.

— Parszywie i wrednie — potwierdził Bix. — Chrzanił jak najęty. Chociaż egzemplarzy jego pokroju, parszywców, którzy grają wedle parszywych reguł, jest od metra, kobiet i mężczyzn. To nie jest warunkowane przez płęć. Wyglądałaś się tym gadaniem o wyłączności. Przyzwoici ludzie nie śpią z kilkoma partnerami czy partnerkami naraz. Ja nie śpiałem, Steven nie śpiał. Ale chodziłem z takimi jak Chandler, wciąż są w kursie, pieprząc się z kim popadnie. I co z tego mają? Nie są kochani i na ogół niezdolni do miłości. Nie potrafią kochać nawet samych siebie.

— Zawsze odnoszę wrażenie, że wszyscy dokoła podróżują z atlasem w rękę i tylko ja błędzę na oślep. Chandler wierzył w to, co mówił, a mówił przekonująco. Problem tylko w tym, że nie zdołał przekonać mnie. Znienawidziłabym samą siebie, gdybym zaczęła tak żyć. Nauczyłam się jednego: nigdy więcej nie pójdę do łóżka z kimś, kto mnie nie kocha. Chandler? Cóż, wierzyłam, że albo już mnie kocha, albo przynajmniej się zakochuje. Tak jak ja w nim. Teraz zresztą nie sądzę, że to była miłość, raczej pociąg fizyczny. I patrz, co z tego wszystkiego mam.

— Cholernie elegancką torebkę — przypomniał. Roześmiała się.

— Tak, torebkę. Interes stulecia: przyzwoitość za torebkę.

— Nie przehandlowałaś swojej przyzwoitości, bo nie miałaś pojęcia, co jest grane.

— Sądziłam, że mam. Przyjęłam takie założenie i to był mój błąd.

— Cóż, przynajmniej go nie powtórzysz. Poza tym przełamałaś pierwsze lody i straciłaś dziewictwo. Teraz możesz wyruszyć na poszukiwanie porządnego faceta.

— Ile ropuch będę musiała przy okazji pocałować? — zapytała z obawą, wątpiąc w swój dar prawidłowego oceniania innych.

— Kilka. Jak my wszyscy. Jeśli ci wyskoczą brodawki na wargach, to każesz je sobie wypalić.

— Nie wiem, czy znajdę w sobie dość odwagi, żeby ciągnąć to długo. Czasem boli.

— Jasne, i dołuje człowieka jak sto diabłów. Umawianie się to jedno wielkie szambo.

— Dzięki ci, Peter — powiedziała z goryczą. — Nie do wiary, że mnie na to skazał. — Bix skinął głową. Taki właśnie był układ: jeden balował z nowym kochaniem, drugi, ciśnięty do lochu, musiał dawać sobie radę z kłębowskiem węży. — Powinnam go nienawidzić, ale

wciąż nie jestem pewna, czy znienawidziłam albo znienawidzę w przyszłości. Mam tylko nadzieję, że nie będę za nim tęsknić do końca życia. Bo jak dotąd tęsknię każdego cholernego dnia. Nie do wiary, że w moim wieku muszę biegać na randki jak byle durna małolata. To przecież niesmaczne, prawda? I żalosne.

— Wcale nie jest żalosne, tylko normalne. Jeśli nawet związek trwa i kwitnie, ktoś umiera wcześniej czy później, a ten drugi zostaje sam. Możemy się na to burzyć, ale takie jest życie.

— Na przykład Steven — rzekła Paris z zadumą. — Ale jemu dopisało szczęście. — Popatrzyła na Bixa mając wrażenie, że jest jej przyjacielem od zawsze, nie zaś od ledwie paru miesięcy. — Znalazł ciebie.

— Tylko że szczęście nigdy nie jest całkowite — stwierdził wieloznaczenie, wzbudzając niepokój Paris. Może posprzeczała się, pomyślała.

— Czy coś się stało? — spytała przejęta.

— Może się stać, w przyszłości.

— Co to znaczy?

— To znaczy, że w takich sytuacjach nie wychodzi się bez szwanku. Partner Stevena umarł na AIDS i Steven jest seropozytywny. Może choroba nie zaatakuje go jeszcze przez wiele lat, może nigdy nie zaatakuje z pełną mocą, równie dobrze jednak może zaatakować w każdej chwili. Od początku wiedziałem, na co się piszę, ale uznałem, że gra, obojętne jak długo potrwa, jest warta świeczki. I była, nie żałuję żadnej minuty, którąśmy razem spędzili. Tylko tak strasznie pragnę, żeby żył wiecznie — powiedział ze łzami w oczach i przywarł do również zapłakanej Paris, która podeszła, żeby go przytulić. — Tak go strasznie kocham. Jest wspaniałym człowiekiem.

— Ty też — szepnęła przez ściśnięte gardło. Los naprawdę nie był sprawiedliwy.

— Wiesz, gdyby pociągały mnie kobiety, choć dzięki Bogu nie pociągają, bo dość mam problemów z facetami... no więc w takim wypadku mój wybór w pierwszej kolejności padłby na ciebie.

— Mam to traktować jako oświadczyzny? — zapytała kokieteryjnie, uśmiechając się przez łzy.

— Bez dwóch zdań... ale żadnej wyłączności... Wybacz, nadal muszę sypiać z chłopcami... i nie powiedziałbym ci tego w innych okolicznościach... No więc zdecydowanie możesz przyjąć, że nie jesteśmy monogamiczni. I jak?

— Gdzie mam złożyć podpis?

Roześmiali się, a Bix pokiwał głową. Lubił rozmawiać z Paris, traktował ją po trosze jak siostrę.

— Uprzedzałem cię, że Chandler to hultaj.

— A ja wiedziałam, że mi to przypomnisz. Cóż, miał, jak to określasz, gadane, powtarzał, że serduszko piknęło mu po raz pierwszy od czterdziestu lat... Właściwie po co mi to mówił?

— Żeby ci zamydlić oczy. Tacy faceci powiedzą wszystko, byle tylko dopiąć celu. Na porządnym człowieku poznasz się od razu. Chandler taki nie jest.

Po powrocie do domu Paris zadzwoniła do Meg, by stwierdzić ze smutkiem, że córka zalewa się łzami.

— Coś się stało? — zapytała. — Pokłóciłaś się z Anthonym?

— Chyba można to tak nazwać. Odkryłam, że spotyka się z inną dziewczyną. Właściwie nie z dziewczyną, tylko z kobietą. Jakaś wielką producentką... sypia z nią od tygodni.

A więc ambicja wzięła w nim górę nad rzeczywistością, pomyślała Paris. Kolejny gnojek. Tym razem jednak nie była zaskoczona. Meg zresztą też. Nie miała złudzeń co do Anthony'ego, liczyła tylko, że pochodzą ze sobą jakiś czas. Pozostał na tapecie mniej więcej tak długo jak Chandler

— półtora miesiąca.

— Przykro mi, kochanie. Chandler również zniknął z horyzontu — powiedziała, a potem, tknięta nagłą myślą, spytała:

— Może wpadłabyś do mnie na weekend?

Meble dotarły miesiąc temu i wynajęty budynek stał się wreszcie domem.

— Co się stało z Chandlerem?—zapytała Meg wycierając nos.

— W gruncie rzeczy to samo. Nie spytałam, czy mogę liczyć na wyłączność, bo nie przyszło mi do głowy, żeby spytać.

— Przekonałam się już w college'u, że trzeba pytać zawsze.

— Więc dlaczego nigdy mi nie powiedziałaś?

— Bo nie musiałaś wiedzieć. Teraz musisz. Więc następnym razem pytaj. A jak powiedzą „nie”, natychmiast zwijaj żagle. Właściwie rób z tego warunek wstępny.

— Wynegocjujesz w moim imieniu kolejny kontrakt?

— zażartowała Paris.

— Jasne — zgodziła się Meg, a potem ciężko westchnęła.

— Beznadziejna sprawa. Ciekawe, czy kiedykolwiek trafię na porządnego chłopaka. W tych stronach chyba nie.

Ogarniała ją rezygnacja, chociaż miała zaledwie dwadzieścia cztery lata; źle to wróżyło Paris, która w maju kończyła czterdzieści siedem.

— Tu sytuacja nie wygląda o wiele lepiej.

— Nigdzie nie wygląda. Moje kumpelki z Nowego Jorku poznają takich samych facetów: podrywaczy, kłamców, zaprzysięgłych starych kawalerów. A jak już który jest naprawdę w porządku, to okazuje się gejem. Nie, daję sobie spokój.

— Za wcześnie. Mnie może nie trafi się ten właściwy, ale tobie na pewno. Sobą się zresztą nie martwię, jestem już za stara.

— I głupia jak but, mamó. Jesteś młoda i fantastycznie wyglądasz. Może przyjadę do ciebie na weekend. Jestem w dołku.

— Ja też. Posiedzimy w łóżku, zjemy tonę lodów, pooglądamy telewizję.

— Kusząca perspektywa.

W piątek wieczorem Paris odebrała córkę z lotniska, a ponieważ miała wolny weekend, natychmiast przystąpiły do realizacji planu: włożyły do łóżka i zaczęły oglądać w telewizji stare filmy. Nie wstawały, nie cesały się, nie malowały i było im z tym dobrze. Kiedy w niedzielę na lunch przyszedł Wim

— szczęśliwie bez żadnych kolegów — wyglądały jak dwie czarownice.

— Chore jesteście czy co? —zapytał, a potem krytycznym spojrzeniem omiótł siostrę. — Wyglądasz jak sto nieszczęść.

— Wiem — odparła uśmiechając się szeroko.

— Urządziłyśmy sobie dni higieny zdrowia psychicznego

— wyjaśniła Paris.

— Czyli?

— Oglądałyśmy stare filmy, płakały i wyrzekały na facetów. Mój chłopak puścił mnie w trąbę — uściśliła Meg.

— Kanał — stwierdził współczującym tonem.

— A co u ciebie? — zapytała Meg, kiedy Paris przyniosła im po kubku zupy. — Przygadałeś sobie jakąś ładną laseczkę?

— Tuziny — odparł z dumą. — Zrobiliśmy w akademiku zawody, kto poderwie najwięcej panienek. Zaliczyłem dwanaście w dwa tygodnie.

Na twarzy Meg pojawił się wyraz bezgranicznego obrzydzenia.

— Świnia jesteś. W życiu nie słyszałam czegoś równie wstrętnego. Chryste, świat roi się od gnojków, a tu jeszcze hodujemy następnego na własnej piersi. Wydorosłej, człowieku.

— Czego po mnie oczekujesz? Że się chajtnę na pierwszym roku? Jestem jeszcze dzieckiem — oświadczył z miną niewiniątka.

— No więc, na rany boskie, bądź przynajmniej przyzwoitym dzieckiem. Miłym facetem, który traktuje kobiety uprzejmie i z szacunkiem. Świat potrzebuje miłych facetów.

— Jeszcze nie chcę być miłym facetem. Najpierw chcę się zabawić.

— Byle nie cudzym kosztem, Wim — ostrzegła go Paris. — Ludzie winni traktować się nawzajem uczciwie.

— Wiem, wiem, ale trudno być odpowiedzialnym na dłuższą metę, czasem człowiek musi poświrować.

— Trudno, ale można — upierała się Meg. — Zacznij od zaraz. Masz prawie dziewiętnaście lat. Na przyzwoitość nigdy nie jest za wcześnie ani za późno. Liczę na ciebie, Wim.

— Naprawdę muszę? — zapytał z rezygnacją, dopijając zupę. Matka i siostra zachowywały się jakoś dziwnie.

— Tak, musisz — powiedziała Paris. — Bo w przeciwnym razie możesz pewnego dnia sprawić komuś wielki ból.

Wim nie zorientował się, że mówiąc to, miała na myśli Petera, Meg jednak zrozumiała znakomicie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Po zerwaniu z Chandlerem Paris nawet nie myślała o mężczyznach, maj bowiem przyniósł do rozwiązania tysiące problemów stwarzanych przez siedem wesel, które mieli zaplanowane na czerwiec. Gdy nadeszły jej urodziny, późnym popołudniem przyleciała Meg, by nazajutrz o szóstej rano wrócić do San Francisco. Paris była szczerze wzruszona. W biurze natomiast Bix obdarował ją tortem i prześlicznym kaszmirowym szalem, który — jak stwierdził — będzie genialnym dodatkiem do czarnej sukni. Dwa dni później natomiast to Paris pojechała do Berkeley, by wspólnie z Wimem uczcić jego urodziny.

Kiepsko zniosła rocznicę rozstania z Peterem: obudziła się w ponurym nastroju, natychmiast przypomniała sobie, co to za dzień, w biurze była tak poważna i przygaszona, że Bix zapytał w końcu, co jej dolega. Powiedziała mu prawdę. Po powrocie do domu padła na łóżko i zanosła się płaczem. W ciągu minionego roku spotkało ją wiele dobrych rzeczy, gdyby jednak ktoś zapytał, czego tak naprawdę pragnie, odparłaby bez wahania, że odzyskać Petera. Nie czyniłaby mu żadnych wyrzutów. Jej życie zmieniło się na zawsze, za niejedną z tych zmian — przeprowadzkę do San Francisco, nowy dom, zbawienną pracę, przyjaźń Bixa — mogła tylko dziękować Opatrzności, wciąż jednak niezmiernie tęskniła za Peterem i utwierdzała się w przekonaniu, że zawsze będzie tęsknić. Musiała się z tym pogodzić. Przestała liczyć, że ktokolwiek wypełni powstałą po nim pustkę. Dopiero sen przyniósł jej ulgę.

Kilka dni później zadzwoniła do niej Sydney Harrington, miała pewien pomysł. Otóż niebawem przyjeżdża do miasta jej stary przyjaciel, urządza na jego cześć niewielkie przyjęcie, ale jeszcze przedtem chce go poznać z Paris. Mieszka w Santa Fe, jest artystą, a konkretnie rzeźbiarzem pracującym w glinie. Poza tym zaś uroczym człowiekiem, więc chociażby z tego powodu warto by zawrzeć z nim znajomość.

Paris długo przysłuchiwała się dość obojętnie, wobec jednak niekończącej się litanii ochów i achów Sydney, a także wdzięczności, jaką była jej winna za pomoc w zdobyciu pracy, wyraziła wreszcie zgodę. Poza tym uważała Sydney za kobietę inteligentną, rozsądną, trzeźwą i obdarzoną dobrym gustem, tak więc jej przyjaciel nie mógł być — wnioskowała — kimś zupełnie fatalnym.

Bix prychnął śmiechem i przewrócił oczyma, gdy wspomniała mu o tym po południu.

— Wiesz o czymś, czego ja nie wiem? — zapytała z obawą.

— Nie, ale wiem, co myślę o randkach w ciemno—odparł.

— Podczas jednej z moich ulubionych spotkań się z osiemdziesięciodwulatkiem, którego na lunch przyprowadziła pielęgniarka. Kumpel, który nas umówił, miał koncepcję, że na powrót tchnę w niego iskierkę życia. Może bym i tchnął, ale starowina tylko siedział śliniąc się na obrus, bo nawet z mówieniem miał kłopoty. Wychodziłem z knajpy ze łzami w oczach, miałem wtedy dwadzieścia sześć lat. Ale bywało gorzej.

— Nie poprawiasz mi samopoczucia — stwierdziła z rozdrażnieniem Paris. — Nie mogłam się wymigać, bo Sydney ostro przyparła mnie do muru. To jej stary dobry przyjaciel.

— Bywamy ślepi na ułomności naszych przyjaciół — zauważył sentencjonalnie Bix. — Gdzie ten facet mieszka?

— W Santa Fe. Jest artystą.

— Daj sobie spokój. Geograficznie nie do przyjęcia. Co ci po chłopie, nawet wspaniałym, który mieszka tam, gdzie diabeł mówi dobranoc?

— Jak ja się w to wszystko władowałam? — jęknęła Paris.

— Trzy miesiące temu klęłam się na wszystkie świętości, że żadnych randek, a teraz wydaję się na łup wędrownym artystom i czort wie, komu jeszcze. Co mam właściwie robić?

— Idź z tym facetem na lunch, żeby uszczęśliwić Sydney. Niech nacieszy się życiem, zanim w czerwcu wykończymy ją tymi wszystkimi weselami.

Zapewniała bowiem catering pięciu z nich, dobrze na tym zresztą zarabiając.

Kiedy nadszedł dzień randki w ciemno, Paris była zmęczona i w paskudnym humorze.

Krótkie spięcie suszarki do włosów omal nie skończyło się pożarem domu, jej samochód nawalił w połowie drogi do biura, czekała godzinę na pomoc drogową i zaczynała ją brać przeziębienie.

— Może zamiast iść na lunch, popełnię po prostu samobójstwo? — zasugerowała w rozmowie z Bixem.

— Nie. Obiecałaś Sydney. Bądź grzeczną dziewczynką.

— Idź sam i podaj się za mnie.

— Niezły pomysł, ale skoro nawarzyłaś sobie piwa, to je wypij sama.

Umówili się w oddalonej o zaledwie cztery przecznice meksykańskiej restauracji, chociaż Paris nie przepadała za meksykańską kuchnią. Gdy dotarła na miejsce, Sydney czekała już przy stoliku, jej przyjaciel parkował samochód. Pewnie w innym powiecie, bo minęło pół

godziny, nim się zjawił. Ubrany w kowbojski kapelusz i indiańskie ponczo, sprawiał wrażenie podchmielonego, bo wyraźnie się zataczał.

— Ma problemy z błędnikiem i zachwianą równowagą — pospieszyła z wyjaśnieniem Sydney — ale to naprawdę wspomniały facet.

Paris uśmiechnęła się anemicznie do artysty, ów zaś po chwili wahania odwzajemnił uśmiech, zdjął kapelusz i położył na krześle, przy czym Paris nie mogła przegapić, że ma pod paznokciami co najmniej dziesięcioletnie złogi gliny. Poza tym jednak trudno było zaprzeczyć, że jest mężczyzną o interesującej powierzchowności, wyglądał bowiem na autentycznego rdzennego Amerykanina. Zagadnięty o to przez Paris, żarliwie zaprzeczył, dodając, że nienawidzi Indian, którzy są przekleństwem Santa Fe.

— Jedna cholerna banda pijaków—oświadczył, a następnie bagatelizując fakt, że Paris się wzdrygnęła, wygłosił dłuższą tyradę przeciwko czarnym, żółtym, zielonym i fioletowym. Nawet nie drgnęła mu powieka, gdy za chwilę zmieszał z błotem meksykańskiego kelnera, który to usłyszał i posłał w ich stronę złe spojrzenie. Paris była pewna, że napluje im do talerzy. W swoim rasistowskim zacietrzewieniu artysta jakimś cudem zapomniał o Żydach.

— Wiem od Sydney, że jesteś rzeźbiarzem — zakwiliła z przymusem, usiłując nie myśleć o kelnerze i jedzeniu. Musiała w końcu jakoś przetrwać ten koszmar, który w okamgnieniu pozbawił ją wysokiego mniemania o rozsądku Sydney.

— Ano jestem, przywiozłem nawet trochę zdjęć swoich prac — odrzekł z dumą. Nazywał się William Weinstein, co tłumaczyło poniekąd jego tolerancję wobec Żydów, urodził się na Brooklynie, a do Santa Fe przeprowadził dziesięć lat temu. Wyciągnął z kieszeni kopertę pełną zdjęć, wybrał kilka i wręczył je Paris. Przedstawiła ulepione z gliny dziesięciostopowe fallusy. Facet cierpiał na umysłowy priapizm.

— Interesujące kreacje — stwierdziła z uznaniem Paris.

— Rzeźbisz z natury?

— Tak, podpatruję własnego — odparł i ryknął tak histerycznym śmiechem, że pod koniec omal nie zakaszał się na śmierć. Kiedy odzyskał oddech, znacząco popatrzył na Paris i zapytał: — Lubisz jeździć konno?

— Tak, ale nie jeździłam od dawna. A ty?

— Jasne, że jeżdżę. Mam ranczo, powinnaś kiedyś wpaść. Bez elektryczności i kanalizacji. Dwa dni wierzchem od najbliższej osady.

— Niełatwo dotrzeć i niełatwo się wydostać — stwierdziła.

— I to mi się właśnie podoba — rzekł Bili z mocą.

— Chociaż żona dostawała szału. Chciała wrócić do Nowego Jorku. Wyciągnęła kopyta w zeszłym roku.

Paris skinęła głową, a nie mając ciekawszego pomysłu na podtrzymanie konwersacji, uciekła się do konwencjonalnego:

— Przykro mi z powodu twojej żony.

— Mnie też. Byliśmy małżeństwem od pięćdziesięciu lat. Mam siedemdziesiąt trzy.

I wtedy, chwilowo przynajmniej, sytuację uratowało pojawienie się posiłku: Paris zamówiła dla siebie *quesadillę* w najmniej pieprznej wersji, artysta zaś — górę fasoli sterczącą z morza ciemnej zawiesiny o złowrogim wyglądzie. Oświadczył, że to jego ulubione i właściwie podstawowe danie.

— Nie ma nic lepszego i zdrowszego niż fasola, chociaż człowiek pierdzi po niej jak najęty. Lubisz fasolę?

Paris zdobyła się na wieloznaczne chrząknięcie, Sydney nie sprawiała wrażenia poruszonej. Z wcześniejszej wymiany zdań wynikało, że jej ojciec, również artysta, przyjaźnił się z Billem i darzył wielką sympatią jego żonę. Paris nawet nie usiłowała sobie wyobrazić, jak wyglądało życie biedaczki uwięzionej na ranczu z takim facetem. Zapewne uznała, że jedyną drogą ucieczki jest samobójstwo.

Tknięta tą myślą, Paris przeprosiła współbiedniaków, udała się do toalety, zaryglowała za sobą drzwi i sięgnęła po telefon komórkowy. Bixa złapała w biurze.

— Przystojny? — zapytał bez wstępów.

— Jeśli nie wyciągniesz mnie stąd, zabiję albo Sydney, albo siebie.

— Czyli raczej szkaradny.

— I to nie do pojęcia. Przebrany za kowboja neandertalczyk, który robi dziesięciostopowe rzeźby własnego ptaka.

— Posłuchaj, jeśli ma takiego dużego, to może warto machnąć się do Santa Fe? Mógłbym nawet pojechać z tobą.

— Zamknij dziób, dobra? Zadzwoń do mnie za pięć minut, a ja im powiem, że nastąpiła jakaś obsuwka w biurze.

— Jaka? — zapytał rozbawiony.

— Obojętne. Ten cały lunch to jedna wielka obsuwa.

— Coś się zaczęłaś wyrażać bardzo ekspresyjnie. Pokazał ci zdjęcia swojego kutasa?

— Powiedzmy. Najgorsze rzeźby, jakie widziałam w życiu.

— Popadasz w krytykanctwo. Może to sympatyczny facet.

— Jest gorszy niż twój zaśliniony staruch. Kapujesz?

— Niemożliwe — stwierdził sceptycznie Bix. — Nie ma gorszych.

— Ten jest. No więc przestań się wygłupiać i za pięć minut zadzwoń do mnie na komórkę.

— Dobra, dobra, zadzwonię. Tylko wymyśl jakąś sensowną historyjkę, bo Sydney nie jest idiotką i przejrzy cię na wylot.

— Skoro umówiła mnie z tym facetem, jest kompletną idiotką. Więcej: psychopatką. Może mnie nienawidzi.

— Wręcz przeciwnie, mówiła mi w zeszłym tygodniu, że cię bardzo lubi. Aha, i wiesz co, Paris?

— Słucham.

— Przynies mi zdjęcie jego kutasa.

— Zadzwoń... mówię serio! Albo rzucam robotę. Kiedy świeżo umalowana wróciła do stolika, artysta podniósł głowę znad swojej fasoli i stwierdził z uznaniem:

— Niekiepsko wyglądasz uszminowana. Ładny kolor.

— Dzięki — odparła z czarującym uśmiechem, zabierając się do jedzenia. Wtedy zadzwonił telefon. — Nienawidzę tych urządzeń — stwierdziła przykładając komórkę do ucha. Bix mówił najobleśniejsze rzeczy, jakie przychodziły mu do głowy. Paris, zafrasowana widać, zmarszczyła czoło. — Co się stało? Och, Bix, to okropne. Tak ci współczuję... teraz? No, wiesz... jem lunch z Sydney i jej znajomym... W porządku, w porządku, uspokój się... będę za pięć minut. Nie próbuj się ruszać do mojego przyjazdu. Sydney popatrzyła na nią z niepokojem.

— Co się stało? — zapytała.

— To Bix. Wiesz, jaki z niego mięczak — odparła, a potem przeniosła spojrzenie na Billa i dodała tonem wyjaśnienia: — Jest gejem.

— Nienawidzę pedałów — stwierdził Bili i beknął donośnie.

— Tak przypuszczałam. No więc... — znów zwróciła się do Sydney — wypadł mu dysk.
— Nie wiedziałam, że ma kłopoty z kręgosłupem.
— Leży na podłodze i nie może się ruszać. Chce, żebym zawiozła go do kręgarza.
Powiada, że jeśli nie przyjadę za pięć minut, wezwie pogotowie.
— Wiem, jak się musi czuć. Sama czasem mam problemy z korzonkami. Kiedy się odzywają, całymi tygodniami nie mogę chodzić. Chcesz, żebyśmy z tobą pojechali?
— Nie trzeba, dam sobie radę. Ale muszę już lecieć.
— Wszystkich pedziów powinno się rozstrzelać — zauważył artysta pomiędzy drugim a trzecim beknięciem.
— Wybaczcie — powiedziała Paris, ściskając rękę Billa.
— Miło cię było poznać, Bili. Powodzenia w pracy.
— Nad moim fiutem? — Ryknął śmiechem i zaniósł się kaszlem.
— Właśnie. Powodzenia w pracy nad twoim fiutem. Pa, Syd, dzięki za lunch.
Wchodząc do biura, kipiała ze złości, Bix natomiast powitał ją uśmiechem od ucha do ucha.
— Gdzie to masz?
— Co mam? Taka jestem wściekła, że mogłabym zabić.
— Zdjęcie jego kutasa.
— Nie odzywaj się do mnie. Już nigdy. Przestaję gadać i z tobą, i z Sydney. Ten facet to zupełny szajbus. Dla twojej informacji: nienawidzi gejów i sądzi, że wszystkich powinno się rozstrzelać. Nienawidzi również Czarnych i Indian.
— Słodki. Jak wygląda?
— Jak zombi. Mieszka na ranczu bez elektryczności i kanalizacji.
— Nic dziwnego, że zabawia się swoim wackiem. Biedny sukinsyn nie ma nic innego do roboty.
— A ty milcz. Po prostu milcz. Już nigdy, nigdy, nigdy, do końca moich dni, nie dam się namówić na randkę w ciemno.
— Tak, tak, jasne — odrzekł Bix chichocząc złośliwie.
— Ja też tak mówiłem i wiesz co? Dałem się namówić. Z tobą będzie tak samo.
— Odwal się! — warknęła Paris i znikając w swoim gabinecie, z taką mocą zatrzaskała drzwi, że z kantorka wybiegła księgowa i rozejrzała się z przerażeniem.
— Coś się Paris stało? — zapytała Bixa.
— Nic — odparł, wciąż roześmiany. — Po prostu wróciła z randki w ciemno.
— I co, nie udała się?
Aż skręcając się ze śmiechu, pokiwał głową.
— Chyba nie, pani Simpson. Chyba nie. Na tym właśnie polega problem z randkami w ciemno.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Paris i Bix, piekielnie zaganiani przez cały maj, zdołali również przeżyć jakimś cudem czerwiec wraz z siedmioma weselami, które wówczas urządzali. Wyrażali zgodną opinię, że tak ciężko nie harowali nigdy w życiu, wesela jednak wypadały fantastycznie, panny młode były w siódmym niebie, matki nie posiadały się z dumy, a ojcowie bez mrugnięcia płacili astronomiczne rachunki. To był dla Bixby Mason, Inc. niebywale udany miesiąc. W weekend po ostatnim weselu — mieli wtedy szansę złapać oddech przed dwiema gigantycznymi imprezami z okazji czwartolipcowego Święta Niepodległości — z Los

Angeles przyjechała Meg. Siedziała właśnie z matką w ogródku, rozmawiając o kolejnej rozpoczętej poprzedniego dnia wyprawie Wima do Europy, gdy Paris dostrzegła, że na jej twarzy maluje się namysł, a może nawet rozterka.

— Co cię gryzie?—zapytała więc bez owijania w bawełnę.

— Chciałabym cię o coś poprosić, ale nie bardzo wiem, jak się do tego zabrać.

— Ho, ho, to pewnie coś ważnego. Ma może związek z jakimś nowym mężczyzną w twoim życiu?

— Nie — odparła. Tak samo jak Paris od dwóch miesięcy żyła w całkowitym celibacie. — Przedwczoraj natknęłam się na koleżankę z Vassar. Dawnośmy się nie widziały, wyszła za mąż, spodziewa się dziecka, trochę to wszystko niesamowite, nawiasem mówiąc... no i opowiedziała mi smutną historię. Jej

matka, która poważnie chorowała, jeszcze gdy byłyśmy w college'u, umarła wkrótce po naszym egzaminie dyplomowym, w lipcu. Chyba na raka piersi, wołałam o to nie pytać.

Paris nie miała na razie pojęcia, do czego zmierza Meg, i przychodziło jej do głowy jedynie to, że może chodzi o udzielenie kilku macierzyńskich porad młodej kobiecie w ciąży.

Oczywiście była gotowa podjąć się tego zadania.

— Jak to zniosła twoja przyjaciółka? — zapytała z troską.

— Przypuszczam, że dzielnie, ma silny charakter. Poza tym wyszła za bardzo fajnego chłopaka, sama się w nim kiedyś podkochiwałam — Meg uśmiechnęła się do wspomnień. Potem znów spoważniała. — Jej ojciec, jak mi powiedziała, też radzi sobie nie najgorzej, ale jest bardzo samotny. No więc zastanawiałam się, czy... cóż... widziałam go kilka razy, to naprawdę sympatyczny facet... i myślę, że by ci się spodobał, mamó.

— Rany boskie, Meg, ani słowa więcej. Już ci mówiłam, kończę z randkami — stanowczo odparła Paris. Chandler Freeman i rzeźbiarz z Santa Fe zaspokoiłi jej potrzeby na dobrych kilka lat.

— Mamó, to niemądre. Nie dobiegłaś nawet pięćdziesiątki, a już chcesz się skazywać na samotność przez resztę życia. Krzywdzisz samą siebie.

— Przeciwnie, robię sobie największą przysługę. Nie potrzebuję mężczyzny w swoim życiu i co więcej, nie chcę.

Było dokładnie na odwrót, ale Paris nie miała po prostu pojęcia, jak takiego mężczyznę znaleźć.

— A jeśli w ten sposób stracisz życiową szansę? To bankier, człowiek wyjątkowej prawości, a nie jakiś rozbalowany singel.

— Skąd wiesz?

— Bo go znam — z przekonaniem oświadczyła Meg. — I jest nawet przystojny.

— To o niczym nie świadczy. Nie umawiałaś się z nim. Z mężczyzn na randkach wyłażą socjopaci.

— Nieprawda. Niektórzy są po prostu nieszablonowi z natury. Na przykład Peace. Wybuchły śmiechem.

— Trafiłaś w sedno. Skąd wiesz, że ten gość nie jest duchowym ojcem Peace'a?

— Zaufaj mi, mamó. Wygląda jak tatuś. Ten sam typ. Koszula, krawat, garnitur z tenisu, dobrze ostrzyżony, świetne maniery, uprzejmy, inteligentny, dobry ojciec. Wszystko, co mogłoby ci przypaść do gustu.

— Nie namówisz mnie, Meg.

— Namówię.

— Nie.

— Diabła tam nie. Umówiłam nas dzisiaj z nimi na kolację.

— Co takiego zrobiłaś? Nie do wiary, Meg! Nigdzie nie pójde.

— Musisz, bo w przeciwnym razie wyjdę na kłamczuchę. Uwierz, tak się właśnie poznają przyzwoici ludzie. Są umawiani. Kiedyś rodzice załatwiali to dzieciom, teraz dzieci kojarzą w pary swoich rozwiedzionych albo owdowiałych rodziców. To rozsądny układ.

— Nie mam zamiaru „kojarzyć się” z tym mężczyzną — piekliła się Paris, wobec jednak żelaznej nieustępliwości córki, zastrzegając się i protestując, wyraziła wreszcie zgodę. — Powinnam zbadać sobie głowę — mamrotała, kiedy jechały do centrum.

Byli umówieni w zasugerowanym przez koleżankę Meg niezłym lokalu, którego specjalność stanowiły rozmaicie przyrządzone steki, Jim Thompson bowiem — tak nazywał się wdowiec do wzięcia—najwyraźniej w nich gustował. Przynajmniej więc nie był weganinem. Paris miała zamiar skrócić czas spotkania do minimum, nałożyła surowy czarny żakiet, nie umalowała się, a włosy związała w koński ogon.

— Nie mogłaś postarać się trochę bardziej? — utyskiwała Meg. — Wyglądasz jak mistrz ceremonii pogrzebowej.

— I o to chodziło. Nie będzie miał ochoty umawiać się ze mną ponownie.

— Zapierasz się jak oślica.

— Staram się.

— Ale właśnie w taki sposób wiele kobiet poznało swych drugich mężów.

— Nie chcę drugiego męża. Jeszcze nie doszłam do siebie po pierwszym. I dostaję wysypki na samą myśl o randkach w ciemno.

— Wiem, wiem, przecież pamiętam tę ostatnią. Ale ten facet był chyba wyjątkiem.

— Nie był. Wnioskując z opowieści Bixa, może być znacznie gorzej — mruknęła Paris i pogrzyżyła się w ponurym milczeniu.

Thompsonowie byli już w restauracji: Jimowi — ubranemu w szare spodnie i klubową marynarkę wysokiemu szczupłemu mężczyźnie o poważnej twarzy i siwych włosach — towarzyszyła jego bardzo ładna córka w zaawansowanej ciąży. Była rówieśniczką Meg i miała na imię Sally; Paris przypomniała ją sobie natychmiast. Dopiero kiedy usiadła, przyjrzała się Jimowi dokładniej, stwierdzając, że sprawia wrażenie człowieka dobrego i porządnego, a poza tym ma piękne, choć bezgranicznie smutne oczy. Nie ulegało wątpliwości, że wiele przeszedł, a mimo to jego rozpacz nie przerodziła się w rozgoryczenie. Patrzyła na niego z mimowolnym współczuciem i nawet nie zorientowała się, kiedy zagaili rozmowę. Dziewczęta chichotały i paplały o dawnych czasach, oni zaś, pozostawieni samym sobie, zwierzali się opowiadając o swych osobistych tragediach — Jim mówił o zmarłej żonie, Paris zaś o odejściu Petera.

— Co was tak wciągnęło? — zapytała w pewnym momencie Sally, a Paris i Jim popatrzyli na nią z minami winowajców. Woleliby nie wtajemniczać dziewcząt, jak w istocie przynębiający jest temat ich rozmowy. Sally i jej brat nieustannie zresztą prosili ojca, by przynajmniej obcym nie opowiadał bez przerwy o ich zmarłej matce, co przez dwa lata — sam miał wrażenie, że upłynęła ledwie chwila — przerodziło się niemal w obsesję.

— Rozmawiamy o was, o dzieciach — bez zająknięcia skłamała w swoim i Jima imieniu.

— O tym, jacy jesteście paskudni i jak was nienawidzimy.

Porozumiewawczo zerknęła na Jima, on zaś popatrzył na nią z wdzięcznością. Nie przypuszczał, że tak łatwo znajdą wspólny język, szedł na tę kolację równie niechętnie jak Paris

i jak ona robił wszystko, by wybić córce ten pomysł z głowy. Teraz jednak był rad, że w końcu skapitulował.

Pod koniec wszyscy wymienili uwagi na temat swoich planów związanych z Czwartym Lipca: Sally z mężem wyjeżdżali na weekend, prawdopodobnie ostatni przed narodzinami dziecka, Jim z przyjaciółmi brał udział w regatach żeglarskich, Paris pracowała przy dwóch wielkich świątecznych piknikach. Jim uznał jej zajęcie za niezwykle frapujące, przyznał jednak, że osobiście nie przepada za przyjęciami. Sprawiał wrażenie człowieka o spokojnym usposobieniu, a nawet trochę zamkniętego w sobie, trudno było jednak stwierdzić, czy wynika to z jego charakteru czy też okoliczności. Wyznał Paris, że od śmierci żony jest w nieustannej depresji.

Kiedy jednak dziewczęta całowały się na pożegnanie, zapytał Paris szeptem, czy mógłby do niej zadzwonić; wahała się przez chwilę, ale później skinęła głową. Choć nader przystojny, nie pociągał jej fizycznie, uznała jednak, że może mu pomóc, najwyraźniej bowiem potrzebował kogoś, przed kim mógłby otworzyć duszę. Niewykluczone, że za jego rozkojarzenie i aż nienaturalne wyciszenie odpowiadały leki, gdy jednak przygarbiony oddalał się wraz z córką ulicą, nie ulegało wątpliwości, że jest po prostu nieszczęśliwy. Szedł szybko, a mimo to wyglądał jak pielgrzym bez ojczyzny.

— No i co sądzisz? — zapytała Meg, kiedy wsiadły do samochodu.

Czuła, że Paris, chociaż się zapewne do tego nie przyzna, polubiła Jima Thompsona, Sally zaś szepnęła jej na chwilę przed rozstaniem, że od śmierci matki nie widziała ojca tak ożywionego.

— Podoba mi się. Nie w taki sposób, jak myślisz, ty spiskująca z przyjaciółką wyrodna córko, ale... ale jest samotnym i bez wątpienia bardzo porządnym człowiekiem, który po prostu potrzebuje kogoś, do kogo mógłby otworzyć usta. Ciężko przeżył chorobę i śmierć żony.

— Sally też — uściśliła Meg, a potem surowo spojrzała na Paris. — Ale on nie potrzebuje pielęgniarki psychiatrycznej, tylko dziewczyny. Nie bądź taka spolegliwa.

— Nie jestem spolegliwa, tylko mu współczuję.

— Zamiast współczuć, zacznij się cieszyć jego towarzystwem.

Nie bardzo jednak było czym się cieszyć: przez cały czas Jim Thompson opowiadał tylko o jej lekarzach, jej chorobie, śmierci i pogrzebie, zachwycał się jej urodą i rozwodził nad grobowcem, który wciąż dla niej buduje. Wszystkie drogi prowadziły do Rzymu, każdy poruszony przez Paris temat nieuchronnie wiódł w końcu do świętej pamięci Phyllis. Paris zdawała sobie sprawę, że Jimowi niezbędne jest samooczyszczenie, tak samo jak po odejściu Petera ona go potrzebowała. Może śmierć odreagowuje się dłużej niż rozwód i rozumiejąc to, była skłonna słuchać, zwłaszcza że miała wrażenie, iż w gruncie rzeczy nadają z Jimem na tych samych falach — Peter odszedł od niej tak nagle, że częstokroć czuła się raczej wdową aniżeli rozwódką.

— Powiedział, że do mnie zadzwoni — poinformowała córkę z własnej inicjatywy, a na twarzy Meg pojawił się wyraz zadowolenia.

Zadowolenie to znacznie wzrosło, gdy nazajutrz rano odebrała telefon i usłyszała głos ojca Sally, który przywitał się uprzejmie, a następnie poprosił do telefonu Paris. Paris szybko przejęła słuchawkę, by po kilku minutach skinąć głową i nagryzmolić coś na kartce.

— Umówiłaś się na randkę? — spytała bezgranicznie zdumiona Meg. — Już? W który dzień? — Gdy zaś Paris oświadczyła z wyższością, że spotkanie w żadnym razie nie będzie miało charakteru romantycznego, prychnęła śmiechem i powiedziała kpiarsko: — Powtórz

mi to za trzy tygodnie, kiedy będziecie ze sobą sypiać. Aha, tylko tym razem nie zapomnij zagwarantować sobie wyłączności.

Chociaż obie miały głębokie przeświadczenie, że pod tym względem Jim Thompson nie powinien sprawiać problemów, przynajmniej jeszcze przez jakiś czas. Wedle relacji Sally od śmierci matki nie spojrzął na żadną kobietę. Paris zresztą wcale nie była pewna, czy i w niej widzi kobietę czy tylko wdzięczną słuchaczkę.

— We wtorek, na kolację.

— To przynajmniej kulturalny facet i nie zabierze cię do jednej z tych mordowni, które zawsze wybierają moi. Do niektórych po prostu boję się wejść, w innych łapię zatrucie pokarmowe, a w jeszcze innych muszę wsuwać trawę.

— Może powinnaś rozejrzeć się za nieco starszym partnerem — zasugerowała Paris znając skłonność córki do równych jej wiekiem, a nawet młodszych chłopaków. Trudno, byli ludźmi dojrzałymi i odpowiedzialnymi.

— Dobra, dobra, tylko pamiętaj, że masz zadzwonić i opowiedzieć, jak ci poszło z panem Thompsonem — przypomniała Meg.

Kiedy pojechała na lotnisko, Paris oddała się czynności prozaicznej może, lecz użytecznej — praniu, zdając sobie sprawę, że od poniedziałku zacznie się kołomyjka związana z lipcowymi imprezami. Zaczęła się i z mety przybrała takie rozmiary, że Paris omal nie zapomniała o spotkaniu z Jimem; we wtorek o szóstej oświadczyła Bixowi, że musi biec na kolację, i zaczęła zbierać się do wyjścia. Bix jednak nie miał zamiaru pozwolić, by wykręciła się sianem.

— Masz randkę? — zapytał zaskoczony. Nie wspomniała mu słowem, że poznała kogoś nowego, nieustannie obrzucała zniewagami Romea z Santa Fe, traktując go jako koronny argument za pozostaniem po wsze czasy dziewicą z odzysku.

— Właściwie nie—odparła z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

— Co to ma znaczyć?

— Odgrywam rolę psychoterapeutki wobec ojca koleżanki Meg, którego żona zmarła na raka piersi dwa lata temu.

— Przykra historia — stwierdził z ubolewaniem Bix. — Jaki jest?

— Kulturalny, spięty, przystojny. Normalny.

— Super. Ile ma lat?

— Pięćdziesiąt dziewięć, może sześćdziesiąt.

— Ideał. Kupujemy. Idź.

— Nie podniecaj się. Potrafi mówić tylko o zmarłej żonie. Ma obsesję na jej punkcie.

— Ty to zmienisz. Taki właśnie był Steven, kiedyśmy się poznali. Były chwile, że słysząc kolejną opowieść o tym, jak kochanek skonał w jego ramionach, miałem ochotę wyć. To musi trochę potrwać, ale w końcu minie. Daj mu czas. Albo prozac.

— Daruj sobie. Po prostu jem z nim kolację. To będzie leczenie z rozpacz, a nie terapia seksem, panie Mason.

— Bylebyś się dobrze bawiła. Pa!

Upłynęło zaledwie pół godziny, a Paris zdążyła już umyć i podsuszyć włosy, na poły wilgotne spleść w warkocz, nałożyć grafitowe spodnie i takież sweter; sięgała właśnie po pantofel, gdy rozległ się dzwonek u drzwi.

Stanął w nich Jim Thompson.

— Czyżbym przyszedł za wcześnie? — zapytał niepewnie, dostrzegając minę Paris, która zdawała się mówić: „Co? Już jesteś?”

— Skądże. Po prostu wróciłam dopiero przed chwilą, mamy zupełnie szalony tydzień. Jak zawsze zresztą, bo to albo Czwarty Lipca, albo walentynki, albo Święto Dziękczynienia, rocznica, urodziny, wesele, a w ostateczności „małe przyjętko”. Fajna praca, ale czasem człowiek nie ma czasu przysiąść nawet na chwilę.

— O bankowości trudno powiedzieć, że jest fajna, ale też ma chyba swoje plusy — stwierdził Jim. Usiadł na sofie w salonie i przyjął od Paris kieliszek wina. Wieczór był piękny i ciepły, bo tego dnia na miasto nie spłynęła mgła. Z jej powodu niektóre letnie wieczory bywały chłodniejsze niż wiosenne. Jim rozejrzał się dookoła i powiedział z aprobatą: — Masz piękny dom i piękne antyki. Phyllis też je uwielbiała, polowaliśmy na nie podczas każdej podróży. Podobnie jak ty wołała angielskie. Phyllis zatem potrzebowała zaledwie kilku chwil, żeby dołączyć do towarzystwa, tak samo zresztą jak podczas pierwszego spotkania. Paris podjęła więc próbę zwękslowania rozmowy na dzieci i zapytała Jima o brata Sally. Okazało się, że podobnie jak Wim wyjechał z kolegami do Europy.

Odkąd przeniósł się na wschodnie wybrzeże, widuję go zdecydowanie za rzadko — poskarżył się Jim. Jego syn studiował na Harvardzie. — Prawie nie przyjeżdża do domu i chyba nie mogę mieć mu tego za złe. Obecnie to dość przygnębiające miejsce.

— Planujesz tego lata jakieś wycieczki? — kontynuowała natarcie Paris wierząc, że jeśli chociaż na jakiś czas zapomni o swojej tragedii, rozpogodzi się i ożywi. Dostrzegła w nim potencjał: zamożny, inteligentny, wykształcony, przystojny, miał dzieci, które były rówieśnikami Wima i Meg. Stanowił wyzwanie, które postanowiła przyjąć — i co więcej, zwyciężyć, zarówno dla jego, jak i własnego dobra. Bo Bix wysnuł prawidłowe wnioski z jej szkicowej charakterystyki, trudno było wyobrazić sobie lepszego kandydata niż Jim. Należało tylko delikatnie, z wyczuciem złożyć na powrót Phyllis tam, gdzie było jej miejsce: do grobu.

Na kolację pojechali do uroczego francuskiego bistra z kafejką na otwartym powietrzu; naturalną kolejną rzeczą i to miejsce obruszyło lawinę wspomnień, Jim bowiem i jego nieodżałowana żona kochali Francję, spędzali w Paryżu mnóstwo czasu, Phyllis zaś niemal bezbłędnie mówiła po francusku. Skoro nic nie było w stanie powstrzymać owej lawiny, która sprawiła, że kolacja zaczęła powoli zamieniać się w stypę, zdesperowana Paris sięgnęła do wspomnień związanych z Peterem. Zaczęła się więc rozwodzić, jak wspaniale układało się ich małżeństwo, jak byli sobie bliscy przez wszystkie te lata, jak wielkim szokiem stało się dla niej niespodziewane odejście męża.

Przypominali parę kombatantów przerzucających się marsowymi wspominkami, pod koniec wieczoru zaś Paris — która od dawna nie nagadała się tyle o Peterze — była wręcz wyczerpana.

— Chętnie zobaczyłbym się z tobą znowu — niepewnym głosem powiedział Jim, odwożąc Paris do domu. Nie zaprosiła go do środka, nie chciała już ani słuchać o Phyllis, ani opowiadać o Peterze. Pragnęła pogrzebać tych dwoje i za wszelką cenę zawrzeć z Jimem pakt: jeśli się znowu spotkają, już nigdy, nigdy więcej nie będą rozmawiać o swoich małżonkach. Uznała jednak, iż znają się zbyt słabo, by mogła już teraz wystąpić z taką propozycją. — Z przyjemnością przyrzadziłbym dla ciebie kolację — dodał Jim.

— A ja z największą przyjemnością bym ją zjadła — odparła z uśmiechem Paris, choć na myśl, że znajdzie się w domu nawiedzanym przez ducha, przechodził ją lekki dreszcz. Nadal uważała Jima za uroczego mężczyznę, niemniej jednak próby prowadzenia z nim chociażby neutralnej konwersacji okazywały się jak dotąd syzyfową pracą. Gdziekolwiek

zmierzali, Phyllis wystawiała głowę zza rogu, a ostatnio, i to chyba było jeszcze gorsze, towarzyszył jej Peter. — Tylko pamiętaj, że pracuję w ten weekend.

— No więc może w niedzielę wieczorem? — zapytał z nadzieją. Polubił Paris, była cudowną słuchaczką, wrażliwą i współczującą.

— Znakomicie—odparła Paris, serdecznie uściskała Jima i zamknęła za nim drzwi. Potem odetchnęła z ulgą: miło było być w domu bez Petera i Phyllis.

— No i jak? Jak było? — zapytał nazajutrz Bix, kiedy pogrążona w myślach weszła do biura. — Dziki seks przez całą noc? Już się uzależniłaś?

— Niezupełnie. Wciąż psychodrama na dosyć potężną skalę.

Pokręcił głową.

— Dość tego. Jeśli dopuścisz, by posunęło się to dalej, masz przechlapane, bo zaczniesz się z nią utożsamiać.

W swoim czasie zawarł ze Stevenem umowę, że ten ma prawo wspominać swojego zmarłego partnera tylko raz dziennie. I to zagrało, Steven wziął się w garść i okrzepł w nowym związku. Teraz, po latach, rzadko wracał do wspomnień, czyniąc to zresztą w najzupełniej naturalny sposób. Jim Thompson natomiast ciągle trwał w stadium największej żałoby.

— Super — jęknęła Paris. — Nie wiem, dlaczego tak się staram i dlaczego tak się przejmuję. Co sugerujesz?

— Wysadzenie z siodła zmarłej osoby i zajęcie jej miejsca to wyzwanie co się zowie. Nikt nie lubi być spychany przez ducha na drugi plan. Powiedziałbym, że jeśli nie pomogą subtelne aluzje, powinnaś zrobić mu fleta — odparł z powagą Bix.

Paris zachichotała.

— Super do kwadratu. Zaproponuję mu to natychmiast, kiedy tylko zapuka do moich drzwi.

— Raczej zaczekaj, aż wejdzie do środka, jeśli nie chcesz, żeby wszyscy twoi sąsiedzi ustawili się w kolejce — poradził Bix.

Wtedy zadzwonił telefon i dzwonił tak przez cały dzień, a nawet tydzień, oba pikniki jednak wypadły perfekcyjnie. Bix zajął się tym w Palo Alto, Paris zaś — tym w Tiburonie, przy czym z racji odległości dzielącej oba miejsca nie mogli sobie pomagać, co jednak nie odbiło się w żaden sposób na przebiegu imprez: na tym etapie Bix miał uzasadnioną pewność, że Paris zdoła się samodzielnie uporać z każdą sytuacją. Gdy współpracująca z nią w Tiburonie Sydney Harrington ponownie zaczęła przeproszać za swego przyjaciela z Santa Fe, Paris lekceważąco machnęła ręką i stwierdziła, że zapewne artysta jest w gruncie rzeczy sympatycznym facetem.

— Wiesz, czasem nie dostrzegamy dziwactw naszych przyjaciół—powiedziała. —

Wychodzą na jaw dopiero wtedy, kiedy umawiamy ich z kimś na randkę w ciemno. Mnie wydał się po prostu trochę niesztampowy. — Na tyle niesztampowy, dodała w myślach, że jego właściwe miejsce było w gabinecie osobliwości.

Przespała niemal całą niedzielę—miała bowiem wrażenie, że przez dwa ostatnie pracowite miesiące nie kładła się prawie wcale — o szóstej wieczorem zaś pojechała do Jima, który mieszkał w Seacliff, zajmując rozległy, stary i bardzo ładny dom z zapierającym dech w piersiach widokiem na Golden Gate i wąskim pasem China Beach u stóp. Jim wspomniał, że często tam spaceruje, a kiedyś spacerował z Phyllis... uwielbiała spacerować plażą.

Phyllis więc była z nimi, ledwie Paris przestąpiła próg tego domu, a i Peter nie kazał długo na siebie czekać.

— Peter i ja też je lubiliśmy — oświadczyła Paris, zanim zdążyła ugryźć się w język. Jim Thompson sprawił, że do głosu doszła mroczna strona jej natury, wywołując z otchłani najboleśniejsze wspomnienia. Zainspirowana przez opowieść Bixa, zawarła sama ze sobą układ, że od tej chwili będzie mówić czy myśleć o Peterze najwyżej raz dziennie. Osobliwe, że w ogóle musiała podejmować takie postanowienie, w ostatnich bowiem miesiącach Peter praktycznie przestał dla niej istnieć. Ale wrócił — dzięki Jimowi i Phyllis.

Jim krzątał się w kuchni, przygotowując rostbef, puree ze szparagów i zapiekane ziemniaczki. Phyllis zapewne uwielbiała pichcić, pomyślała Paris i już chwilę później Jim wygłosił tak właśnie brzmiący komunikat. W pobliżu drzwi do ogrodu wisiał na haczyku znoszony damski kapelusz słomkowy, bez wątpienia w domu było jeszcze wiele rzeczy Phyllis, może nawet wszystkie. Jima czekały wielkie porządki, problem jednak w tym, że najwyraźniej nie zamierzał i nie chciał się do nich zabrać.

— Dla mnie samego ten dom jest za duży — stwierdził siadając przy stole. — Dzieci go jednak uwielbiają, ja też. Nie mam serca go sprzedać.

Ani słowa o Phyllis, zauważyła Paris wstrzymując oddech. Prowadziła na własny użytek statystykę, odnotowując w pamięci wszystkie wypowiedzi Jima, w których powoływał się na zmarłą żonę lub też pomijał ją milczeniem. Zdawała sobie sprawę, że to chore, ale nie potrafiła się powstrzymać.

— Miałam ten sam problem z naszym domem w Greenwich — odparła. — Po odejściu Petera czułam się zagubiona, a kiedy jeszcze Wim wyjechał do Berkeley, po prostu nie mogłam wytrzymać. Dlatego się tu przenieśliśmy.

— Sprzedałaś dom? — zapytał z widocznym zainteresowaniem.

Mięso było wyborne, warzywa wręcz znakomite. Jim gotował zdumiewająco dobrze, choć zapewne Phyllis nie dorastał pod tym względem do pięt.

— Nie, wynajęłam. To rodzaj gry na zwłokę, chciałam się przekonać, jak mi pójdzie w San Francisco.

— No i jak ci jest?

Siedzieli w przytulnym zakątku kuchni, również stąd mając przez okno wspaniały widok. Ten dom byłby naprawdę cudowny, gdyby nie wrażenie, że panuje w nim mrok, wszystkie bowiem ściany wyłożono ciemną boazerią. Z drugiej strony taka atmosfera idealnie korespondowała z nastrojem Jima.

— Genialnie — odparła z uśmiechem, czując, że chwilowo przynajmniej para duchów nie unosi się nad ich głowami. — Uwielbiam swoją pracę, właściwie pierwszą w życiu, bo przez cały czas trwania małżeństwa prowadziłam dom. To nie jest żadna neurochirurgia, a mimo to coś naprawdę twórczego. W swoim szefie zyskałam najserdeczniejszego przyjaciela. Jest niewiarygodnie dobry w tym, co robi. Tak więc nie zawiodłam się, przyjazd tutaj diametralnie odmienił moje życie.

— Z czego robiłaś dyplom w college'u? — zapytał.

— Z ekonomii, jako jedna z trzech dziewczyn. Dwie pozostałe to były siostry z Tajwanu. Ukończyłam też studia MBA, ale zdobytych tam kwalifikacji nigdy nie wykorzystałam. Zajmowałam się Peterem i dziećmi.

— To tak jak Phyllis. Miała doktorat z historii sztuki, chciała uczyć, ale jakoś nic z tego nie wyszło. Wychowywała dzieci, a potem... zachorowała.

Paris usiłowała nie skrzywić ust: stara śpiewka.

— Tak, wiem. A ty? Opowiedz mi o swoim żeglowaniu. — Wspomniał już wcześniej, że we wczorajszych regatach jego załoga zajęła trzecie miejsce. — Masz własną łódź?

— Już nie. Sprzedałem ją wiele lat temu. Maleńki trzystopowy jachcik. — I znów Paris wiedziała, co teraz usłyszysz.

— Pływaliśmy nim z Phyllis w czasie weekendów. Była świetną żeglarką, najlepszą, jaką znałem. Dzieci też lubiły pływać.

— Może powinieneś kupić nową łódź, miałbyś świetną zabawę we wszystkie weekendy — zasugerowała, usiłując podsunąć mu jakąś konstruktywną alternatywę dla przesiadywania w domu i rozmyślania o Phyllis.

— Za dużo roboty jak na jednego człowieka — odparł.

— W moim wieku wolę być załogantem na cudzej łódce.

— Wiedziała już, że ma sześćdziesiąt jeden lat, ale wyglądał starzej. Sprawiała to rozpacz, ta potężna siła, która potrafi zabić kogoś, kto ukochaną osobę traci w bardzo późnym wieku. Jim był jeszcze dość młody, by się z niej otrząsnąć, gdyby tylko chciał. Paris nie miała żadnej pewności, czy chce. — Lubisz żeglować? — zapytał.

— Czasem, zależy od okoliczności. Na Karaibach tak. Na burzliwych wodach, takich jak tutaj — nie. Straszny ze mnie tchórz — wyznała bez owijania w bawełnę.

— Nie wyglądasz mi na tchórzliwą osobę. Może pewnego dnia nauczę cię żeglować. Powiedział potem, że na późniejszy okres lata przyjaciele zaprosili go do Mendocino i że ma również zaproszenie do Maine, ale nie chce mu się tam jechać, bo za daleko, zaraz potem zaś zrelacjonował Paris wakacje, które dawno temu z Phyllis i dziećmi spędził w Martha's Vineyard, czym z kolei sprowokował Paris do snucia długich wspomnień na temat niemal wszystkich wycieczek jej i Petera. I znów Paris nie znalazła w sobie odwagi, by zaproponować wyeliminowanie z ich rozmów osób eksmałżonków, pomogła natomiast Jimowi sprzątnąć ze stołu i pozmywać. Wyszła około dziesiątej.

Kiedy dotarła do domu, znów ogarnęło ją uczucie osobliwego znużenia, jakby przyjęła na własne barki część bezbrzeżnego smutku, który zdawał się emanować z Jima. Jim wypił do kolacji sporo wina — co nie dziwiło jej, gdy brała pod uwagę stan jego ducha — im więcej jednak pił, tym bardziej smutniał i tym żarliwiej rozprawiał o zmarłej żonie. Sytuacja zaczynała wyglądać na beznadziejną.

Nazajutrz zadzwonił do niej do biura i uzgodnili, że w drugiej połowie tygodnia wyskoczą do kina. Jim zaproponował film wysoko wprawdzie oceniany przez krytykę, lecz bezgranicznie smutny, Paris jednak oświadczyła stanowczo, że ma ochotę obejrzeć pewną komedię — i postawiła na swoim.

Najwyraźniej dobrze się stało, bo Jim chichotał przez cały seans, a dobry humor nie opuścił go nawet wówczas, gdy po wyjściu z kina wstąpili na pizzę.

— Wiesz, moja córka miała doskonały pomysł, przedstawiając nas sobie — powiedział z uśmiechem. Dotąd ani słowem nie wspomniał o Phyllis, a i Peter jakimś cudem nie wychynął z kąta, choć Paris była pewna, że oboje pojawią się wcześniej czy później. — Sprawiasz wrażenie bardzo pogodnej osoby, aż ci zazdroszczę. Sam jestem w depresji już od lat.

— Nie myślałeś o przejściu na leki? — zapytała z troską w głosie Paris uświadamiając sobie, jak wątła granica dzieli zwykle współczucie od opiekuńczości spolegliwej, przed którą przestrzegala ją Meg.

— Nawet przeszedłem. Nie pomogły. Brałem je przez tydzień.

— Potrzeba znacznie dłuższego okresu, żeby mogły poskutkować. W takich sprawach należy się uzbroić w cierpliwość. Od chwili odejścia Petera poddaję się psychoterapii

— powiedziała, chociaż ostatnio, nie czując takiej potrzeby i nie mając na to czasu, dzwoniła do Annę najwyżej raz w miesiącu. Teraz, na skutek rozmów, jakie prowadziła z Jimem, Peter znów rozpanoszył się w jej myślach.

— Podziwiam cię — stwierdził Jim — ale to nie dla mnie. Przez kilka pierwszych tygodni uczestniczyłem w terapii grupowej i tylko poczułem się gorzej.

— Może wtedy było za wcześnie, może powinieneś spróbować ponownie teraz.

— Nie, Teraz jest już dobrze. Odzyskałem równowagę duchową — powiedział z uśmiechem, a Paris omal nie zakrzuszyła się kęsem pizzy. — Nie sądzisz? Pogodziłem się ze śmiercią Phyllis.

Miała ochotę wrzasnąć na cały głos: „Żarty sobie ze mnie stroisz, co?” Towarzyszyła mu wszędzie, jak maskotka. To były „Wędrówki z Phyllis” zamiast „Wędrówek z dinozaurami”, od równowagi duchowej dzieliła Jima nieprzebyta przepaść, w ogóle nie przyjmował do wiadomości, w jakim jest stanie.

— Sam najlepiej możesz osądzić, jak się w tej chwili czujesz—odparła wymijająco, a potem zvekslowała rozmowę na temat obejrzanego dzisiaj filmu.

Tego wieczoru Jim bezgranicznie Paris zaskoczył, gdy przed drzwiami domu objął ją i czule pocałował w usta, ona zaś, topniejąc w jego ramionach, niespodziewanie uzyskała potwierdzenie starej prawdy, że cicha woda brzegi rwie, najwyraźniej bowiem był podniecony. To dobry znak, pomyślała, Phyllis nie odebrała mu wszystkiego.

— Jesteś piękną kobietą, Paris — wyszeptał ochryple.

— Pragnę cię... ale nie chcę robić niczego, czego byśmy później żalowali. Znam twoje uczucia wobec męża, a ja... nie byłem z żadną kobietą od śmierci żony...

Tak właśnie przypuszczała. Nie miała zamiaru mówić mu o swoim romansie, nie chciała wyjść na dziwkę, zdawała sobie jednak sprawę, że zarówno jej psyche, jak i ciało są w najlepszym porządku, z Jimem natomiast różnie mogło być. Rozpacz robi z człowiekiem dziwne rzeczy, sam przyznał, że jest w depresji od dwóch lat. Mężczyźni ze swymi duchowymi zawirowaniami to wbrew pozorom kruche istoty. Nie chciała go spłoszyć.

— Nie musimy się spieszyć — odparła uspokajającym tonem, on zaś pocałował ją jeszcze raz i odszedł.

Podobał się jej coraz bardziej, doceniała to wszystko, co sobą reprezentuje — prawość, szczerść, dobre serce, stosunek do dzieci. Może wszystko się ułoży, jeśli tylko zdołają usunąć z drogi Phyllis, która wprawdzie nie zdradzała dotąd ochoty, by rozwiązać się jak dym... Amoże to on przytrzymał ją zbyt kurczowo? Sądząc jednak po dzisiejszych pocałunkach, trochę zwolnił uchwyt.

Przez kilka następnych tygodni spotykali się regularnie, chodzili do kin i restauracji, raz nawet zjedli kolację w domu Paris, która uznała, że nie mając w zasięgu wzroku starego słomkowego kapelusza, a wszędzie wokół — wspomnień, Jim poczuje się swobodniej i całą uwagę skoncentruje na niej. Miała słusność, atmosfera bowiem mocno się podgrzała, gdy z jego ulubioną muzyką w tle najpierw siedzieli, a potem leżeli na kanapie. Jim sprawiał wrażenie szczęśliwego, znacznie szczęśliwszego niż kiedykolwiek dotąd, koniec końców jednak postanowili nie posuwać swych relacji fizycznych poza ostateczną granicę.

Dzień czy dwa później Bix zażądał meldunku.

— Wciąż jesteś dziewicą czy może już po ptakach? — zapytał.

— Nie bądź taki wścibski — odparła. Zaczynała żywić wobec Jima osobliwe uczucia; teraz, gdy poznali się bliżej, potrafiła sobie nawet wyobrazić, że się w nim zakochuje.

Zdecydowanie argumentem „za” była jego niezaprzeczalna, choć bardzo długo uśpiona zmysłowość.

— Zabujałaś się? — dociekał zaintrygowany Bix.

— Może — odparła wieloznacznie. — Sądzę, że z czasem to niewykluczone.

— I dobrze się składa — stwierdził z zadowoleniem. Zadowolona była również Meg, gdy podczas rozmowy

telefonicznej wywnioskowała z tonu głosu Paris, iż sytuacja rozwija się pomyślnie.

Wiedziała od Sally — teraz świeżo upieczonej mamy — że jej ojciec ma na punkcie nowej przyjaciółki kompletnego kręcka i nieustannie wygłasza peany na temat jej urody. Paris też miała kręcka na punkcie Jima i tylko nie obnosiła się z tym tak bardzo.

W połowie sierpnia ukrywane dotąd nowiny przekazała Meg. Poznała kogoś w świąteczny lipcowy weekend, widywała się z nim od pięciu tygodni, ale nic nie mówiła matce, obawiając się jej reakcji.

— Jaki jest? — z życzliwym zainteresowaniem zapytała Paris.

— Sympatyczny, mamó. Bardzo, bardzo, bardzo sympatyczny. Wybitny adwokat reprezentujący wiele nader znanych gwiazd.

Meg miała już okazję poznać kilka z nich, o czym zresztą wspomniała matce.

— Gdzie go poznałaś?

— Na przyjęciu z okazji Święta Niepodległości.

— Przypadnie mi do gustu czy też ma sterczące kudły i kolczyki w uszach?

— Żadnych kolczyków. Pod wieloma względami przypomina tatę.

Następne pytanie było najzupełniej rutynowe, nie wynikało z żadnych podejrzeń ani przemyśleń.

— Ile ma lat? — Paris przypuszczała, że nowy chłopak jej córki tradycyjnie należy do kategorii dwudziestocztero-, dwudziestopięciolatków, no, może jest nieco starszy, skoro zdążył skończyć studia, zacząć praktykę i zdobyć znaczących klientów. Powiedzmy, dwadzieścia siedem, góra dwadzieścia osiem lat. — Jesteś tam? — zapytała z niepokojem, nie słysząc odpowiedzi. Może rozłączyły się przez przypadek.

— Jestem. To taki jakby starszy facet.

— Czyli? Odliczaj wstecz od dziewięćdziesiątki — uśmiechnęła się Paris. „Starszy” mogło w ustach Meg oznaczać trzydziestoletni.

Meg nabrała powietrza w płuca i rzuciła się w głębinę.

— Ma czterdzieści osiem lat. Jest rozwiedziony. Jego córka to moja rówieśnica i zarazem przyjaciółka. Stąd go znam.

— Czterdzieści osiem? — z niedowierzaniem jęknęła Paris.—Dwa razy starszy od ciebie? Co ty wyrabiasz? Musisz się z nim czuć jak z własnym ojcem.

— Nic z tych rzeczy, jest mi z nim cudownie. I nie uprawia tych rozmaitych gierek ani nie wciska mi kitu.

— To ja powinnam się z nim spotykać — stwierdziła ciągle zaszokowana Paris, nie mając pojęcia, co o tym wszystkim sądzić. Podejrzewała, że Meg napotkała na swojej drodze playboya w rodzaju Chandlera.

— Z pewnością, mamó — zgodziła się Meg. — Na pewno by ci się spodobał. To wspaniały człowiek.

— Jak można nazywać wspaniałym człowiekiem kogoś, kto wykrada dzieci z kołyszek, a potem je uwodzi?

I to, co gorsza, jej dzieci.

- Takie rzeczy się zdarzają i nie liczy się wiek, tylko ludzie.
- Kiedy ty będziesz miała czterdzieści pięć lat, on dobieje siedemdziesiątki, jeśli w ogóle dobieje. To coś, nad czym warto się zastanowić.
- Nie wybiegajmy jeszcze w przyszłość tak daleko — odparła spokojnie Meg.
- No, mam nadzieję. Może powinnam przyjechać do Los Angeles, żeby go poznać.
- To raczej my odwiedzimy cię w Święto Pracy.
- I bardzo dobrze. Chcę, by ten człowiek zdawał sobie sprawę, że nie jesteś sierotą, lecz masz matkę, która będzie go mieć na oku. Jak się nazywa?
- Richard. Richard Bolen.

Na tym skończyły rozmowę, Paris bowiem uznała, że wytaczając najcięższą artylerię przeciwko wybrankowi Meg, może osiągnąć skutek dokładnie przeciwny do zamierzonego, wieczorem jednak otworzyła duszę przed Jimem. Również zatroskany, wyraził wszelako myśl, że znaczne różnice wieku nie zawsze są czymś złym, jeśli partner okazuje się osobą odpowiedzialną i przyzwoitą.

- Poczekaj z oceną do momentu, gdy poznasz go osobiście — zasugerował.
- Chcę, abys i ty miał tę możliwość — odparła, a on poczuł się mile polechtany. Tego samego wieczoru zaproponował Paris weekendowy wypad do Napa Valley, co mogłoby się okazać znaczącym krokiem w ich trwającym wprawdzie już od dwóch miesięcy, lecz nadal platonicznym związku.

Pocałował ją, ona zaś popatrzyła nań figlarnie.

- Dwa pokoje czy jeden, panie Thompson? — zapytała.
- A ty co wolisz?
- Czy nie miałbyś nic przeciwko jednemu, Jim?

Tak naprawdę marzyła tylko o tym, żeby w tę podróż nie wybrała się z nimi Phyllis. Peter nie budził w niej obaw, była gotowa schować go razem z Rachel na dno najgłębszej szuflady, ale zadanie pozbycia się Phyllis spoczywało wyłącznie na barkach Jima, któremu ciągle brakło sił i determinacji, by się z nim zmierzyć. Phyllis nadal wyskakiwała jak diabełek z pudełka i zdarzało się to nader często.

- Nic a nic — odparł z uśmiechem Jim. — A więc mam go zarezerwować?

W tej chwili wydał się jej wyjątkowo przystojny i seksowny.

- Jak najbardziej — odparła rozpromieniona.

Dwa dni później pojechali do Rutherfordu w Napa Valley i zatrzymali się w Auberge du Soleil. Jim zataił wcześniej przed Paris, że tu właśnie spędził z Phyllis ostatnią rocznicę ich ślubu, była więc poruszona, gdy w końcu jej to wyznał.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałeś? — zapytała z wyrzutem. — Mogliśmy zamieszkać gdzie indziej.

Powinni byli zamieszkać gdzie indziej. Teraz Paris bała się ich wspólnego pokoju z ogromnym łóżem i uroczym kominkiem, pokoju, który miałby w sobie coś pociągającego i seksownego... gdyby tylko honorów domu nie pełniła w nim Phyllis. Była tu, zanim Paris zaczęła rozpakowywać walizkę.

Jim pilnie zrelacjonował przebieg tej ostatniej rocznicy, niedługo przed śmiercią Phyllis: opowiedział, co robili, gdzie i co jedli. Było tak, jakby czynił z Phyllis tarczę, za którą krył się przed uczuciami wobec Paris, wyrzuty sumienia były w nim znacznie silniejsze niż instynkty.

Przed kolacją wypił trzy kieliszki szampana, podczas gdy Paris zdołała uporać się ledwie z jednym, po powrocie zaś do pokoju rozpalił w kominku i popatrzył na Paris takim samym wzrokiem jak dwa i pół roku temu na Phyllis.

— Zmęczona? — zapytał cicho, Paris zaś skinęła głową, chociaż wcale nie odczuwała zmęczenia, była tylko zdenerwowana do granic możliwości. Trudno jej było określić, co czuje w tej chwili Jim — może nostalgię, przez cały wieczór zachowywał się tak cicho. A może, pomyślała z nadzieją, teraz właśnie i tutaj zamierza ostatecznie pożegnać się z Phyllis. Oby.

Nałożyła prostą atlasową koszulę nocną, spływającą wdzięcznie ku ziemi i podkreślającą walory sylwetki; kiedy wychodziła z łazienki, Jim leżał już w łóżku, mając na sobie sztywną piżamę z lnu. Był uczesany i świeżo ogolony. Paris czuła się jak panna młoda u progu nocy poślubnej, doświadczała wszystkich tych napięć, jakie są udziałem staroświeckich par które jeszcze ze sobą nie spały. Zaczynała się zresztą zastanawiać, czy nie lepiej byłoby dać sobie spokój z całym tym ceremoniałem i po prostu wgramolić się do łóżka, tak jak we własnym domu. Ale nie miała już odwrotu.

Ledwie zgasiła światło, Jim zaczął ją całować, a wszystkie tak długo przez oboje tamowane namiętności niczym wszechogarniająca powódź pograżyły i jego, i ją. Było żarliwiej, niż spodziewała się Paris, drugim więc prócz namiętności uczuciem, jakie ją ogarnęło, była ulga. Koszula nocna wylądowała na podłodze, piżama Jima nie wiadomo gdzie, zmienili się w kłębowisko ciał, dłońmi, stopami i wargami dokonywali coraz to nowych odkryć. A gdy właśnie już mieli stopić się w jedno, Jim nagle znieruchomiał i zeszywniał. Niecały.

— Wszystko w porządku? — wyszeptała w ciemnościach. Odsunął się tak gwałtownie, że ogarnął ją strach.

— Zamierzałem właśnie powiedzieć do ciebie „Phyllis” — wyznał bliski płaczu.

— Nic się nie stało, najdroższy... Kocham cię... Spokojnie... wszystko będzie dobrze — mruzczała pieściwie, gładząc go po głowie. Ale cofał się przed nią i mimo panujących w pokoju ciemności widziała na jego twarzy wyraz paniki. Nie miała pojęcia, co robić, choć z całych sił pragnęła mu pomóc. Nie był jej obojętny ani jako mężczyzna, ani jako człowiek.

— Nie mogę jej tego zrobić — wychrypiał. — Nigdy mi tego nie wybaczy.

— Sądzę, iż pragnęłaby, żebyś był szczęśliwy — odparła Paris, przesuwając dłoń na jego barki. — Wymasuję ci plecy i od razu poczujesz się lepiej. Nie musimy się dziś kochać, nie ma pośpiechu.

On jednak zapragnął nagle od niej uciec. Znaleźć się najdalej, jak to możliwe, od Paris i najbliżej, jak się da, Phyllis. Cofnąć czas i na powrót być z nią. Nie z Paris. I Paris to czuła. Wstał i nagi przeszedł przez pokój. Jak na swój wiek miał świetne ciało, w tej chwili jednak Paris wiedziała już ponad wszelką wątpliwość, że nie będzie miała z niego pociechy. Bez słowa zamknął się w łazience, a gdy pojawił się pół godziny później, był ubrany od stóp do głów. Z rozpaczą na twarzy podszedł do łóżka.

— Robię ci świństwo, Paris, wiem, ale nie mogę tu zostać. Chcę wracać do miasta. — Wyglądał, jakby przed chwilą umarł mu ktoś najbliższy. Skapitulował.

— Teraz? — usiadła na łóżku, a jej skóra zaskrzyła się perłowo. Paris była piękna, tak piękna jak w jego wyobrażeniach... ale nie mógł, po prostu nie mógł zrobić tego zmarłej żonie. Naprawdę wierzył, że mu nie wybaczy.

— Wiem, że uważasz mnie za wariata, chyba nim zresztą jestem. A może zwyczajnie jeszcze nie jestem gotowy, może nigdy nie będę. Kochałem ją zbyt mocno i zbyt długo, przeżyliśmy ze sobą zbyt wiele. Nie mogę jej porzucić ani zdradzić.

— To ona cię porzuciła — szepnęła łagodnym głosem Paris. — Nie zamierzała i na pewno nie chciała, ale nie był jej dany wybór. Odeszła, Jim, a ty nie możesz z nią umrzeć.

— Chyba umarłem. Chyba tamtej nocy umarłem w jej ramionach, ale po prostu o tym nie wiedziałem. Przepraszam, że ci to robię. Nie mogę wiązać się z inną kobietą ani teraz, ani później.

Tego właśnie obawiała się od początku, a jej nadzieja, że jest lepiej, okazała się płonna. Jim nie chciał wrócić do świata żywych, wybrał śmierć. I wobec tej decyzji Paris była bezradna. — Może najzwyczajniej położymy się razem spać, przytulimy do siebie. Nie musimy się kochać, bądźmy tylko ze sobą. Rankiem poczujesz się lepiej — powiedziała, zachęcająco klepiąc łóżko.

— Nie — wzdrygnął się, znów ogarnięty paniką. — Wróciłbym do miasta piechotą, gdybym nie miał innego wyjścia.

— Ubiorę się — rzekła cicho Paris, usiłując nie myśleć o tym, co się właśnie dzieje. Czuała się bezgranicznie smutna, odepchnięta. Nie złościła się na Jima, wiedziała, że nie może niczego brać do siebie... a mimo to przejmował ją ból. Była rozczarowana, że ich weekend — ich związek — diabli wzięli.

Dziesięć minut później ubrana w dżinsy i sweter, z pospiesznie spakowaną walizką, zbiegła w ślad za Jimem do samochodu i chwilę potem odjechali. W hotelowym komputerze zarejestrowane były dane karty kredytowej Jima, który w związku z tym nie musiał uiszczać rachunku. Musiał jedynie rozliczyć się z samym sobą. Odezwał się dopiero w połowie drogi do miasta, lecz zdołał tylko wykrztusić przeprosiny. Później milczał z kamienną twarzą; nie zareagował, gdy Paris usiłowała położyć dłoń na jego przedramieniu. Może, pomyślała Paris, wypił za dużo, może opętał go jakiś demon... Najpewniej jednak upomniała się o niego Phyllis.

— Nie zadzwonię do ciebie więcej — powiedział drewnianym głosem, gdy o wpół do trzeciej w nocy zatrzymał wóz przed domem Paris. — To nie ma sensu, Paris, już nie mogę. Wybacz, że zmarnowałem twój czas.

Był zły na siebie, ale mówił tak, jakby złościł się na nią.

— Nie zmarnowałeś mojego czasu — odrzekła miękko. — Jestem tylko rozczarowana w swoim i twoim imieniu. Mam nadzieję, że dla własnego dobra kiedyś się z tym uporasz. Nie zasługujesz na samotność do końca życia.

— Wcale nie jestem samotny, mam Phyllis i wszystkie nasze wspomnienia. — Spojrzał na nią oczyma, które wypełnione bezbrzeżnym bólem, przywodziły na myśl rozjarzone bursztyny. Rozpacz trawiła go jak ogień, pozostawiając po sobie tylko popioły. — A ty masz Petera.

Mogło się zdawać, że tymi słowami rozgrzesza siebie, a jednocześnie pociąga Paris w bagnisko nieszczęścia.

— Nie, Jim. Nie mam — zaprzeczyła Paris mocnym głosem. — Rachel go ma. Ja mam tylko siebie.

Wysiadła z samochodu, wzięła z bagażnika walizkę i ruszyła w stronę drzwi. Jim Thompson odjechał, zanim zdążyła je otworzyć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Zgodnie z wcześniejszą zapowiedzią Meg przywiozła Richarda Bolena do San Francisco na weekend Święta Pracy i chociaż wołałaby zamieszkać z nim w Ritzu-Carltonie, gdzie wziął pokój, koniec końców zatrzymała się u matki. Postąpiła tak zresztą w myśl sugestii samego

Richarda, który wnioskował prawidłowo, że „odbierając” Paris jej córuchnę, wyrze już na starcie najgorsze wrażenie. Posunięcie okazało się trafne, choć w najmniejszym stopniu nie uściło podejrzliwości Paris, która od pierwszej chwili okrążała go jak pies jeża, przewiercała wzrokiem i zadawała tysiące pytań na wszelkie możliwe tematy—od dzieciństwa po obecną pracę. I po trzech dniach spędzonych w jego towarzystwie musiała przyznać niechętnie, że obdarzyła go wielką sympatią.

Wielokrotnie jednak nawiedziła ją przy tym osobliwa myśl, że Richard jest dokładnie takim mężczyzną, z jakim to ona powinna się spotykać, nie zaś o połowę młodszą dziewczyną. Pewnego razu, gdy na kilka chwil zostali w ogrodzie sami, bo Meg poszła po coś na górę, dała otwarcie wyraz swoim wątpliwościom.

— Nie chcę być wścibska, Richard — powiedziała — ale czy nie jesteś zaniepokojony dzielącą was różnicą wieku?

— Próbuję nie być — odrzekł szczerze. — Ostatnia kobieta w moim życiu była ode mnie starsza, miała pięćdziesiąt cztery lata. Z zasady wiązałem się ze swoimi rówieśniczkami, moją ekszōną na przykład poznałem jeszcze w college'u.

Richard był przystojnym mężczyzną o wyrazistych rysach, nie wyglądał na swoje lata, a zielone oczy i płowozłote włosy w jakiś szczególny sposób upodobiały go do Paris i Meg, zwłaszcza do Paris. Meg zdawała się w jego obecności rozkwitać i rozluźniać, nabierała pewności siebie, toteż Paris zyskiwała coraz silniejsze przekonanie, że ich trwający od dwóch miesięcy związek może okazać się trwały, a przynajmniej bardzo poważny.

— Nie chcę wyrzucić na tobie wrażenia osoby staroświeckiej — powiedziała z zakłopotaniem, tym większym że przecież byli niemal rówieśnikami — poza tym jest zbyt wcześnie, byście mieli pewność co do swoich zamiarów, ale nie baw się nią, Richard, nie złam jej serca. Nie zasługuje na to. Jesteś starszy niż ona, mądrzejszy i znacznie silniejszy... więc nie baw się nią i nie krzywdź jej, jeśli nie traktujesz jej poważnie.

Oczywiście myślała w tej chwili o Chandlerze Freemanie, który młodą dziewczynę mógłby zetrzeć na miazgę. Chociaż miała przecucie, iż Richard jest ulepiony z innej gliny.

— Obiecuję ci, Paris — odparł z mocą — że tego nie zrobię. Jeśli natomiast solennie bym cię zapewnił, że traktuję ją poważnie... — wstrzymał na chwilę oddech — to czy miałabyś obiekcje?

— Nie wiem — wyznała. — Jeszcze muszę się nad tym zastanowić. Jesteś znacznie starszy od niej... Chcę tylko, by była szczęśliwa.

— Szczęście nie zawsze honoruje granice wieku — stwierdził z przekonaniem. — W istocie bardzo rzadko. Wiek w gruncie rzeczy nie ma znaczenia. Meg jest kobietą, którą kocham, Miłością tego rodzaju darzyłem tylko swoją ekszōną.

Paris popatrzyła nań przeciągle.

— Od jak dawna jesteś rozwiedziony?

— Od trzech lat — odparł cicho.

Paris odetchnęła z ulgą. Dobrze chociaż, że nie szalał od kilkunastu.

— Sporo czasu — zauważyła.

— Nie spotkałem nikogo, kto stałby się dla mnie ważny, to znaczy przed Meg. Zresztą nie przypuszczałem, że się zejdziemy, była przecież tylko przyjaciółką mojej córki.

— Człowiek nigdy nie wie, kiedy w jego życie wkroczy miłość i czyją będzie miała twarz. Chyba cieszę się, że w tym wypadku ma twoją.

Wiek Richarda wciąż budził w Paris mieszane uczucia, z drugiej strony jednak umożliwił jej nawiązanie z partnerem córki kontaktu, jaki po prostu z Peace'em czy Anthonyem —

niemal więc dziećmi — nie wchodził w grę. Richard był mężczyzną i porządnym człowiekiem, polubiła go i nie zataiła przed Meg swej opinii. Meg zaś nie posiadała się ze szczęścia.

Po ich wyjeździe Paris wciąż rozmyślała o dziwacznych zawirowaniach losu: facet, idealny z jej punktu widzenia, trafił się córce, ona zaś była skazana albo na wraki ludzkie w rodzaju Jima Thompsona, albo playboyów pokroju Chandlera Freemana, albo wreszcie takie podrzycone przez przyjaciół kukułcze jaja jak rzeźbiarz z Santa Fe. Chwilami miewała wrażenie, że nie może liczyć na nikogo lepszego, bo wszyscy lepsi są już z kimś związani. Wątpiła coraz poważniej, czy gdzieś na świecie czeka na nią drugi Richard Bolen, wyciągając z tego zwątpienia wniosek, iż samotność jest być może najsensowniejszą dla niej opcją. Samotność zresztą przestała ją przerażać, stawała się czymś naturalnym i możliwym do zaakceptowania: była lepsza niż związek z niewłaściwym mężczyzną. Brakło jej już energii na kolejne chybione inwestycje, nie była gotowa płacić za miłość każdej ceny.

Nazajutrz opowiedziała o Richardzie Bixowi.

— Szkoda — westchnął wysłuchawszy jej relacji. — Pasowałby ci taki facet, bije na głowę tych wszystkich czubków i nieszczęśników z okaleczonymi duszami. Chryste, czasem się zastanawiam, czy są jeszcze na świecie jacyś normalni mężczyźni.

— Ja też, ale w przeciwieństwie do ciebie jestem zmuszona dokonywać rozpoznania walką. Poza tym ci obdarzeni kręgosłupem moralnym i głową nie od parady, tacy jak Richard, wołają kobiety o połowę ode mnie młodsze. Czyli poleciliby na mnie, gdyby mieli na karku setkę.

— Bez przesady, poleci i jakiś sympatyczny pięćdziesięciolatek. Trzeba go tylko znaleźć.

— Powodzenia! — rzekła z głęboką ironią Paris.

— Sądzisz, że się z nią ożeni? — zapytał Bix.

— Nie wiem. Możliwe. W zeszłym tygodniu powiedziałabym: „Mam nadzieję, że nie”, w tym nie jestem już taka pewna. Teoretycznie jest dla niej za stary, ale kurczę, Bix, skoro się kochają i są ze sobą szczęśliwi, to dlaczego nie? Może wiek nie znaczy tak wiele, jak sądzimy.

— Jasne że nie. Popatrz tylko na Stevena i na mnie. Dzieli nas prawie taka sama różnica wieku jak Meg i Richarda, a przecież nie moglibyśmy być szczęśliwsi.

— Może ja też potrzebuję starucha. — Paris uśmiechnęła się szeroko. — Faceta o dwadzieścia cztery lata starszego ode mnie, a więc siedemdziesięcioletka. Może to naprawdę nie jest taka głupia myśl.

— Wszystko zależy od faceta — odparł z przekonaniem Bix. — Spotykałem siedemdziesięcioletków, za których oddałbym prawą rękę. Mężczyźni, którzy tego chcą, mogą w dzisiejszych czasach być młodzi jeszcze po przekroczeniu osiemdziesiątki. Znam w Los Altos kobietę, która jest żoną osiemdziesięciosześcioletniego gościa. Przysięga, że w życiu nie miała tak udanego seksu. A dwa lata temu urodziła dziecko.

— Świetny pomysł — stwierdziła rozbawiona Paris, chociaż mężczyzna osiemdziesięciosześcioletni wydawał się jej nieco zbyt zaawansowany wiekiem.

— Co? Osiemdziesięciosześcioletni facet? Znajdę ci takiego w okamgnieniu, będą ustawiać się w kolejce.

— Nie, mówię o dziecku. Boże, jakie to byłoby cudowne. Bo musisz wiedzieć, Bix, że chowanie dzieci udaje mi się najlepiej.

- Błagam, tylko nie to! — jęknął przewracając oczami. — Zatrudniłem cię, bo jesteś dorosła, samotna, masz podchowane dzieciaki, nie zamierzałaś zachodzić w ciążę ani też rodzić na najbliższym przyjęciu. Jeśli wykręcisz mi taki numer, Paris, zabiję cię. Paris nie brała pod uwagę możliwości zajścia w ciążę ponieważ jednak coraz częściej dochodziła do wniosku, że zapewne pozostanie samotna, igrała z myślą o adoptowaniu dziecka. Nie wspominała o tym ani Meg, ani — tym bardziej — Bixowi, który bez wątpienia zareagowałby atakiem apopleksji. Zresztą wcale nie była pewna, czy serio rozważa podobną ewentualność czy też hołubi ją w głębi ducha tylko po to, aby oszukać nieubłagany czas i przekonać samą siebie, że jest wciąż młoda.

Oczywiście na tym etapie nie była gotowa wziąć się za bary z wyzwaniem tak poważnym jak wychowywanie dziecka, chętnie natomiast o tym rozmyślała.

W następnym tygodniu temat dziecka — jakby wywołany jej spekulacjami — wypłynął ponownie, tym razem jednak w zasadniczo odmienny sposób, zadzwoniła bowiem Meg i poinformowała Paris, że Rachel jest w ciąży — konkretnie w szóstym tygodniu — i rozwiązania oczekuje w maju. Peter był ponoć niebywale podekscytowany. Kiedy zakończyły rozmowę, Paris długo siedziała nieruchomo, gapiąc się w przestrzeń. Teraz Peter odszedł na dobre, ostatecznie związał swe życie z Rachel; to było jak bolesny cios wymierzony w samo serce.

Nazajutrz zadzwonił Wim oznajmiając gniewnie, że uważa ojca za kompletnego idiotę, któremu na stare lata zachciało się płodzić dzieciaki. Meg była w swoich sądach znacznie powściągliwsza, ale z pewnością też nie skakała z radości: dla Paris nie ulegało wątpliwości, że jej dzieci poczuły się zagrożone, co zważywszy na ich wiek i całkowitą samodzielność, należało uznać za dziwne. Może powodowała nimi lojalność wobec matki, może świadomość, że Rachel kompletnie owinęła sobie Petera wokół małego palca, absorbując całą jego energię i uwagę. Wedle relacji Meg Peter myślał ponoć o adoptowaniu synków Rachel, którzy z biologicznym ojcem nie utrzymywali żadnych kontaktów. Świat Armstrongów stanął na głowie, trudno było zaprzeczyć, zwłaszcza świat Paris, która mimo dwojga kochanych i kochających dzieci czuła się jak ktoś odstawiony na boczny tor. Wim i Meg podążali już własnymi drogami, Peter miał nową rodzinę i tylko ona była samotna. Nielatwo się z czymś takim pogodzić.

Jak zawsze w chwilach depresji poszukała ucieczki w pracy, której Bix ochoczo dostarczał jej w nadmiarze — przygotowywali dwa największe wydarzenia kulturalne sezonu: premiery w operze i filharmonii, a poza tym całą serię większych i mniejszych przyjęć. Mniej więcej w połowie tego niebywale pracowitego okresu Bix zjawił się w jej gabinecie, mając nader niemądry wyraz twarzy. Nie uszło to uwadze Paris, która знаła go jak zły szeląg i chwilami doznawała wrażenia, że potrafi mu czytać w myślach.

— No dobra, zbrodniarzu — powiedziała oskarżycielskim tonem. — Co znowu narozrabiałeś? Wszystkie znaki na niebie i ziemi zdają się wskazywać, że przyjąłeś trzy zlecenia na jeden termin, może nawet cztery. I to same huczne wesela. Albo wykręciłeś podobnie koszmarny numer.

Bix bowiem nie potrafił odmawiać i czasem oboje wychodzili ze skóry, żeby doprowadzić jakoś do szczęśliwego finału kilka imprez odbywających się tego samego dnia.

- Nic z tych rzeczy, po prostu przyszła mi do głowy pewna myśl.

— Niech zgadnę... chcesz wziąć na siebie organizację karnawału w Rio?... Albo wydzierżawić PacBell Park i na całym terenie urządzić garden party?... Albo każesz mi ściągnąć na jakąś imprezę Rockettes, chociaż nie mają najmniejszej ochoty przyjechać?

Roześmiał się i gorączkowo pokręcił głową.

— Nie, nie i nie. Po prostu chcę, żebyś zrobiła coś, co ci się na pewno nie spodoba.

— Wraca Jane? Chcesz mnie wylać? — zapytała z prawdziwym niepokojem.

Utrata pracy, którą tak pokochała, była czymś, czego obawiała się najbardziej.

— Diabła tam wraca. Chyba znowu jest w ciąży, coś mi tam ostatnio napomykała. Nie, Jane jest dla mnie stracona, a ciebie nie oddam za żadne skarby. Ale chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła. Obiecuj, że to zrobisz i że przedyskutujemy rzecz dopiero później.

— Czy wiąże się z tym paradowanie na golasa bądź też publiczne oddawanie się czynom lubieżnym? — spojrzała na Bixa podejrzliwie, a gdy ten zdecydowanie zaprzeczył, powiedziała: — Dobra, obiecuję. Ufam ci. No więc o co chodzi?

— Chcę, żebyś poszła na randkę w ciemno. Wiesz, jak ich nienawidzę i jak nie wierzę w ich sens. Wszyscy, którzy twierdzą, że znaleźli w ten sposób życiowych partnerów, łąą jak najęci. Sam na randkach w ciemno spotykałem tylko świrów i wyjątkowo obleśnych typów. Ale ten facet jest dla ciebie idealny, poznałem go w zeszłym tygodniu. To słynny pisarz, zamówił u nas przyjęcie urodzinowe dla swojej matki. Niebywale inteligentny, ma klasę. Moim zdaniem dokładnie ktoś taki, kogo potrzebujesz. Owdowiał pięć lat temu, ale o żonie mówi rozsądnie, bez śladu obsesji. Ma troje dorosłych dzieci, mieszka albo tu, albo w Anglii, nosi się tweedowo, jeśli wiesz, co mam na myśli, pół roku temu zerwał z przyjaciółką mniej więcej w twoim wieku, no i wydaje się zdumiewająco normalny.

— Choć pewnie nie jest. Zapytałeś, czy lubi się stroić w damskie ciuszki?

— Nie, ale zadałem wiele innych pytań. Pomyślałem o tobie, kiedy go tylko zobaczyłem. Spotkasz się z nim, Paris? Nawet nie musisz umawiać się na kolację, nie wspominałem mu o tobie. Możemy po prostu pójść razem na drugą rozmowę lub też możesz wybrać się sama. No i jak będzie?

Wbrew sobie była zaintrygowana: Malcolm Ford — tak bowiem nazywał się pisarz — należał do literackiej czołówki, jego książki, z których trzy znała i ceniła, regularnie trafiały na szczyty list bestsellerów. Poza tym Bixowi bardzo spodobał się jego dom.

— Dobra, pójdę z tobą — powiedziała w końcu, chociaż po przygodzie z rzeźbiarzem przysięgła sobie już nigdy nie iść na randkę w ciemno. Ale to nie była właściwie randka w ciemno, tylko spotkanie o charakterze służbowym. — Kiedy jesteś z nim umówiony?

— Jutro rano, o wpół do dziesiątej — odparł zadowolony Bix.

Nazajutrz wpadł po nią o dziewiątej piętnaście, Malcolm Ford bowiem mieszkał w pobliżu, na górnym Broadwayu, w dzielnicy zwanej Złote Wybrzeże, gdzie wznosiły się najzamożniejsze rezydencje miasta. I chociaż jego dom istotnie wywierał duże wrażenie, sam Ford — ubrany w dżinsy i znoszony irlandzki sweter szpakowaty mężczyzna o stalowo-błękitnych oczach — prezentował się skromnie i bezpretensjonalnie. W bibliotece pełnej zarówno ustawionych na półkach rzadkich pierwszych wydań jak i poukładanych w stosy na podłodze jeszcze ciepłych nowości, wyjaśnił Bixowi i Paris, że zależy mu na przyjęciu kameralnym, dyskretnie eleganckim i wolnym od wszelkich ekstrawagancji. Solenizantka kończyła dziewięćdziesiąt lat, Ford zaś — o czym Paris wiedziała od Bixa — przekroczył właśnie sześćdziesiątkę. Okazał się sympatycznym rozmówcą i rzeczywiście zupełnie normalnym człowiekiem: miał wprawdzie dom w Anglii, lecz nie jeździł ferrari i nie pilotował własnego samolotu, weekendy spędzał na swojej daczce w Sonomie, celowo utrzymywanej — jak wyznał bez owijania w bawełnę — w stanie kontrolowanego nieładu. Przemawiało więc za nim wszystko — charakter, powierzchowność, majątek i skromność

zdumiewająca u człowieka, który odniósł taki sukces — kiedy więc wychodzili ze spotkania, Bix posłał Paris zwycięskie spojrzenie. Znalazł dla niej klejnot.

— No i co, miałem rację? — zapytał w drodze do biura. — Fantastyczny, prawda? Sam nieomal zakochał się w Fordzie, który skądinąd trochę przypominał Stevena.

— Bez dwóch zdań — zgodziła się Paris, ale miała nieprzenikniony wyraz twarzy i nie uzupełniła żadnymi poetycznymi zachwytemi opinii Bixa.

— No więc? — nalegał Bix lekko stropiony jej powściągliwością. — Czego mi nie mówisz?

— Nie wiem... pewnie uznasz mnie za idiotkę. Jest strasznie sympatyczny, przystojny, bez wątplenia inteligentny. Ma wspaniały dom. Ale nie wywołuje we mnie iskrzenia, nie przyprawia o szybsze bicie serca. Jeśli już coś, to budzi we mnie uczucie znudzenia.

— Cholera — jęknął z rezygnacją Bixby. — Znajduję w końcu skarb, a ty go nie chcesz. Wiedział jednak dobrze, że bez tajemniczego iskrzenia żaden związek nie ma przyszłości. To ono, trudne, a nawet niemożliwe do zdefiniowania, decydowało o wszystkim.

— Niewykluczone, że wina leży po mojej stronie, niczego nie czuję. Gdybym spotkała go na przyjęciu, zapewne nie zwróciłabym nań najmniejszej uwagi. Po prostu nic nie czuję.

— Cóż, i to by było na tyle — stwierdził smętnie Bix.

— Ale czy jesteś zupełnie pewna? Podjęłaś decyzję okropnie szybko.

— Stuprocentowo pewna, niezupełnie natomiast pewna, czy chcę jeszcze jakiegoś faceta. Dobrze mi tak, jak jest.

— I właśnie w takiej sytuacji trafiają się ci najlepsi. Podobno. Kiedy wszystko ci obojętnieje, zaczynają do ciebie ciągnąć jak muchy do miodu. Boże, gdyby ten facet był gejem, a ja byłbym wolny, rzuciłbym się na niego jak tygrys.

— Byłby szczęśliwy, gdyby o tym wiedział — roześmiała się Paris. — Ale chyba nie jest gejem i tylko najzwyczajniej w świecie nie wpadł mi w oko. Sądzę, że ja jemu też nie. Zero iskrzenia, zero kontaktu. Po obu stronach.

— Cóż, a więc wracamy do etapu szkiców wstępnych

— rzekł pogodnie Bix.

— Daj jeszcze szkicownikowi odpocząć, mężczyźni chwilowo mi się przejedli — odparła Paris, a Bix całkowicie rozumiał jej punkt widzenia. Po rozczarowaniu, jakie przeżyła za sprawą Jima Thompsona, nie mogła sobie pozwolić na kolejne, zaznała ich już zbyt wielu. Na początku października siedzieli z Bixem w biurze, opracowując detale wesela, które mogło się okazać towarzyskim wydarzeniem roku, może nawet dekady. Korzystali z grona stałych współpracowników i tylko fotografa rodzice panny młodej postanowili sprowadzić z Paryża — rzecz zrozumiała, skoro byli Francuzami.

— Mamy zarezerwować dla niego pokój? — zapytała Paris zerkając w notatki.

— Już się tym zająłem. Będzie mieszkał w Sir Francis Drake, dali mi tam dobrą ofertę.

Przyjeżdża w towarzystwie dwóch asystentów, i to już za godzinę, bo jeszcze przed ślubem będzie robił portrety rodzinne.

Wszyscy goście z Europy — tuzin krewnych i dwa razy tyle najbliższych przyjaciół, często osób o arystokratycznych parantelach — mieli zabukowane apartamenty w Ritzu, tak więc pozostawało tylko odebranie wypożyczonego dla fotografa vana, co należało, niestety, zrobić w mieście, nie zaś na lotnisku.

— Facet może przyjechać taryfą — stwierdził Bix.

— Odbiorę go — zadeklarowała Paris. — Bóg wie, czy mówi po angielsku, a tylko tego nam trzeba, żeby jakiś rozpieszczony Francuzik rozpętał aferę na lotnisku, a potem pobiegł na skargę do naszych klientów. Mam po południu trochę czasu, nie będzie więc problemu. — Jesteś pewna? — Bix był zdania, że Paris ma do roboty ważniejsze rzeczy niż udzielanie się w charakterze szofera.

Paris skinęła głową: lubiła wiedzieć, że wszystko jest dopięte na ostatni guzik, i nie miała nic przeciwko temu, żeby czasem ten ostatni guzik dopinać osobiście.

Pięć minut później wyjechała z biura, mając nadzieję, że jej kombi zdoła pomieścić cały sprzęt. W razie czego zamierzała jednego lub nawet obydwu asystentów wysłać taksówką; istotne było tylko to, by sam artysta czuł, iż potraktowano go z wszelkimi honorami należnymi słynnemu fotografowi, a w dodatku Francuzowi. Paris wiedziała to i owo zarówno o fotografach, jak i Francuzach. Poza tym wypad na lotnisko potraktowała jako mile widzianą przerwę w rutynowych zajęciach. Dzień był pogodny i rześki, San Francisco wyglądało w jesiennym słońcu wręcz cudownie.

Po przyjeździe na miejsce zajęła dogodnie stanowisko obserwacyjne, licząc, że rozpozna swoich podopiecznych po statywach i futerałach z aparatami, o ile bowiem prace Jeana-Pierre'a Belmonta znała z magazynu „French Vogue”, o tyle nie miała bladego pojęcia, jak wygląda ich twórca. W końcu wypatrzyła trzech mężczyzn odpowiadających kryteriom, jakie w myślach wyznaczyła: siwowłosy dystygowany mężczyzna w jesionce i szaliku dźwigał dwie olbrzymie srebrne walizy, za nim zaś postępowało dwóch młodzieńców w dzinsach i skórzanych kurtkach. Jeden, ogniście rudowłosy, sprawiał wrażenie czternastolatka, drugi — przystrojony brylantowym kolczykiem w uchu chochlikowato uśmiechnięty brunet o nastroszonej czuprynie — mógł być nieco starszy.

Paris dopadła ich w kilku krokach.

— Witam — powiedziała do starszego mężczyzny, uśmiechając się promiennie. — Jestem Paris z firmy Bixby'ego Masona. Czy mam przyjemność z panem Belmontem?

Usłyszała śmiech bruneta, chichot rudzielca, starszy pan z zakłopotaniem pokręcił głową. Było oczywiste, że nie mówi po angielsku.

— Szuka pani monsieur Belmonta? — zapytał chochlik z nastroszonymi włosami i kolczykiem w uchu.

— W rzeczy samej — odparła uprzejmie, przyglądając mu się z uwagą. Był niewiele wyższy od niej, ale z bliska wydawał się starszy, niż zrazu uznała. Nie osiemnasto- czy dwudziestoletni, lecz raczej w wieku Meg. — Czy to on? — spytała pokazując starszego mężczyznę prawie niedostrzegalnym ruchem głowy.

— Non—zaprzeczył chochlik, a Paris pomyślała z trwogą, że być może przegapiła fotografa z orszakiem, obstawiając w zamian trzech zupełnie innych facetów. — Ja jestem monsieur Belmont — oświadczył z bezgranicznym rozbawieniem. — Twoje imię jest Paris? Jak miasto? — spytał, a gdy potwierdziła, ogarnięta ulgą, że ten chłopyś jest słynnym francuskim fotografikiem, dodał tonem wyjaśnienia: — Parys to męskie imię. Z greckich mitów.

— Wiem. Z moim imieniem wiąże się długa historia — odparła, ale nie wdała się w wyjaśnienia dotyczące podróży poślubnej rodziców. — Macie ze sobą cały bagaż?

— Mamy wszystko. Niewiele bagażu, tylko aparaty. Było w nim coś niebywale czarującego — może mocny

francuski akcent, może włosy, kolczyk lub uśmiech. Tak czy inaczej Paris ogarniała wesołość, ilekroć na niego patrzyła. Rudowłosy młokos okazał się dziewiętnastoletnim

kuzynem Jeana-Pierre'a, sam Belmont zaś, jak wyszło później na jaw, miał trzydzieści dwa lata. Zachowywał się jednak i wyglądał jak ktoś o wiele, wiele młodszy: był uosobieniem paryskiego wdzięku, swobody i luzu.

Pozostawiła ich na pięć minut pod opieką bagażowego, przyprowadziła wóz, a potem patrzyła oszołomiona, jak sprawnie i precyzyjnie pakują sprzęt: potrzebowali zaledwie chwil, żeby uporać się z problemem i zająć miejsca w aucie — Jean-Pierre z przodu, jego asystenci zaś z tyłu.

— Jedziemy do hotelu czy najpierw zobaczyć dziewczynę młodą? — zapytał, kiedy ruszyli w stronę miasta.

— Sądzę, że jesteś oczekiwany nieco później, więc moim zdaniem powinniśmy najpierw pojechać do hotelu, gdzie odpoczniecie, zjecie coś, wykąpiecie się i przygotujecie — odparła powoli i bardzo wyraźnie.

Skinął głową, przez jakiś czas z zainteresowaniem wyglądał przez okno, a wreszcie zapytał:

— Co ty robisz? Jesteś sekretarka... asystentka matki narzeczonej?

— Nie, planuję wesele. Firma Bixby'ego Masona. Kwiaty, muzyka, wystrój. Zatrudniamy cały niezbędny personel.

Ponownie skinął głową na znak, że rozumie, a następnie zapalił gauloise'a papier mais — w jasnożółtej bibulce z kukurydzy. Aromatyczny zawieszisty dym wypełnił całe wnętrze samochodu.

— Nie szkodzi? — zapytał już po fakcie, przypominając sobie, jak mało wyrozumieli wobec palaczy są Amerykanie.

— Nie szkodzi — odparła Paris. — Wiele lat temu sama paliłam. Przyjemnie pachnie.

— Merci — rzucił pogodnie i zamieniwszy ze współpracownikami kilka zdań, ponownie zwrócił się do Paris, która z tego krótkiego dialogu nie zrozumiała ani słowa. — Jest dobre wesele? Piękna suknia? Dobra?

— Bardzo — zapewniła. — Piękna dziewczyna, piękna paryska suknia od Balmaina.

Przystojny pan młody. Fantastyczne przyjęcie. W Muzeum Legii Honorowej. Siedemset osób.

Rodzina Delacroix, kontrolująca ogromną część francuskiej branży tekstylnej, za rządów socjalistów uciekła do Stanów przed podatkami, by w końcu zamieszkać tu na stałe, niemniej jednak poszczególni członkowie rodziny spędzali w ojczyźnie tyle czasu, ile mogli bez narażania się na komplikacje.

— Duże pieniądze, tak? — spytał.

— Bardzo duże — odrzekła z uśmiechem, ale nie uściśliła, że koszt wesela sięgnął dwóch i pół miliona dolarów. Ładna sumka.

Kiedy dotarli do hotelu, zleciła w recepcji, by podstawiono im samochód — mieli tylko pokazać prawa jazdy i podpisać dokumenty najmu — a potem wręczyła Belmontowi plan miasta i zaznaczyła, gdzie mają się stawić na szóstą.

— Dasz sobie radę? — spytała. Mimowolnie dmuchnął jej w twarz obłokiem dymu, poproszony przez recepcjonistę o zgaszenie papierosa, posłusznie podbiegł do popielnicy z piaskiem, a potem wrócił do Paris, która podała mu wizytówkę. — Dzwon, jeśli będziesz czegoś potrzebować.

Gdy się rozstali w foyer, miała wrażenie, że przeszła właśnie przez oko cyklonu czy raczej obejrzała współczesny wideoklip pełen najrozmaitszych min, kłębow dymu, wymachujących rąk i niezrozumiałych zdań. Lecz mimo młodego wieku i podobieństwa do

zwariowanych przyjaciół Meg Jean-Pierre Belmont wydawał się człowiekiem doskonale panującym nad wszystkim, co robi i mówi.

W samochodzie Paris wciąż unosił się zapach jego papierosów w kukurydzyanych bibułkach.

— Wszystko poszło dobrze? — zapytał na jej widok Bix. Zerknęła na najnowsze wiadomości i skinęła głową.

— Doskonale — odparła i złożyła zwięzły meldunek na temat swojego spotkania z francuskim fotografikiem. — Wygląda na jakieś dwanaście lat, no, może troszkę więcej — dodała.

— Spodziewałem się kogoś starszego — stwierdził Bix.

— Ja też. To Francuz z krwi i kości. Szkoda, że Meg ma już chłopaka, Jean-Pierre na pewno przypadłby jej do gustu.

W istocie jednak była najdalsza od podobnych ubolewań, trwający bowiem od trzech miesięcy związek z Richardem sprawiał, że Meg wręcz promieniała szczęściem.

Wieczorem Paris i Bix nadzorowali odbywające się w rezydencji państwa Delacroix przyjęcie dla trzydziestu osób, głównie pierwszych gości przybyłych z Francji, Paris zaś miała okazję obejrzeć Jeana-Pierre'a przy pracy. Najpierw fotografował Ariane Delacroix — która w sukni ślubnej wyglądała jak księżniczka z bajki i którą natychmiast zaraził swoim uśmiechem — potem zaś, posługując się rozmaitymi aparatami, które podawali mu asystenci, wykonał kilka portretów rodzinnych. Dostrzegł Paris, puścił do niej oko, a kiedy Ariane Delacroix poszła na górę, żeby przebrać się w suknię wieczorową, w której miała pozować do wspólnego zdjęcia z matką, podszedł i zapytał:

— Chcesz, żebym ci zrobił zdjęcie?

Stanowczo pokręciła głową: wyrażając zgodę, postąpiłaby w najwyższym stopniu nieprofesjonalnie.

— Nie, serdeczne dzięki — powiedziała z uśmiechem.

— Masz piękne oczy — stwierdził i popatrzył na nią w taki sposób, że przez jej całe ciało przebiegł dreszcz. Zareagowała nań całkowicie odmiennie niż na Malcolma Forda; porozumiewała się z nim z najwyższym trudem, wyglądał na połowę od niej młodszego, a przecież elektryzował ją swoją męskością, przemawiał wprost do zmysłów. Nie potrafiła i nie chciała tego tłumaczyć. Nie miał w sobie nic czułego, subtelnego czy ostrożnego—był jaskrawy, naładowany energią i śmiały. Jego roziskrzone oczy, nastroszone włosy, nawet kolczyk w uchu rzucały coś na kształt wyzwania. Wychodząc z pokoju Paris czuła się tak, jakby właśnie poraził ją prąd.

— Nic ci nie jest? — zagadnął Bix dochodząc do wniosku, że przyjaciółka ma dziwny wyraz twarzy.

— Nic a nic — odparła.

Wraz z Bixem opuszczała rezydencję w tym samym czasie co Jean-Pierre i jego asystenci — kiedy gospodarze i goście zasiedli do stołu. Uśmiech, jaki na pożegnanie posłał jej Jean-Pierre, nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości; był otwartym, bezwstydnym zaproszeniem do flirtu.

— Gorący towarek — zauważył Bix. — W młodych latach dostałbym zajoba na jego punkcie.

Wybuchł śmiechem, a Paris mu zawtórowała.

— Ja dostaję w starych — odparła niezupełnie żartem. W ciągu kilku następnych dni ich ścieżki bez przerwy się

krzyżowały. Jean-Pierre pracował nieustannie — to przykucał przed ludźmi, to się skądś zwieszał, to omal nie spadał ze schodów, to znów z bliska atakował twarze fotografowanych obiektywem aparatu. Trwał w ciągłym ruchu, a jednak ilekroć w pobliżu pojawiała się Paris, nawiązywał z nią kontakt wzrokowy. Podszedł do niej wszakże dopiero wtedy, gdy panna młoda opuściła już towarzystwo.

— Bardzo dobrze! — stwierdził. — Bardzo, bardzo dobre małżeństwo! Piękne zdjęcia... piękny wystrój... et les fleurs!

— Istotnie, zaprojektowane przez Bixa aranżacje kwiatowe były wręcz niewiarygodne: skomponowano je z róż, konwalii i nieznanych dotąd Paris maleńkich prześlicznych kwiatków, sprowadzonych za horrendalne pieniądze z Afryki, Francji i Ekwadoru.

Oświetlenie zaś Muzeum Legii Honorowej było godne Wersalu. — Pojedziemy na drinka? — zapytał Jean-Pierre, a Paris doszła do wniosku, że właściwie czemu nie. Miał pozostać w San Francisco zaledwie kilka dni, chociaż jego asystenci wyjeżdżali już nazajutrz. — Może twoim autem?

Powiedziała, że spotkają się na zewnątrz za dziesięć minut.

Bix nie miał żadnych zastrzeżeń, gdy poinformowała go, że chce się zbierać; sam zresztą szykował się do wyjścia, bo na przyjęciu pozostało już jedynie kilku maruderów.

— Super było, nie? Odwaliliśmy kawał dobrej roboty

— powiedział zmęczony, lecz rozpromieniony.

— Ty odwalileś. Ja byłam zaledwie pomocnicą, doglądałam tylko szczegółów. Nic by nie wyszło bez twojego geniuszu, Bix.

Podziękował jej, pocałował na dobranoc i już chwilę później, odebrawszy wóz od parkingowego, Paris mknęła z Jeanem-Pierre'em w ciemną noc. O tej porze nie bardzo mieli dokąd iść, na szczęście jednak Paris przypomniała sobie o otwartej dwadzieścia cztery godziny na dobę jadłodajni, która tak spodobała się Jeanowi-Pierre'owi, że natychmiast obfotografował ją ze wszystkich stron. Całą rolkę filmu poświęcił też Paris. Potem usiadł przy stoliku, zamówił naleśniki z jajecznicą i zaczął je pałaszować. Przez cały wieczór nie miał czasu, żeby coś przekąsić.

— Uwielbiam Amerykę — oświadczył radośnie, bardziej niż kiedykolwiek sprawiając wrażenie elfa przybyłego z innej planety. Był średniego wzrostu, ale muskularny i giętki tą niepodrabialną gibkością młodego chłopca. — Jesteś mężatką?

— zapytał.

Przeczuwała, że nawet odpowiedź twierdząca nie zbiłaby go z tropu.

— Nie, rozwódką — odparła z uśmiechem.

— Szczęśliwa czy smutna?

— Z powodu rozwodu? — Skinął głową. — I jedno, i drugie. Na początku bardzo smutna. Bardzo, bardzo smutna. Teraz już mniej.

— Masz małego przyjaciela? — zapytał, a kiedy wywnioskował z jej miny, że nie rozumie, uczynił taki gest, jakby kogoś czule obejmował. — Un petit ami?

Pojęła wreszcie.

— Chłopaka? Nie, nie mam chłopaka.

Wymierzyła weń palec, domagając się odpowiedzi na to samo pytanie.

— Mój a mała przyj aciółka... mój a dziewczyna... odeszła... Jestem bardzo smutny. —

Skrzywił twarz w tragicznym grymasie i powiódł palcami w dół policzków, szlakiem wyimaginowanych łez. — Teraz jestem barrrdzo szczęśliwy. Była wielki kłopot. — Paris roześmiała się, on zaś natychmiast przeszedł do kontrofensywy. — Masz dzieci?

— Dwoje. Syna i córkę. Pewnie starszą niż ty. Ile masz lat, nawiasem mówiąc?
 Parsknął śmiechem; rzadko komu udawało się odgadnąć jego prawdziwy wiek.

— Trzydzieści dwa.

— Nie wyglądasz na tyle.

— A ty? Trzydzieści pięć?

— Merci. — Teraz z kolei Paris wybuchła śmiechem.

— Czterdzieści siedem.

— Bravo. Też jesteś młoda na wygląd. Pochodzisz z Kalifornii?
 Uwielbiała jego akcent i roztańczone oczy.

— Z Nowego Jorku. Potem mieszkałam w Connecticut, a teraz, po rozwodzie, przeniosłam się tu. W Kalifornii są moje dzieci.

— W jakim wieku?

— Córka ma dwadzieścia cztery lata, syn dziewiętnaście. On studiuje, ona—mieszka w Los Angeles i pracuje w filmie.

— Bardzo dobrze. Actricet

— Nie, w produkcji. — Paris upiła łyk herbaty i przełknęła kęs angielskiej bułeczki, którą zamówiła dla siebie, chociaż nie była głodna. — Jak długo tu zostaniesz? — spytała. Miała ochotę jeszcze się z nim zobaczyć, mimo że uważała to za niemądre. Był młody, zbyt młody dla niej, choć tak pociągający.

— Nie wiem—odrzekł.—Trzy dni. Cztery. Może pojedę do Los Angeles i popracuję. Mam wizę na pół roku. Może zostanę miesiąc. Nie wiem. Chcę zobaczyć Lac Tahoe, Carmel, Los Angeles, Santa Barbara. En venture. — Wykonał dłońmi gest, jakby trzymał kierownicę. — Może fotografuję dla „Vogue'a” w Nowym Jorku. Jestem bardzo zmęczony. Ciężko pracuję. Maintenant peut-e.tre des vacances. On verra.

Powiedział to powoli, zrozumiała więc: może zrobi sobie wakacje, zobaczymy.

Wyszli z jadalni o trzeciej. Paris zawiozła go do hotelu, on zaś na pożegnanie pocałował ją w oba policzki. Po powrocie do domu zrzuciła ubranie, padła na łóżko i wbiła wzrok w sufit. Jean-Pierre pociągał ją z nieprzewartą mocą. Był chłopcem, utalentowanym chłopcem, pełnym życia i wdzięku. Jakże chętnie umknęłaby z nim gdziekolwiek na dzień albo dwa... To niemożliwe jednak, uznała, i niemądre. Ale przyjemnie jest czasem pomarzyć, nawet jeśli człowiek ma czterdzieści siedem lat.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Nazajutrz rano zadzwonił telefon komórkowy Paris przewróciła się w łóżku na bok i sięgnęła po aparat.

— Bonjour — dobiegł ją ze słuchawki głos Jeana-Pierre'a.

— Jak się miewasz? — zapytała pogodnie.

— Bardzo dobrze. Et toi}

— Jestem zmęczona — odparła i przeciągnęła się leniwie.

— Ja cię budzę? Bardzo przepraszam. Co robisz ty dzisiaj?

— Je ne sais pas — powiedziała powoli. — Nie wiem. Miała wolną niedzielę i zamierzała jedynie dojść do siebie po wczorajszym weselu.

— Oglądam Sausalito. Chcesz pojechać ze mną? Uśmiechnęła się: pomysł był wariacki, ale przypadł jej do

gustu. Z Jeana-Pierre'a emanowała radość, pogoda ducha, chęć życia, stanowił całkowite zaprzeczenie przygnębionego, trudnego w kontaktach Jima Thompsona, a nawet wyrafinowanego i zręcznego Chandlera. W tym chłopcu — tylko tak bowiem nazywała go w myślach — nie było odrobiny sztuczności czy pozy, nawet w swej łamanej angielszczyźnie nazywał rzeczy po imieniu i mając z nim do czynienia człowiek mógł żywić całkowitą pewnością, że nie uczestniczy w żadnej grze. Pomyślała, żeby zabrać go do Tiburonu i zjeść z nim lunch U Sama, w restauracji nad wodą i z odkrytym tarasem. Czuła, że to miejsce bardzo mu się spodoba. Zerknęła na zegarek — właśnie minęła jedenasta.

— Wpadnę po ciebie w południe — powiedziała.

— W południe? — Najwyraźniej nie skojarzył od razu.

— O dwunastej — uściśliła.

— Ah bon, midi. D'accord.

— Dakor? — Teraz Paris nie połapała się, co ma na myśli.

— D'accord znaczy „w porządku” — wyjaśnił. Spodobał się jej sposób, w jaki wypowiedział te słowa. Podobało się jej w nim wszystko i w tym właśnie tkwił sęk. Wzięła prysznic, nałożyła czerwony sweter i dzinsy, wyjęła z szafy groszkowy płaszcz. Dla Jeana-Pierre'a nie musiała się odstawiać jak stróż w Boże Ciało, a zresztą — mówiła sobie — wyruszają tylko na krótką niewinną wycieczkę turystyczną. Poza tym Jean-Pierre wyjeżdża już za kilka dni.

Żwawo wskoczył do samochodu, kiedy zajechała pod hotel. Miał w kieszeni aparat, nosił dzinsy, czarny sweter i czarną skórzaną kurtkę. Z najeżoną czupryną i kolczykiem w uchu wyglądał jak piosenkarz rockowy. Gdy mu to powiedziała, parsknął śmiechem.

— Nie umiem śpiewać — oznajmił, sugestywnie udając, że się dusi.

Dzień był pogodny, powietrze przejrzyste i Jean-Pierre robił przez okno zdjęcia podczas jazdy do Tiburonu, kiedy zaś zasiedli U Sama — lokal, zgodnie z przypuszczeniami Paris, naprawdę przypadł mu do gustu — wyjaśnił, że namiętnie fotografuje od wczesnego dzieciństwa. Powiedział jeszcze, że po śmierci rodziców wychowywała go starsza siostra, którą bardzo kocha, że ożenił się w dwudziestym pierwszym roku życia, ma dziesięcioletniego syna, ale nie widuje go prawie wcale, bo jest w złych stosunkach z jego matką.

— To bardzo smutne — uznała Paris, a gdy pokazał jej zdjęcie uroczego dzieciaka, zapytała: — Gdzie mieszkają?

— W Bordeaux. Wcale nie lubię to miejsce. Dobre wino, ale dziura.

Łatając angielski francuskim i na odwrót zdołali zupełnie sensownie pogadać o swoich dzieciach, przyczynach rozvodu Paris i jej pracy u Bixa; Jean-Pierre wyznał, że San Francisco bardzo mu się podoba i chciałby zrobić w Stanach mnóstwo zdjęć. Po lunchu pojechali do Sausalito, a podczas spaceru Jean-Pierre zapytał, czy do Sonomy jest bardzo daleko.

— Niezbyt — odparła Paris. — Chcesz tam jechać?

— Maintenant Zaraz?

— Jasne.

— Dobra.

Krążąc wśród winnic, dotarli do Napa Valley, a ponieważ była już pora kolacji, zatrzymali się przy małym bistrze, w którym ku wielkiej uciesze Jeana-Pierre'a wszyscy mówili po francusku. Około dziewiątej ruszyli w drogę powrotną, by dotrzeć do San Francisco o wpół do jedenastej. Oboje uznali dzień za niezwykle udany.

— Co robisz jutro, Paris? — zapytał Jean-Pierre, kiedy wysadzała go pod hotelem.
— Pracuję — stwierdziła ze smutkiem. — A ty? — Miała zamiar pokazać mu biuro, kiedy jednak odparł, że z samego rana wyjeżdża do Los Angeles wynajętym samochodem, spytała tylko: — Wrócisz?

— Je ne sais pas. Nie wiem. Jeśli wrócę, zadzwonię... je t'appellerai.

— D'accord — odrzekła. Jean-Pierre się uśmiechnął.

— Sois sage — powiedział, a zorientowawszy się, że nie zrozumiała, wyjaśnił: — Znaczy „bądź grzeczna”. No wiesz, bądź grzeczną dziewczynką.

Paris uświadomiła sobie, że w obecności Jeana-Pierre'a wcale nie odczuwa dzielącej ich różnicy wieku; ciekawe, pomyślała, czy jest tak samo z Richardem i Meg. Potem skarciła się za podobne rozważania. Jean-Pierre był piętnaście lat młodszy od niej, pojawił się zaledwie kilka dni temu, zapewne niebawem zniknie, trudno więc traktować go jako wybranka. Ucałował ją w oba policzki, wyskoczył z samochodu. odjeżdżając spod hotelu, widziała w lusterku, że odprowadza ją wzrokiem.

Prześladował ją przez całą noc — wspominała ich rozmowy, jego pełną ekspresji mimikę, w jej głowie tańczyły zapamiętane francuskie słowa. Nazajutrz wciąż była oszołomiona, jakby dręczył ją ponarkotykowy kac. W istocie Jean-Pierre działał na nią jak afrodyzjak, samą swą obecnością poruszał struny ukrytych pragnień. Zrozumiała wreszcie, dlaczego tyle starszych kobiet romansuje z młodszymi mężczyznami. Ale jej to się nie przytrafi.

Nazajutrz pracowała z Bixem nad kilkoma nowymi projektami, ale przez cały dzień nie opuszczało jej osobliwe uczucie, że jej ciało rozrasta się od środka i z coraz większą mocą napiera na podrażnioną skórę. Pojęła, że najwyraźniej ogarnia ją szaleństwo, bo tęskni za Jeanem-Pierre'em, czyniła więc wszystko, by temu szaleństwu nie ulec i nie zadzwonić natychmiast pod numer wypożyczonego przezeń telefonu komórkowego. Tego dnia wcześniej poszła do łóżka, następnego — rzuciła się z zapamiętaniem w wir pracy.

W środę poczuła się nieco lepiej; wieczorem zadzwoniła do niej Meg informując, że w tym roku Święto Dziękczynienia spędzą z ojcem, ją natomiast odwiedzą z okazji Bożego Narodzenia. Paris nie zapytała o przebieg ciąży Rachel, tak samo jak wcześniej nie pytała, czy jest to ciąża zaplanowana czy przypadkowa i co na jej temat sądzi Peter, Meg zaś nie udzieliła z własnej inicjatywy żadnych informacji. Czowała, że byłyby dla wciąż samotnej matki zbyt bolesne.

Kiedy w czwartek około ósmej wieczorem podjeżdżała pod dom, odezwał się jej telefon komórkowy: Paris była pewna, że to Bix albo Meg, nikt bowiem inny nie dzwonił do niej na komórkę, gdy jednak podniosła aparat do ucha, usłyszała znajomy głos.

— Oii es tu?

Zrozumiała pytanie, brzmiało: „Gdzie jesteś”? I wtedy go zobaczyła — Jean-Pierre siedział na schodach jej domu i dzwonił ze swojej komórki.

— Tutaj — odparła wysiadając z auta.

Podeszła do niego, zamierzając pocałować go w policzek, on jednak okazał się szybszy; objął ją i namiętnie pocałował w usta. Oddała pocałunek, zanim zdążyła się pohamować, więcej — nie chciała, by pocałunek ten się skończył, nie pragnęła ocalenia, gdy pochłonęła ją wszechpotężna fala zmysłowej rozkoszy. Nie miała pojęcia, co robi, z kim i dlaczego.

— Tak za tobą tęskniłem — powiedział po prostu. Znów wyglądał jak chłopiec, choć pod każdym istotnym względem zachowywał się i reagował jak mężczyzna. — No więc wróciłem z Los Angeles. Wczoraj jadę do Santa Barbara. Jak Bordeaux. Bardzo piękne miejsce i bardzo małe. Za spokojne.

— Też tak sędzę — odparła otwierając drzwi. Jean-Pierre wszedł za nią do środka, rozejrzał się, z aprobatą pokiwał głową i zdjął swoją skórzaną kurtkę, która wyglądała tak, jakby przetrwała obie wojny światowe. — Masz ochotę coś zjeść?

— zapytała.

Przytaknął, a kiedy Paris przygotowywała posiłek — zupę z puszki, kurczaka na zimno, sałatę i wino — najpierw wyglądał przez okno, potem na zmianę fotografował ją i całował, wreszcie nastawił muzykę.

Od niej właśnie zaczęli rozmowę przy stole: Jean-Pierre miał bardzo wyrafinowany gust, znał się doskonale na muzyce klasycznej, co przestało Paris dziwić, gdy wyznał, że jego ojciec był dyrygentem. W ogóle pochodził z interesującej rodziny: matka malowała, siostra była lekarką, kardiochirurgiem w Paryżu, on zaś ukończył studia na wydziale nauk politycznych.

— Sciences Po — oświadczył z dumą. — To bardzo dobra szkoła. A ty? Co studiowałaś i co więcej studiowałaś?

Zrozumiała to osobliwie sformułowane pytanie.

— Najpierw ekonomię, a potem podyplomowe MBA

— odparła, dopiero jednak gdy uściśliła, że chodzi o wielce poważaną specjalizację menedżerską, z uznaniem pokiwał głową.

— Też mamy od tego dobra szkoła. HCC. To u nas jak Harvardzka Szkoła Biznesu. Ale...

— roześmiał się szeroko

— ...ja nie potrzebuję taki dyplom, żeby robić zdjęcia. Kiedy skończyli jeść, znów zaczął ją całować, a Paris

musiała toczyć kolejny bój z przemożną falą namiętności. Wreszcie popatrzyła na niego ze zgrozą.

— Jean-Pierre, co my wyprawiamy? Przecież prawie się nie znamy, to czyste szaleństwo.

— Czasami szaleństwo jest dobra rzecz, nie? Tak ja myślę. Szaleję do ciebie.

— Za tobą albo na twoim punkcie.

— Właśnie.

— Ja też czuję coś podobnego, ale za kilka dni wyjeżdżasz i oboje będziemy żałować, że popełniliśmy głupstwo.

Pokręcił głową i położył dłoń na sercu.

— Nie, wtedy ja ciebie będę pamiętać zawsze. Tutaj.

— Ja też, ale później na pewno będziemy żałować.

— Czemu żałować?

— Bo bardzo łatwo zranić człowieka w serce... bo nic o sobie nie wiemy.

— Ja wiem o tobie bardzo dużo, ja cię bardzo znam

— zaprotestował. — Wiem, gdzie studiowałaś, jakie masz dzieci, gdzie pracujesz, wiem o twoje małżeństwo, twoja tristesse... jak wiele straciłaś... i jak wiele musisz odnaleźć.

— Urwał i zamyślił się przez moment. — Znasz taką powieść Mały Książę, co ją napisał Antoine de Saint-Exupery? Tam jest mówione: On ne voit l'essentiel qu'avec le coeur... ty ważne rzeczy w życiu widzisz sercem... nie oczyma. Albo głową. To bardzo piękna książka.

— Czytywałam ją swoim dzieciom. I bardzo smutna. Mały Książę pod koniec umiera.

— Tak, ale on będzie wiecznie żyć pośród gwiazd — powiedział ujęty szczerze tym, że Paris zna jego ukochaną powieść. Oto bowiem znalazł potwierdzenie czegoś, co już dawno wyczytał w jej oczach: że jest wyjątkową kobietą.

— Zawsze musisz patrzeć sercem i wtedy będziesz żyła wiecznie pośród gwiazd.

Poruszyła ją ta głęboka piękna myśl.

Tego wieczoru przegadali ze sobą wiele godzin, Paris jednak nie poprosiła Jeana-Pierre'a, by został na noc, chociaż czuła, że ma na to ochotę, on zaś nawet nie usiłował tego sugerować, żeby nie zepsuć czegoś, co się pomiędzy nimi zrodziło.

Nazajutrz jednak zadzwonił, a potem osobiście zjawił się w biurze. Bix, zaskoczony jego widokiem, uśmiechnął się radośnie.

— Wciąż tu jesteś, Jean-Pierre? — zapytał. — Myślałem, że wyjechałeś w niedzielę albo w poniedziałek.

— Wyjechałem. Do Los Angeles — odparł wymawiając nazwę miasta na sposób francuski, czym rozbawił Bixa.

— A potem ja wróciłem wczoraj.

— Jak długo zostaniesz?

— Może kilka tygodni.

Wtedy ze swojego gabinetu wyszła Paris i chociaż nie odezwała się ani słowem, spojrzenie, jakie wymieniła z Jeanem-Pierre'em miało moc prądu trójfazowego. Bix oczywiście tego nie przegapił; zaprosił Jeana-Pierre'a na lunch złożony z kanapek i cappuccino, który zjedli w trójkę w pokoju do prezentacji. Po posiłku Jean-Pierre podziękował, oznajmił, że chce jechać do Berkeley, a w końcu wyszedł i chociaż ani słowem nie wspomniał Paris o możliwości spotkania, aż nadto wymownie zasugerował jej to wzrokiem.

— Mam przywidzenia czy też ze sobą kręcicie? — zapytał z niedowierzaniem Bix, kiedy za Jeanem-Pierre'em zamknęły się drzwi.

— Właściwie nie. W niedzielę pojechaliliśmy na wycieczkę do Sausalito i Sonomy, a wczoraj wpadł do mnie na kilka chwil. Nie jestem aż taką idiotką — odparła, chociaż ogarniała ją coraz większa pokusa, by nią zostać.

Bix zdawał się czytać w jej myślach.

— Ja bym został — stwierdził patrząc jej w oczy. — To znaczy idiotą. Cholera, Paris, facet jest smakowity, a ty przed nikim nie musisz się tłumaczyć.

— Ależ muszę. Przed sobą. To młokos, jest piętnaście lat młodszy ode mnie.

— Popatrz na to inaczej. To ty wyglądasz jak małolata, a on jest starszy, niż wskazuje na to jego powierzchowność. Kurczę, gdyby to mnie słał takie spojrzenia, już bym go obłapiał. Łakomy kąsek.

— Gadasz jak moje dzieciaki — roześmiała się Paris. Ale nie mogła nie podzielać opinii Bixa, choć nadal uznawała, że romans z Jeanem-Pierre'em byłby najzwyczajszym folgowaniem swoim instynktom.

— Uważam, że zanim zdąży wrócić do Paryża, powinnaś uprowadzić go i przykuć łańcuchem do swojego łóżka—poradził z przekonaniem Bix.

— Tak właśnie postąpiłaś ze Stevenem?

— Nie musiałem, bo to on wykręcił mi taki numer. No, może niezupełnie. Zaiskrzyło pomiędzy nami dosyć szybko,

ale wy dwoje wymienialiście takie spojrzenia, że pokójomal nie stanął w ogniu. Aż się bałem jeść. Myślałem, że złapie cię i rzuci na stół. Spotykasz się z nim dzisiaj?

— Całkiem możliwe — odpowiedziała, Bix natomiast zrobił minę duchownego, który udziela błogosławieństwa. Gdy tuż przed końcem pracy znów nader figlarnie wrócił do tematu, Paris zarzuciła mu, że jest libertynem.

— A co w tym złego, kochanie? Żyje się tylko raz — stwierdził. — Nigdy bym sobie nie darował, gdybym mając po temu okazję, nie spędził nocy z takim facetem. Podjeżdżając pod swój dom, Paris znowu zobaczyła Jeana-Pierre'a: rozluźniony, pogodny, siedział na schodach, jadł jabłko i czytał pismo ilustrowane. Na jej widok radośnie poderwał głowę. Spotkali się zaledwie osiem dni temu i w ciągu owych ośmiu dni Paris poznała go znacznie lepiej niż wiele osób, z którymi widywała się od lat. Nie tłumaczyło to jednak zauroczenia, którego padła ofiarą — to, co się pomiędzy nimi działo, było wyłącznie iskrzeniem, rozpasaniem hormonów i feromonów. Wymykało się spod kontroli, chociaż Paris stawiała na głowie, żeby okiełznać swoje uczucia.

— Mam prawie pustą lodówkę — stwierdziła bezradnie, kiedy wchodzili do domu, zanim jednak zdążyła powiedzieć coś jeszcze, Jean-Pierre wyjął z jej dłoni i postawił na podłodze torebkę i neseser, zatrzasnął stopą drzwi, a potem objął ją i pocałował z taką mocą, że straciła oddech. Był to pocałunek gorętszy nawet niż ten wczorajszy.

— Wariuję, Paris — wyszeptał. Znow ją zaczął całować, a jednocześnie obdzierać z płaszcza, bluzki i stanika. Nie zrobiła nic, by go powstrzymać, nie chciała. Pragnęła czegoś wręcz przeciwnego, więc sama zabrała się do jego ubrania: koszuli, paska, spodni... Upłynęło zaledwie kilka sekund i oto wczepieni w siebie stali w holu zupełnie nago; wtedy Jean-Pierre bez słowa chwycił Paris w swe mocarne młode ramiona, zaniósł na górę, bezbłędnie odnajdując drogę do jej sypialni, położył na łóżku, omiół długim spojrzeniem, wydał z siebie cichy, niemal zwierzęcy pomruk, zaczął ją dotykać i całować. Wiła się z rozkoszy, odwzajemniając bezwstydnie każdą pieszczotę — a chwilę później był już na niej i kochał ją tak, jak nie była kochana nigdy w życiu. Na całe godziny, tak im się przynajmniej zdawało, porwała ich powódź, której w żaden sposób nie potrafiliby powstrzymać. Potem, gdy leżeli wtuleni w siebie, przeczesał palcami jej długie jedwabiste włosy i wyznał miłość. Uwierzyła mu, choć znali się tak krótko.

— Je t'aime — wychrypiał Jean-Pierre i znow zaczął ją całować, a ona te pocałunki oddawała z taką pasją, jak gdyby nie umieli na dłużej niż kilka chwil rozłączyć swych ust i ciała. Zasnęli potem, a o wschodzie słońca kochali się znowu. Tej nocy Paris nie miała zapomnieć już nigdy: Jean-Pierre rzucił na nią czar.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Szcześliwym zbiegiem okoliczności pierwsze dni romansu Paris i Jeana-Pierre'a przypadły na weekend, ponieważ przez czterdzieści osiem godzin nie ubierali się i prawie nie wychodzili z łóżka. W sobotę zamówili telefonicznie pizzę, a Paris zrobiła kanapki z masłem orzechowym; Jean-Pierre zarzekał się najpierw, że nie weźmie ich do ust, bo są obrzydliwe, a w końcu zjadł dwie. Głównie jednak jego apetyt zaspokajała Paris. W niedzielę wieczorem brali wspólnie kąpiel, gdy zadzwoniła Meg. Jean-Pierre nie skomentował ani słowem faktu, że Paris nawet się nie zająknęła przed córką na temat ich związku i zachowała się podobnie pół godziny później, kiedy telefonował Wim. Paris nie pytała Jeana-Pierre'a, co będzie z nimi dalej, ponieważ nie miało być żadnego dalej: Jean-Pierre pozostanie tak długo, jak zechce zostać, i przez ten czas będą rozkoszować się swym przelotnym, lecz cudownie namiętnym romanssem. Nie oczekiwała niczego więcej, nie zamierzała ani wymuszać deklaracji, ani ich składać. Nie pytała i nie oczekiwała odpowiedzi. Wspólnie spędzony czas był niespodziewanym darem dla obojga i ten dar wystarczał Paris w zupełności. Zakładała, że Jean-Pierre postrzeżga to w identyczny sposób.

Gdy jednak wychodząc w poniedziałek do pracy, zapytała mimochodem, jakie ma plany na dzisiejszy dzień, najpierw zrobił niezbyt mądrą minę, a potem odrzekł:

— Muszę odwiedzić jeden magazyn ilustrowany. Słyszałem o nim w Paryżu. Ciekaw jestem, co tam robią.

— Będziesz w domu, kiedy wrócę?

— Spróbuję — uśmiechnął się i pocałował ją w usta. W swoim pokoju hotelowym nie był od trzech dni, przez te dni jedynymi strojami obojga były ręczniki, szlafroki lub — najczęściej — nagość. Paris zapomniała przy nim, co znaczy słowo „wstyd”. Na pożegnanie wręczyła mu zapasowe klucze. Bez wahania powierzała Jeanowi-Pierre'owi i siebie, i swój dom. — Merci, man amour — powiedział. — A tout d i'heure. Do zobaczenia.

— Jak minął weekend?—zapytał Bix, kiedy po wejściu do biura zdejmowała i wieszała kurtkę.

— Nieźle — odparła ogólnikowo. — A tobie?

— Nie wciskaj mi ciemnoty. Jean-Pierre wciąż aktualny?

— Chyba tak.

Tym razem niczego nie zdołał wyczytać z jej oczu, Paris bowiem była tak zmęczona, że ledwie patrzyła na świat.

Po powrocie do domu zastała Jeana-Pierre'a w kuchni; kończył przyrządzać kolację złożoną z pieczonego udźca jagnięcego, fasolki szparagowej, sera i bagietek. Wygłodzeni przez ostatnie trzy dni jak wilki, łakomie rzucili się na wysmienity posiłek, niemniej jednak pomiędzy jednym a drugim kęsem gigot Paris zapytała Jeana-Pierre'a, jak udała mu się wizyta w redakcji magazynu, o którym wspominał rano.

— Była interesująca — odparł. — To nowe pismo, bardzo małe, ale robią w nim ciekawe rzeczy.

— Zamierzasz podjąć z nimi współpracę?

Skinął głową i przeciągle popatrzył na nią ponad pieczywem i serem.

— Paris, wolisz, żebym został czy wyjechał? Zrobi się dla ciebie zanadto skomplikowane, jeśli zostanie miesiąc czy dwa?

Odwzajemniła jego spojrzenie i odparła z przekonaniem, oszołomiona własnymi słowami:

— Chcę, żebyś został. Rozpromienił się z radości.

— No to zostaję. Wizę mam na pół roku, ale wyjadę, kiedy mi każesz.

Zawierali w ten sposób rodzaj paktu, wręcz komfortowego z punktu widzenia Paris: jej związek z Jeanem-Pierre'em mógł pozostawać tajemnicą, mieli dla siebie wszystkie noce i weekendy. Wim, zajęty studiami i życiem towarzyskim, prawie przestał pokazywać się w mieście, Meg też miała masę zajęć; związek Paris z Jeanem-Pierre'em trwał już miesiąc, kiedy zaproponowała że jadąc do ojca na Święto Dziękczynienia wpadnie do matki na jedną noc. Jean-Pierre, który już dawno zrezygnował z pokoju hotelowego, oświadczył, że chętnie się na tę noc gdzieś zmyje.

— Może to i nie najgorszy pomysł — uznała Paris, nie chcąc zbytnio szokować córki.

Zresztą nie miała zielonego pojęcia, jak zareagowałyby Meg.

Meg pojawiła się w przeddzień Święta Dziękczynienia, ściągnął również Wim — nazajutrz rano bowiem wspólnie wylatywali do Nowego Jorku—Paris zaś przyrządziła dla nich wykwinłą kolację. Meg wiedziała, że na świąteczny wieczór matka idzie do Bixa i Stevena, niepokoiła się jednak o weekend, Paris bowiem nadal nie miała w San Francisco zbyt wielu przyjaciół.

— Nie będzie ci smutno, mamó? — zapytała z troską.

— Ani trochę. Będę was miała na Boże Narodzenie, a to znacznie ważniejsze. Dopiero później, kiedy Wim zniknął w swojej fortecy, a one szykowały się do snu, wierna zasadzie, by niczego nie ukrywać przed córką, zwierzyła się jej z sekretu, przynajmniej jego części, oznajmiła mianowicie, że się z kimś spotyka i ten ktoś jest Francuzem. Przemilczała nader istotny fakt, że o piętnaście lat młodszym od niej, dochodząc do wniosku, że na początek przynajmniej byłoby tego dla Meg za wiele.

— Jaki jest? — zaciekała się uradowana Meg.

— Czarujący. To fotografik, ma tu do wykonania pewną pracę, przyjechał na kilka miesięcy.

— Szkoda — westchnęła dziewczyna z wyraźnym rozczarowaniem. — Kiedy wraca?

— Niewiem. Wtej chwili świetnie się bawimy—brzmiała stoicka odpowiedź Paris.

— Wdowiec czy rozwodnik?

— Rozwiedziony. Ma dziesięcioletniego syna.

— Dziwna sprawa z tymi wszystkimi facetami, którzy na stare lata robią dzieci, nie sądzisz? — powiedziała Meg mając na myśli zarówno ojca, jak i nowego przyjaciela matki. Paris mruknęła coś niezrozumiale, skinęła głową i dalej szorowała zęby. Wiedziała, że problem wypłynie wcześniej czy później, bo przecież w końcu jej dzieci poznają Jeana-Pierre'a albo przynajmniej zażądają szczegółowych informacji na jego temat. Dla samego Jeana-Pierre'a nie było żadnej sprawy, jego pierwsza żona też była od niego starsza, chociaż zaledwie

o pięć lat. Reakcję jednak Wima i Meg trudno było przewidzieć.

Nazajutrz podjęła ten temat w rozmowie z Bixem; czuła, że nie postąpiła uczciwie, nie mówiąc córce o wieku Jeana-Pierre'a, zwłaszcza po uwadze Meg na temat starszych mężczyzn płodzących dzieci. Jean-Pierre nie miał w sobie nic „starszego”.

— A kogo to dzisiaj obchodzi? — zapytał retorycznie Bix. — Starszy, młodszy, rówieśnik, jeden diabeł. Pięćdziesięcioletni faceci żenią się z trzydziestolatkami i płodzą dzieci. Świat się zmienił. Wiele osób w ogóle nie zawraca sobie głowy małżeństwem, żeby mieć potomstwo. Samotni mężczyźni

i samotne kobiety adoptują dzieci. Stare zasady przestały obowiązywać. Moim zdaniem możesz robić wszystko, co ci się żywnie spodoba. Nikogo nie krzywdzisz i mam nadzieję, że twoje dzieci odniosą się do tego uczciwie.

Paris jednak wciąż nie była pewna. Rozmawiała z nimi telefonicznie w Święto Dziękczynienia, kiedy były u ojca. Słuchawkę podniosła Rachel, Paris poprosiła tylko do aparatu Wima i Meg, a potem poleciła synowi, żeby złożył ojcu życzenia świąteczne. Bezpośrednio nie kontaktowała się z Peterem od ponad roku, nawet przez telefon — nie odczuwała potrzeby, tak zresztą było jej łatwiej.

Po rozmowie pojechali z Jeanem-Pierre'em do Stevena i Bixa na kolację świąteczną, w weekend zaś obejrzelili dwa filmy francuskie i jeden amerykański, Jean-Pierre bowiem uwielbiał kino.

Przez następny miesiąc żyli jak pod kloszem, jak para bliźniąt w łonie matki — bezpieczni i szczęśliwi. Poza tym Paris przygotowała z Bixem milion — tak się jej przynajmniej zdawało — przyjęć bożonarodzeniowych, Jean-Pierre natomiast gorliwie pracował w nowym magazynie, którego wydawcy nie posiadali się ze szczęścia, że złowili taką gwiazdę. Niemniej jednak musiał się gęsto natłumaczyć swoim paryskim i nowojorskim zleceniodawcom, dlaczego na dwa miesiące przepadł jak kamień w wodę, a w dodatku nie ma pojęcia, kiedy wróci. Do kwietnia jego sytuacja pozostawała prosta; potem albo będzie

musiał wystarać się o niełatwą do zdobycia kartę stałego pobytu, albo też wracać do kraju. Chwilowo jednak świat jego i Paris był nieskomplikowany, przyjemny i życzliwy. Paris zaprosiła na święta nie tylko Wima i Meg, lecz również Richarda, a skoro pragnęła gościć także Jeana-Pierre'a, musiała w końcu wziąć byka za rogi. Uczyniła to na tydzień przed planowanym przyjazdem Meg, chciała bowiem dać córce nieco czasu na przetrwanie nowin. Trzęsły się jej ręce, kiedy podnosiła słuchawkę i wybierała numer: aprobata dzieci miała dla niej wielkie znaczenie, a obawiała się, czy nie uznają, że posunęła się za daleko. Zrzuciła bombę dopiero po kilku minutach wstępnej paplaniny.

— Wydarzyło się coś niezwykłego — zaczęła niepewnie.

— Wciąż spotykasz się z tym francuskim fotografikiem? — zapytała Meg domyślając się, do czego zmierza matka.

— Tak, spotykam się. I jeśli nie macie nic przeciwko temu, chciałabym zaprosić go na święta. Nie zna tu nikogo prócz ludzi, z którymi pracuje, Stevena, Bixa i mnie.

— Świetny pomysł — pospieszyła z zapewnieniem Meg, szczęśliwa, że matka już wcześniej zaprosiła Richarda.

— Ale chyba powinnam o czymś wspomnieć, zanim przyjedziecie.

— Coś z nim nie tak? — spytała podejrzliwie Meg. — Jakiś szurnięty?

— Nie szurnięty — brnęła Paris — ale... inny. Przynajmniej z mojego punktu widzenia. Jest młody.

Na drugim końcu linii zapadła długa cisza i Paris poczuła się jak córka rozmawiająca z matką, nie zaś matka z córką.

— Jak młody?

Paris głęboko nabrała powietrza w płuca.

— Ma trzydzieści dwa lata — wyrzuciła wreszcie. Tym razem Meg milczała przez jakąś minutę.

— Czyli dosyć młody — stwierdziła w końcu, najwyraźniej oszołomiona.

— Tak, ale dojrzały nad wiek — zapewniła Paris i natychmiast roześmiała się w duchu.

Było zupełnie na odwrót, wyjąwszy sprawy łóżkowe. — Nie, gadam głupstwa — sprostowała. — To najzupełniej normalny trzydziestodwulatek, a ja przypuszczalnie jestem starą wariatką. Ale cudownie się z nim bawię.

To przynajmniej było stuprocentową prawdą.

— I znakomicie — rzuciła Meg, siląc się na wyrozumiałość właściwą osobom naprawdę dojrzałym nad wiek, choć nadal nie ulegało wątpliwości, że jest zaszokowana. — Kochasz go?

— Chyba tak. W tej chwili. Ale wcześniej czy później będzie musiał wrócić do kraju, więc to nie może trwać wiecznie. Poza tym wziął zasadniczo urlop ze swej zwykłej pracy i to również nie może ciągnąć się w nieskończoność, bo w końcu jak długo może robić zdjęcia dla maleńkiego pisemka zamiast dla „Harper's Bazaar” czy „Vogue'a”?

— Liczy się tylko to, żebyś była szczęśliwa, mamó. Tylko nie palnij jakiegoś głupstwa... na przykład nie wyjdź za niego za mąż — ostrzegła Meg. Różnica wieku między Richardem a nią była znacznie większa niż pomiędzy Paris a Jeanem-Pierre'em, związek jednak starszego mężczyzny z młodszą kobietą wydawał się jej czymś naturalnym. Trochę uspokoił ją dopiero sam Richard, przekonując, że Paris z pewnością zachowa rozsądek, poza tym zaś związki starszych kobiet z młodszymi mężczyznami są w dzisiejszych czasach czymś najzupełniej normalnym.

Ale największego szoku doznał Wim.

— Ile ma lat, mamó? — zapytał głosem, który nagle zabrzmiał piskliwie.

Odpowiedziała.

— To tak jakbym ja chodził z czteroletnią dziewczynką

— stwierdził i dopiero to porównanie w pełni uzmysłowiło Paris skalę jego zdenerwowania.

— Niezupełnie. Jest dorosłym mężczyzną.

— Ale dlaczego zadaje się z kobietą w twoim wieku?

— dociekał Wim tonem bezkompromisowej dezaprobaty. Świat, jak mu się zdawało, stanął na głowie, bo oto najpierw ojciec porzucił matkę, żeby poślubić kobietę niewiele tylko starszą od Meg i zmaistrować jej dziecko, co uznawał za wysoce niesmaczne a teraz matka poderwała chłopaka o połowę, no, prawie połowę, młodszego od siebie. Ściśle biorąc, rówieśnika nowej żony ojca. Młodość stała się najwyraźniej krzykiem mody, a rodzice powariowali, skoro owej modzie ulegli.

— Sam go będziesz musiał o to zapytać — odparła siląc się na opanowanie. Nie chciała zdenerwować dzieci, lecz je zdenerwowała, nie chciała wypaść w ich oczach na kretynkę, a jednak wypadła. Tak się jej przynajmniej zdawało. Trochę pocieszył ją nazajutrz Bix powtarzając swoją opinię, że Jean-Pierre jest fantastycznym facetem, dla samego Jeana-Pierre'a zaś problem różnicy wieku nie istniał nadal. Bo był problemem tylko w teorii, życie dowodziło czegoś zupełnie innego. Nikt się na nich nie gapił, nikt nie okazywał zaskoczenia.

Dzieci przyjechały w przeddzień Wigilii i wtedy nastąpił najtrudniejszy moment: wzajemne prezentacje. Wszyscy troje

— Wim, Meg i Jean-Pierre — krążyli wokół siebie, spoglądali jedno na drugie spode łba, sondowali, kiedy jednak Paris poszła do kuchni, żeby zająć się kolacją, Richard podjął tak skuteczną próbę przełamania lodów, że początkowa nieufność ustąpiła miejsca żartom i śmiechom, a pod koniec wieczoru wszyscy byli ze sobą szczerze zaprzyjaźnieni. Nazajutrz rano Jean-Pierre grał z Wimem w squasha, przy kolacji wigilijnej natomiast Paris nie mogła się oprzeć wrażeniu, że jest z jej dziećmi mocniej skumplowany niż z nią. Wszelkie obiekcje i niepokoje rozwiały się jak dym. Paris ogarnął pusty śmiech, gdy uświadomiła sobie coś, co już wcześniej uderzyło Wima: jej córka była z mężczyzną, który mógłby być jej ojcem i przez to idealnie nadawał się na partnera matki, ona zaś sama — z chłopakiem, który właściwie mógłby być jej synem. Świat stanął na głowie.

— Bardzo spodobały mi się twoje dzieci — powiedział Jean-Pierre, kiedy późnym wieczorem poszli do łóżka. — Są dobre. Były dla mnie miłe. Nie złe na ciebie?

— Nie, nie są na mnie złe. Dzięki, że okazałeś tyle zrozumienia.

Bo Jean-Pierre był w trudnej sytuacji: przebywał w kraju, którego językiem z trudem się posługiwał, wykonywał pracę nie odpowiadającą jego pozycji zawodowej, żył z kobietą o wiele lat starszą od siebie i na dodatek musiał zdawać egzamin przed komisją złożoną z jej dzieci. Lecz sytuacji tej potrafił sprostać znakomicie.

— To ja dziękuję — powiedział i podał jej niewielką paczuszkę. Znalazła w niej piękną złotą bransoletę od Cartiera z wygrawerowaną wieżą Eiffla i złote serduszko. Na jego jednej stronie widniały inicjały Paris, na drugiej zaś — Jeana-Pierre'a, ponad nimi natomiast wyznanie *Je fahme*.

— Joyeux Noel, man amour — szepnął.

Wręczając mu swój prezent — kupiony zapewne w tym samym miejscu zegarek Cartiera

— czuła, że cokolwiek nastąpi, te święta już na zawsze pozostaną w ich sercach.

Smakowali skradzione losowi chwile i żyli w magicznej sferze, która stała się dziś trochę bardziej rzeczywista, bo odwiedzili ją ważni goście — dzieci Paris. Wszystko, przynajmniej na razie, układało się jak najlepiej. Joyeux Noel.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Meg, Richard i Wim zostali u Paris przez tydzień, potem zaś, tuż przed sylwestrem, całą czwórką pojechali na narty do Squaw Valley, w weekend natomiast dołączył do nich Jean-Pierre. Wyszło na jaw, że jest narciarzem prawie olimpijskiej klasy i że jako nastolatek trenował wyczynowo w Val d'Isere. Wim towarzyszył mu w szaleństwach na najtrudniejszych trasach, podczas gdy Paris, Meg i Richard uprawiali znacznie spokojniejsze zjazdy na łagodnych stokach. Wieczorami z reguły gdzieś wychodzili i wszyscy doskonale się bawili. W sylwestra Paris czyniła wszystko, aby odsuwać od siebie myśl, że Peter i Rachel obchodzą właśnie pierwszą rocznicę ślubu i że za pięć miesięcy przyjdzie na świat ich dziecko, wspomnienie jednak tamtego upiornego dnia sprzed roku — kiedy pojęła, że Peter ostatecznie odszedł z jej życia, by już na zawsze trafić w ramiona Rachel — było aż nazbyt żywe. Jean-Pierre musiał dostrzec, że ubierając się na bal, ma dziwny wyraz twarzy, zapytał bowiem:

— Tu es tristet Jesteś smutna?

— Nie, tylko zamyślona. Nic mi nie jest — odparła z uśmiechem, ale zorientował się natychmiast, co ją gryzie. Miała taką minę zawsze, kiedy jej dzieci wspominały o ojcu — i czasem sprawiało mu to przykrość, bo tłumaczył sobie, że Paris nie kocha go równie mocno jak on ją. Sprawa jednak była znacznie bardziej złożona, w szczególności z punktu widzenia Paris, która wierzyła, że węzła splecionego ze wspólnych przeżyć, wspomnień i uczuć nie może ot tak, jakby nigdy nic, rozwikłać werdykt sądowy. Kiedyś usiłowała mu to wytłumaczyć i boczył się na nią przez dwa dni. Dostrzegał w jej uczuciach do Petera nielojalność wobec siebie i żadne wyjaśnienia nie mogły tego zmienić, Paris zatem doszła do wniosku, że pewne rzeczy lepiej przemilczać. Jean-Pierre — może zbyt jeszcze młody, może niedostatecznie surowo doświadczony przez życie — zdawał się nie rozumieć, co znaczył dla niej rozpad małżeństwa, bywały więc chwile, gdy mimo jego ciepła i uroku odczuwała dzielącą ich różnicę wieku. Postrzegał życie w młodzieńczy sposób, wołał żyć chwilą, bez rozważań o przyszłości i snucia planów. Niepohamowanie spontaniczny, robił to, co wydawało mu się właściwe w danym momencie, nie licząc się z konsekwencjami, i tym często Paris irytował. Zadzwonił wprawdzie w Boże Narodzenie do syna, ale wyznał bez owijania w bawełnę, że dzieciak jest dlań kimś właściwie obcym: nie widywał go prawie nigdy, nie miał uczucia, że coś mu jest winien, i był wściekły, że musi płacić na niego alimenty. Nienawidził swojej ekszony, którą poślubił tylko dlatego, żeby mały miał nazwisko; rozwiedli się zaraz po jego przyjściu na świat. Syn i jego matka byli dlań brzemieniem, które usiłował ignorować. Unikał chłopca, jak mógł, co zdaniem Paris było smutne i nieodpowiedzialne, dokonywał bowiem projekcji negatywnych uczuć wobec matki na swego Bogu ducha winnego syna. Ilekroć o tym rozmawiali, Paris zawsze dochodziła do wniosku, że jedyną ofiarą zacierzewienia Jeana-Pierre'a jest jego własne dziecko. Gdy okazało się, że poglądów ich dwojga na tę sprawę nie sposób zbliżyć, przestali do niej wracać, Paris zaś pozostała w przekonaniu, że powodem całego zła jest albo egoizm Jeana-Pierre'a, albo jego infantylizm.

Dzieliły ich również inne kwestie: nader nonszalancka etyka zawodowa Jeana-Pierre'a, jego koledzy z pracy — dwudziestoparolatki, w których towarzystwie Paris zaczynała czuć się staro, a przede wszystkim małżeństwo.

Jean-Pierre często o nim mówił, Paris natomiast — nigdy. Lawirowała, jak mogła, kiedy poruszał ten temat, choć w myślach czasem do niego wracała, dochodząc na ogół do wniosku, że na dłuższą metę nic by z tego nie wyszło — za sprawą ludzi, wśród których się obracał, wiecznej chłopięcości bliskiej często infantylizmowi, a wreszcie poglądów politycznych. Jean-Pierre nie był socjalistą, jego liberalizm jednak wydawał się Paris mało strawny — potępiał wszelkie formy bogactwa, gardził wszystkim, co trąciło drobnomieszczaństwem, nienawidził staroświeckich idei, tradycje i powinności uznawał za bezsensowne. Niebawem postępowy i wolnomyślicielski, wierzył w wysokie podatki, bo służyły ludowi, brzydził się natomiast elitaryzmem w każdej postaci, w związku z czym irytowały go organizowane przez Bixa i Paris przyjęcia, których uczestników uważał za gromadę pretensjonalnych kołtunów. Była to opinia w ogromnej większości wypadków krzywdząca, poza tym u źródeł biznesu Bixa leżał właśnie elitaryzm. Część jego poglądów Paris słusznie kładła na karb francuskiego pochodzenia, znacznie więcej jednak — i równie słusznie — na karb wieku i niedojrzałości. W tym właśnie tkwił sęk.

Jedyną tradycją, dla której miał szacunek, było małżeństwo; wynikało to z romantyzmu Jeana-Pierre'a i jego wiary w stałość uczuć. Jakże korzystnie różnił się w tym od Chandlera Freemana, który takiej stałości nie okazywał nikomu i niczemu! Choć i w tej kwestii miał skłonność do przesady: wielokrotnie zagadywał Paris, czy wyjdzie za niego pewnego dnia, grożąc zarazem, że jeśli tego nie uczyni, on zwinie żagle. Nie składała żadnych obietnic, a jeśli już zastanawiała się nad ewentualnym ślubem, zawsze dochodziła do wniosków całkowicie odmiennych niż Jean-Pierre — że mianowicie z upływem czasu różnice wieku i poglądów oddalą ich raczej od siebie, zamiast zbliżyć.

Również Meg niepokoił ten problem i pewnego razu, na krótko przed wyjazdem ze Squaw Valley, poruszyła go w rozmowie z Paris.

— Nie myślałaś o tym, żeby za niego wyjść, mamó? — zapytała.

— Nie, nie myślałam. Skąd to przypuszczenie?

— Zastanawiałam się po prostu. Wjeżdżałam z nim dzisiaj na górę wyciągiem krzesełkowym i w pewnym momencie oświadczył, że ma nadzieję, iż za niego wyjdiesz. W takim wypadku, dodał, moglibyśmy latem wybrać się wspólnie na jakąś wycieczkę, żeby to uczcić. Nie wiedziałam, czy to jego pomysł czy twój.

— Jego — odparła Paris z westchnieniem. Wiedziała, że pewnego dnia trzeba będzie stawić czoło rzeczywistości, nie wyobrażała sobie, iż na resztę życia zwiąże się z mężczyzną tak młodym... chłopcem, jak nazywała go czasem, wywołując w nim bezgraniczną irytację. Ale był chłopcem, beztróskim, niezależnym i bardzo młodym chłopcem. Wolnym duchem, który nienawidził planowania i zawsze się spóźniał. Trudno dostrzec dorosłego w kimś, kto nie ponosi w życiu odpowiedzialności za nic, nie ma właściwie pojęcia, co to oznacza. Nie da się wytłumaczyć, czym jest odpowiedzialność, odpowiedzialności nie sposób nauczyć — nie jest czymś, co odejmuje się, dodaje lub mnoży wedle woli. Odpowiedzialność narasta jak patyna na brzoze i jest to proces trwający bardzo długo. Paris wiedziała, że miną lata, zanim Jean-Pierre stanie się człowiekiem odpowiedzialnym czy choćby dojrzałym. Jeśli w ogóle stanie się kiedykolwiek takim człowiekiem.

— Jest fantastyczny i bardzo go lubię — stwierdziła Meg, usiłując nie zranić uczuć matki — ale często, nazbyt często, przypomina mi Wima. Beztroski, trochę zwariowany, nawet nie usiłuje zastanowić się nad całościowym obrazem spraw, bo jest zbyt zajęty zabawą. Zupełne przeciwieństwo ciebie. Ty znacznie lepiej rozumiesz ludzi, wiesz, jacy są, czego potrzebują, dlaczego robią to, co robią. On przy tobie wydaje się dzieckiem.

W tym właśnie problem, pomyślała Paris. Też była tego zdania.

— Dziękuję — powiedziała śląc córce ciepłe spojrzenie. Ale Meg miała rację: Jean-Pierre był nieodparcie czarującym smakowitym chłopcem, czułym i wrażliwym, lecz często nieodpowiedzialnym. Uchodziło mu to bezkarnie przez wiele lat, uniemożliwiało jednak coś, o czym kilkakrotnie wspominał — ojcostwo. Paris, wbrew jego sugestiom, nie zamierzała mieć z nim dzieci, nawet gdyby jakimś cudem okazało się to możliwe ze względów biologicznych. A mogło okazać się możliwe tylko w przypadku jej prawie natychmiastowego zajścia w ciążę, nie zaś za rok, dwa czy pięć, kiedy Jean-Pierre dojrzeje do stabilizacji. O ile więc istniało wiele powodów, by go kochać, o tyle bardzo mało, by wychodzić zań za męża. Poza tym za cztery miesiące straci ważność jego wiza i wtedy rzeczywistość zmusi ich do podjęcia decyzji, których zapewne wcale nie mają ochoty podejmować. Paris usiłowała na razie o tym nie myśleć. — Nie martw się o mnie, Meg — poprosiła córkę.

— Chcę tylko, żebyś była szczęśliwa, mamó, bez względu na wszystko. Po tym, co zrobił ci tata, zasługujesz na trochę szczęścia. Jeśli więc uważasz, że będziesz z nim szczęśliwa, zrób to, a my spróbujemy przyjąć rzecz do wiadomości. Ale ja po prostu nie myślę, żeby na dłuższą metę był dla ciebie odpowiedni.

Jej zdaniem Paris potrzebowała opiekuna, tymczasem Jean-Pierre to w niej dopatrywał się kogoś, kto mógłby odgrywać taką rolę wobec niego, skutecznie zarazem troszcząc się o siebie. Samej Paris też zresztą nie było obce podobne odczucie: czasem postrzegała Jeana-Pierre'a jako trzecie ze swych dzieci.

— Zgadzam się z tobą — przyznała ze smutkiem — chociaż wolałabym być zupełnie innego zdania.

O ileż prostsza byłaby wtedy sytuacja, pomyślała. Nie groziłby jej powrót do koszmarnego świata kolejnych poszukiwań i kolejnych okropnych randek. Poza tym Jean-Pierre traktował ją tak cudownie, lepiej niż wszyscy inni mężczyźni w jej życiu razem wzięci, nawet Peter! Ale cudowne traktowanie nie zawsze wystarcza. Nawet miłość nie zawsze wystarcza. Nikt lepiej niż Paris nie zdawał sobie sprawy, jak bezwzględnie okrutne potrafi być czasem życie.

Gdy tej nocy tulili się do siebie w łóżku, pomyślała ze zgrozą o rozpacz, jaka ją ogarnie, jeśli będzie musiała zeń zrezygnować. Niewyobrażalnej rozpacz. Jeszcze, uznała, nie nadszedł czas podejmowania decyzji.

Pod koniec wakacji wszyscy, włącznie z Jeanem-Pierre'em, czuli się jak rodzina, przy czym Jean-Pierre zdecydowanie plasował się w niej po stronie potomstwa. Robił dowcipy, opowiadał kawały — co wprawdzie Paris bawiło, lecz nie do końca pozbawiało dystansu — toczył z Wimem niekończące się bitwy na śnieżki i jak Wim nie wiedział, kiedy przestać. Obrzucali się, mimo uwag Paris, do utraty tchu, wracali kompletnie przemoknięci, rozrzucali ubrania po całej podłodze. Dwudziestoczteroletnia Meg sprawiała przy nich wrażenie statecznej matrony, Paris i Richard zaś wymieniali czasem porozumiewawcze spojrzenia nad ich głowami, jak rodzice przypatrujący się igraszkom szczepu zuchów. Tyle

że Jean-Pierre był zuchem także w szerszym sensie tego słowa i Paris wciąż nie wyobrażała sobie, że mogłaby go utracić.

Magiczne życie Paris i Jeana-Pierre'a trwało w najlepsze do wiosny. Szóstego stycznia uczcili Święto Trzech Króli tortem z ukrytym w środku „dzieciątkiem”, które miało znalazcy przynosić szczęście przez cały rok. Tort kupił Jean-Pierre wracając z pracy; wiwatował, kiedy Paris znalazła szczęśliwe „dzieciątko”.

Robili wycieczki do Carmelu i Santa Barbary, wędrowali po parku Yosemite, odwiedzili w Los Angeles Richarda i Meg. W walentynki Meg zadzwoniła do matki, by bez tchu wyrzucić z siebie wielką nowinę, którą jednak Paris już знаła, bo dzień wcześniej zatelefonował do niej Richard. Nie zgłosiła żadnych zastrzeżeń. Oświadczył się Meg, brali ślub we wrześniu. Podarował jej pierścionek z olbrzymim brylantem, nie mogła doczekać się dnia, kiedy pokaże go matce.

Paris była ogromnie zmieszana, gdy z pierścionkiem wystąpił również Jean-Pierre. Pierścionek był znacznie skromniejszy niż ten, który od Richarda dostała Meg — ot, złota obrączka z miniaturowym brylantowym serduszkim — nie towarzyszyły mu oświadczyzny, ale intencja, z jaką został wręczony, była identyczna. Jean-Pierre wsunął go na palec lewej dłoni Paris, dłoni — w jej przekonaniu — od tak dawna boleśnie nagiej. Paris, wierząc bezgranicznie w to wszystko, co reprezentuje sobą obrączka ślubna, nosiła ją do ostatniej chwili, później dotkliwie odczuwała jej brak i oto... oto poczuła, że jej dłoń i serce znowu przenika ciepło. Może jednak powinna zastanowić się serio nad związaniem życia z Jeanem-Pierre'em, w końcu mógł ją spotkać znacznie gorszy los. Gdy na marginesie rozmowy o weselu Meg zagadnęła

o zdanie Bixa, odparł:

— Musisz słuchać głosu serca. Czego właściwie chcesz?

— Nie wiem. Chyba poczucia bezpieczeństwa.

To była pierwsza myśl, jaka przyszła jej do głowy, myśl zupełnie naturalna, biorąc pod uwagę to wszystko, co spotkało ją ze strony Petera. Wiedziała równie dobrze jak Bix, że w życiu wszystko jest możliwe, nie ma żadnych pewników ani gwarancji, a wyborów dokonuje się tylko pomiędzy większym a mniejszym ryzykiem. W przekonaniu Paris Jean-Pierre stanowił większe ryzyko. Wszedł wprawdzie w trzydziesty trzeci rok życia, co brzmiało nieco lepiej, ona jednak już w maju, a więc za dwa miesiące, zaczynała czterdziesty ósmy. Uważała się więc za starą, przynajmniej w obliczu jego totalnej młodości — młodości manifestowanej przez kalendarz, powierzchowność, charakter czy poglądy. Był przy tym tak niezaprzeczalnie i pociągająco niedojrzały, że nawet gdyby nie dzieliła ich żadna różnica wieku, rozdzielałaby przepaść stosunku do życia i systemu wartości. Ujmował ją swym czarem, kochali się, a jednak Paris lepiej niż ktokolwiek inny wiedziała, że miłość nie zawsze stanowi wystarczający kapitał wyjściowy. Jean-Pierre mógł dojrzeć pewnego dnia, zmienić światopogląd, zakochać się w kimś innym. Jak Peter. To on podminował fundamenty wiary Paris we wszystkich i wszystko, nawet w Jeana-Pierre'a, to on napiętnował po wsze czasy świat jej wartości uczuć i najzwyczajszej przyzwoitości.

Wskazówek zegara nie można było cofnąć.

— Kochasz go?

— Tak — odparła bez wahania. — Tylko nie wiem, czy kocham go dostatecznie mocno.

— Dostatecznie mocno, czyli jak?

— Dostatecznie mocno, żeby starzeć się u jego boku

i stawiać wspólnie z nim czoło wszelkim troskom i rozczarowaniom, jakich nie szczędzi nam życie.

Równie dobrze jak Bix zdawała sobie sprawę, że pojawią się niezawodnie i wtedy trzeba będzie podjąć z nimi walkę. Peter skapitulował. Diabli wiedzą, jak zachowa się w takiej sytuacji Jean-Pierre. Nie mieli o tym pojęcia ani Paris, ani Bix, ani sam główny zainteresowany... chociaż żył w błogim przeświadczeniu, że wie.

W marcu się oświadczył; termin ważności jego wizy upływał za miesiąc, chciał więc poznać zamiary Paris. Była zrozpaczona, że to zrobił, swoimi oświadczyniami bowiem zamykał przed nimi obojgiem wszelkie pole manewru. Zamiast bez namysłu powiedzieć „tak”, wdała się w głębokie i skomplikowane rozważania.

Skomplikowana zresztą była cała sytuacja. Jean-Pierre chciał albo poślubić Paris i dzięki uzyskanej w ten sposób zielonej karcie pozostać w Stanach, albo też, nawet bez ślubu, wrócić z nią do Paryża i podjąć na nowo przerwane pół roku temu wątki życia zawodowego. Złożył jej dar z owych sześciu miesięcy, ale nie mógł zwlekać dłużej, ona zaś nie chciała i nie zamierzała stawać na przeszkodzie jego karierze. Musiał na powrót stać się tym, kim był, zanim się poznali: gwiazdą fotografii obracającą się w najwyższych sferach — bądź też podjąć próbę uzyskania takiego statusu w nowym świecie. Ale nie mogli po wieczność trwać w strefie zmierzchu, co podkreślił z całą mocą w chwili oświadczyn. Był to punkt widzenia nieobcy samej Paris, która jednak nie potrafiła otrząsnąć się do końca z lęków przed wspólną przyszłością, przyszłością trudną do przewidzenia, jeśli założyć, że Jean-Pierre wreszcie dorośnie. Wprawdzie było to niemal faktem, wciąż jednak jego chłopięcość eksplodowała w najmniej spodziewanych sytuacjach, co sprawiało, że nagle Paris zaczynała się czuć jak jego matka. Co więcej: nie była pewna, czy w jakichkolwiek okolicznościach pragnęłaby zostać jego żoną. Nie kwestionowała swej miłości do niego, kwestionowała tylko jej siłę. Czowała, że Jean-Pierre zasługuje na kogoś, kto nad swym uczuciem do niego nie stawia żadnych znaków zapytania.

Potrzebowała trzech tygodni, żeby uporać się z wątpliwościami, i do ostatecznych wniosków doszła dopiero na początku kwietnia. Wybrali się wtedy na długi spacer po porcie jachtowym, a potem, jak nieraz już bywało, usiedli na trawniku przed Pałacem Sztuk Pięknych, żeby pooglądać kaczki na stawie. Uwielbiała wspólne wizyty w tym miejscu, uwielbiała wszystko, co robili wspólnie, musiała więc zebrać całą odwagę, żeby udzielić odpowiedzi, na którą czekał od dawna. Jej wypowiedziane szeptem słowa zahuczały w jego sercu jak wybuchy pocisków artyleryjskich.

— Jean-Pierre, nie mogę za ciebie wyjść. Kocham cię, ale po prostu nie mogę. Przyszłość jest zbyt niepewna... Zasługujesz poza tym na więcej, niż mogę ci dać... Chociażby na dzieci.

Może zresztą zasługiwał i na to, by uszanować jego dziecięcość czy wręcz infantyilizm. Ale Paris potrzebowała dojrzałego mężczyzny, kogoś takiego więc, kim w najlepszym razie Jean-Pierre stanie się po upływie wielu lat, w najgorszym zaś — nie będzie nigdy.

— Czy zamieszkasze ze mną we Francji... bez ślubu? — wykrztusił.

Wiedziała, że w tej chwili serce ciąży mu jak głaz, brzydziła się tym, co mu robi, ale doskonale zdawała sobie sprawę, że to wszystko koniec końców wyjdzie na dobre im obojgu. Lepiej teraz niż później, uznała, lepszy krótkotrwały przejmujący ból niż niekończąca się udręka w przyszłości. W milczeniu pokręciła głową.

Tej nocy spał na dole, nazajutrz Paris nie poszła do pracy, a Jean-Pierre spakował wszystkie swoje rzeczy. Gdy stanął z nimi w drzwiach, oboje wybuchnęli nieopanowanym płaczem.

— Kocham cię, zawsze będę kochać—wykrztusił. — Jeśli zechcesz przyjechać, będę czekał, jeśli zechcesz, żebym wrócił, wrócę.

Czyż mogła prosić o więcej? A jednak przekreślała to wszystko, spisywała na straty. Popełniała szaleństwo, ale szaleństwo najrozsądniejsze w świecie. Płacąc za to wysoką, bardzo wysoką cenę.

Je t'aime — brzmiały jego ostatnie słowa. Moi aussi — jej.

Cierpiała bezbrzeżnie, a jednak znosiła cierpienia, bo wiedziała, że postąpiła słusznie. Kochała go — zbyt mocno, żeby popełnić błąd. Dostatecznie mocno, żeby złożyć mu największy dowód swojej miłości: obdarować wolnością.

W biurze zjawiała się dopiero tydzień później —wyglądała jak śmierć. Znała ten ból aż nazbyt dobrze, nie pofatygowała się nawet, żeby zadzwonić do Annę Smythe. Po prostu zacisnęła zęby. W drugą rocznicę odejścia Petera potrafiła tylko myśleć o swej podwójnej stracie i o kolejnej bolesnej lekcji.

Wynikało z niej jasno, że już nigdy, pod żadnym pozorem, nie powinna szafować swoim sercem. Peter odchodząc zagarnął jego największą część, Jean-Pierre — całą resztę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Dziecko Petera i Rachel przyszło na świat siódmego maja, dzień po urodzinach Wima, trzy dni natomiast — po urodzinach Paris. Niemal całkowicie odrętwiała i obojętna na wszystko, co się wokół dzieje, przypominała sobie jednak chwile towarzyszące narodzinom dzieci jej i Petera, czas początków życia, nie zaś szarej egzystencji, jaką wiodła w tej chwili, coraz głębiej pograżając się w rozpacz.

Wim i Meg — którym mówiła niewiele, ani razu nie wymieniając przy tym imienia Jeana-Pierre'a — niepokoiłi się o nią coraz bardziej, aż w końcu Meg zadzwoniła do Bixa.

— Jak się naprawdę miewa? — zapytała. — Wnioskując z jej głosu, okropnie, a jednak zapewnia mnie, że doskonale. Zupełnie nie sprawia wrażenia kogoś, kto czuje się doskonale.

— Bo się nie czuje dobrze — odparł Bix, potwierdzając najgorsze obawy Meg. — Ale chyba po prostu musi przez to wszystko jakoś przebrnąć. Nawarstwiło się zbyt wiele spraw: twój ojciec, jego dziecko, Jean-Pierre. To wszystko jest bolesne jak jasny gwint.

— Co mogłabym zrobić, żeby poprawić jej nastrój?

— Nic. Sama musi przez to przejść. I przejdzie, jak w przeszłości. Odnajdzie drogę powrotną.

Tym razem jednak droga powrotna była bardziej kręta i chyba znacznie dłuższa, choć zapewne nie tak pełna udręki jak ta, którą Paris musiała przebyć po odejściu Petera. Tamta przypominała agonię; teraz — Paris nie umierała, lecz powoli, z wysiłkiem sunęła przed siebie. Czynnikiem utrzymującym ją w świecie żywych było przede wszystkim planowane na jesień wesele Meg i Richarda, którzy zamierzali zaprosić trzystu gości, lecz we wszystkich kwestiach organizacyjnych zdawali się na Bixa i Paris.

W czerwcu, dwa miesiące po wyjeździe Jeana-Pierre'a, w Paris coś pękło: przez całą noc wpatrywała się w telefon, powtarzając sobie, że jeśli jeszcze rano będzie doznawała pokusy, by zadzwonić, uczyni to. Nie potrafiła znosić dłużej udręki rozstania, tęskniła za nim w sposób, jakiego jeszcze niedawno nie potrafiłaby sobie wyobrazić. O ósmej swojego, siedemnastej zaś paryskiego czasu, wybrała numer. Serce waliło jej jak młotem, gdy

czekając na połączenie, zadawała sobie pytanie, czy zdąży na wieczorny lot. Zdąży, jeśli będzie chciał do niej wrócić. Może różnica wieku wcale nie jest istotna.

Potem dobiegł ją ze słuchawki kobiecy, chyba bardzo młody głos. Zapytała po francusku o Jeana-Pierre'a, usłyszała w odpowiedzi, że nie ma go w domu.

— A kiedy wróci?

— Wkrótce — odrzekła jej rozmówczyni. — Pojechał po moją córeczkę, bo mam grypę.

— Mieszka z nim pani? — zaciekawiała się Paris obawiając zarazem, że zostanie zbesztana za swe niewczesne wścibstwo.

— Tak, mieszkamy z nim, ja i mała. Z kim mam przyjemność?

— Jestem jego znajomą z San Francisco.

Chciała spytać dziewczynę, czy kocha Jeana-Pierre'a i czy Jean-Pierre ją kocha, ale jakie miała prawo zadawać takie pytania? Mieszkali razem, Jean-Pierre nie tracił czasu. Lecz to ona, Paris, zadała mu ból, a każdy szuka, jak umie, balsamu na swoje rany. Nie miał wobec niej żadnych zobowiązań.

— A ja narzeczoną — wyjaśniła dziewczyna. — Bierzemy ślub w grudniu.

— Ach, tak — uprzejmie zainteresowała się Paris, czując się, jakby jej ciało przebił na wskroś pocisk artyleryjski. To mogło paść na nią. Choć właściwie nie mogło...

Rozumowała wtedy prawidłowo. Dokonała wyboru słusznego ze swojego punktu widzenia, co nie znaczy, że najlepszego również dla Jeana-Pierre'a. Postąpiła jak Peter. Może tak właśnie postępują wszyscy, nawet za cenę cudzej krzywdy. — Gratulacje

— powiedziała bezbarwnym głosem.

— Może zechce pani podać nazwisko i numer telefonu?

— zapytała grzecznie dziewczyna, Paris jednak — wyłącznie na własny użytek — gorączkowo pokręciła głową.

Potrzebowała dobrej chwili, żeby odzyskać głos.

— Nie, to niepotrzebne. Jeszcze się odezwę. Nie musi mu pani mówić, że dzwoniłam, w istocie nawet proszę tego nie robić. Zrobię mu niespodziankę. Dziękuję.

Tym razem wpatrywała się w aparat przez godzinę. Jean-Pierre odszedł tak jak Peter. Nie zasypiał gruszek w popiele, znalazł dziewczynę. Ciekawe, jak do tego doszło, pokochał ją czy po prostu odreagowywał? Nieważne zresztą, podążył swoją drogą. Spędzili ze sobą magiczne chwile... w tym rzecz, magiczne. Na magię składają się triki, iluzje, magia nie pokazuje rzeczy takimi, jakie są, lecz takimi, jakimi człowiek chciałby je widzieć.

Ubrała się, poszła do biura, a na jej widok Bix pokręcił głową. Tym razem nawet nie przychodziło mu do głowy, żeby proponować jakiegokolwiek randki, Paris zdecydowanie nie wyglądała na osobę gotową do flirtów czy romansów. I zapewne nie będzie gotowa jeszcze bardzo długo.

Zaczęła dochodzić do siebie po dwóch miesiącach, na kilka tygodni przed ślubem Meg. Nawet jeszcze nie kupiła sobie sukni, chociaż strój Meg — uszyta według projektu Bixa fantastyczna koronkowa kreacja z ciągnącym się w nieskończoność welonem — już od dłuższego czasu wisiał w garderobie.

Dopiero pod koniec sierpnia Paris roześmiała się po raz pierwszy, słysząc opowiedziany przez kogoś dowcip. Bix nie wierzył własnym uszom, a kiedy spojrzął na Paris — nie mógł uwierzyć własnym oczom. Wyglądała normalnie, tak jak dawniej.

— To naprawdę ty? — zapytał i westchnął z ulgą.

— Może. Jeszcze nie jestem pewna.

— Dobra, tylko nigdzie więcej nie uciekaj. Bardzo za tobą tęsknię, kiedy to robisz.

— Uwierz, nie mam najmniejszego zamiaru. Nie mogę sobie na to pozwolić. Koniec z facetami, mam ich dość.

— Ach, czyżbyśmy przerzucili się na kobietki?

— Nie — roześmiała się Paris i był to dźwięk ożywczy dla Bixa jak łyk krynicznej wody. Od czterech miesięcy Paris pracowała jak automat, ale nie wychodziła nigdzie, nie widywała nikogo i tylko rutynowo komunikowała się z dziećmi. — Na nikogo nie zamierzam się przerzucać. Od dziś sama sobie jestem sterem, żeglarzem, okrętem.

— No i dobrze — stwierdził Bix, nie kryjąc zadowolenia.

— Teraz muszę sobie kupić jakiś łasek na wesele — powiedziała z nutą paniki w głosie. Czuła się jak Rip Van Winkle świeżo rozbudzony z czteromiesięcznego snu albo jak zombi nagle przywrócony do prawdziwego życia.

Bix, mając niezbyt gęstą minę, otworzył drzwi swojej prywatnej szafy i wyjął cudownie komponującą się z kolorem włosów Paris beżową koronkową suknię z jasnoróżowym taftowym kołnierzem.

— Mam nadzieję, że będzie pasować. Chociaż cholernie ostatnio schudłaś.

Znowu. Ale to się nie powtórzy. Może po prostu nie sposób było uniknąć ceny, jaką zapłaciła za pierwszym i drugim razem. Nie przejmowała się tym, na duszy bowiem doznała uzdrowienia.

— Przymierzę w domu. Jesteś prawdziwym aniołem, Bix. Widząc w lustrze swe odbicie, nie mogła się nie uśmiechnąć. Bix jak zwykle dokonał idealnego wyboru: wyglądała w tej sukni pięknie i młodo, będzie wspaniale się komponować z orszakiem siedmiu przystrojonych w beżowy jedwab drухen. Wyobrażała już sobie nieodległy ślub, stanowiący spełnienie najskrytszych marzeń Meg.

Sen z powiek Paris spędzała tylko świadomość, że na ceremonii pojawią się Peter, Rachel, ich dziecko i dwóch synów Rachel z pierwszego małżeństwa, cała idealna rodzinka A ona, Paris, będzie sama. Akcentowała ten stan rzeczy godziła się z nim, ba, w przypadku Jeana-Pierre'a wybrała z własnej nieprzymuszonej woli. Nie marzyła o takim życiu, skoro jednak została na nie skazana przez los, postanowiła i w nim szukać jasnych stron, obywając się bez mężczyzn. Już kiedyś podjęła podobne postanowienie, złamała je i cała historia skończyła się fiaskiem. Tym razem będzie inaczej. W ciągu dwóch ostatnich miesięcy wiele rozmyślała i ułożyła sobie plan.

Nie wiedziała, jak zareagują jej dzieci, ale nie zamierzała niczego uzależniać od ich ani też czyjejkolwiek opinii.

Dokonała dyskretnego rozpoznania, dysponowała dwoma nazwiskami. Punktem wyjścia będą rozmowy telefoniczne, które przeprowadzi zaraz po ślubie. Potem się okaże, czy znów będzie mogła robić coś, co zawsze wychodziło jej najlepiej i czego nigdy nie przyplącała złamanym sercem.

Paris doszła do wniosku, że nie potrzebuje mężczyzny, tylko dziecka.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Wesele Meg było dokładnie takie, jakiego dla córki pragnęła Paris: eleganckie, piękne, wykwintne, a zarazem dyskretne. Niezapomniane. Ponieważ Meg zależało, by przyjęcie odbyło się na otwartym powietrzu, urządzono je w Burlin-game Club. Bix i Paris wyrazili zgodną opinię, że stało się jedną z ich najbardziej udanych imprez.

Paris kilkakrotnie rozmawiała z Peterem na temat szczegółów technicznych i kosztów — które ponosili wspólnie — były to jednak rozmowy krótkie, rzeczowe i niemal oficjalne,

niemniej każdą z nich Paris przyplącała takim stresem, że myślała z trwogą o pierwszym od dwóch lat osobistym spotkaniu z Peterem. Nie tylko z Peterem zresztą: również z Rachel i ich dziećmi.

W dzień ślubu była na szczęście tak zaganiana, że praktycznie nie miała czasu o tym myśleć, Petera zaś ujrzała dopiero w kościele, gdy czekał już na córkę. Zgodnie z tradycją Meg kładła na to wielki nacisk, Richard przebywał ze świadkiem w osobnym pokoju i dopiero w ostatniej chwili miał zobaczyć pannę młodą, która w zaprojektowanej przez Bixa kreacji wyglądała jak księżniczka z bajki: nosiła zjawiskowo ulotną woalkę, małą tiarę z perłami i białą koronkową suknię z niekończącym się welonem. Paris już dawno przestała przejmować się różnicą wieku Richarda i Meg, doszła bowiem do wniosku, że o lepszym niż Richard mężu Meg mogłaby tylko marzyć.

Sama Meg chichotała w tym czasie z druhami, które drapowały jej woalkę, i nerwowo ścisnęła bukiet z konwalii i małych białych orchidei; konwalie Bix ściągnął specjalnie z Paryża.

Widząc Petera, Paris mogła myśleć tylko o tym, że dwadzieścia sześć lat temu to oni szli do ślubu i ani jej, ani jemu nie przyszło wtedy do głowy, że na ślubie swoich dzieci będą dwojgiem właściwie obcych sobie ludzi.

— Witaj, Peter — odezwała się chłodno, a gdy na nią popatrzył, dojrzała w jego oczach nieskrywany podziw. Dzięki Bixowi wyglądała niemal równie olśniewająco jak Meg, beżowa suknia z koronki wspaniale podkreślała jej ciągle młodzieńczą figurę. W pierwszej chwili Peterowi zabrakło słów, Paris była znacznie piękniejsza, niż pozwalał sobie to widzieć we wspomnieniach.

— Witaj, Paris. Cudownie wyglądasz — powiedział po prostu i w tej samej chwili również wrócił pamięcią do owego dnia sprzed dwudziestu sześciu lat, kiedy to oni szli do ślubu. Był szczęśliwy z Rachel, kochał ich dziecko, ale na widok Paris cała terażniejszość na moment straciła znaczenie. Objął Paris i w obojgu odżyło coś, co czuli do siebie dawno temu.

Paris delikatnie wyswobodziła się z jego uścisku.

— Ty także się wspaniale prezentujesz — odparła. — Poczekaj tylko, aż zobaczysz naszą córkę.

Znów nie wiedział, co powiedzieć. Zdawał sobie sprawę, że w żaden sposób nie zdoła naprawić krzywdy, jaką jej wyrządził, ale teraz, w chwili osobistego spotkania, ta świadomość była znacznie silniejsza niż kiedykolwiek. Nic nie przygotowało go na prawdziwą powódź mieszanych uczuć, która go ogarnęła, kiedy spojrzał w oczy byłej żony. Wyczytał w tych oczach, że mu wybaczyła i co najgorsze, zwątpił, czy sam sobie zdoła kiedykolwiek wybaczyć. Mógł mieć tylko nadzieję, że pewnego dnia los wynagrodzi jej to wszystko, przez co musiała przejść. Wiedział od dzieci, że na razie nie potraktował jej sprawiedliwie.

— To już zaraz — ostrzegła, a potem usiadła z Wimem w pierwszej ławce, stwierdzając z niezadowolaniem, iż Rachel z dwoma synkami siedzi tuż za nią.

Rozległy się organy, pierwsze drużyny popłynęły środkiem kościoła i chwilę później ukazała się Meg prowadzona przez ojca. Wyglądała jak wcielenie urody, niewinności i nadziei, kiedy zaś z bezgraniczną miłością popatrzyła w oczy Richarda, Paris poczuła się tak, jakby miało pęknąć jej serce.

Omali nie pękło naprawdę, gdy zostawiwszy Meg, Peter dyskretnie zajął miejsce obok nowej żony: ten prosty gest definiował rzeczywistość wymowniej niż wszystkie słowa.

Wim, uczulony z rana przez siostrę, by tego dnia odnosić się do matki ze szczególną wrażliwością, lekko poklepał dłoń Paris, ona zaś uśmiechnęła się do niego przez łyzy. Po ceremonii państwo młodzi, Paris, Peter i świadkowie ustawili się w drzwiach kościoła, przyjmując gratulacje. W pewnej chwili Paris poczuła na sobie wzrok stojącej w sporej odległości Rachel, spojrzała na nią — i z zaskoczeniem stwierdziła, że twarz żony Petera nie wyraża triumfu, lecz coś na kształt wstydu. Było tak, jakby Rachel prosiła o wybaczenie. Paris lekko skinęła głową na znak, że tego wybaczenia udziela. Zresztą nie miała właściwie czego wybaczać, w tej całej sytuacji najważniejszy był Peter, jego wola i podjęta świadomie decyzja, Paris zaś potrafiła już w tej chwili godzić się z czymś, co najwyraźniej było nieuniknione, więcej: wierzyła, iż ta straszliwie bolesna lekcja, jakiej niesprawiedliwie udzieliło jej życie, może pewnego dnia stać się prawdziwym darem niebios. Należało tylko czekać, szukać i krzepnąć. Wszystko miało jakieś znaczenie w jej wędrówce i wszyscy: Rachel, Peter, Bix, Jean-Pierre. Musiała tylko to znaczenie odkryć. Na razie pojęła jedno — że kobieta, dla której porzucił ją mąż, przestała się liczyć, że wcale nie zazdrości jej Petera, ale czegoś czy raczej kogoś zupełnie innego. Dziecka. Jak zahipnotyzowana patrzyła na Rachel, tulącą czteromiesięczną teraz córeczkę, i rozumiała z całą jasnością, że jeśli nie może liczyć na miłość mężczyzny, to pewnego dnia może dać jej taką miłość dziecko. Wiedziała, co zrobi, jaką ścieżką podąży.

Przestała zerkać w stronę Rachel, spojrzała na Richarda i Meg. Nie posiadali się ze szczęścia. Richard objął ją serdecznie i podziękował za wszystko, co dla nich zrobiła. — Zawsze możesz na mnie liczyć, Paris — szepnął jej do ucha, ona zaś nie miała wątpliwości, że mówi prawdę. Był jej przyjacielem, z pewnością również będzie fantastycznym mężem dla Meg i cudownym ojcem dla dzieci. Paris zanosila modły, by życie potraktowało ich łaskawie.

Wkrótce potem weselnicy w liczbie trzystu przenieśli się do klubu, by przez godzinę, podczas której państwo młodzi i ich najbliżsi pozowali do zdjęć, gawędzić i raczyć się koktajlami, pozostając pod dyskretną opieką Bixa, który dwoił się i troił, następnie zaś zajęli wyznaczone miejsca przy dwóch długich stołach. Konfiguracja biesiadników była starannie przemyślana, Paris siedziała przy jednym stole, Peter natomiast przy drugim, a ponieważ od czasu przenosin do San Francisco krąg przyjaciół Paris bardzo się zawęził, Bix dokoptował do jej bezpośredniego towarzystwa rodziców młodej kobiety, która była świadkiem Meg, oraz współnika Richarda. Natalie i Virginia przyjechały wprawdzie na uroczystość, zaganiana Paris jednak zdołała zamienić z nimi zaledwie kilka słów, nie miała zresztą nastroju na ploteczki.

Zajmując miejsce przy stole, padała z nóg, osobiście bowiem powitała wszystkich trzystu gości, a poza tym zażegnała przeoczone przez Bixa małe spięcie, jakie zaczęło narastać pomiędzy fotografem a jednym z pracowników firmy cateringowej. Zdjęła wieczorowy płaszczyk z różowej tafty, przedstawiła się sąsiadowi, o którym wiedziała, że jest współnikiem Richarda.

— Proszę wybaczyć, że byłam dotąd tak nieuważną współbiesiadniczką — powiedziała. — Czy poznał pan już wszystkich?

Stwierdziła, że jest bardzo podobny do Richarda, chociaż był starszy, wyższy i miał ciemniejsze włosy. Nazywał się Andrew Warren i Paris przypomniała sobie, iż Meg wspomniała jej kiedyś, że jest rozwiedziony i ma dwie dorosłe córki. Tak samo jak Richard był prawnikiem specjalizującym się w obsłudze branży rozrywkowej; zagadnięty o to, uściślił, że podczas gdy Richard reprezentuje aktorów i reżyserów, na jego klientelę

składają się pisarze. Działka, jak podkreślił, mniej efektowna, lecz również mniej stresująca.

— Współpracuję ze scenarzystami i pisarzami sprzedającymi prawa filmowe do swoich dzieł. To przeważnie ludzie o samotniczym usposobieniu, więc widuję ich rzadko. Głównie biegam z piłkami manuskryptów i czytam, przede wszystkim w domu. Nie muszę jak Richard bywać na planach filmowych, wywabiać z przyczep rozhisteryzowanych aktorek, chodzić na premiery. To mi bardzo odpowiada.

Wydawał się miłym człowiekiem i był interesującym rozmówcą, ale Paris nie mogła okazywać mu zbyt wiele uwagi, co pięć minut bowiem musiała wstawać od stołu, gdzieś biec, zamienić z kimś dwa słowa. Miała w związku z tym lekkie wyrzuty sumienia, dyskretnie więc poprosiła Bixa i Stevena, by lepiej niż ona zajęli się współnikiem Richarda. Stwierdzili później, że sympatycznie z nim sobie pogawędzili.

— Nic nie wzięłaś do ust przez cały wieczór — zauważył ojcowskim tonem Andrew, gdy wreszcie na nieco dłużej zarzuciła kotwicę.

Odetchnąwszy zaczęła z nim rozmawiać, tym razem głównie na tematy osobiste.

Powiedział, że dwie jego ponad-trzydziestoletnie córki mieszkają w Europie — jedna w Londynie, druga natomiast w Paryżu — i chociaż są zamężne, to jeszcze nie mają dzieci. Jego ekszona, wywodząca się z bardzo znanej rodziny, ponownie wyszła za mąż, i to za gubernatora Nowego Jorku. Bardziej z zawdzięczanego Bixowi nawyku niż rzeczywistego zainteresowania Paris zapytała, od jak dawna jest rozwiedziony, on zaś uśmiechnął się i odparł, że od dziesięciu lat. Nie miał w związku z rozpadem swojego małżeństwa wyrzutów sumienia, nie odczuwał żadnej złości, o ekszonie wyrażał się bardzo ciepło. Był niezwykle zrównoważonym człowiekiem.

— Dziewczęta były wtedy w college'u, a my z żoną doszliśmy do zgodnego wniosku, że lepszy rozwód niż takie życie, jakie prowadziliśmy w owym okresie. Mnie sprawy zawodowe zmusiły do zamieszkania w Kalifornii, Elizabeth jej nienawidziła i wolała pozostać w Nowym Jorku, gdzie ma mnóstwo znajomości w kręgach politycznych. Wiele dla niej znaczą. Wszystko natomiast co wiąże się z branżą filmową, uważa, zapewne słusznie, za płytkie i żalosne. Ja jednak lubię swoją pracę i właśnie tu dostrzegłem dla siebie szansę, polityka natomiast zupełnie mnie nie obchodzi. Nasze małżeństwo po prostu się wypaliło, obojgu nam zabrakło zapału do miotania się pomiędzy Nowym Jorkiem a Los Angeles, ot i wszystko. Podążyliśmy w przeciwnych kierunkach. Pozostaliśmy dobrymi przyjaciółmi, darzę wielką sympatią jej drugiego męża i jestem zdania, że dokonała właściwego wyboru, znacznie lepszego niż wiele lat temu, kiedy poślubiła mnie. Gdy nasze córki były młodsze, jeździliśmy nawet w czwórkę na wakacje, co jej mąż uważał za szaleńczy pomysł... ale rok temu sam wybrał się ze mną do Szkocji na polowanie. W dzisiejszych czasach rodziny są zupełnie inne niż kiedyś — zauważył ze śmiechem. Potem zaś poprosił ją do tańca, a Paris nie odmówiła, choć doznawała takiej pokusy. Doszła jednak do wniosku, że nie powinna mnożyć nietaktów, jakich przez cały wieczór dopuszczała się wobec tego sympatycznego mężczyzny.

— Nie sądzę, bym zdołała zachować się podobnie — powiedziała, gdy zaczęli wirować na parkiecie w powolnym walcu. Przez cały dzień nie zamieniła z Rachel ani słowa, zresztą nie miała na to najmniejszej ochoty, uraz spowodowany odejściem Petera był wciąż zbyt bolesny. I może zawsze taki pozostanie.

— Przyznaję, nasza sytuacja jest dość szczególna. Nie wiem, jakie były okoliczności twojego rozwodu, sądzę jednak, że przyjaźń eks-małżonków jest możliwa tylko wtedy, gdy

do rozstania dochodzi za porozumieniem stron, a decyzja zostaje podjęta w pokojowej atmosferze. Myśmy do niej dojrżeli, wyświadczyliśmy sobie wzajemnie wielką przysługę. Przede wszystkim dla niej nasz rozwód stał się dobrodziejstwem. W ogóle nie powinniśmy brać ślubu, ale wzięliśmy, licząc Bóg wie na co. Staraliśmy się ze wszystkich sił, żeby to zagrało, ale byliśmy bez szans. Elizabeth nie może żyć bez polityki, ja doskonale się bez niej obywam, ona uwielbia życie towarzyskie, ja go nie znoszę. Ona pochodzi z najwyższych sfer, ja — niemal z ludu, chociaż spożywczy sklep mojego ojca z czasem rozrósł się w sieć, która została sprzedana za spore pieniądze. Elizabeth uwielbia konie, ja się ich boję, ona wolałaby nie mieć dzieci, ja pragnąłem dochować się całej trzódki. Przykłady mógłbym mnożyć w nieskończoność... Najważniejsze jednak, że jak sądzę, śmiertelnie ją nudziłem.

— Parsknął beztroskim śmiechem. — No ale przynajmniej sprawdzamy się jako przyjaciele.

Paris nie potrafiła sobie wyobrazić, że przyjaźni się z Peterem. Byli parą obcych sobie ludzi, którzy mają tylko bagaż wspólnych wspomnień. Mogła zaofiarować mu jedynie dystans i nieagresję, niczego innego zresztą od niej nie oczekiwał. Stosunki Andrew z jego byłą żoną były czymś naprawdę wyjątkowym, z jej obecnym mężem natomiast — mogły okazać się wielce przydatne, dawano mu bowiem spore szansę w najbliższych wyborach prezydenckich.

— I nigdy nie pragnęłaś powtórnie się ożenić?— z uprzejmym zainteresowaniem spytała Paris, gdy wrócili do stołu.

Spodziewała się usłyszeć dobrze znaną śpiewkę o daremnych poszukiwaniach tej właściwej kobiety, znów ją jednak zaskoczył.

— Pragnąłem, ale nie potrzebowałem. Spotkałem wiele cudownych kobiet, fantastyczny materiał na żony, ale mam wątpliwości co do samego siebie. Jestem spokojnym facetem, ślęcę nad manuskryptami i nie chciałbym znowu zanudzić kogoś na śmierć. Elizabeth zwykła mawiać, że małżeństwo ze mną to doświadczenie równie ekscytujące jak oglądanie schnącej farby. Uczciwe kobiety nie zasługują na taki los.

Mówił rozsądnie, polubiła go, choć nie była to sympatia, która mogła przerodzić się w zainteresowanie natury romantycznej. W przyjaźń natomiast — tak. Był współnikiem Richarda, ich drogi więc przetną się z pewnością jeszcze wiele razy.

— W moim wieku naprawdę nie potrzebuję się żenić

— podjął. — Związek Richarda i Meg to cudowna sprawa, ale ja mam pięćdziesiąt osiem lat i zbyt mało energii, żeby uganiać się za dziewczynami. Richard jest o dziesięć lat młodszy ode mnie, to wielka różnica. Chce mieć dzieci, chce wszystko zacząć od nowa. Mnie wystarcza jachting, spotkania z córkami i od czasu do czasu, kiedy jestem w nastroju — z przyjaciółmi. Niczego nie muszę zaczynać, odpowiada mi takie życie, jakie prowadzę. Potem zapytał Paris o jej pracę, gdy zaś do rozmowy swoje trzy grosze wtrącił Bix, ubarwiając relacje Paris zabawnymi anegdotkami, uznał, że mają wyjątkowo fascynujące zajęcia. Wciąż gawędził żywo z Bixem, kiedy podszedł do nich Richard i poprosił Paris do tańca.

— Ależ się zagadałaś z moim najlepszym przyjacielem

— powiedział. — To wspaniały gość, już dawno mówiłem Meg, że powinniśmy poznać was ze sobą, uznała jednak, iż nie przypadnie ci do gustu, bo jest zbyt wyciszony. Ale naprawdę trudno o lepszego przyjaciela. Jego była żona pewnie zostanie Pierwszą Damą.

— Tak, słyszałam. Miło się nam rozmawiało i mam tylko nadzieję, że swoimi opowiastkami Bix nie popsuje mi opinii

— odparła ze śmiechem, chociaż wcale się tym nie przejmowała. Nie usiłowała imponować Andrew, nie należał bowiem do ludzi, którym mogłoby to zrobić jakąkolwiek różnicę.

Kiedy Richard odprowadził ją do stołu, okazało się, że Andrew odszedł, by porozmawiać z kimś innym, w związku z czym Bix bez skrępowania rozpoczął swą akwizytorską śpiewkę. Obruszył się, gdy powtórzyła mu po raz tysięczny z rzędu, że przestały ją interesować romanse.

— Tylko mi nie mów, że to następny Malcolm Ford

— powiedział poirytowany. Od czasu Jeana-Pierre'a Paris stała się nieznośna. — Jeśli nie iskrzy pomiędzy tobą a tym facetem, to chyba masz alergię na przystojnych, inteligentnych i dobrze wychowanych mężczyzn. Malcolm Ford jest jednym z najciekawszych ludzi, jakich znam, więc gdybyś miała choć trochę oleju w głowie, to dałabyś mu szansę, zamiast uganiać się za tym francuskim małolatem, i teraz byłabyś zapewne mężatką.

— Nie chcę wychodzić za mąż — odparła, bezczelnie mierząc go wzrokiem.

— Nie przeszkadzam? — zapytał grzecznie Andrew, wracając do ich towarzystwa.

Bix przewrócił oczyma i powtórzył, że Paris jest nieznośna.

— Bzdura — zaprotestowała Paris. — Po prostu powiedziałam, że nie chcę ponownie wychodzić za mąż.

- Szkoda — stwierdził Andrew. — Wprawdzie łączy nas w tej kwestii wspólnota poglądów, ale małżeństwo, jeśli jest udane, to zupełnie sympatyczna instytucja. Tylko czasem trudno dopasować do siebie wszystkie elementy układanki. Ale jeśli zdoła się tego dokonać, jest super. Popatrzcie na Richarda i Meg.

Nowożeńcy całowali się właśnie na parkiecie.

— Córka jest znacznie młodsza niż ja — zauważyła ze śmiechem Paris. — A małżeństwo, jak słusznie podkreśliłeś, wymaga energii. Nie jestem pewna, czy ją mam. W istocie jestem przeświadczona, że nie.

— To również mój problem — powiedział Andrew. Bix jęknął.

- Powinniście jeść dużo witamin — uznał. — Gdyby takich jak wy było więcej, zostalibyśmy bez pracy.

Roześmiali się wszyscy.

— Małżeństwo jest dla młodych — sentencjonalnie oświadczyła Paris.

— Dla młodych duchem — uściślił Bix.

— I dla twardzieli — wtrącił swoje trzy grosze Andrew. Bix i Paris wyszli z przyjęcia o trzeciej nad ranem, Peter

z nową rodziną znacznie wcześniej, Rachel bowiem chciała wrócić do hotelu i zająć się niemowlęciem. Miał wprawdzie ochotę porozmawiać z Paris, a Paris dziękowała Bogu, że do tego nie doszło. Nie miała mu nic więcej do powiedzenia, rozdzieliła ich zbyt wielka przepaść, Paris pragnęła tylko, by zblizniły się do końca jej wszystkie rany, bo z bliźną można jakoś żyć. Leczenie trwało długo, ale przynosiło efekty.

Meg spletała matce figła, kiedy bowiem nadszedł moment rzucenia bukietu — Bix zrobił jej na tę okazję specjalną wiązanekę, mniejszą niż ta, którą trzymała w chwili ślubu — zmusiła ją do wyjścia na parkiet razem z innymi samotnymi kobietami. Paris czuła się głupio w gronie podskakujących i wymachujących ramionami dziewcząt, z których najstarsze były o połowę młodsze od niej, tylko dla uczynienia zadość tradycji i zupełnie

bez przekonania uniosła ręce — i oto bukiet uderzył ją w pierś jak pocisk artyleryjski, ona zaś, najzupełniej instynktownie, chwyciła go w dłonie. Może zresztą uznała, że jeśli pozwoli mu upaść na ziemię, przyniesie córce pecha. Tkwiła więc oszołomiona w samym sercu wiwatującego tłumu, a Meg patrzyła na nią z miłością, ciągle stojąc na krześle, z którego cisnęła wiązanekę. Paris wciąż ścisnęła ją w dłoni, kiedy razem z Bixem opuszczała przyjęcie.

— Co z tym zrobisz? — zapytał Bix, skinieniem głowy wskazując kwiaty.

Paris wzruszyła ramionami.

— Może spalę — odparła.

— Jesteś wstrętna. Notabene mam nadzieję, że spotkasz się jeszcze z Andrew. Bywa dość często w San Francisco, gdzie odwiedza dwóch autorów. Mogłabyś go zaprosić.

— Po co? Zwalasz mi na głowę tyle roboty, że nie mam czasu na życie towarzyskie. Ani na niego.

Był sympatyczny, ale w końcu na świecie jest wielu sympatycznych mężczyzn. Po prostu jej nie interesował, miała dość wszystkich facetów, wycofała się z gry.

— Jeśli wkrótce czegoś z siebie nie wykrzeszesz, zmuszę Sydney, żeby zafundowała ci kolejną randkę w ciemno. Nie możesz po wsze czasy odstawiać wdowy okrytej żałobą — ostrzegł. Od sześciu miesięcy była sama jak palec, Bix trwał w przekonaniu, że się strasznie marnuje.

— Nie jestem wdową okrytą żałobą, tylko zupełnie szczęśliwą kobietą — zaproponowała z przekonaniem.

— I to mnie właśnie niepokoi. Samotność ci nie doskwiera?

— Czasem. Ale bez przesady. Prawdziwą samotność odczuwa się zawsze — powiedziała z zadumą w głosie. — Chciałabym wyjść za mąż, pewnie zawsze będę chciała, ale już nie muszę. Może zbyt się boję. Bo przecież bywa tak, że zanim człowiek się zorientuje, iż w małżeństwie coś nie gra, tonie w sadzawce pełnej aligatorów. Nie przeżyłabym tego drugi raz, stawka jest za wysoka, a szansę trafienia głównej wygranej dla kogoś w moim wieku prawie zerowe. Większe miałabym na loterii.

— Może jednak nadszedł czas na kolejną randkę w ciemno — mruknął złowieszczo.

— Nie ma mowy. Chociaż jeśliby zaaranżowała ją Sydney, mogłabym się nieźle rozerwać.

— Ale naprawdę nie możesz na zawsze pozostać sama. Jesteś piękną i miłą kobietą, nie trwoń takiego kapitału.

— Twoją teorię o igle w stogu siana uważam za bardzo celną, ale w miarę jak człowiekowi przybywa lat, stóg staje się coraz większy, a igły coraz mniejsze. Nie mam już takiego dobrego wzroku jak kiedyś, uważam więc, że lepiej przestać szukać.

— I pewnego razu wbijesz ją sobie w stopę!

— Gadasz jak ten facet z Santa Fe. Największy jełop, jakiego w życiu widziałam.

Steven podjechał samochodem, wsiedli więc do auta. W domu Paris włożyła wiązanekę do wazonu: gest Meg był uroczy, lecz — oby! — pozbawiony groźnych konsekwencji.

Paris tłumaczyła sobie, że właściwie nie schwyciła kwiatów, lecz została nimi trafiona, a to się nie liczy.

Były jednak śliczne.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Zgodnie ze złożonym sobie samej przyrzeczeniem w poniedziałek po ślubie Meg Paris zabrała do biura dwie starannie przechowywane wizytówki i podczas przerwy na lunch zadzwoniła pod podane na nich numery.

W pierwszym wypadku odebrała sekretarka informując, że szef wyjechał i wróci mniej więcej w połowie października, w drugim — Paris zostawiła nagraną wiadomość i oddzwoniono do niej wkrótce potem, kiedy jadła przy swoim biurku jabłko z jogurtem. Kobięcy głos — jego właścicielka przedstawiła się jako Alice Harper — brzmiał młodo i entuzjastycznie. Paris podała powód swojego telefonu i umówiła się na rozmowę w piątek rano.

Biuro Alice Harper mieściło się w cichej dzielnicy willowej na Mapie, w zachodnim końcu Pacific Heights, sama Alice Harper zaś, prawniczka specjalizująca się w adopcjach, była — mimo młodzieńczego głosu — sześćdziesięcioparolatką o macierzyńskim wyglądzie.

Zaprosiła Paris do swojego gabinetu, gdy zaś sekretarka przyniosła już herbatę, o którą poprosiła klientka, zasugerowała miłym tonem:

— Zacznijmy od samego początku.

Miała zmęczoną zycziwą twarz bez krztyny makijażu, krótkie kędzierzawe włosy i żywe, czujne oczy: jej zawód polegał na nieustannym ocenianiu ludzi, zarówno biologicznych matek, jak i potencjalnych przybranych rodziców. Sukces jej poczynań zależał od uważnego wysłuchania tego wszystkiego, co jej mieli do powiedzenia, wyławiania osób niezrównoważonych psychicznie bądź też takich, którym tylko zdawało się, że chcą zaadoptować dziecko, albo chcieli zaadoptować je z niewłaściwych powodów—żeby na przykład zabić nudę lub uratować rozpadające się małżeństwo. Z drugiej strony było wiele biologicznych matek, które w ostatniej chwili zmieniały decyzję, powodując mnóstwo komplikacji zarówno psychologicznych, jak i administracyjnych. Alice Harper wyłączyła telefon i zwróciła całą uwagę na Paris.

— Dlaczego chcesz zaadoptować dziecko?

— Powodów jest wiele — powściągliwie zaczęła Paris, która wprawdzie dochodziła do swojej decyzji okreśną drogą, ale w tej chwili była jej już zupełnie pewna. — Przede wszystkim sędzę, że ze wszystkich moich życiowych ról rola matki udawała mi się najlepiej. Jestem z niej bardzo dumna. Kocham swoje dzieci, są cudowne, co zresztą nie jest moją zasługą. Niemniej byłam szczęśliwa mając w jakiejś części wpływ na ich życie, a teraz przestałam być, bo wydorosłały i podążyły własnymi drogami.

— Jesteś mężatką? — zapytała Alice. Jej zainteresowanie miało głębsze powody niż tylko stwierdzenie stanu cywilnego klientki, mąż bowiem obojętny lub wrogo nastawiony wobec pomysłu adopcji utrudniałby albo wręcz uniemożliwiał jej przeprowadzenie.

— Nie, nie jestem — odparła bez wahania Paris. — Byłam nią przez dwadzieścia cztery lata, mąż mnie porzucił, jestem rozwódką, od dwóch i pół roku żyję samotnie. Mąż ożenił się z inną kobietą, mają dziecko.

— Czy to dziecko wpłynęło w jakiejś mierze na jego decyzję o odejściu?

— Może, choć trudno mi wyrokować, co stało się czynnikiem decydującym. W tej chwili liczy się to, że ja chcę mieć dziecko. Nie zamierzam powtórnie wychodzić za mąż, lecz zarazem nie mam ochoty na samotność przez resztę życia. Ujmując rzecz brutalnie: liczę, że adopcja załatwi mi coś, co uwielbiałam, i czego bardzo mi brak: ileś tam lat gotowania obiadów, jeżdżenia z dziewczynką albo chłopcem na treningi piłkarskie czy zajęcia baletowe... krótko mówiąc, wychowywania.

— Dlaczego nie zamierzasz powtórnie wyjść za mąż? Chyba nie możesz być pewna, że to twoja ostateczna decyzja, prawda?

— Uważam, że jest to moja ostateczna decyzja — odparła Paris stanowczo — ponieważ szansę znalezienia kogoś, kto by mi odpowiadał, uważam za bliskie zeru. Ta sprawa przestała zresztą mieć dla mnie znaczenie.

Prawda wyglądała trochę inaczej: Paris chętnie wyszłaby za mąż, pogodziła się jednak z tym, że nie wyjdzie.

— Skąd przekonanie, że nikogo nie znajdziesz?—zapytała ze szczerym zainteresowaniem prawniczka, bezskutecznie próbując dopatrzeć się w Paris oznak nieźrównoważenia psychicznego bądź depresji. — Jesteś piękną kobietą, mogłabyś zdobyć każdego mężczyznę, którego zechcesz.

— Wiąże się to ze zbyt wielkim wysiłkiem — uśmiechnęła się Paris.

— Dziecko też — zauważyła Alice Harper.

— Z dzieckiem nie muszę się umawiać na randkę w ciemno. Nie okłamię mnie, nie zdradzi, nie zapomni zadzwonić z innej randki, nie będzie odczuwało chorobliwego lęku przed stałym związkiem, nie będzie miało dziwacznych nawyków seksualnych, nie będzie odpyskiwać... przynajmniej przed trzynastym rokiem życia. Ja z kolei nie będę musiała zdawać przed dzieckiem egzaminów i popijać z nim, żeby przełamać pierwsze lody. Nie, wolę dwa lata zmieniania pieluch i kilkanaście wożenia do szkoły niż kolejną randkę w ciemno. Nawet dziesięć lat więzienia i najsrozsze tortury niż jeszcze jedną randkę w ciemno.

Alice roześmiała się niewesoło.

— Może jest w tym coś na rzeczy. Już zapomniałam, jak to wygląda, ale wywołujesz we mnie pewne wspomnienia. Po raz drugi wyszłam za mąż szesnaście lat temu; jeśli cię to w jakikolwiek sposób pociesza, byłam mniej więcej w twoim wieku, kiedy poznałam swojego obecnego męża — w poczekalni pogotowia ratunkowego. Ja spadłam z drabiny i złamałam rękę, on miał pękniętą kość palca u nogi. Jesteśmy ze sobą od tamtej chwili. Ale rozumiem twoje odczucia wobec randek w ciemno. Ile masz lat, nawiasem mówiąc?

— Czterdzieści osiem, w maju zacznę czterdziesty dziewiąty. Czy to może stanowić problem? Jestem już za stara?

— Nie — odparła prawniczka. — Nie jesteś. Wszystko zależy od wymagań matki biologicznej. Jesteś samotna

i w średnim wieku, jeśli więc matka biologiczna będzie żądać pary małżeńskiej, wypadniesz z gry. Z drugiej strony wiele za tobą przemawia — dodała, choć dopiero nieco później wyjaśniła Paris, że te argumenty „za” będą musiały zostać potwierdzone wywiadem środowiskowym przeprowadzonym przez licencjonowanego pracownika opieki społecznej.

— Najwyraźniej byłaś dobrą matką, masz doświadczenie, jesteś dobrze sytuowana i odpowiedzialna. Dla wielu matek biologicznych okaże się to znacznie istotniejsze niż twój wiek czy status matrymonialny. Dla innych nie. Przekonasz się sama, kiedy tylko nieco głębiej wejdziemy w temat, że większość matek biologicznych zadaje znacznie mniej pytań, niż ty zadałabyś w identycznych okolicznościach. Jeśli zaczną je zadawać i mnożyć, będziemy miały problem, bo może to oznaczać, że ci nie ufają, przypisując więcej macierzyńskich zalet sobie, niż tobie. Kiedy cię przedstawimy i uwiarygodnimy, a są to nieuniknione elementy procedury, zadecyduje iskrzenie i instynkt. Są biologiczne matki, które zadają wiele pytań, na ogół jednak, i mówię to z dużą przykrością, adopcja pod niejednym względem przypomina umawianie się w ciemno. Paris uśmiechnęła się szeroko.

— Ale tu przynajmniej na końcu czeka człowieka nagroda, podczas gdy finałem randki w ciemno jest zwykle bolesne rozczarowanie.

— Wszystko wskazuje na to, że umawiałaś się z niewłaściwymi facetami — stwierdziła Alice Harper. — Skądinąd normalna. Ale to dopiero ci właściwi, których w końcu spotykamy, uświadamiają nam, że gra była jednak warta świeczki. Tak samo jest w wypadku adopcji.

Potem w zarysach wyjaśniła Paris, na czym polega procedura adopcyjna, i dokonała przeglądu opcji: od prywatnej adopcji krajowej, poprzez przysposobienie dziecka specjalnej troski po adopcję zagraniczną. Tę drugą możliwość Paris wykluczyła, rozsądnie uznając, iż o własnych siłach mogłaby nie podołać zadaniu, trzecią natomiast — ponieważ czekając na znalezienie odpowiedniego dziecka miała zamiar normalnie pracować, nie zaś tkwiąc miesiącami w Moskwie czy Pekinie walczyć z machiną biurokratyczną. Jej argumenty trafiły Alice do przekonania. Zresztą nawet przyjmując najprostsze rozwiązanie — adopcję krajową — Paris musiała wypełnić i podpisać stosy formularzy, dostarczyć swoje odciski palców, potwierdzenie niekaralności, wyniki badań medycznych, życiorys i referencje.

— Czy mówiłaś już swoim dzieciom? — zapytała Alice.

— Jeszcze nie. Syn studiuje w college'u, córka w sobotę wyszła za mąż. Prowadzę własne życie, nie powinny mieć zbytnich zastrzeżeń.

— To nie jest powiedziane. Nawet dorosłe dzieci potrafią przeciwstawiać się pomysłom adopcyjnym swoich rodziców. Zazdrość o rodzeństwo nie jest przypisana kategoriom wiekowym.

Paris nie potrafiła wprawdzie wyobrazić sobie negatywnej reakcji Wima i Meg, przyjmowała jednak do wiadomości, że pod względem wiedzy o podobnych problemach nie może się równać z Alice Harper.

— Jakie są dalsze kroki? — zapytała podekscytowana, prawniczka zaś wyjaśniła jej, iż biologiczni rodzice są starannie prześwietlani pod kątem społecznym i zdrowotnym, analizuje się, jak mocno są zdecydowani zrezygnować z dziecka, szuka śladów uzależnienia od alkoholu czy narkotyków.

— Damy ci do wypełnienia całą górę papierzysk—dodała. — Skontaktuję się z tobą za tydzień lub dwa, bezzwłocznie natomiast zlecę przeprowadzenie wywiadu środowiskowego, zawsze bowiem istnieje możliwość, że coś wypłynie z dnia na dzień. Chcę, żebyś w takim wypadku była gotowa natychmiast dopełnić reszty formalności.

— A więc to może nastąpić szybko? — zdumiała się Paris. Przewidywała, iż proces adopcyjny będzie się ciągnął miesiące albo nawet lata.

— Czasem następuje szybko, czasem schodzi znacznie dłużej. Patrząc realistycznie, musimy liczyć się, że potrwa rok, to statystyczna norma. Jeśli dopisze nam szczęście — sześć miesięcy. Tak czy inaczej mogę obiecać ci, że z niemałym prawdopodobieństwem będziesz za rok zmieniać pieluchy.

Była to optymistyczna perspektywa; Paris poczuła, że jest w dobrych rękach. Namiary Alice Harper dostała od poleconego jej przez Sydney ginekologa, co dowodnie świadczyło o tym, że będąc lichą swatką Sydney zdawała egzamin jako doradczyni w sprawach zawodowych i medycznych.

Paris podała Alice wszystkie numery swoich telefonów

— domowego, biurowego i komórkowego — następnie zaś pojechała do pracy rozważając przez całą drogę, jak na jej pomysł — wciąż nie wątpiła: najszuszniejszy z możliwych

— zareagują Wim i Meg. Ponieważ wolala nie omawiać go z nimi telefonicznie, musiała trochę poczekać, gdyż Meg i Richard byli w Europie w trzytygodniowej podróży poślubnej.

Po powrocie do biura znalazła skreśloną ręką Bixa wiadomość, że dzwonił do niej Andrew Warren, zaszła więc do gabinetu Bixa, żeby dowiedzieć się jakichś szczegółów. Andrew był przemiłym mężczyzną, nie zamierzała jednak przenosić ich stosunków na płaszczyznę sercową.

— Czego chciał? — zapytała nie okazując najmniejszego entuzjazmu.

— Pytał, czy nie oddałabyś mu nerki—odparł Bix. — Nie gap się tak podejrzliwie.

Przyjeżdża w przyszłym tygodniu na spotkanie z klientem, próbował wybadać, czy nie dałabyś się namówić na wspólny lunch.

— Wykluczone — stwierdziła stanowczo, ciskając do kosza zmiętą w kulkę kartkę z informacją.

— Strasznie jesteś zawzięta. To sympatyczny jegomość. Pomyślałem sobie, że jeśli ty nie dasz zaprosić się na lunch, ja mógłbym cię reprezentować. Ale właściwie co masz do stracenia?

— Zdrowie psychiczne i szacunek do siebie samej. I jedno, i drugie nie jest mi obojętne.

— Gdzie nawiasem mówiąc szwendalaś się przez całe przedpołudnie?

— Byłam na fluorowaniu zębów — odparła, ale wyraz jej oczu upewnił go, że nie mówi prawdy.

— Masz ich chyba cholernie dużo, znacznie więcej niż ja. Przepadłaś jak kamień w wodę.

— Była kolejka — rzuciła wracając do swojej pracy. Nie oddzwoniła do Andrew Warrena, nie miała po temu powodu: na stopie towarzyskiej mogła się z nim zobaczyć w Los Angeles, przy okazji odwiedzin u Meg, nawiązanie natomiast kontaktów innego rodzaju jej nie interesowało.

Alice Harper zadzwoniła w następnym tygodniu, kiedy Paris zdążyła się już uporać z wypełnieniem wielu formularzy, praktycznie pozostawało więc tylko zrobienie odcisków palców i uzyskanie komputerowego wydruku stwierdzającego jej niekaralność. Nie była w najmniejszym stopniu przygotowana na to, co usłyszała od prawniczki.

— Mam dla ciebie odpowiednią kandydatkę — oświadczyła Alice.

Paris poczuła, jak łomocze jej serce, poczuła się tak jak w tych pierwszych, najlepszych latach małżeństwa z Peterem, kiedy czekała na potwierdzenie, że jest brzemienna.

— Opowiedz mi o niej — poprosiła Paris zamykając drzwi swojego gabinetu. Nigdy tego nie robiła, Bix więc popatrzył w jej stronę podejrzliwie, przyszło mu bowiem do głowy, że być może poszukuje nowej pracy.

— Ma dziewiętnaście lat, pochodzi z przyzwoitej rodziny z Millvalley, uczy się w college'u w Bay Area. Jest zdrowa, zdecydowana kontynuować naukę. Dostyc późno zorientowała się, że jest w ciąży.

— Kiedy?

— W piątym miesiącu. Teraz jest w siódmym. Położnik ocenia, że dziecko przyjdzie na świat pierwszego grudnia. Dziewczyna nie bierze narkotyków; odkąd się zorientowała, odstawiła również alkohol, chociaż przedtem pozwalała sobie najwyżej na trochę piwa czy wina. Gra wyczynowo w tenisa, prowadzi zdrowy tryb życia. I jest ładna, sądząc ze zdjęcia: to niebieskooka blondynka, trochę podobna do ciebie. Spotkam się z nią jutro. Ojciec biologiczny to dwudziestodwuletni absolwent Stanfordu, pracuje w Nowym Jorku.

Prawdziwy bystrzak, jedna z najwyższych średnich w college'u. Też zero narkotyków. Chodzili ze sobą dwa lata, zerwali pół roku temu.

Nie mają zamiaru brać ślubu, nie chcą mieć dziecka, rodzice też nie wyrażają chęci, by się nim zająć. Możesz się okazać odpowiedzią na ich modły.

— Co sądzi na mój temat matka biologiczna? — zapytała niemal z pokorą Paris. Stawka była ogromna: dziecko, które zostanie jej przypisane na resztę życia. — Nie przeszkadza jej, że jestem samotna i niemłoda?

— Zamierza, odbyć rozmowy z dwoma małżeństwami, nic więc jeszcze nie jest pewne. Skończymy najpierw kompletowanie materiałów. Powiedziałaś już swoim dzieciom?

— Córka dopiero za dwa tygodnie wróci z podróży poślubnej.

— A zatem już niedługo. Zobaczymy, jak ci pójdzie — stwierdziła prawniczka.

Zadzwoiła w sobotę po południu, kiedy myśli Paris z niepojętych powodów zwróciły się w stronę Jeana-Pierre'a. Paris tęskniła za nim i życzyła mu jak najlepiej.

— Matka biologiczna chce się z tobą spotkać—zakomunikowała Alice. — Jesteś jutro wolna?

— Bez dwóch zdań — odparła Paris, która prócz kolacji z Wimem nie miała na niedzielę żadnych planów. Jej życie ostatnimi czasy upływało spokojnie, spokojniej niż kiedykolwiek.

Prawniczka podała nazwę śródmiejskiej restauracji i zaproponowała godzinę drugą, Paris zaś zgodziła się bez dyskusji. Weszła do lokalu niemal w tym samym momencie co piękna młoda dziewczyna, wysoka i sprężysta. Jej siedmio-miesięczna ciąża była ledwie widoczną wypukłością umięśnionego brzucha.

Zajęły stolik w rogu, a ponieważ dziewczyna sprawiała wrażenie zakłopotanej, pierwsza odezwała się Paris, pytając ją, jak się czuje.

— Przede wszystkim głupio. Dawno powinnam się była połapać, ale mam nieregularne okresy, więc po prostu przegapiłam.

Potem dodała, że rodzice ogromnie zdenerwowali się jej ciążą — szczególnie ojciec, który jako że jest jedynaczką, świata poza nią nie widzi. Ze swoim chłopakiem zerwała w złej atmosferze, właściwie paląc za sobą wszystkie mosty.

— A jeśli się zejdziecie? — zapytała cicho Paris. — Czy sądzisz, że wtedy próbowalibyście odzyskać dziecko?

Z formalnoprawnego punktu widzenia było to niemożliwe, obawiała się jednak, że mogliby ją nachodzić bądź też poczynić na drodze sądowej kroki zmierzające do unieważnienia adopcji.

— To nie wchodzi w grę. Nie chcę mieć dziecka. W przyszłym roku wybieram się do Europy na studia, on też zamierza kończyć prawo. Cóż moglibyśmy zdziałać obarczeni dzieckiem? Nie zdołam się nim zająć i nie zrobią tego moi rodzice.

Była, doszła do wniosku Paris, odpowiedzialna na tyle, żeby przyznać się do nieodpowiedzialności i wyciągnąć z tego faktu właściwe wnioski — że będąc w gruncie rzeczy dzieckiem, nie zdoła wychować dziecka.

Przegadały w sympatycznej atmosferze ze dwie godziny i było jasne, że przypadły sobie do gustu; Paris gryzła się w język, żeby podczas kolacji nie wypaplać wszystkiego Wimowi, wytrwała jednak we wcześniej podjętym postanowieniu, że o jej decyzji dzieci dowiedzą się w tym samym momencie.

Gdy w poniedziałek Alice Harper potwierdziła, że sprawy idą dobrym tokiem, nie posiadała się z radości, Bix natomiast, którego spotkała chwilę później, wyglądał jak chmura gradowa.

— Co jest nie tak? — zapytała go z ciepłym uśmiechem.

— Ty mi to powiedz — burknął zapraszając ją gestem do swojego gabinetu. — Paris, co jest do cholery grane?

— Z czym?

Wyglądał na wściekłego, ale w istocie był przerażony.

— Albo masz romans, albo szukasz nowej roboty. Skoro zaklinasz się na wszystkie świętości, że to pierwsze nie wchodzi w grę, mam wszelkie podstawy, by sądzić, iż na tapecie jest ta druga możliwość. Zamykasz się u siebie, a jeśli nie zamykasz, śmiejesz się jak głupi do sera.

— Wybacz, Bix — powiedziała spokojnie — ale jeśli zechcesz się mnie pozbyć, będziesz się musiał liczyć z użyciem siły. Nigdzie się nie wybieram.

— No więc o co chodzi, do stu diabłów? — zapytał, z rozpaczą przeczesując dłonią włosy. Paris się rozpromieniła.

— O coś zupełnie cudownego — odparła z dumą. — Zamierzam adoptować dziecko, Bix. Na długą, bezgranicznie długą chwilę zagapił się w nią z niedowierzaniem.

— Dobry Boże, tylko nie to — jęknął.

— To. Przynajmniej taką mam nadzieję. Wczoraj spotkałam się z matką biologiczną. Zajął się sprawą zaledwie kilka tygodni temu, choć rozmyślałam o niej od miesiąca. Chciałam jednak najpierw wydać Meg.

— Kiedy się zdecydowałaś?

— Mniej więcej pół roku temu, po rozstaniu z Jeanem-Pierre'em. Nie chcę przechodzić więcej przez coś takiego, ale zarazem nie chcę być samotna. Takie rozwiązanie, jeśli się nad tym zastanowić, jest naprawdę sensowne.

— Nie dla mnie. Mówiłaś już swoim dzieciom?

— Jeszcze nie, powiem, kiedy Meg wróci do kraju.

— Kiedy ten dzieciak, o którym myślisz, ma przyjść na świat?

— Pierwszego grudnia.

— Jasny gwint, tuż przed świętami. Kiedy zamierzałaś mnie o tym poinformować? — zapytał z gniewem i desperacją w głosie. Bez Paris w jego firmie zapanuje chaos.

— Kiedy bym zyskała pewność. Mam nadzieję, że wszystko się uda, choć wcale nie musi. Dziewczyna jest w gruncie rzeczy porządna, a poza tym podobna do mnie i do Meg. A jeśli się uda, na pewno nie zostawię cię na lodzie w okresie świątecznym. Chętnie wezmę miesięczny urlop macierzyński, ale dopiero w styczniu albo później, kiedy sytuacja się uspokoi. Dam ci znać z wyprzedzeniem i coś wykombinujemy.

— Paris, jesteś pewna? Mnie to wygląda na szaleństwo.

— Ale nim nie jest. To moje pierwsze sensowne posunięcie od dwóch i pół roku, jeśli nie liczyć podjęcia pracy u ciebie. Mogę pogodzić jedno i drugie. Nie zdołałam w wypadku Wima i Meg, ale znam wiele kobiet, które doskonale dawały sobie radę. No więc — uśmiechnęła się do niego radośnie — pogratulujesz mi czy nie?

— Nie, zamierzam przykuć cię do jakiegoś faceta. Natychmiast zamawiam u Sydney następną randkę w ciemno. Gdybym był tylko pomyślał, że zerwanie z Jeanem-Pierre'em będzie mieć takie konsekwencje, własnoręcznie zawłókłbym cię z nim przed ołtarz.

Potrzebujesz chłopca, Paris, nie dziecka.

Jak zwykle miał rację — ale tylko częściowo.

— Dziecko mi wystarczy. Nie potrzebuję męża, Bix. Miałam jednego, było super, ale to zamknięty rozdział.

— I zamierzasz naprawdę zrezygnować z facetów? To czysty obłąd.

— Jeśli będzie mi to pisane, może pewnego dnia spadnę z drabiny i złamię rękę — odparła.

— Co ma tu do rzeczy łamanie rąk?

— Tak właśnie moja prawniczka poznała swojego obecnego męża. Ona złamała rękę, on palec u stopy, no i spotkali się na pogotowiu.

— Świetnie — wymamrotał, bez przekonania poddając się serdecznemu uściskowi Paris. Kiedy kilka chwil później wróciła do siebie, sięgnął do szuflady po fiolkę valium, mruknął coś pod nosem, a w końcu odłożył buteleczkę rezygnując z zażycia leku. Przynajmniej, doszedł do wniosku, nie zamierzała go zostawić na lodzie. Chociaż adoptowanie dziecka było równie fatalnym pomysłem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Alice zadzwoniła tydzień później — tuż przed powrotem Meg — ale tym razem nie miała dobrych wieści: Jennifer, dziewczyna, z którą rozmawiały, wybrała jedno z dwóch małżeństw. Paris była zdumiona stopniem swojego rozczarowania, czuła się jak ktoś wzgardzony i odepchnięty.

— Czasem tak to właśnie wygląda — powiedziała spokojnie Alice. — Kiedy jednak wszystko zaskoczy, będzie dobrze, sama się przekonasz. W tej chwili mam dla ciebie jeszcze jedną opcję i chcę, żebyś ją rozważyła, chociaż wiem, iż zależy ci na noworodku. Rozumiesz, kto pyta, nie błądzi. Mamy w sierocińcu czteroletnią dziewczynkę rosyjskiego pochodzenia: matka alkoholiczka, ojciec nieznany, nie jest nosicielką wirusa HIV. Przebywa w sierocińcu od drugiego roku życia, jej brat poszedł już do adopcji, ją samą też miało wziąć pewne małżeństwo z Phoenix, ale wycofało się wczoraj, bo u męża stwierdzono guza mózgu. Więc jest do wzięcia od zaraz. To śliczna dziewczuszka i chociaż zdaję sobie sprawę, że wolałabys kogoś innego, mogłabym wysłać przez Internet jej zdjęcie.

W pierwszym odruchu Paris chciała powiedzieć „nie”, zaraz jednak zadała sobie pytanie, czy przypadkiem nie ma w tym palca Opatrzności.

— Mogę to sobie przemyśleć? — zapytała powściągliwie.

— Jasne, wyślę ci ten e-mail.

Kiedy przyszedł, Paris zobaczyła najśłodszą buzię, jaką można było sobie wyobrazić. Wpatrywała się w nią jak zahipnotyzowana, gdy do jej gabinetu wszedł Bix.

— Kto to jest? — zapytał zerknąwszy na monitor.

— Czteroletnia rosyjska dziewczynka z sierocińca. Można ją zaadoptować. Ta biologiczna matka, z którą się widziałam, zrezygnowała ze mnie.

— Dobry Boże. — Bix wymownie odwrócił wzrok od ekranu komputera. — Sam się z tobą ożenię, jeśli powstrzyma cię to od zrobienia jakiejś bzdury.

— To nie jest bzdura — odparła ze spokojem, który przejął go lękiem. Paris nigdy nie sprawiała wrażenia tak zdeterminowanej. — I nie chcę wychodzić za mąż. Dla ciebie mogłabym wprawdzie zrobić wyjątek, ale co ze Stevenem? Adoptujemy go czy jak?

— Muszę wziąć valium — jęknął z rozpaczą Bix.

— Skoczyć do lekarza po receptę?

— Żartujesz? — prychnął. — Mam tego w gabinecie ze czterysta sztuk. Chcesz się poczęstować?

— Dziękuję, nie.

Dwie godziny później zadzwoniła do Alice informując, że rezygnuje z małej Rosjanki, bo jednak wolałaby niemowlę.

— Tak myślałam, ale uznałam, że nie zaszkodzi zapytać. Mam już kolejny zamiar, odezwę się za kilka dni.

W weekend wrócili z podróży poślubnej Meg i Richard, ale nie mogli przyjąć zaproszenia Paris i zdołali się wyrwać do San Francisco dopiero na początku października, na urządzone przez nią z tygodniowym wyprzedzeniem Święto Dziękczynienia — tego roku Meg, Wim i Richard mieli je spędzić u Petera.

Tuż po przyjeździe Richard wspomniał, iż Andrew mówił mu, że dzwonił do Paris. Paris zrobiła lekko zakłopotaną minę.

— Wiem. Zachowałam się nieładnie, bo nie oddzwoniłam — odparła.

Prawda jednak wyglądała tak, że wcale nie chciała oddzwonić.

— Chyba obawia się, że cię uraził. To bardzo sympatyczny facet — stwierdził z przekonaniem Richard.

Kolacja, do której zasiedli wieczorem, była zwykłym posiłkiem, jaki jada się w Święto Dziękczynienia, nic zwykłego jednak nie było w twarzach Wima i Meg, kiedy Paris oświadczyła, że myśli o dziecku.

— Zamierzasz mieć dziecko? — upewniała się Meg wbijając w matkę niedowierzające spojrzenie. — To czyste szaleństwo w twoim wieku.

— Możliwe, że szaleństwo — zgodziła się Paris — chociaż i tego nie byłabym pewna. Ale nie jest tak jak przypuszczasz. Ja zamierzam zaadoptować dziecko, a z pewnością nie jestem zbyt stara, żeby się nim zająć. Zresztą możliwe byłoby i inne rozwiązanie, w końcu wiele kobiet starszych niż ja poddaje się zapłodnieniu in vitro.

— Mężatek! — niemal krzyknęła Meg szukając wzrokiem poparcia u Richarda, który dotąd nie odezwał się ani słowem. Wim też milczał ogarnięty zgrozą. Utwierdził się w przekonaniu, że wszyscy jego najbliżsi powariowali.

— Ale samotne kobiety adoptują dzieci, samotni mężczyźni też — stwierdziła spokojnie Paris.

— No więc niech sobie adoptują — nie dawała za wygraną Meg. — Ty nie musisz. Po co ci to?

— Bo jestem samotna — odparła Paris. — Dorośliście oboje, macie własne życie, a ja nie, bo wy byliście moim życiem. Ponieważ nie ponosicie za mnie odpowiedzialności, sama muszę się zatroszczyć, żeby znowu nabrało sensu. Chcę mieć dziecko, chcę mieć przy sobie kogoś, kogo będę mogła kochać i kim będę mogła się opiekować. To wcale nie znaczy, że przestałam was kochać, bo kocham i zawsze będę kochała, ale po prostu nie chcę być dłużej sama.

Zapadła długa chwila ciszy. Richard z ogromnym współczuciem popatrzył na Paris, a potem objął Meg i powiedział tonem perswazji:

— Twoja mama ma prawo robić wszystko, co uważa za właściwe, aby uczynić swe życie lepszym. Samotność to ciężkie brzemie, uważam więc, że dziecko to naprawdę cudowny pomysł.

— Dlaczego po prostu nie wyjdiesz za mąż? — zapytała błagalnie Meg.

— Bo najwyraźniej nie mogę — odrzekła Paris. — A nie zamierzam siedzieć i czekać, aż dobry Bóg poprawi mój nędzny los. To żalosne. Muszę wziąć we własne ręce odpowiedzialność za swoje życie.

— A jeśli ja urodzę dziecko? Nic cię nie będzie obchodzić, jeśli będziesz miała własne — powiedziała płaczliwie Meg wywołując uśmiech Paris. Pod pewnymi względami sama Meg była jeszcze dzieckiem, Wim zresztą też. Alice miała rację, ta sytuacja była trudniejsza, niż się zdawało.

— Ależ będzie mnie obchodzić twoje dziecko, kochanie, tak samo jak obchodzicie mnie wy i jak będzie mnie obchodzić wasze przyszłe potomstwo. Tylko ja naprawdę muszę coś zrobić ze swoim życiem i akurat to rozwiązanie wydaje mi się najlepsze.

— A mnie dosyć głupie — włączył się Wim. — Dzieciaki to jedno wielkie utrapienie. Przekonała go o tym przyrodnia siostra, córka Petera i Rachel. Nieustannie płakała, a gdy próbował ją rozbawić, natychmiast zaczynała wymiotować.

— Zobaczymy, jak potoczą się sprawy, będę informować was na bieżąco. Ostatnio straciłam dwie okazje: w jednym wypadku ja zrezygnowałam, w drugim — zrezygnowano ze mnie. To prawdopodobnie musi potrwać.

— Jak długo? — dociekała Meg tonem skazańca pytającego o termin egzekucji.

— Zapewne mniej więcej rok — odparła Paris, a Meg pomyślała z nadzieją, że może w tym czasie matka zmieni zdanie.

W niedzielę, przed wyjazdem, Richard skorzystał z okazji, że przez moment znalazł się z Paris sam na sam, i oświadczył: — Nie przejmuj się Meg, Paris. Wimmem też. Pogodzą się z twoją decyzją i zrozumieją jej słusność. Szczerze cię za nią podziwiam, potrzeba wiele odwagi, żeby w naszym wieku wziąć na siebie taką odpowiedzialność.

— Lepiej nic nie mów o wieku — uśmiechnęła się Paris wdzięczna za jego wotum zaufania. — A jeśli Meg urodzi dziecko?

Miała zresztą nadzieję, że to nastąpi, Richard i Meg nie taili, że liczą się z taką możliwością.

— To zupełnie inna sytuacja — podkreślił. — Jestem w porównaniu z tobą tchórzem, bo pewnie nie zdecydowałbym się na adopcję. A nawiasem mówiąc, nie masz w związku z nią żadnych obaw?

— Najmniejszych.

Weekend przebiegł wprawdzie w burzliwej atmosferze, ale Paris nie wątpiła, że wszystko jakoś się ułoży, zwłaszcza że zyskała w Richardzie poważnego sojusznika: jej zięć stawał się również przyjacielem. Bóg jeden raczy wiedzieć, co o jej planach pomyśli Peter, nie liczyła zresztą, że zrobi cokolwiek, by przekonać Wima i Meg. Miał własne życie, własne problemy i własne dziecko, które ciągle traktowali z dystansem, winiąc jego matkę za rozpad małżeństwa rodziców. Poza tym Rachel, kobieta silna i władcza, miała wybitny talent do wprawiania ich w irytację.

Odjeżdżając Richard zakonotował w pamięci, by napomknąć Andrew o Paris, żywił bowiem głębokie przekonanie, że warto zbliżyć do siebie tych dwoje, choćby nawet ich ewentualny związek miał przybrać kształt zwykłej przyjaźni.

Niemal w tym samym momencie Paris przyrzekła sobie, że jeśli Andrew jeszcze zadzwoni, tym razem go nie zlekceważy. Nie zamierzała z nim romansować, przyjaciół jednak — jak mawiał Bix — nigdy za wielu.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

W następnym tygodniu Andrew Warren zadzwonił do Paris ponownie; oświadczył, że przyjechał do San Francisco, aby pomóc jednemu ze swoich klientów, który ma problemy z przerobieniem scenariusza, i zapytał, czy Paris nie znalazłaby wolnej chwili, żeby zjeść z nim lunch. Mając w pamięci swoje niedawne postanowienie, a także fakt, że był koniec końców współnikiem i przyjacielem jej zięcia, wyraziła zgodę, choć w związku ze zbliżającym się Bożym Narodzeniem mieli w biurze urwanie głowy. Omal zresztą nie wycofała się w ostatniej chwili, Bix jednak zagroził, że jeśli nie pójdzie na ten lunch, weźmie ją za kołnierz i zaprowadzi siłą. Polubił Andrew Warrena i był pewien, że polubi go też Paris, jeśli tylko da mu szansę poznać się bliżej.

Spotkali się w barze przekąskowym przy Sacramento Street, lokalu niezbyt eleganckim, gwarantującym jednak szybką obsługę; na wstępie Paris oznajmiła z lekkim zakłopotaniem, że ma bardzo mało czasu.

Andrew Warren przyjął tę deklarację wyrozumiale.

— Dziękuję Bogu, że choć na chwilę mogłem się wyrwać z mieszkania mojego klienta. Od miesiąca gapi się na pustą kartkę jak ciele na malowane wrota i powtarza, że nie ruszy się z domu, dopóki czegoś nie napisze. Czuję się jak sanitariusz z wariatkowa i kto wie, czy w końcu nie siądę zamiast niego do maszyny.

— Umiesz pisać? — zapytała z podziwem Paris.

— Właściwie nie, ale gotów jestem spróbować, byle tylko skłonić go do roboty. W istocie myślałem o zafundowaniu mu kilku elektrowstrząsów. Może wyrwałyby go z letargu.

— Dobry pomysł — roześmiała się Paris, a potem, zagadnięta przez Andrew, opowiedziała o świątecznych przyjęciach, które przygotowują z Bixem. Był szczerze zafrapowany.

— Nie wiem, jak wy to robicie. Kiedy zapraszam przyjaciół, zamawiam przez telefon chińszczyznę i jemy z pojemników.

— Dzwon w takiej sytuacji do Bixby'ego Masona — zasugerowała zartobliwie — a my się już wszystkim zajmujemy.

— Nie wątpię. Sądząc po weselu Meg, potrafcie wszystko.

— Robimy, co w naszej mocy.

Kiedy się rozstawali, ona — by wrócić do biura, on zaś do swego scenarzysty, Paris zrozumiała, dlaczego Andrew i Richard zostali współnikami: byli symptycznymi, inteligentnymi i bezpretensjonalnymi facetami, podchodzili serio do swej pracy, a ich bardzo osobisty stosunek do klientów świadczył o wyrozumiałości, a nawet opiekuńczości. Meg nie mogła sobie wymarzyć lepszego męża, ona sama zaś — być może, kiedyś — przyjaciela.

Ledwie Paris przestąpiła próg swego gabinetu, sekretarka poinformowała ją, że dzwoni Alice Harper.

— Mam dla ciebie interesującą kandydatkę — powiedziała prawniczka. — Nieco starszą, niż trafiają się nam zazwyczaj, a w dodatku mężatkę. Ma dwadzieścia dziewięć lat, czworo dzieci i problemy finansowe. Mieszka w East Bay, jej mąż jest technikiem laboratoryjnym. Uciał sobie romans z sąsiadką, odszedł. Traktował ją brutalnie. Kobieta nie pije, nie zażywa narkotyków, jest bardzo religijna, dziecku, którego się spodziewa, chce zapewnić godziwe życie. Nie jest nawet w stanie utrzymać czwórki dotychczasowych, zostawia więc sobie trzech chłopców — jedenasto-, dziewięcio- i siedmioletniego, trzyletnią córeczkę zaś oddaje siostrze. Zamierza przeprowadzić się do matki na wschód i podjąć pracę.

Za tą lakoniczną relacją kryła się ogromna ludzka tragedia, uznała Paris. Życie rozbite w drobny mak i bezmiar rozpaczy.

Coś nieporównanie straszniejszego niż to wszystko, co ją spotkało.

— Czy nie zechce odzyskać dziecka, jeśli stanie na nogi? — zapytała.

— Ta ciąża jest, jak twierdzi, wynikiem gwałtu popełnionego przez męża kilka miesięcy temu, gdy oznajmiła mu, że chce rozwodu. Nie przyjął tego do wiadomości, później jednak związał się z inną kobietą. Chyba trudno mieć naszej kandydatce za złe, że chce wyjechać gdzieś daleko i z czystym kontem zacząć życie od nowa. Podoba mi się, że ma swoje lata, jest rozsądna i najwyraźniej wie, co robi. Jest w pełni świadoma, co oznacza wychowywanie dziecka i że na tym etapie nie zdoła sprostać takiemu zadaniu. I bez tego dźwiga aż nazbyt ciężkie brzemię.

— Kiedy przewidywany jest poród?

— To clou sprawy. Za dwa tygodnie. Notabene dziewczynka, zupełnie zdrowa — dodała Alice pamiętając o uwadze Paris, że chociaż z radością wzięłaby również chłopca, wolałaby jednak dziewczynkę, która nie potrzebuje męskiego wzorca osobowego, jakim w zwykłej rodzinie jest ojciec.

— Za dwa tygodnie? W przyszłym jest Święto Dziękczynienia — westchnęła Paris.

— Wiem. Termin wypada piątego grudnia. Chcesz się z nią spotkać?

— Ja... jasne.

Dwa tygodnie to dwadzieścia cztery razy mniej niż rok, o którym mówiła dzieciom. Ale miała dobre przeczucia.

Alice zadzwoniła ponownie pół godziny później: spotkanie miało się odbyć nazajutrz o siódmej w kawiarni w San Leandro. Na równie ekscytującą randkę Paris nie czekała od wielu miesięcy.

Kiedy następnego dnia pod wieczór jak burza wypadła z biura, natknęła się na Bixa.

— Powiedziałbym, że gnasz na spotkanie z namiętym kochankiem, ale niestety, wiem swoje — stwierdził kwaśno. Oświadczyła mu z naciskiem, że Andrew Warren to jedynie materiał na wspaniałego przyjaciela i że są w tej kwestii zupełnie zgodni.

— Tak się właśnie czuję. Jestem w San Leandro umówiona z następną matką biologiczną.

— Obracasz się w najpowabniejszych dzielnicach naszego pięknego miasta — zauważył żartobliwie.

Potrzebowała półtorej godziny, żeby dotrzeć na miejsce, ponieważ jednak wzięła odpowiednio dużą poprawkę na popołudniowe korki, w kawiarni zjawiała się na kilka minut przed biologiczną matką, którą okazała się ładna blondynka, sprawiająca wrażenie tak wyczerpanej, jakby lada chwila miała paść z nóg. Amy była ujmująca i inteligentna; zaliczyła rok państwowego college'u, myślała o ukończeniu szkoły pielęgniarskiej, ale w tej chwili głównym przedmiotem jej troski było utrzymanie dzieci i jak najszybsza przeprowadzka na wschód. Trudno przychodziło jej związać koniec z końcem już teraz — dlatego powierzyła córeczkę siostrze, czasowo, jak zapewniała — piąte dziecko oznaczałoby katastrofę. Mąż, czy też raczej eksmąż, ponieważ wniosła do sądu pozew rozwodowy, stracił ostatnio pracę i nie był w stanie łożyć na utrzymanie potomstwa, zresztą i tak wolał wszystkie pieniądze wydawać na kochankę... Praktycznie więc tonęła i musiała szukać jakiegokolwiek deski ratunku. Paris doznawała pokusy, by wziąć pod skrzydła wszystkich, Amy i jej dzieci, zdawała sobie jednak sprawę, że to zupełnie niemożliwe i że powinna się skupić tylko na jednej sprawie: adopcji dziecka, które przyjdzie na świat za dwa tygodnie.

Opowiedziała Amy o Wimie i Meg, swojej pracy, domu, Amy jednak—zgodnie z przewidywaniami Alice—niezbyt to wszystko interesowało. Chciała tylko wiedzieć, czy

Paris jest skłonna wziąć dziecko, to nie ona miała udzielić aprobaty, lecz sama jej oczekiwała: nie interesował jej wiek ani stan cywilny Paris, obdarzyła ją bowiem bezgranicznym zaufaniem niemal od pierwszej chwili, Paris natomiast jakiś wewnętrzny głos powiedział, że to jest właśnie to.

W połowie kolacji, której właściwie nie tknęły, wzięły się za ręce i przez łzy popatrzyły sobie w oczy. Obie wiedziały, co się właśnie stało: zawarły układ. Reszta należała do Alice Harper.

— Dziękuję — wyszeptała Amy.

Przesiedziały w kawiarni do dziewiątej, wymieniając się informacjami i snując plany. W rodzinie Amy nie było problemów zdrowotnych, alkoholizmu ani narkotyków i tylko jedno z jej dzieci cierpiało na katar sienny. Amy nie zamierzała widywać się z dzieckiem, pragnęła tylko raz do roku dostawać jego zdjęcie. Tak ona, jak jej mąż byli skłonni zrzec się praw rodzicielskich; przez cztery miesiące dziecko będzie znajdować się pod kuratelą agencji adopcyjnej, potem zaś zostanie prawnie przypisane Paris i nic tego stanu rzeczy nie będzie mogło zmienić—nawet decyzja biologicznych rodziców. Amy zresztą zapewniła Paris, że ta jest ostateczna i nieodwołalna.

Wracając tego wieczoru do siebie, Paris czuła się dokładnie tak jak bardzo dawno temu, kiedy po raz pierwszy usłyszała od lekarza, że jest w ciąży. Była to radość, a nawet uniesienie, mimo poszeptującej gdzieś w głębi ducha obawy, że coś może pójść nie tak. Wtedy wbiegła do domu i triumfalnie oznajmiła Peterowi: „Będziemy mieli dziecko!” Tak samo było teraz.

Kiedy następnego dnia rano zadzwoniła do niej Alice Harper, wstrzymała oddech. Jeśli Amy zmieniła zdanie? Jeśli zdecydowali się z mężem nie przeprowadzać rozwodu?

— Odpowiadasz jej — zakomunikowała po prostu prawniczka. — Jakie jest twoje zdanie?

— Nie mogłabym sobie wymarzyć nikogo lepszego — odparła Paris ze łzami w oczach.

Ona i Amy zwróciły wczoraj uwagę, że mają takie same oczy i niemal identyczne dłonie, jak siostry rozdzielone kiedyś przez Boga i nagle znowu do siebie doprowadzone. Paris oświadczyła Alice, że zaraz wypisze czek. Koszty porodu pokrywało wprawdzie ubezpieczenie Amy, ale Paris zobowiązała się wyłożyć pewną sumę na utrzymanie dzieci Amy, kiedy ta będzie przebywać w szpitalu, a poza tym — z własnej woli —opłacić bilety lotnicze na wschód dla niej i jej synów. Było to minimum tego, co mogła dla nich zrobić.

— Wyślę czek natychmiast — nerwowo zapewniła Paris.

— Nie przejmuj się, ona nie ucieknie, potrzebuje cię—zapewniła Alice.

— Ja też jej potrzebuję — odparła Paris. Zaraz potem zadzwoniła do Wima i Meg.

Wyrwany ze snu Wim najpierw mruknął: „Czego?”, potem zaś ze szczerym — jak się zdawało — przekonaniem zapewnił matkę, że akceptuje każdą jej decyzję, którą uzna za słuszną dla siebie. Dziękując mu miała łzy w oczach, nawet nie wyobrażał sobie, jak ważne było dla niej jego wsparcie.

— Jesteś pewien, najdroższy? — zapytała.

— Tak, mam — odrzekł pogodnym tonem. — Wciąż uważam, że robisz głupstwo, ale skoro chcesz je zrobić, wszystko jest okej.

— Kocham cię, synku — szepnęła wzruszona.

— Ja też cię kocham.

Rozmowa z Meg również przebiegła lepiej, niż spodziewała się Paris, Meg bowiem zdążyła przyjąć do wiadomości niemal wszystkie argumenty, jakie wytoczył Richard — w pierwszym rzędzie ten, że adoptując dziecko Paris ustrzeże się losu osoby samotnej, gdyby

naprawdę nie zdecydowała się na powtórne małżeństwo, zastrzeżenie Meg natomiast, że gdyby się jednak zdecydowała, fakt posiadania dziecka może ostudzić zapał ewentualnego kandydata, łatwo zbił najbliższym przykładem: był w wieku Paris, pragnął zostać ojcem i robił wszystko, żeby nim zostać.

Nic więc dziwnego, że Meg zakończyła rozmowę słowami:

— To super, mamó.

— Też tak uważam — odparła Paris i popędziła do biura, kiedy zaś jak bomba wpadła do sekretariatu, wykrzyknęła triumfalnie: — Będę miała dziecko!

— Gratulacje—powiedziała księgowa, która naradzała się z Bixem. Była zaskoczona, Bix jednak najzwyczajniej zdębiał.

— Kiedy?

Mieli zamówienia na dwadzieścia dwa przyjęcia bożonarodzeniowe.

— Za dwa tygodnie — odrzekła rozpromieniona, nie bacząc, że Bix wygląda jak ktoś, kto zemdleje lada chwila. Zaraz jednak dodała krzepiąco: — Uszy do góry! Nie opuszczę cię przed styczniem, będę zabierać dziecko do biura, zatrudnię niańkę. Wszystkim się zajmę. W razie czego ty zabawisz się w opiekunkę.

— Mam ci urządzić przedpepkowe? — jęknął.

- Dopiero pepkowe, możemy zrobić to po gwiazdce. Czego szukasz? — zapytała, widząc, że gorączkowo grzebie w szufladzie swojego biurka.

— Valium. Zaczyna mi drżeć powieka. Kiedy wypada przewidywany termin, czy jak to tam fachowo nazywacie?

— Tak to fachowo nazywamy — potwierdziła z uśmiechem. — Piątego grudnia.

— Jezu, w dzień wesela Addisonów.

— Będę na posterunku. Z dzieckiem przy piersi, jeśli okaże się to konieczne.

Przemyślała wszystko: musiała zatrudnić opiekunkę, skontaktowała się już z pediatrą. W styczniu zajmie się dzieckiem sama. Pozostawał tylko wybór imienia.

— Jesteś pewna, że chcesz to zrobić, Paris? Dziecko to wyrok dożywocia — powiedział grobowym tonem.

— Wiem — odparła. — I właśnie o to chodzi.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Andrew Warren zadzwonił do Paris w poniedziałek przed Świętem Dziękczynienia; znów przyjechał do San Francisco, żeby wesprzeć scenarzystę, i zastanawiał się, czy Paris nie zechciałaby zjeść z nim kolacji. Świąteczny wieczór spędzała ze Stevenem i Bixem, w weekend wybierała się na zakupy dla dziecka, poza tym jednak była wolna.

— Chętnie. A może miałbyś ochotę wpaść do mnie? — zapytała uprzejmie. Wiedziała, że nieustannie musi przypierać do muru udręczonego pisarza, zbliża się bowiem ostateczny termin przekazania scenariusza i wytwórnia zaczynała już straszyć sądem. — Zawsze tak postępujesz czy też w tym wypadku robisz więcej, niż do ciebie należy? — dodała, kiedy przyjął jej zaproszenie.

— O wiele więcej, ale to sympatyczny chłopak, a zadanie trochę go przerosło. Odrobina pomocy z mojej strony mu nie zaszkodzi. Jestem wolny w ten weekend, miałem zbyt mało czasu, żeby polecieć do Europy i spotkać się z córkami. A co ty robisz w święto?

— Idę do Stevena i Bixa — odparła. — U nich zawsze jest przyjemnie.

Tym razem jednak nie było tak przyjemnie jak zazwyczaj. Steven fantastycznie wprawdzie przyrządził indyka, a Bix genialnie nakrył do stołu, oprócz Paris jednak nie zasiedli przy

nim żadni inni goście, a Steven sprawiał wrażenie zagrypionego: niewiele jadł i położył się zaraz po kolacji. Pomagając przy sprzątanu naczyń, Paris spostrzegła, że po policzkach Bixa spływają łzy.

— Co się stało? — spytała, a gdy jak dziecko padł jej w ramiona, pojęła natychmiast: Steven miał AIDS. — Dobry Boże, tylko nie to.

— Paris, nie przeżyję, jeśli cokolwiek się z nim stanie, najzwyczajniej w świecie nie potrafię już bez niego żyć.

— Miejmy nadzieję, że nie będziesz musiał — powiedziała, usiłując tchnąć weń choćby szczyptę optymizmu. Oboje jednak zdawali sobie sprawę, że czasami życie potrafi być okrutne. — Po prostu pomagaj mu ze wszystkich sił.

— Zaczął w zeszłym tygodniu przyjmować leki antyretrowirusowe, ponoć mają mu pomóc, ale na razie sprawiają, że czuje się fatalnie.

— Nie mógłbyś go namówić, żeby wziął kilka dni wolnego? — zapytała Paris, dobrze wiedząc, że jeszcze przed południem Steven miał dyżur.

— Wątpię, czy mnie posłucha — odparł Bix wycierając oczy i jednocześnie wkładając naczynia do zmywarki.

— Zajmę się wszystkimi imprezami, powiedz tylko, co mam robić.

— Jakim cudem zdołasz się z tym uporać? — zapytał Bix bez wiary w głosie.

— Znalazłam wczoraj świetną opiekunkę — odparła, po raz kolejny uświadamiając sobie z rozbawieniem, że znów przejmuje się takimi sprawami, jak niańki, papki dla niemowląt i pieluchy. Nazajutrz wybierała się na zakupy, poród Amy

— wedle planu: w Alta Bates Medical Center w Berkeley

— był odległy o zaledwie osiem dni, Paris zamierzała czekać pod telefonem na wiadomość, być, na wyraźną prośbę Amy, obecna przy narodzinach dziecka, a osiem godzin później, jeśli przyjdzie na świat zdrowe, zabrać je do domu. Musiała tylko wybrać imię.

Kiedy po zrobieniu porządków zajrzeli do Stevena, Paris spostrzegła, że w ciągu paru ostatnich miesięcy schudł i postarzał się z wyglądu. Dzięki lekom mógł przeżyć jeszcze wiele lat, te lata jednak nie miały być łatwe ani dla niego, ani dla Bixa.

Myślała o tym, zapadając tego wieczoru w sen, przede wszystkim jednak rozmyślała o dziecku. Śniła, że wydaje je na świat, Amy zaś stoi obok, trzymając ją za rękę. Potem krzyknęła na głos, ktoś bowiem natychmiast zabrał niemowlę... Obudziła się wtedy i pojęła, że tak to właśnie będzie wyglądać, tylko nie jej zostanie odebrane dziecko, lecz ona odbierze je Amy. Życie było naprawdę okrutne, dla wszystkich — dla Bixa, Stevena, Amy... A przecież niosło ze sobą ziarno niewinności, nadziei i miłości. Uosabianych właśnie przez dziecko, przez wielkie misterium narodzin. Nawet najgłębsze mroki rozpaczy rozświetlał maleńki promyk — promyk nadziei. Właśnie dla niego warto było przechodzić przez to wszystko.

Nazajutrz zgodnie z planem wyruszyła na zakupy: nabyła kołyskę, stół do przewijania, kilka mebelków, zdobnych malowanymi kokardami i motylami, mnóstwo niezbędnych sprzętów, ubranek i czapeczek, a wreszcie becik godny księżniczki. Kiedy wyszła z ostatniego sklepu, jej kombi było tak pełne paczuszek, paczek i pak, że niemal nie widziała spoza nich świata. Zadzwigała je wszystkie na górę, zamierzając poświęcić resztę weekendu na zaprowadzenie jakiegoś porządku wśród całego świeżo pozyskanego dobytku. Na razie wiedziała tylko, że kołyskę ustawi w swojej sypialni, resztę rzeczy zaś złoży w sąsiadującym z nią pokoju gościnnym. O piątej zaczęła przyrządzać kolację dla Andrew

Warrena, który zapowiedział się na szóstą. Nie wykluczał małego spóźnienia w wypadku, gdyby scenarzysta poczuł przyływ weny.

Paris włożyła do piekarnika mięso na pieczeń i ziemniaki, zrobiła potężną misę sałaty, wstawiła do lodówki kraby na przystawkę i butelkę białego wina.

Przyszedł dokładnie o szóstej, niezobowiązująco — zgodnie z ich wcześniejszymi ustaleniami — ubrany w dżinsy, starą skórzaną kurtkę i szary trykot. Paris również miała na sobie dżinsy, a do tego mokasyny i jasnoniebieski golf.

- Jak leci? — zapytała pogodnie.

Uniósł oczy do nieba.

— Boże, chroń nas przed pisarzami ogarniętymi niemocą twórczą — odparł. — Kiedyśmy się rozstawali, wisiał na telefonie, otwierając duszę przed swoim psychoterapeutą. Wczoraj musiał jechać do szpitala, bo miał napad lęku. Chyba nie skończy tego scenariusza, bo go wcześniej zabiję.

Nie mógł jednak tego zrobić, musiał się uzbroić w cierpliwość — według scenariusza kłopotliwego pisarza miano realizować wysokobudżetowy film z udziałem dwóch wielkich gwiazd reprezentowanych przez zięcia Paris.

— Rodzinny interes, można powiedzieć — zauważyła.

— Tak — zgodził się Andrew pogryzając fistaszki i popijając je winem. — Co dzisiaj robiłaś?

— Zakupy — odparła nie wdając się w szczegóły. Nie uznała za stosowne wtajemniczać w nie faceta w zasadzie obcego, jakim był Andrew.

Zachwycił się kolacją, jaką przygotowała: uwielbiał kraby, a pieczeń uznał za idealnie przyrządzoną.

— Trochę wyszłam z wprawy — tonem usprawiedliwienia powiedziała Paris. — Ostatnio rzadko pichcę, bo albo mam w firmie roboty po uszy, albo jestem zbyt zmęczona, żeby w ogóle myśleć o jedzeniu.

— Ciężko z Bixem pracujecie.

— Tak, ale obydwójce uwielbiamy tę pracę. Chociaż święta to zazwyczaj potworna harówka. Od poniedziałku mamy właściwie imprezę co wieczór.

— Nie myślałaś o małym urlopie?

Paris uśmiechnęła się do własnych myśli: Bix zgodził się dać jej wolny styczeń.

— Myślałam. Obiektywnie nie będzie długi, ale z mojego punktu widzenia — bardzo.

Miesięczny, wezmę go po świętach.

— Mnie kusi, żeby zerwać się na rok, wynająć mieszkanie w Paryżu albo Londynie, może nawet willę w Toskanii czy Prowansji, pozwiedzać Europę. Ale ilekroć wspominam o takiej ewentualności Richardowi, grozi, że dostanie apopleksji. Jego aktorzy dostatecznie mocno dają mu w kość, strach pomyśleć, co by było, gdybym jeszcze zwałił mu na kark moich scenarzystów.

Potem rozmawiali o swoich dzieciach i — rzecz nieunikniona — małżeństwach.

Szcęściem Andrew nie odsądzał ekszony od czci i wiary, co Paris przyjęła z niemalą ulgą, miała bowiem serdecznie dość facetów, którzy tyle energii i emocji inwestują w stare związki, że są kompletnie wyprani, gdy w grę zaczyna wchodzić budowanie nowych. Sama już dawno pogodziła się z odejściem Petera, przyjmując do wiadomości, że po prostu podążył własną drogą, zmuszając i ją do tego samego.

Nalewała właśnie Andrew mocną kawę — oświadczył bowiem, że zapewne pozostanie na nogach przez całą noc, znęcając się duchowo i fizycznie nad swoim scenarzystą — gdy zadzwonił jej telefon komórkowy, podłączony w kuchni do ładowarki.

Paris była niemal pewna, że to Meg, usłyszała jednak nieznamy z pozoru kobiecy głos. Dopiero po chwili zorientowała się, że należy do Amy. Brzmiał nieswojo.

— Dobrze się czujesz? Coś się stało? — zapytała z macierzyńską troską.

— Jestem w szpitalu—odparła wyraźnie zakłopotana Amy.

— Już? Jak do tego doszło?

— Sama nie wiem. Miałam urwanie głowy z synami, z Oregonu po moją córeczkę przyleciała siostra, no i...

— Co mówi lekarz?

— Że rodzę. Cztery centymetry rozwarcia, skurcze mniej więcej co piętnaście minut.

Chyba wciąż masz czas.

— Rany. Gdzie jesteś? W której sali?

Zanotowała podany przez Amy numer i wtedy dotarła do niej prawda: to się stawało, za kilka godzin znowu będzie matką. Andrew Warren zrobił wyjątkowo niemądłą minę, gdy wykrzyknęła radośnie:

— Rodzimy!

— Teraz? — zapytał kompletnie zbity z tropu.

— Tak... nie... zaczęliśmy rodzić.

— Kto do ciebie dzwonił?

— Biologiczna matka, ma na imię Amy — odparła Paris i dopiero wtedy pojęła, że jest mu winna spójną odpowiedź. — Adoptuję dziecko — dodała.

Wyglądała w tej chwili pięknie, ale uznał, że nie jest to najodpowiedniejszy moment, by wyrazić swój zachwyt.

— Serio? Niesamowita sprawa — stwierdził. — Gratulacje.

— Dzięki. Poród jest przyspieszony o tydzień. Dzięki Bogu, już dziś kupiłam wszystkie potrzebne rzeczy. To dziewczynka — wyjaśniła przypominając w tym momencie podniecone dziecko, które z wiarą oczekuje na przybycie świętego Mikołaja. — Muszę jechać do szpitala.

— Którego?

— Alta Bates w Berkeley — odparła wciskając do torebki kartkę z numerem pokoju.

— Pojedziesz własnym wozem?

— Tak.

— Otóż nie pojedziesz. Jesteś zbyt podekscytowana. Ja cię zawiozę, a potem wrócę taksówką.

— Poważnie mówisz? — zapytała poruszona jego troskliwością.

— Jak najpoważniej. Poza tym wolę asystować przy narodzinach dziecka niż scenariusza. To znacznie bardziej spektakularne — stwierdził, a gdy podczas ożywionej rozmowy, w trakcie której wyjaśniała mu powody swojej decyzji, wspomniała z niechęcią o randkach w ciemno, zapytał ze szczerym zainteresowaniem: — Zajmujesz więc w tej kwestii bardzo radykalne stanowisko, prawda?

— Uwierz, mając takie doświadczenia jak ja, doszedłbyś do podobnego wniosku.

Ryknął śmiechem, gdy opowiedziała mu o nieokrzesanym prostaku z Santa Fe.

— Też nie przepadam za tym sportem — wyznał. — I nie uprawiałem go od dość dawna. To się sprowadza do nużącej wymiany informacji. Co człowiek robił, a czego nie robił, co

lubi, czego zaś nie, gdzie był i dokąd nie dotarł. A w końcu dowiaduje się, że dama jest huzarem w spódnicy karmiącym szczurami swojego pieszczocha, boa dusiciela. Może znalazłaś najwłaściwsze rozwiązanie. Może ja też powinienem zaadoptować dziecko.

— Możesz zawsze odwiedzać moje.

— Nawet jutro, kiedy przywieziesz je do domu? Bo musisz wiedzieć, że w tej chwili czuję się jak członek oficjalnego komitetu powitalnego.

— Jesteś nim — powiedziała, gdy zaś podał jej wizytówkę prosząc, by dzwoniła natychmiast, gdy stwierdzi, że mógłby okazać się pomocny, pocałowała go w policzek.

— Dziękuję, Andrew. Jesteś pierwszą osobą, która nie uznała mnie za wariatkę.

— Ależ jesteś wariatką — odparł z uśmiechem — ale wariatką w dobrym tego słowa znaczeniu. Bardzo, bardzo dobrym. Gdybyż inni ulegali takiemu samemu szaleństwu! Mam nadzieję, że będziecie szczęśliwi, ty i dziecko.

— Ktoś jednak nie będzie: matka biologiczna—zadumała się Paris.

— Też tak myślę. — Pokiwał głową. — Dzwon natychmiast, kiedy dziecko przyjdzie na świat. Nie posiadam się z ciekawości, jak będzie wyglądać.

— Ależ to oczywiste — jak ja.

Wyjeżdżając z parkingu doszedł do wniosku, że Richard miał stuprocentową rację: Paris jest niezwykłą kobietą.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

W szpitalu Paris zapytała o porodówkę, wjechała windą na górę i dwie minuty później wchodziła do pokoju Amy. Amy rodziła: jej cztery poprzednie porody były szybkie, ten jednak sprawiał jej najwięcej bólu, może dlatego, iż miała świadomość, że będzie musiała oddać dziecko.

— Jak idzie? — współczującym tonem zapytała Paris.

— W porządku—odparła Amy, robiąc dobrą minę do złej gry, ale zaraz potem donośnie jęknęła, gdy jej ciałem targnął następny skurcz. Krzywa na monitorze wyglądała tak, jakby rejestrowała potężne trzęsienie ziemi, drugi odczyt jednak dowodził, że serce dziecka pracuje prawidłowo.

Paris nałożyła szpitalny kitel i ujęła dłoń Amy, której nie towarzyszył nikt więcej: mąż zabawiał się z sąsiadką, gdy wyjeżdżała taksówką do szpitala. Miała jednak dość przytomności umysłu, by zabrać ze sobą dokumenty adopcyjne, szpital zaś został już wcześniej powiadomiony przez Alice Harper. Teraz potrzebne było tylko dziecko.

Amy starała się ze wszystkich sił, by wydać je na świat. Godzinę po przyjeździe Paris rozwarcie powiększyło się do dziesięciu centymetrów, wszystko — wedle opinii lekarza — szło jak najlepiej, ale biedna Amy wiała się w męczarniach, stanowczo jednak odmawiając przyjęcia jakichkolwiek środków uśmierzających ból. Twierdziła, że tak jest lepiej dla dziecka, może był to pożegnalny prezent, jaki chciała mu ofiarować. Kilka minut później przewieziono ją do sali porodowej i polecono przeć; Paris najpierw, ująwszy dłonie Amy, pomagała jej oddychać, później, na prośbę pielęgniarki, podparła ją od tyłu, utrzymując w pozycji siedzącej. Przez dwie godziny nic się nie działo, aż wreszcie Amy krzyknęła rozdzierająco, a lekarz stwierdził, że dziecko zaczęło wybierać się na świat.

— Jeszcze trochę, Amy... dalej... właśnie tak... przyj — zachęcali ją wszyscy jeden przez drugiego, podczas gdy Paris zadawała sobie pytanie, czy jej porody były równie okropne. Chyba jednak nie. W końcu ujrzeni czubek główki, Amy zdobyła się na ostateczny wysiłek, wydała z siebie trzy rozpaczliwe okrzyki... i oto dziecko ujrzało światło dzienne. Zapłakana

Amy osunęła się w ramiona Paris, lekarz przeciął pępowninę, podał dziecko łkającej ze szczęścia Paris, ona zaś pokazała je Amy.

— Popatrz, jaka piękna — szepnęła. — Świetnie się spisałaś.

Dziewczynka ważyła prawie cztery kilogramy, była więc duża, choć nie tak wielka jak synek Jane. O czwartej nad ranem przewieziono Amy do jej pokoju w końcu korytarza, dziecko zaś umyto, zbadano i w końcu opatulone w różowy kocyk przyniesiono wciąż śpiącej po zastrzyku uśmierzającym matce, nad którą czuwała Paris, od tej chwili jego prawdziwa matka. Paris delikatnie przytuliła je do piersi.

— Cześć, maleńka — powiedziała.

Dziewczynka miała wielkie oczy, które dopiero z czasem miały nabrać swojej właściwej barwy, i pierzastą kępkę włosów na głowie. Potrzebowała zaledwie chwili, by zasnąć w ramionach Paris, jakby czuła, że wróciła właśnie do matki.

— Jak ma na imię?—zapytała szeptem pielęgniarka, która przyniosła małą.

— Hope — odparła Paris. To imię przyszło jej do głowy, kiedy tylko ujrziała córeczkę.

— Ślicznie — zachwyciła się pielęgniarka.

Paris zaś, patrząc na maleńką istotkę, która od tej chwili należała do niej, uświadomiła sobie, że ten moment nigdy by nie nastąpił, gdyby Peter jej nie porzucił, gdyby nie przebrnęła przez udrękę dwóch z górą minionych lat. Doczekała się nagrody, błogosławieństwa, daru. Wiedziała, że gdzieś na nią czeka, ale dotąd nie potrafiła go znaleźć — odrobiny szczęścia skrytego w rumowisku dramatów. Nadziei, której łaknęła jak kania dżdżu.

Amy i Hope obudziły się niemal równocześnie kilka godzin później; Paris dostała butelkę glukozy, żeby nakarmić małą, Amy zrobiono zastrzyk mający powstrzymać laktację. Pediatria zbadał dziecko i oświadczył, że Paris może je zabrać o szóstej wieczorem, Amy natomiast miała zostać w szpitalu jeszcze przez jedną noc. Paris natychmiast zadzwoniła do Alice Harper, żeby podzielić się z nią nowinami i zapytać o radę.

— Co z Amy? Mam ją zostawić?

— Tak, Paris, jest pod dobrą opieką i wie, co robi. Chce to zrobić. Nie utrudniaj jej sytuacji.

Paris zrozumiała: każda z nich miała przypisaną rolę, los do wypełnienia. Zadzwoniła potem do Bixa, który wydawał wprawdzie niechętnie pomruki, ale szczerze cieszył się jej szczęściem, potem natomiast — z oporami wprawdzie — do Andrew Warrena. W końcu przywiózł ją do szpitala i prosił, by dała mu znać, jak rozwijają się wydarzenia.

Nie zdawała sobie sprawy, że płacze informując go o wadze, urodzie i imieniu małej.

— Jest urocze — stwierdził cicho.

— Też tak sądzę — odparła Paris. — Poza tym pasuje do niej.

— Zostawiłem kluczyki twojego auta w rejestracji — powiedział. — Kiedy wracasz do domu?

— Około szóstej.

Podekscytowana, nawet nie zdawała sobie sprawy, że ma za sobą nieprzespaną noc.

— Pozwolisz, że cię zawiozę?

— Na pewno nie sprawi ci to kłopotu? — zapytała. Bix się nie zadeklarował. Był przejęty Stevenem, nie znosił szpitali, a od dzieci wolał się trzymać na dystans. Paris zresztą wspomniła mu, że wraca własnym samochodem.

— Byłby to dla mnie zaszczyt — oświadczył uroczyście. — Będę o wpół do szóstej, na wypadek gdyby puścili cię wcześniej.

— Dzięki.

Zadzwoiła jeszcze do Wima i Meg — byli zaskoczeni, że dziecko urodziło się tak wcześnie — później natomiast poszła do pokoju wypisów po Hope i stwierdziła niemal z przerażeniem, że zabrano ją do Amy — zresztą na jej wyraźną prośbę. Paris przeszło przez myśl, że Amy zmieniała zdanie, wciąż jeszcze z prawnego punktu widzenia była matką małej.

Kiedy zajrzała do pokoju, Amy trzymała dziecko, patrzyła mu w oczy i coś mówiła; coś bardzo ważnego, jak się zdawało.

Na widok Paris podniosła głowę i podała jej Hope.

— Pożegnałam się z nią — powiedziała — i pilnowałam jej podczas twojej nieobecności. Paris ze łzami w oczach przyjęła niemowlę.

Chwilę później pojawił się pracownik opieki społecznej z dokumentami, które miała podpisać Amy.

Paris przepała prawie całe popołudnie, a gdy się obudziła około piątej, zakomunikowano jej, że może zabrać Hope do domu, ubrała ją więc w kupione wcześniej ciuszki, owinęła kocykiem i jeszcze raz poszła do pokoju Amy, która sprawiała wrażenie zdumiewająco spokojnej, chociaż leki usmierzające już dawno z pewnością przestały działać.

— Chcesz ją potrzymać? — zapytała, Amy jednak pokręciła głową i tylko przeciągle popatrzyła na Paris tulącą dziecko.

— Dziękuję — szepnęła.

— To ja ci dziękuję... Niech Bóg ma cię w swojej opiece... Uważaj na siebie. — Lekko dotknęła dłoni Amy i dodała jeszcze: — Kocham cię.

Zamykając za sobą drzwi, usłyszała cichutkie: „Żegnaj”.

Gdy popłakując ze wzruszenia zjeżdżała windą, czuła się jak kidnaperka umykająca ze zdobyczą, wszyscy jednak, których spotykała po drodze, uśmiechali się do niej i gratulowali. Andrew czekał już w holu.

— Pokaż mi ją — poprosił, a Hope wlepiła w niego swoje ogromne oczka, jakby zastanawiając się, kim jest ten mężczyzna.

— Czyż nie cudowna? — zapytała Paris.

Przytaknął, a gdy wsiadali do samochodu, Paris uświadomiła sobie, że jego również poruszyło to całe zdarzenie. Przyjechali tu osiemnaście godzin temu jako prawie obcy sobie ludzie, a oto wracali jako przyjaciele, z nową ludzką istotką bezpiecznie przypiętą w samochodowym rozkładanym foteliku dla dzieci.

Podczas jazdy Paris odwracała się co kilka minut, patrząc na Hope z mieszaniną miłości, wdzięczności i niedowierzania. Dopisało jej niewiarygodne szczęście, los okazał się wobec niej nad wyraz hojny.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Paris miała ochotę przesiedzieć całą noc z dzieckiem w ramionach, w końcu jednak uległa zmęczeniu, odłożyła małą do kołyski, a potem sama poszła do łóżka. Zaglądała do kołyski co kilka godzin, choć budziła się znacznie częściej, przejęta zgrozą, że to wszystko jest tylko snem. Było jednak rzeczywistością. Andrew wyszedł około jedenastej, kiedy uporali się z niezbędnymi przygotowaniami: sam wymościł kołyskę, Paris zaś, która w tym czasie trzymała dziecko, zauważyła żartobliwie:

— Nieźle ci idzie.

— Mam dużą praktykę, zresztą zawsze lubiłem te rzeczy — odparł. Nie ulegało wątpliwości, że i teraz sprawiają mu przyjemność.

Obiecał wpaść nazajutrz, jeszcze przed wyjazdem do Los Angeles — scenariusz był bowiem gotowy — a następnie wrócił do hotelu.

W niedzielę wpadli z wizytą Steven i Bix; Bix przyniósł aparat fotograficzny i zrobił milion zdjęć, stwierdzając, że dzidzius jest super, a Paris nigdy nie wyglądała lepiej, Steven natomiast wygłaszał peany na temat noska i podbródka małej, uformowanych — jak utrzymywał — nieskazitelnie.

O czwartej pojawił się Andrew.

— Czuję się niebywale obdarowany przez los, ponieważ byłem uczestnikiem naprawdę wyjątkowych wydarzeń — powiedział wzruszony.

— Dziękuję za pomoc i za to, że byłeś — odparła Paris.

— Byłem kimś w rodzaju bociana — stwierdził ze śmiechem.

Został zaledwie kilka minut, na pożegnanie pocałował dziecko w czubek głowy i obiecał Paris, że niebawem zadzwoni. Przyjęła to zapewnienie z radością, Andrew z dnia na dzień stał się jej przyjacielem. Nie chłopakiem, kochankiem, zalotnikiem, a nawet nie pretendentem do jednej z tych trzech ról, lecz po prostu przyjacielem. Ceniła to sobie znacznie wyżej.

Następnego dnia przesłał jej ogromny bukiet kwiatów z bilecikiem: „To na cześć Hope! Całuję, Andrew”, Bixby natomiast wystąpił z kolejnym gigantycznym misiem, uplecionym z blad różowych róż. Poleciał Paris wziąć dwa dni wolnego, w środę jednak bezwzględnie miała stawić się w pracy.

Wszystko było pod kontrolą, gdy to czyniła — opiekunka znała na pamięć swe obowiązki, plan żywieniowy był opracowany w najdrobniejszych szczegółach, dla Paris nie stanowiło nawet tajemnicy, w jakiej pozycji mała śpi najlepiej — i przez cały pracowity tydzień Bix mógł powtarzać z dumą licznym klientom: „Czyż ta Paris nie jest zdumiewająca? Wyobraź sobie, w ostatni piątek przyszło na świat jej dziecko.”

Paris zaś wyjaśniała i odkładała na biurko kolejne prezenty; pod koniec tygodnia nie widziała zza nich świata.

W niedzielę rano zadzwonił Andrew — też miał ciężki tydzień — i przypominał Paris, że Hope liczy sobie dziewięć dni.

— Chciałem zadzwonić w sobotę i złożyć jej życzenia urodzinowe, ale jeden z moich scenarzystów się zbiesił, zszedł z planu i musiałem sporo się natrudzić, żeby załagodzić sytuację.

Potem dodał, że być może znów będzie musiał przyjechać do San Francisco i w takim wypadku da jej oczywiście znać.

Zaraz potem zatelefonowała Meg, wypytyjąc o Hope, którą miała poznać osobiście już za trzy tygodnie, w Boże Narodzenie, które wraz z Richardem i Wimem zamierzała spędzić u matki. Paris nie miała najmniejszych wątpliwości, że wszyscy troje zakochają się w Hope od pierwszego wejrzenia, bo któż potrafiłby się jej oprzeć?

Ten miesiąc był dla niej nadzwyczaj pracowity: miotając się pomiędzy biurem, imprezami a domem — mimo zatrudnienia opiekunki stawiała sobie za punkt honoru, żeby każdego wieczoru wrócić do dziecka — w okolicach Bożego Narodzenia była na ostatnich nogach.

Dwa dni przed świętami na spotkanie z klientem przyjechał Andrew. Popatrzył na Paris, którą zastał drzemiącą z dzieckiem w ramionach na kanapie w salonie, i stwierdził:

— Wyglądasz na skonaną.

Potem wręczył jej paczkę zawierającą, jak się okazało, prześliczne śpioszki, kocyk i lalkę.
— Rozpieszczasz nas — powiedziała z radością. — Ale tak, jestem skonana.

Nie mogła doczekać się stycznia, kiedy przez miesiąc miała zastąpić ją Jane; znów była w ciąży i Bix sarknął, że nieustannie otaczają go dziecięte babska. Też miał trudny okres, bo od Święta Dziękczynienia Steven nie czuł się dobrze.

Niemal codziennie Paris doznawała pokusy, by zadzwonić do Amy, Alice jednak odradzała jej to z całym naciskiem, Paris więc dała za wygraną. Wszelkie formalności zostały dopełnione, Amy bez szemrania podpisała niezbędne dokumenty.

Andrew oznajmił, że wraz z córkami spędzi święta w Londynie, a później całą trójką pojedą na narty do Gstaad; miał wrócić po Nowym Roku.

— Chętnie bym cię wtedy odwiedził — oświadczył. — Jestem pewien, że Hope będzie wówczas dwa razy większa niż teraz.

Coś w tonie jego głosu zaniepokoiło Paris, która przez chwilę nie wiedziała, co powiedzieć. Nadal pragnęła w nim widzieć przyjaciela, a straciła pewność, czy i jego usatysfakcjonuje taki status.

— Jesteś zawsze mile widziany — rzekła. Mogło się zdawać, że czyta w jej myślach.

— Wiem, jak silne są twoje zastrzeżenia wobec flirtów, randek, romansów i tak dalej, zresztą uważam je za całkowicie zrozumiałe. Ale obiecuję, że będę bardzo grzeczny, nie przywiozę zdjęć swoich fallicznych rzeźb, nie zjawię się pijany i nie zamówię fasoli na kolację... Skoro o tym mowa, czy mogę liczyć, że pozwolisz mi się zaprosić któregoś dnia? Wzruszył ją i roześmiała się głośno.

— Czy naprawdę jestem aż tak nieznośna?

— Nieznośna to złe słowo — odparł. — Po prostu ostrożna, ale masz po temu powody. Powiedziałbym, że twoje doświadczenia były gorsze niż większości innych kobiet. Jesteś w pełni usprawiedliwiona, więc jeśli zbulwersuję cię w jakikolwiek sposób, masz mi o tym natychmiast powiedzieć. Zgoda?

— Rzeczywiście, bezgranicznie mnie bulwersujesz swoim postępowaniem. Rozpieszczasz moją córkę, wysyłasz mi kwiaty, wozisz do szpitala i ze szpitala... to straszne przestępstwa.

— Uśmiechnęła się do niego, a on odwzajemnił uśmiech.

— Nie chcę zepsuć naszej przyjaźni, zbyt wiele zaczynasz dla mnie znaczyć. Toteż lepiej nie zmarnować tego jakimś głupstwem, które za dwa miesiące nie będzie miało znaczenia.

— A więc jesteśmy umówieni na kolację po moim powrocie? Oficjalnie?

— Tak, jesteśmy umówieni oficjalnie.

— Zadzwonię do ciebie z Europy—obiecwał. — Uważaj na Hope.

Pocałował ją w policzek i zbiegł po schodach, ona zaś pomachała mu na pożegnanie, zastanawiając się, czy pożałuje udzielonej przed chwilą zgody czy też nie. Miała nadzieję, że nie. Tyle razy przysięgała sobie, że koniec z randkami i oto znowu z własnej woli łądowała się w tarapaty. Ale minęło osiem miesięcy, może zatem dostatecznie wiele czasu, by oczyściła się atmosfera. Poza tym dostrzegła w Andrew Warrenie coś szczególnego: będąc kimś, kogo mogła pokochać i z kim mogła się zaprzyjaźnić, zasługiwał również na szacunek. Inni byli zabawni, sympatyczni, seksowni lub żałośni, ale nie zasługiwali na szacunek. Andrew zasługiwał.

Zadzwonił do niej z lotniska, z Los Angeles, a nazajutrz

— z Londynu. Paris była już wtedy z bliskimi.

Meg nie posiadała się z podniecenia, Wima rozśmieszała nadopiekuńczość matki wobec dziecka, Richard robił zdjęcia, wszyscy natomiast zgodnym chórem powtarzali coś, co i bez

żadnych zapewnień Paris dobrze wiedziała: że Hope jest najśliczniejszym maluchem na całym Bożym świecie. A niemal czterotygodniowa wtedy Hope radośnie uśmiechała się do tego świata.

Odkładając małą do kołyski, Meg popatrzyła na Paris z jakimś bardzo szczególnym, nowym uśmiechem.

— Dzięki niej nabiorę wprawy, mamó — powiedziała.

— O czym ty mówisz? — nie zorientowała się Paris, wciąż zmęczona i przez to nieco oszołomiona.

— Będziemy mieli dziecko, mamó — wyjaśniła Meg, a Paris, ze łzami w oczach, zarzuciła jej ramiona na szyję.

— Cudownie! Gratulacje dla was obojga! Kiedy?

— Przewidywany termin to czwarty lipca.

— Ależ z was patrioci! — roześmiana Paris ucałowała z kolei Richarda, Wim zaś jęknął i rzucił się na kanapę.

— Co to, kurczę, jest? Epidemia? — zapytał.

— Uważaj, żebyś i ty nie padł jej ofiarą — ostrzegła Paris. Gdy wieczorem po kolacji zeszła do salonu, Wim tulił

dziecko, a obok niego Meg snem sprawiedliwego spała na sofie. Wszystkie dzieci Paris były razem. Czy można wyobrazić sobie cudowniejsze święta?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Miesięczny urlop, który Paris wzięła w styczniu, okazał się strzałem w dziesiątkę, znalazła bowiem czas dla dziecka, na lektury, wizyty w biurze i składanie Bixowi wyrazów ubolewania z powodu nadmiaru pracy, a nawet na spotkania ze znajomymi. Status kobiety niepracującej sprawiał jej wielką przyjemność, lecz zarazem była świadoma, że to przyjemność chwilowa i jeszcze większą będzie powrót do obowiązków zawodowych. Andrew Warren też wziął sobie dwa tygodnie wolnego i odwiedził ją w San Francisco: pojechali wspólnie do Napa Valley, zjedli lunch w Sonomie, przespacerowali się z dzieckiem. Poza tym Andrew zabrał Paris na kilka niebywale wykwintnych kolacji utrzymując, że tylko one są oficjalnymi randkami.

— Jak w takim razie nazwać całą resztę? — zapytała. Ich naturalnie rozwijający się związek był tyleż romanssem,

ile przyjaźnią, co obojgu bardzo odpowiadało.

— Reszta jest zwykłym kumpelstwem — wyjaśnił z powagą. — Randką nazywamy jedynie sytuację, kiedy zapraszam cię do lokalu. Może być?

— Super. Właśnie tak, jak sobie tego życzę.

Naprawdę za nim tęskniła, kiedy wyjechał, świetnie się bowiem bawili w swoim towarzystwie, a poza tym Andrew cudownie odnosił się do dziecka; na szczęście wpadał na weekendy, zajmując wtedy jedną z dwóch sypialni w przybudówce Wima.

Paris jeszcze z nim nie spała, nie czuła się gotowa — ich „randki” trwały zaledwie od miesiąca, choć widywali się bardzo często, a podczas jego dwutygodniowego pobytu w San Francisco — niemal codziennie.

Koniec postu nastąpił w walentynki: tego dnia — dopiero o dziesiątej, bo pracowała wtedy do późna — zabrał ją na uroczą kolację, potem zaś, gdy o północy wrócili do domu, obdarował pięknym brylantowym wisiorkiem. Paris zrewanżowała się idiotycznym zegarkiem na pasku z krokodylej skóry, Andrew zaś nałożył go z powagą. Przegadali wiele

godzin, a później najnaturalniej w świecie przenieśli się do sypialni — coś, czego Paris unikała i obawiała się od dawna, poszło im jak z płatka. Kochali się jak ludzie będący ze sobą od zawsze, bez pytań o „wyłączność”, bez akrobacji, lęków, rozczarowań, wydziwiania. Niemal rutynowo. Gdy w środku nocy obudziło ich dziecko, najpierw je nakarmili, a potem ułożyli pomiędzy sobą. Paris czuła się jak ktoś, kto po długiej tułaczce wrócił do domu. Po trzech latach samotności i smutku znalazła mężczyznę, którego — jak sądziła — nie znajdzie nigdy. Przestała szukać, bo dawno straciła wiarę w jego istnienie. Ale znalazła igłę w stogu siana, Andrew też ją znalazł. Nigdy dotąd nie był tak szczęśliwy. Weekendy tej złocistej wiosny spędzali na zmianę w San Francisco i w Los Angeles, każdą wolną chwilę Andrew poświęcał Paris i Hope. Wim i Meg obdarzyli go wielką sympatią, jego córkom — które przyjechały z wizytą w czerwcu — Paris też ogromnie przypadła do gustu. Elementy układanki pasowały do siebie idealnie, lepiej nawet niż w dobrych latach z Peterem. Osobliwa rzecz zresztą, Paris czuła się w tej chwili tak, jakby z Peterem nie była nigdy, z Andrew zaś — zawsze.

Gdy zbliżał się przewidywany termin porodu Meg, Paris wzięła dwa tygodnie urlopu, Bix bowiem oświadczył, że przez ten czas sam da sobie jakoś radę. Był w dobrym nastroju, stan Stevena znacznie się poprawił.

Kiedy rozpoczął się poród Meg, z Paris i Hope był Andrew: ochoczo przyjął na siebie obowiązki niańki, aby Paris mogła pojechać do szpitala.

Poród okazał się długi i ciężki, Meg jednak zachowywała się nad wyraz dzielnie, a Richard pomagał jej, jak mógł. Na wyraźną prośbę córki Paris pozostała na sali porodowej do końca, obserwując jak na świat przychodzi piękny i dorodny Brandon Bolen, jego rodzice zaś wybuchają płaczem szczęścia.

— Kocham cię, mamoo... Dziękuję, że to ty właśnie nią jesteś — wyszeptała Meg, kiedy Paris stała przy niej z wnukiem w ramionach.

Tej nocy, gdy leżała u boku Andrew, westchnęła głęboko i radośnie. Dzieci były najwspanialszym darem, jaki człowiekowi mógł przynieść los, to dzieci sprawiały, że świat był piękniejszy. Miała czterdzieści dziewięć lat, ale bliskość dzieci — obojętne: małych czy dużych — uwielbiała tak samo jak dwadzieścia pięć lat temu.

— Wiesz, zastanawiam się — powiedziała z ziewnięciem do Andrew, który tulił się do niej w mroku. — Może los jedynaczki nie jest najlepszym, jaki mogłabym zgotować Hope. Może powinnam zaadoptować jeszcze jedno dziecko?

— Ach tak—odezwał się po dłuższej chwili.—Ależ wcale nie będzie skazana na samotność, będzie miała do zabawy siostrzeńca młodszego o zaledwie osiem miesięcy.

— To prawda — odparła kiwając głową. — Chociaż mieszkając w różnych miastach nie będą mogli widywać się codziennie. To nie to samo co dorastanie pod jednym dachem z bratem czy siostrą.

— A może powinniśmy stanąć na głowie i postarać się o rodzeństwo dla Hope we własnym zakresie? — zasugerował. Byłoby to trudne, lecz nie niemożliwe, biorąc pod uwagę osiągnięcia nauki w ostatnich latach. Paris nie zaoponowała, Andrew jednak chwilowo zrezygnował z drażenia tematu. —Na razie mam inny pomysł—oświadczył. — A może byśmy tak wzięli ślub i na rok wyskoczyli do Europy?

— Miałabym zostawić Bixa na lodzie?—zapytała wstrząśnięta.

— No cóż, tak... ale tylko na rok. Po powrocie, jeśli będziesz tego chciała, mogłabyś wrócić do pracy. Zresztą możemy zabrać Bixa ze sobą.

— Spodobałby mu się taki pomysł — stwierdziła i usiadła gwałtownie. — Czyżbyś właśnie poprosił mnie o rękę?

— W rzeczy samej. No i co o tym sądzisz? — A gdy odpowiedziała długim czułym pocałunkiem, upewnił się: — Czy to znaczy „tak”? — Skinęła głową. — Czy nie mogłabyś ująć tego w słowa? Wolałbym z twojej gestykulacji nie wyciągnąć opacznych wniosków.

— Tak — odparła uśmiechając się szeroko. — Wyjdę za ciebie za mąż. Czy to będzie oznaczało wyłączność?

Tę historię także mu opowiedziała, nie miała przed nim żadnych tajemnic.

— Tak, chyba oznacza to wyłączność. Zdecydowanie oznacza. Co więc sądzisz? Rok w Europie?

Ponownie skinęła głową, jej również ten pomysł przypadł do gustu. Pomoże Bixowi wyszkolić swoją następczynię... na rok, choć nigdy nie wiadomo. Andrew miał pięćdziesiąt dziewięć lat, wielokrotnie wspominał, że chce stosunkowo wcześniej przejść w stan spoczynku, może więc dłużej będą podróżować po świecie, zwłaszcza że upłynie sporo wody, zanim Hope pójdzie do szkoły.

— Powiemy dzieciom? — spytała rozpromieniona.

— Sądzę, że tak, chyba nie powinniśmy trzymać tego przed nimi w tajemnicy. — Roześmiał się, objął ją i przyciągnął do siebie. — Kocham cię, Paris... Nigdy się nie dowiesz, jak bardzo cię kocham.

Ta miłość w obojgu budowała się powoli i naturalnie, żadnego z nich zatem nie dziwiło, że jej ukoronowaniem będzie ślub. Rozmawiali więc o nim teraz, leżąc w łóżku. Wesele będzie kameralne, oczywiście zajmie się nim Bix. Tylko dzieci i najbliżsi przyjaciele. Potem wyjazd do Europy... wynajmą mieszkanie w Londynie lub Paryżu... może jakąś rezydencję na wsi... a może wycarterują jacht i spędzą na nim lato. Cudowne perspektywy. Ale byłoby cudownie również wtedy, gdyby nigdzie nie jechali. Pod warunkiem że będą ze sobą.

Nazajutrz osobiście powiadomili Richarda i Meg, Wima natomiast — był z wizytą u Petera — telefonicznie, wreszcie Bixa; wrodzona wielkoduszność sprawiła, że okazał entuzjazm.

— A nie mówiłem ci, że znajdziesz igłę w stogu siana? — zapytał. — No i czy nie było warto pomęczyć się trochę na tych randkach w ciemno?

— Nie—odparła stanowczo. — Nie poznałam Andrew na randce w ciemno, tylko na weselu córki.

— Cóż, wiedziałem, że czymś takim to się skończy, ale randki w ciemno pozwalają człowiekowi zdobyć bezcenną praktykę.

— Jaką praktykę?

— Jak być osobą czarującą wobec najokropniejszych klientów, czyli pośrednio — jak prowadzić nasz biznes. Po twoim powrocie rzecz jasna.

— Rezygnujesz z kierowania firmą? — spytała zaszokowana. Może ze Stevenem było gorzej, niż się wszystkim zdawało.

— Nie od razu. Dopiero kiedy wrócisz z podróży. Steven i ja też chcemy pokręcić się po świecie. Może rok nam wystarczy, to się jeszcze okaże. Jedno wiem na pewno — westchnął. — Najlepsze jeszcze przed nami.

— Masz rację.

Odłożywszy słuchawkę, przekazała Andrew przebieg rozmowy.

— Ma stuprocentową słuszność — stwierdził. Uzgodnili, że ślub wezmą w sierpniu, a w podróż wyruszą

we wrześniu. Następnego tygodnia wrócili do San Francisco, żeby zacząć przygotowania do wyprawy. Andrew miał już na oku trzy mieszkania w Paryżu i dom w Londynie. Kiedy weszli do domu Paris, w salonie leżała paczka z gałązką konwalii na wierzchu: zawierała prześliczną antyczną szkatułę owalnego kształtu, z jakimś napisem wygrawerowanym na wieczku. Litery były stylizowane, Paris więc potrzebowała dłuższej chwili, żeby je odczytać.

— Co tam jest napisane? — zainteresował się Andrew, podziwiając kolejny dowód fenomenalnego gustu Bixa.

— Tu jest napisane... — powiedziała Paris unosząc szkatułę do światła — ..., „Najlepsze jeszcze przed nami”.

— W tym właśnie rzecz — stwierdził Andrew i pocałował Paris.

Przeszłość przyniosła im obojgu cudowne dary i surowe lekcje, była taka, jaka miała być. I wydała na świat przyszłość z całym jej pięknem i całą jej niepewnością.

Paris jednak ze wszystkich sił chciała wierzyć, że najlepsze jeszcze przed nią.